

Świat mody, wielkich pieniędzy i wyrafinowanych gustów, w którym niczego nie ma za darmo.



EVA

MINIGE

GRA W LUDZI

Prószyński i S-ka

**EVA**  
**MINGE**

**GRA W LUDZI**

*Prószyński i S-ka*

Copyright © Eva Minge, 2022

Projekt okładki  
Paweł Panczakiewicz

Ilustracja na okładce  
© Magdalena Russocka / [Trevillion Images](#)

Redaktor prowadzący  
Michał Nalewski

Redakcja  
Renata Bubrowiecka

Korekta  
Sylwia Kozak-Śmiech  
Bożena Hulewicz

ISBN 978-83-8295-739-6

Warszawa 2022

Wydawca  
Prószyński Media Sp. z o.o.  
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28  
[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

Anna szybko wbiegła po schodach. Znowu była spóźniona, matka tego nie znosiła. Robiła z każdych pięciu minut dramat w pięciu aktach. Tym razem było tych piątek kilka... Krzyk. Histeryczny, wibrujący, pełen agresji – kierowniczką wrzeszczała na nią za źle ułożony towar na półkach. Wymyśliła sprzątaną zaplecza po godzinach... za karę.

Magda była młodsza od niej, trochę dziwna, trochę wycofana, niestabilna emocjonalnie, ale niezwykle piękna. Regularnie siadała szefowi na kolanach. Jej sadystyczne zachowanie względem Anny było podyktowane zainteresowaniem bossa. Nie przyjmowała do wiadomości, że Anna nie stanowi dla niej żadnej konkurencji – wielokrotnie odmawiała szefowi spędzania czasu sam na sam, wspólnego wyjazdu do hurtowni, a nawet tak zwanej biurowej herbatki. Anna nie miała ochoty na flirty z żonatym mężczyzną po sześćdziesiątce, kompletnie zaniedbanym i cuchnącym potem.

Wychowała ją matka, której inna kobieta zabrała męża. Czy można komuś zabrać kogoś? Czy można wziąć go jak walizkę czy książkę z półki? Okazało się, że można.

Ojciec Anny był typem depresyjnym, bezwolnym, zamkniętym w swoim świecie specyficznego geniuszu – do żony mówił imieniem swojej matki, a córkę traktował jak własną studentkę. Nie pamiętał, ile Anna ma lat, do której chodzi szkoły, za to godzinami opowiadał jej o zawilosciach filozofii. Potrafił całą wypłatę wydać jednego dnia w antykwariacie na książki, które – zamknięty w swoim pokoju – studiował do białego rana. Był wykładowcą akademickim. Wychodził na uczelnię codziennie w tym samym starym płaszczu, a sandały zamieniał na zimowe buty w grudniu, kiedy żonie udało się go wreszcie do tego namówić. Zdarzało mu się wejść do wanny pełnej wody w ubraniu w wyniku zaaferowania jakąś zakończoną właśnie rozmową telefoniczną ze zdolnym studentem. Na każdym roku miał swojego ulubieńca i zawsze, ale to zawsze byli to chłopcy. W jego ocenie filozofia to nauka męska. Kobiety były dla niego rodzajem ludzkiego eksperymentu i choć idealnie nadawały się do sprowadzania na świat życia, to o jego sentencji nie miały zielonego pojęcia. Według ojca ktoś, kto karmi młode piersią, nigdy nie będzie intelektualnie ukierunkowany na swoje stado.

Tak, Anna wychowywała się w dość specyficznym domu.

Matka zarządzała światem, bo ktoś musiał. Anna nigdy nie rozumiała jej miłości do ojca. On traktował ją zdecydowanie jak robota wielozadaniowego. Trzeba przyznać, że nie krzyczał, nie awanturował się zupełnie. Mógł zjeść zupę ogórkową z potrójną porcją soli lub wypić wodę z kranu, jeśli tej w szklanych butelkach matka nie zdążyła przytargać do

domu. Butelki musiały być szklane, bo w życiu ojca specyficznie pojęta ekologia była równie ważna, jak filozofia. Szkoda tylko, że nie ponosił odpowiedzialności za ciężar jej dźwigania na szóste piętro.

Na urodziny i inne święta matka dostawała kolejną kopertę. Nie, w środku nie było banknotów na dowolny prezent. To byłoby zbyt prozaiczne w ocenie ojca, a on prozą życia brzydził się najbardziej. Była tam myśl filozoficzna spłodzona przez ojca z tejże konkretnej okazji. Anna natomiast dostawała zawsze egzemplarz jakiejś starej książki z antykwariatu. Nigdy lalki, czekolady czy pudełka kredek, a rysować kochała najbardziej. Gdyby nie wizyty w domach koleżanek, pewnie nie wiedziałyby nawet, że istnieje inny świat...

Mama Anny wychowała się w domu dziecka.

Po kolejnej pijackiej awanturze dostała na tyle bestialskie lanie od ojca, że trudno było ukryć jego skutki. Zabrano ją do sierocińca. Z rodzicami nie chciała mieć nigdy więcej kontaktu. Miała dryg do nauki, szkołę pielęgniarską skończyła z wyróżnieniem. Praca w szpitalu była spełnieniem jej marzeń i całym jej światem.

Czuła, piękna, troskliwa blondynka o niebanalnych rysach twarzy i obłądnie kręconych włosach zawładnęła sercem pacjenta, który leczył skutki niefortunnego skoku do wody. Uszkodzenia kości były na tyle poważne, że wymagały dłuższej hospitalizacji. Kobieta miała w sobie mnóstwo ciepła i przepiękne zielone ogromne oczy. Ojciec w tych oczach zobaczył podobno cały swój świat i ze szpitala wyszedł już zaręczony. Pragnienie bliskości, rodziny i spokoju było w nich na tyle silne, że natychmiast rozpoczęli wspólne życie w wynajętym pokoju, który zresztą opłacała tylko matka Anny. Wyprowadzili się: ona z hotelu dla pielęgniarek, a on z akademika, gdzie praktycznie waletował u kolegi, i zamieszkali razem. Ślub przyspieszyła ciąża. A matka pełniła wszelkie obowiązki – przy mężu, dziecku, w kuchni, pralni i pracy. Brała nadgodziny, kiedy tylko mogła. W nocy prawie zawsze była poza domem.

Ojciec... był sierotą. Jego rodzice zginęli w wypadku, gdy dziewczynki nie było jeszcze na świecie. Po ślubie zdobywał kolejne stopnie naukowe. Uczył się między innymi martwych języków, kupował literaturę i jeździł raz do roku w różne egzotyczne zakątki świata, by tam móc pogłębiać wiedzę historyczną. Jeździł sam. Po pierwsze, nie było pieniędzy na wyjazd całej trójki, a po drugie, nie chciał, by ktoś zakłócał jego spokój. Tak więc ich światy nigdy się nie zazębiały, nigdy nie było wspólnych wakacji, rozmów przy stole czy choćby zwykłych rodzinnych kłótni o drobiazgi...

Któregoś razu mama podsłuchiwała przez przypadek rozmowę telefoniczną ojca i okazało się, że tym razem najzdolniejszym studentem jest kobieta. Zaniepokoiło ją to i zaskoczyło. Rozmowa była dokładnie taka jak wszystkie poprzednie – filozoficzne wywody i potyczki słowne. No i nadszedł ten dzień: ojciec wyszedł z wanny w ubraniu i zamiast krzyknąć tradycyjnie z przerażenia, że zapomniał się rozebrać, nałożył na nie szlafrok i wrócił do swojego gabinetu, zostawiając za sobą strużki wody. Wtedy to właśnie w matce coś pękło.

Nie wytrzymała napięcia. Weszła, a raczej wpadła z impetem do pokoju i zaczęła krzyżeć... Jej głos był ostry, wysoki, pełen żalu pomieszanego ze złością. Ojciec siedział zdziwiony na fotelu i słuchał. Nie odezwał się ani słowem. W końcu matka – wyczerpana własnym krzykiem i kłębiącymi się w niej od dawna emocjami – zamilkła. Trzasnęła drzwiami i wyszła. W całym mieszkaniu zapanowała ciężka, martwa cisza.

Po dwóch godzinach, o nieprzyzwoitej już porze rozległ się dzwonek. Mama była w łazience, a ponieważ ojciec nigdy nie ruszał się z pokoju, to drzwi otworzyła piętnastoletnia Anna. Do przedpokoju weszła młoda pulchna kobieta o dziwnym grymasie, brudnych włosach i nieświeżym zapachu. Zapytała, gdzie jest ojciec, po czym – nie uzyskawszy odpowiedzi – zaczęła go wołać. Matka wyskoczyła z łazienki, a wyrwany z letargu ojciec wyjrzał ze swojego azylu.

Ręcznik na głowie matki przechylił się i spadł na ziemię. Szybkim ruchem podniosła go, zmiatając podłogę swoimi nadal obłądnymi włosami. Młoda kobieta popatrzyła na nią, skomplementowała fryzurę, po czym tonem nieznoszącym sprzeciwu kazała ojcu się pakować.

Anna z matką patrzyły na to wszystko w wielkim szoku – późna pora, dziwna kobieta i niezrozumiałe zachowanie pakującego się bez sprzeciwu ojca wprawiły je w osłupienie. Żadna nie potrafiła wydusić z siebie słowa. Kiedy Anna nieco otrzeźwiała, zapytała ojca, co tu się dzieje. Zamiast niego odpowiedziała młoda kobieta. Otóż jej zdaniem ojciec był geniuszem na skalę globalną i trzymanie go w dusznej i pełnej wrzasku klatce – jaką niewątpliwie jest ich mieszkanie – to krzywda dla świata. Słyszając krzyki podczas rozmowy telefonicznej, postanowiła wyzwolić go z tej chorej uwięzi i dać wolność oraz swoje obfite ciało o czystym zapachu, niezagłuszonym tanimi perfumami. Filozofia to natura myśli, która przy takich kościach i skromnej posturze się nie nasyci. Tu zapewne miała na myśli matkę Anny. Raz jeszcze skomplementowała włosy stojącej jak słup soli kobiety, dorzucając jednak, że to zbyt mało, aby takiego wielkiego człowieka duchowo wyżywić. Drzwi trzasnęły w kompletnej ciszy, nie licząc nieudolnej próby pożegnania się ojca z rodziną. Matka opadła na podłogę i przesiadła tak do rana. Dla Anny było obojętne, czy ojciec jest, czy go nie ma. Nigdy nie czuła z nim więzi, zazdrościła koleżankom ojców, którzy chodzili z nimi na spacer, wozili je do szkoły i kupowali swoim księżniczkom lalki. Chciała choć raz pojechać na wakacje, na których jej pytanie o drobne na cukierki nie skończyłoby się wykładem z filozofii. Matka jednak kochała tego człowieka – Anna zrozumiała to dopiero po latach. Mąż był całym jej światem, rodziną, której nigdy nie miała. Zawsze wracał do domu, nie bił, nie krzychał... nie znęcał się nad dzieckiem i nie tykał alkoholu.

Anna weszła do pokoju z przepaszającą miną, gotowa na awanturę, że zaniedbuje dziecko, że zbyt długo pracuje i pewnie błąka się byle gdzie, choć synek wyczekuje jej

przy oknie. Przepraszać zaczęła już na korytarzu i zamarła, widząc spokojny uśmiech matki bawiącej się z wnukiem.

Leonek podbiegł do niej, szybko wskoczył na ręce i zaczął opowiadać, co dzisiaj robili z babcią. Anna nie wierzyła własnym uszom, bo babcia nigdy nie bawiła się z Leonkiem, tylko go nadzorowała. Pilnowała, żeby nie zrobił sobie krzywdy, a po wejściu Anny do domu zwykle wyrzucała potok oskarżeń i zniecierpliwienia i natychmiast wychodziła.

– Rozbierz się i zjedz ogórkową, twoja ulubiona. Chodź, Leoś, włączę ci bajkę w salonie.

Anna zaczęła nerwowo ściągać czerwoną kurtkę i buty, dopasowane pod kolor parki. Ręce jej się trzęsły, setki myśli przebiegały przez głowę. Co złego się stało, że matka próbuje być dobra? O czym za chwilę jej powie, kiedy Leon zapatrzy się w bajkę w drugim pokoju?

Nie była w stanie nalać sobie zupy. Siadła w kącie błękitnej kuchni na rattanowym taborecie i skręcając rękawy swetra, czekała na wyrok. Przyszła matka i sama napełniła jej talerz. Postawiła go na stole, siadła naprzeciwko i uśmiechnęła się ciepło.

– Mamo! Co się, do cholery, stało?! – niemal wrzasnęła Anna.

– Nic złego. Siedząc dzisiaj z Leonem, zobaczyłam nasze wspólne zdjęcia. Byłam złą matką, złą babcią, ale wydawało mi się, że idealną żoną. Zaniedbałam siebie, ciebie, życie zaniedbałam, żeby twój ojciec nigdy mnie nie porzucił. Chciałam być perfekcyjna, taka, jakiej potrzebował: niewidzialna. Ale on i tak mnie porzucił, a właściwie to ta kobieta go zabrała. Kiedy Leon zapytał mnie dzisiaj, czy go Kocham, bo go nie przytulam, patrzyłam właśnie na to zdjęcie. Ty i ja. Ty tulisz się do mnie, obejmujesz mnie, a ja stoję jak drzewo z opuszczonymi suchymi rękoma. Spogląda na mnie wykrzywiona w jakimś grymasie, zniechęcona i szara, wręcz ziemista twarz surowej kobiety. Nie chcę być taka, chcę nauczyć się kochać... chociaż... wydaje mi się, że umiem kochać, ale nie potrafię tego okazać. Mam z tym trudności, ale mam też świadomość, że chcę to zmienić i nad tym pracować. Poświęciłam kawał życia dla niewłaściwego człowieka, a ty niestety poniosłaś tego koszty. Kocham cię. Chcę być matką, jakiej nigdy nie miałaś. Jest jeszcze trochę czasu, abym dogrzała swoje i twoje serce, abyś była silna i szczęśliwa. Chcę pomóc tobie, sobie, nam. Kiedyś mnie zabraknie, ale dopóki jestem, mam czas na naprawienie błędów. Inaczej ty będziesz nadal nieszczęśliwa, a ja będę nadal martwa za życia. Chcę umrzeć ze świadomością, że naprawdę żyłam. Chcę mieć pewność, że będziesz potrafiła przeżyć życie, czując je. Teraz tkwisz w letargu i obowiązkach. Pomyśl... Chcesz żyć?

– Muszę, mamo.

– No właśnie, a powinnaś chcieć. Chcieć!!! Przekonasz się kiedyś: chcieć żyć to najważniejsze. Oby nie było za późno, by to naprawić.

Anna się rozpląkała. Ilość emocji tego dnia, strachu, stresu i nieprzespana noc z powodu złego snu Leona eksplodowały z siłą wodospadu. Łzy dosłownie zalewały jej twarz, kapiąc prosto do talerza ustawionego na stole.

– Kocham cię...

Matka przytuliła córkę mocno i długo głaskała ją po miedzianych włosach, aż ta wreszcie się uspokoiła.

– Też cię kocham, mamo.

Anna uniosła głowę i spojrzała w zielone zmęczone oczy matki. Zauważyła, że przybyło jej zmarszczek, że schudła i ma w sobie smutek, który był inny od tego demonstrowanego po odejściu ojca. Tu nie było manifestacji, tu była głębia ciężaru, który musiał pojawić się niedawno.

– Czy coś się stało?

Zaniepokojona popatrzyła na drżące dłonie matki.

– Nic, nic ponad wyrok losu czy też... przebudzenie? Chyba tak to można nazwać?

Matka uśmiechnęła się lekko i szybko zaczęła zbierać naczynia ze stołu. W zasadzie był to jeden talerz zimnej, nietkniętej przez Annę zupy i pusta miska w truskawki, z której – zanim Anna przyszła do domu – Leon jadł płatki z mlekiem.

– Mamo, zostaw to...

Anna chwyciła ją za rękę i raz jeszcze pytająco spojrzała w oczy.

– Dziecko, idź do Leona, bo jest strasznie stęskniony. Ja muszę iść do domu; Fred z głodu i złości podrapie do końca kanapę.

– Babciu, babciu, czy mogę iść spać do ciebie? Proszę, prooooszę!!! Może Fred będzie spał ze mną? Babciu!!! Przecież mnie kochasz i będziesz tęsknić sama w domu!

Annę zatkało. Leon nie lubił spać u babci, ogólnie nie lubił z nią przebywać. Co takiego się wydarzyło, że wybrał nocleg poza domem?

Miał pięć lat i kiedy nie szedł do przedszkola, matka Anny pełniła przy nim dyżur. Przy nim. Nie potrafiła wykrzesać z siebie odrobiny uśmiechu ani jakiegokolwiek inicjatywy wspólnej zabawy. Aż do dziś.

Anna w dzieciństwie także nie bawiła się z matką. Była... przezroczysta. To ciotka Maria – koleżanka mamy ze szpitala – czasem zabierała ją do siebie i uczyła rysować, budować z klocków domy i grać w chińczyka. Nie miała rodziny, była samotna i sporo starsza. Całe życie jeździła na misje, a w ostatnich latach przed emeryturą pracowała w szpitalu, w którym Anna była oddziałową. Zaprzyjaźniły się, bo obie dla pacjenta były w stanie zrobić wszystko. Matka Anny w domu także potrafiła zrobić wszystko dla męża, na córkę zwyczajnie nie starczało jej już siły i czasu. Tu – na szczęście dla Anny – wyręczała ją Maria.

– Oczywiście, kochanie. Fred bardzo się ucieszy. Tylko musimy zapytać mamusię, czy nie będzie za nami tęsknić...

– Mamusiu, proszę, mogę iść z babcią? Może tatuś cię odwiedzi i nie będzie ci wtedy smutno.

Anna poczuła ostre ukłucie w żołądku. Tatuś... Kolejny cholerny tatuś w jej życiu. Jeden zwiął do tłustej cuchnącej filozofki, a drugi...



Anna opanowała złość, by Leon nie zauważył, że temat tatusia ją denerwuje. W końcu to był ojciec małego i trzeba przyznać, że choć na odległość, to swoje obowiązki wypełniał dość dobrze i mały go kochał. Nie zdawał sobie jeszcze sprawy z tego, że to mocno jednostronna miłość.

– Dobrze, kochanie, możesz iść z babcią. Tylko biegnij po plecak. Ten z misiem. Spakujemy piżamkę, szczoteczkę do zębów i ubranko na jutro.

Małec pobiegł po swoje rzeczy, a Anna spojrzała na matkę: udawała, że czyta coś w telefonie. Udawała, bo nie miała okularów, a ekran przekręcony był do góry nogami.

Po chwili wyłonił się Leon: z plecaka wystawały nogawki od piżamy i uszy królika do spania, ukochanej przytulanki, która nigdy nie mogła zostać sama w domu.

– Chodź, mamusia pomoże dobrze zapakować plecak. Musimy jeszcze wziąć ubranka, sama piżamka i królik nie wystarczą.

– Wiesz, Leonku, co? Jutro pójdziemy na zakupy razem, żebyś u mnie też miał swoją piżamkę i trochę ubrań. Kupimy szczoteczkę do zębów i kapcie. No i koniecznie jakieś zabawki!

Babcia roześmiała się, jakby była inną osobą. Przytuliła córkę, wzięła wnuka za rękę i śmiejąc się radośnie, wyszła z mieszkania.

Anna opadła na fotel, włączyła telewizor, zapaliła lampkę na komodzie i położyła nogi na stolik kawowy. Patrzyła ślepo w ekran, zastanawiając się nad tym, co się przed chwilą wydarzyło. Z zadumy wyrwał ją sygnał esemesa. Wzięła telefon do ręki i odczytała wiadomość: „W ten weekend nie mogę wziąć Leona, przeproś go, mam pilną pracę”. To był kolejny raz, kiedy Robert w ostatniej chwili odwoływał spotkanie z synem. Znów będzie musiała go tłumaczyć... Oczami wyobraźni widziała zawiedzioną minę Leona.

Kim jest człowiek, który do niej pisze? Ojcem jej dziecka czy potworem? A może jednym i drugim? Dlaczego go kiedyś kochała? Kiedyś...

Wstała i podeszła do okna. Długo patrzyła przed siebie pustym wzrokiem. Później powoli wyjęła butelkę czerwonego wina. Jeden kieliszek, drugi... Myśli zaczęły przepływać coraz szybciej, coraz natarczywiej. Nie dało się ich zagłuszyć. A rano trzeba wstać do pracy... Odstawiła kieliszek – nie chciała tłumić emocji alkoholem.

Leżała, patrząc w ciemność – sen nie przychodził.

Obudziła się niezwykle wyspana i zdziwiona, że otworzyła oczy przed budzikiem. Leniwie sięgnęła po telefon, żeby sprawdzić godzinę: okazało się, że od godziny powinna być w pracy!

Ten cholerny budzik! Nie słyszała go czy znowu nie nastawiła?

Koło łóżka leżała fiolka tabletek nasennych. No tak. Wściekła na swoje myśli i film retrospektywny szukała ulgi w śnie, stąd tabletki. A że natrętne obrazy nie pozwoliły jej zasnąć mimo to, więc proszki popiła winem. Dobrze, że poprzestała na jednej pigułce, bo wczoraj czuła się tak, że połknięcie całej fiolki też brała pod uwagę.

Pieprzony Roberto, złamał jej serce, a teraz jeszcze straci przez niego pracę.

Wyskoczyła z łóżka i popędziła pod prysznic. Wciągnęła dżinsy, bluzę od dresu i wybiegła z domu. W sklepie czekali na nią szef i samozwańcza kierowniczką.

– Jesteś zwolniona! – krzyknęła dziewczyna i spojrzała zadowolona na szefa.

– Tak, jest pani zwolniona, ale proszę jeszcze do mojego biura.

Anna była przerażona, myślała tylko o tym, jak utrzyma dziecko bez pracy. Robert zapowiedział, że jak tylko nadarzy się okazja, zabierze Leona do siebie. W jego ocenie może zapewnić mu doskonałe warunki. Jako adwokat zarabia sporo, ma piękny dom i kontakty. Stać go było na dziecko. Miałoby wszystko.

– Pani Aniu... – szef zaczął rozmowę, dłubiąc wykałaczką w rzadkich żółtych zębach. – Jest pani tu od roku i kolejny raz spóźnia się pani do pracy. Jest to nie-do-pu-szczal-ne! Co prawda mógłbym przyknuć na to oko, ale musi być pani miłsza. Przede wszystkim dla mnie.

Jego lubieżny wzrok spoczął na jej obfitym biuście, po czym ześliznął się na kształtne biodra oraz brzuch, którego tak brzydził się Robert. Anna miała kłopoty w ciąży, przytyła trzydzieści kilogramów i nie mogła wrócić do dawnej wagi. Nie tylko nie mogła, lecz także nadal tyła. W nocy – nie mogąc spać – zjadała kilogramy słodyczy. Chowala je wszędzie, bo Robert, gdy tylko widział, że je, wrzeszczał na nią i wyzywał od grubych świń. Tłustych macior. Obleśnych tuczników. Rozlazłych krów. To bolało. Im bardziej bolało, tym więcej jadła. Później płakała, wymiotowała, znów jadła... Teraz – jak widać – szefowi jej kształty imponowały.

– Lubię takie pulchne pachnące pączusie – powiedział, a raczej wymamrotał pod nosem, jakby czytał w jej myślach.

– Nie rozumiem, szefie? Jestem miła. Wykonuję swoje obowiązki, mam małe dziecko. Wiem, że nie tłumaczy to niczego, ale obrót robię największy z całego personelu.

– Ale... nie chcesz jeździć ze mną do hurtowni, na giełdę, nie chcesz, żebym... cię głaskał... – Mówiąc to, coraz obleśniej rozwalał się na krześle.

– Słucham?! – Anna podskoczyła jak oparzona.

– Czego się drzesz? Inna na twoim miejscu skakałaby z radości. Pojedziesz, kupię ci ładne ciuszki, może nawet jakieś perfumy, bo ty zawsze tak ładnie pachniesz...

Uśmiechnął się lubieżnie, nie przestając gryźć wykałaczki. Jego ręce były brudne, resztkę włosów tłusta, miał plamy na koszuli, a na plecach ohydny siwy zarost, który dosłownie wychodził spod kołnierzyka koszuli. Był jak stary szympan i tak się zachowywał. Albo drapał się po plecach, albo dłubał w zębach. Ale jeździł najnowszym mercedesem i miał dom, a w zasadzie rezydencję z basenem, żonę młodszą o trzydzieści lat i dwoje małych dzieci. Jego sklep istniał od zawsze, a on uchodził w miasteczku za potentata biznesu. Miał też kilka nieruchomości i prowadził jakieś interesy z Rosjanami. Nikt mu nie wchodził w drogę, wszyscy nisko się kłaniali.

Kiedy po rozwodzie uciekły z matką z Warszawy na prowincję, był kawalerem i najlepszą partią w mieście. Później przywiózł sobie z Ukrainy żonę, a równolegle miał stado kochanek. Znany był z hojności i dobrej zabawy w miejscowej dyskotecie. Pomimo wieku nic się nie zmienił. Nadal imponował młodym dziewczynom, a jego legenda sponsora urosła w siłę, odkąd jednej kochance kupił auto i futro z norek. Dziewczyna podobno tak nim manipulowała, że robił dla niej wszystko. Któregoś dnia jednak zniknęła i nikt nie wie do dzisiaj, gdzie są ona i jej zabawki. Od tamtej pory był mniej kochliwy i szczodry, ale dziewczyny wciąż mogły liczyć na dobre ciuchy i zabawę.

Żona podobno płakała zamknięta w domu i niczego nie mogła zrobić, bo była całkowicie od niego zależna. Bez znajomości języka, bliskich osób, w otoczonego murem domu i pod pełnym monitoringiem. Posesji pilnowało dwóch ochroniarzy. Trzeci chodził zawsze z nim.

– Pan, szefie, żartuje! Ja nie chcę ciuszków, ja chcę uczciwie pracować.

– To dam ci podwyżkę.

– Dziękuję, ale nie będę pana zabawką! Jak panu nie wstyd? Ma pan żonę i kilka innych kobiet, proszę mnie zostawić, mam dziecko.

– Ha, ha, ha! Dziecko, powiadasz? A co ono mi przeszkadza? Przecież ciebie będę głaskał, nie dziecko. Zrobisz mi dobrze, zapłacę i po temacie. Pracuj sobie dalej uczciwie.

Anna wypadła z biura. W desperacji dorwała pierwszego lepszego klienta:

– W czym mogę panu pomóc?

– Szukam dobrego odkurzacza.

– Ta pani tu nie pracuje – zza jej pleców dobiegł głos szefa.

Anna pobiegła na zaplecze i rozpłakała się bezgłośnie.

– To co, gruba zdiro, zrobisz mi loda czy mam cię wyrzucić na zbity pysk?!

Wyraźnie wściekły szef zaczął rozpinać rozporek. Na szczęście dla Anny w tym momencie na zaplecze weszła młoda kierowniczką.

– Szefie! – krzyknęła.

– Czego?! – odburknął wściekły, przesunął ją z drogi i zapinając rozporek, wszedł do swojego biura, trzaskając drzwiami z całych sił.

– Ty kurewko, ty szmato, ty ruda źmijo! Won mi stąd! – Dziewczyna wrzeszczała, a Anna wybiegła do szatni i zamknęła za sobą drzwi na zamek.

– Otwieraj, śmieciu jeden! Szefa mojego ci się zachciało?! Ty tuczniku jeden, ty kurwieszonie!

Anna uspokoiła się, usiadła, zmieniła buty, spakowała swoje rzeczy z szafki i otworzyła drzwi. Przed nią stała czerwona ze złości chuda blondynka z wykrzywionymi, napakowanymi kwasem ustami i tlenionymi doczepami do pasa. Niebotyczne szpilki zdecydowanie uniemożliwiały jej pracę, a dodatkowo zwiększały szansę na wygraną Anny. Miała minispódniczkę i sweterek z głębokim dekoltem w różowolandrynkowym kolorze,

który ukazywał nienaturalnych rozmiarów silikonowe cycki. Fundnął je oczywiście sam szef. Należała do jego stajni.

Anna spojrzała na nienaturalnie chude nogi i odepchnęła dziewczynę mocnym ruchem ręki. Ta wyróciła się i wpadła na górę kartonów, a Anna wyszła w asyście dobiegających z zaplecza dźwięcznych wyzwisk. Blondynka w końcu jednak wstała i próbowała dogonić Annę, ale jej przydługi obcas utknął w metalowej wycieraczce przed sklepem.

– Kurwa... – jęknęła i z grymasem bólu na twarzy obejrzała kostkę, która zdawała się w oczach nabierać objętości i siniego koloru. – Ty kurwo, dorwę cię jeszcze! – wrzasnęła za odchodzącą kobietą.

Klienci w sklepie i przechodnie na ulicy stanęli niezdecydowani, czy reagować, czy też może poczekać na ciąg dalszy. Anna jednak nie odwracała się – szła dumnie wyprostowana z uniesioną wysoko ręką, pokazując środkowy palec.

– Pieprz się – powiedziała pod nosem, wyraźnie wyluzowana.

Weszła do domu, rzuciła klucze, energicznie zdjęła buty i kurtkę. Usiadła na dywanie i zaczęła głośno się śmiać. Dosłownie zanosila się śmiechem. Ale po chwili śmiech przeobraził się w płacz: długi i histeryczny, aż zmęczona usnęła na podłodze. Obudziło ją głaskanie po głowie. Zerwała się, spojrzała za okno i ujrzała mrok, musiała spać kilka godzin. Koło niej siedziała matka.

– Gdzie Leon?

– Spokojnie, jest u Marii.

– Przecież ona nie wstaje z łóżka?

– Jest u niej pielęgniarka z naszego byłego oddziału i Leon wraz z nią zajmuje się cicią Marią. Maria ma chory kręgosłup, nie głowę. – Matka się roześmiała.

– Ale jest już wieczór!

– Córciu, przypominam ci, że Maria mieszka pode mną. Słyszałam, co się stało. Postanowiłam zostawić go na chwilę pod opieką dziewczyn i zobaczyć, jak się trzymasz.

– Skąd wiesz, co się stało? – Anna zdziwiona, ale i poirytowana spojrzała na matkę.

– Całe miasto już huczy. W sklepie była pani Gienia z mężem po odkurzacz. Podobno ich nie poznałaś, byłaś tak zdenerwowana. Słyszeli, jak twój szef na ciebie krzyczał, że tam już nie pracujesz i takie tam, a ty wybiegłaś roztrzęsiona i później goniła cię ta dziewczyna luźnych obyczajów, jego prawa wagina...

– Mamo! Jak ty się wyrażasz? – przerwała jej Anna.

– A czy ty myślisz, że z wiekiem zmienia się język i postrzeganie świata? Może gdybym od początku była z tobą szczerą i byłybyśmy przyjaciółkami, to nie spałabyś teraz na dywanie jak zagubione dziecko po awanturze z rodzicami. W dzieciństwie czasem zanosilaś się płaczem – nie tylko gdy ojciec nie chciał kupić ci lalki. Potem zasypiałaś zmęczona na dywanie. Tak jak teraz.

– Mamo...

– Wiem, wiem, że boli, wiem, że brakuje oddechu w nocy, i wiem, że budzisz się przerażona o trzeciej nad ranem z bólem brzucha i strachem przed kolejnym dniem.

Anna spojrzała na matkę jak na ducha.

– Skąd... skąd wiesz? – wyszeptała i położyła głowę na jej kolanach.

Matka nie musiała odpowiadać. Wiedziała, bo była mądra, spostrzegawcza. Anna dawno jej wszystko wybaczyła, ale teraz, na tym dywanie, pierwszy raz poczuła miłość i coś jakby... bezpieczną przystań. Była dzieckiem. Dzieckiem, którym nigdy wcześniej nie była. Matka i córka na podłodze, po porażce... szczęśliwe.

Paradoks sytuacji dopełnił esemes od kierowniczkini sklepu – tej na szczudłach: „Nie mogę przyjść jutro do pracy. Złamałam kostkę. Szef nakazał, żebyś wróciła do pracy i mnie zastąpiła. Wiem, że przegięłam, i wiem, że go nie chcesz, przepraszam... Ja go kocham, miej oczy szeroko otwarte na inne zdziury”.

– A więc to nie biznes, to miłość. No cóż... Różne bywają jej oblicza – wymamrotała do siebie, czytając.

– O czym ty mówisz, Aniu? Co się stało?

– Nic, mam, nic. Chcę, żebym jutro wróciła do pracy. Wagina złamała nogę.

Matka spojrzała na Annę i ją poprawiła:

– Prawa wagina.

Obie się roześmiały.

Anna nie miała wyjścia, potrzebowała tej pracy. Miała przed sobą ciężką wojnę o dziecko. Książę z bajki, piękny i mądry Roberto, oraz jego nowa miłość – bezdzietna, starsza od niego o dziesięć lat – chcieli koniecznie zabrać Leona. Czuła to instynktownie od dnia, kiedy ta kobieta weszła do jej domu.

Pożegnała matkę całym całusem, który zdziwił przede wszystkim ją samą. Ta uśmiechnęła się, delikatnie złapała Annę za rękę i powiedziała:

– Kocham cię, córeczko.

Wanna była pełna pachnącej piany. Ciepła kąpiel zawsze działała kojąco. Długo rozmyślała o swojej relacji z matką. Tak naprawdę nigdy jej nie miała – miała opiekunkę, kobietę, przy której żyła, a raczej starała się przeżyć. Nie chodziła głodna ani goła, miała gdzie spać, ale żyła jakby w emocjonalnej próżni. Teraz matka próbowała to odczarować, odmrozić dawno zapomniane uczucia. Żyć z nią jak matka z córką.

Ciekawe doświadczenie i takie... przyjemne.

Przyjemność – zupełnie obce doznanie. W zasadzie czuła ją zaledwie raz, karmiąc piersią synka. Wiedziała, czuła, że to dziecko to jej kawałek świata i będzie je kochać, choć nie wie, jak to się robi. Obiecała sobie, iż będzie troszczyć się o Leona, kupować mu zabawki, czytać bajki, bawić się z nim autkami i zawsze, ale to zawsze będzie przy nim. Tak wyobrażała sobie miłość.

Położyła się spać wcześniej niż zwykle, więc wstała bladym świtem. Po szybkim prysznicu zawinięta w ręcznik usiadła przed lustrem. Patrzyła chwilę na swoje odbicie. Spoglądały na nią ogromne zielone oczy matki. Jednym gwałtownym ruchem zdjęła gumkę podtrzymującą gruby węzeł z włosów. Kaskada miedzianych loków opadła na ramiona i spłynęła niżej.

Zdjęła ręcznik i wstała. Wyglądała jak dziewczyna z obrazów Rubensa, ale miała też w sobie to coś ze współczesnej kobiety, osadzonej w realu, a nie na blejtramic. Nie lubiła tej postaci w lustrze, nie lubiła brzucha, obfitych ud i cellulitu. Nie lubiła przebarwień na swojej twarzy zwanych piegami. Ba, żeby tylko na twarzy... Całe ramiona były jakby skropione drobnym rdzawym błotem. Spojrzała na włosy – zakryła nimi bujne piersi i kawałek brzucha. Włosów też nie lubiła, ale mogła nimi maskować rzeczywistość. To te włosy wpędziły ją w związek z Robertem. Tak wtedy myślała.

Studentka prawa. Studiowała to, co wybrała jej matka. Jako doskonała uczennica mogła pójść na dowolny kierunek, a matka uważała, iż prawo zapewni jej godne i spokojne życie. Myliła się. Niechcący otworzyła tylko furtkę do piekła, które na początku udawało raj. Przystojny wykładowca, znany mecenas, właściciel renomowanej kancelarii. Raz w miesiącu miał zajęcia ze studentami. Krążyły o nim legendy godne Don Juana. Wiek średni, konto zasobne. Brązowe przenikliwe oczy na włoskiej, muśniętej słońcem twarzy. Jego ojciec był Włochem, matka Polką, a on sam wśród studentów miał przydomek Roberto.

Garnitury, które nosił, kosztowały dwie pensje wykładowcy akademickiego na pełnym etacie. Roberto, bożyszcze nie tylko studenckich, ale i stołecznych klubów. Miał w sobie coś, co na pierwszy rzut oka czyniło go pełnym, kompletnym – poza walorami wizualnymi i ekonomicznymi. Miał podejście do kobiet. Każda w jego towarzystwie czuła się bóstwem doskonałym. Zmieniał więc partnerki jak skarpetki, których zresztą nigdy nie nosił. Jego gołe kostki w beżowozłotym kolorze były przedmiotem uwielbienia wszystkich studentek i punktem odniesienia, kiedy siadał na stole. Wykładał kolorowo i z polotem rzeczy nudne i potrafił porwać brać studencką nie tylko na swoich wykładach. Najzdolniejsi pracowali dla niego zupełnie za darmo, przygotowując to, na co pan mecenas nie miał czasu.

Anna raz jeszcze spojrzała krytycznie na swoje odbicie w lustrze i podeszła do szafy. Był ładny dzień, dawno nie widziała słońca. Szarość i wilgoć mieszkaly w jej życiu od kilku lat. A może od zawsze? Może ten zapach zgnilizny przypelzł z ich starego mieszkania, w którym się wychowała? Tam grzyb wędrował uparcie po ścianie mimo doraźnych remontów matki. Kiedyś – na chwilę – słońce zaświeciło i ogrzało jej skostniałe serce, otworzyło umysł na marzenia i miało kształt Sardynii. Wtedy pierwszy raz dostrzegła, że świat pachnie bryzą morską i lodami, których nigdy wcześniej nie kosztowała. Smaki Italii w słońcu Sardynii, w objęciach cudownego mężczyzny... i ten najwspanialszy makaron – z oliwą i czosnkiem – pozostaną z nią na zawsze.

Z powodu słonecznej pogody wybrała sukienkę. Wisiała w szafie wśród rzeczy kupionych dawno temu na wyjazd do babci Leona. Sukienka miała ciekawy wzór: mnóstwo drobnych zielonych listków podkreślających kolor jej oczu. O dziwo, nie przytłaczały zmęczonej i wysuszonej skóry.

Anna spojrzała na zegar: miała jeszcze dużo czasu. Zdjęła z półki buteleczkę i spokojnie, okrężnymi ruchami zaczęła nacierać ciało balsamem z drobinami złota. Kosmetyk dostała od zadowolonej klientki. Anna wybrała jej cały zestaw sprzętu kuchennego – miał to być prezent urodzinowy dla matki. Starsza pani była podobno zachwycona podarunkiem i niebanalnym opakowaniem, bo Anna przy wyjątkowych okazjach czasami pakowała zakupione w sklepie rzeczy. Wyczarowywała z papieru dzieła sztuki.

Balsam pachniał pięknie, a skóra pod jego wpływem zmieniła kolor na oliwkowy. Dziwną miała urodę. Nie była typowym piegowatym i bladym rudzielcem. Jej karnacja była jasna, ale bez różowej poświaty, za to latem opalała się jak rasowa dziewczyna z południa. W zestawieniu z burzą rudych loków wyglądała zjawiskowo, dopóki nie zaszła w ciążę. Ta obdarowała ją nie tylko cudem życia, lecz także czerwonymi plamami na całym ciele. Uczuleniem na wszystko, co można sobie wyobrazić. Zmianami skórnymi, które wyglądały momentami jak łuszczycyca. Miała problem z wagą, nogi jej nie unosiły, obrzęki spowodowały, że wyglądały jak dwa serdelki. No cóż – pomyślała – wszystko mam już za sobą, tylko waga stoi jak zaczarowana.

Włożyła sukienkę w zielone listki i podeszła do lustra. Uważnie się sobie przyjrzała, po czym podkreśliła długie rzęsy wygrzebanym z dna szuflady brązowym tuszem. Usta (jak za czasów liceum – wtedy tylko na taki luksus było ją stać) przetarła kroplą oliwy z oliwek. Włosów nie związała, choć wahała się przez chwilę. Sukienka w stylu boho ukryła trochę tak bardzo znienawidzony nadmiar ciała. Anna musiała przyznać, że czuje się inaczej. Pachnący balsam, tusz i olejek różany, którym posmarowała się za uchem, dały wrażenie jakiejś nieuchwytniej magii.

Wyszła z domu i pobiegła na przystanek. W autobusie zauważyła, że ludzie przyglądają jej się z uśmiechem. Pewnie wczorajsza awantura w sklepie rozeszła się już echem po całym miasteczku... – przypomniała sobie ze smutkiem. To nie magia, czar pryśnie, jak tylko wejdę do pracy.

Market AGD, dwupiętrowy, dobrze zaopatrzony, wygrywał z sieciówkami w galeriach handlowych. Poza tym w ich miasteczku takiej galerii nie było, a sklep był tu po prostu od zawsze, miał wszystko i imponował rozmiarem.

– Pięknie pani wygląda, a ten zapach... – Starszy pan uśmiechnął się do Anny z sąsiedniego siedzenia.

– Dziękuję – odparła zaskoczona, odwzajemniając uśmiech.

– Wręcz zjawiskowo – uśmiechnęła się kobieta z wózkiem spacerowym.

– Dziękuję.

Annie było miło, aczkolwiek poczuła się nieswojo. Skurczyła ramiona, jakby chciała się schować. Nie pamiętała już, jak to jest być komplementowaną. Od dawna zbierała tylko wyzwiska. Były grubym pamiętnikiem jej miłosnej historii.

– Proszę się tak nie chować i nie garbić. I uśmiechnąć się raz jeszcze. Uśmiech zdobi panią najbardziej – szepnął jej do ucha starszy pan, nachylając się nieznacznie.

Na szczęście był to już jej przystanek. Dziewczyna wyskoczyła z autobusu i szybkim krokiem ruszyła do sklepu. Nie mogła jednak uwolnić się od obsesyjnej myśli, że może popełniła błąd, strojąc się tak do pracy.

W sklepie nie było szefa. Wiedziała, że nie będzie go przez kolejne dwa dni, bo pojechał tradycyjnie po towar do Niemiec. Chwila spokoju, a potem pomyśli, co dalej.

Kiedy nakładała na sukienkę fartuch, zadzwonił telefon:

– Anna? Tu Magda. – Głos brzmiał jak ze studni bólu. Dzięki temu bólowi wydawał się bardziej ludzki. – Anka, cierpię strasznie, tabletki przeciwbólowe nie działają, a nogę mam jak bania i nie wiem kompletnie, co robić.

– Jak to: nie wiesz, co robić? I dlaczego dzwonisz z tym do mnie? Byłaś u lekarza?

– Nie, boję się, że to będzie kosztować kosmiczne pieniądze.

– Magda! Czy ty jesteś przytomna? Jakie pieniądze? ZUS płaci za twoje leczenie.

– Ale ja nie jestem ubezpieczona.

– Słucham? – Anna nie wierzyła w to, co usłyszała.

– Normalnie! – odpowiedziała Magda krzykiem, po czym przeprosiła. – Piotr nie zatrudnił mnie legalnie. Wczoraj mi o tym powiedział, jak trzeba było jechać na pogotowie. Zawiózł mnie do domu i kazał przykładać lód. Kupił na dole w spożywczym jakieś tabletki, ale nie działają. Chyba mam też gorączkę.

– A nie masz jakiejś rodziny? Innych znajomych? Dlaczego do mnie z tym dzwonisz? Jestem w sklepie, muszę zacząć pracę.

– Anka! Za chwilę będzie w sklepie Maciek. Miał dzisiaj wolne, ale go poprosiłam, żeby cię zmienił. Proszę, przyjedź do mnie... zaraz wyślę ci adres.

Anna usiadła na zapleczu i patrzyła na swoje ręce. Błyszczały drobinkami złotego balsamu, a krótkie i naturalnie różowe paznokcie podbijały ten blask. I co ja mam teraz zrobić? – pomyślała. Wagina (wtedy wciąż jeszcze tak ją w myślach nazywała) przemówiła ludzkim głosem i jest wyraźnie przerażona. Wagina też człowiek...

Anna poczekała na Maćka i pojechała autobusem pod wskazany adres. Mały, ale gustownie urządzone apartament na zamkniętym osiedlu. Drzwi otworzyła Magda. Nie miała doczepów, makijażu i tony biżuterii. Była w luźnym dresie i skakała na jednej nodze.

– Dziękuję, że przyszłaś. Przepraszam za wszystko. Nie mam się do kogo zwrócić. Przyjechałam tu z drugiego końca Polski za Piotrem. A w zasadzie z Piotrem... Byłam pracownicą hurtowni, w której się czasem zaopatrywał. Był miły, szarmancki, opiekuńczy, przywoził mi prezenty, dawał pieniądze na przyjemności i zostawał na noc. Czasem zabierał po pracy na zakupy i szastał pieniędzmi. Raz przywiózł pierścionek z brylantem



i poprosił o rękę. Ujął mnie swoim zachowaniem: sprawiał, że czułam się ważna i zaopiekowana, mogłam być przy nim małą dziewczynką. Nigdy nie byłam dla nikogo ważna. – Magda mówiła i mówiła, jakby nagle musiała wyrzucić z siebie jakiś nadludzki ciężar. – Ojciec pił, matka zmarła po urodzeniu mojej siostry. Zostawiła nas pięcioro, przy czym ja byłam najstarsza. Po jej śmierci ojciec zaczął pić jeszcze bardziej, nie miałam wyboru. Musiałam zostać matką swojego rodzeństwa. Miałam czternaście lat. Po szkole chodziłam do pracy w hurtowni, a nocami sprzątałam biura. Musiałam pomóc rodzeństwu. Kiedy najmłodsza siostra poszła na swoje, rzuciłam sprzątanie biur. W hurtowni zaczęłam lepiej zarabiać, bo dobrze sprzedawałam. Zapisalam się na studia wieczorowe. Wreszcie chciałam żyć dla siebie. Zimą ojciec jak zwykle pijany zasnął z papierosem. Byłam w ten weekend w innym mieście na uczelni. Dom spłonął razem z nim. Mieszkałam kątem u młodszej siostry i pracowałam dalej w hurtowni. Nie stać mnie było na studia i na wynajem – choćby pokoju – jednocześnie. Dom nie był ubezpieczony, spłonął doszczętnie, więc miałam tylko to, co w walizce, gdy pojechałam na uczelnię. I wtedy pojawił się Piotr. – Magda zamilkła na chwilę, spojrzała pustym, niewidzącym wzrokiem na Annę, po czym powoli kontynuowała swoją opowieść: – Wynajął mi mieszkanie i przyjeżdżał raz w miesiącu, potem dwa, a potem zaproponował ślub i przeprowadzkę do jego domu. Siostry mówiły: „Ty to masz szczęście, taka partia! Jedź, bądź szczęśliwa”. Wszystkie wyszły za mąż szybko, żeby uciec z domu ojca, i żadna nie była szczęśliwa. Jedyne brat, który wyjechał do Kanady, miał szczęście i dom pełen miłości. Tak myślałam... Po czasie okazało się, że nie wyjechał, tylko siedział w więzieniu za jakiś rozbój i handel narkotykami i w tym więzieniu się powiesił. Co miałam robić? Na co czekać? Spakowałam wszystko i pojechałam z Piotrem. Tutaj czekało na mnie to mieszkanie. Słyszałam o domu, ale nie śmiałam pytać. W nocy po uwielbianym przez niego ostrym seksie Piotr chciał wyjść. Zapytałam, dokąd idzie. „Jak to dokąd? Do domu! Tu się nie wysypiam, to łóżko jest zbyt małe, jutro kupię większe”. „Ale do jakiego domu?”. „Do mojego. A do jakiego miałbym iść?”. „Co ty mówisz?”. Byłam zdumiona. Przecież to miał być nasz dom. Myślałam, że tak nazywał to mieszkanie. Fakt, zaskoczyła mnie jego wielkość. Trochę inaczej to sobie wyobrażałam. Ale miłość nie potrzebuje setek metrów. Cóż... Mówię: „Kocham cię, więc możemy mieszkać nawet w garażu”. „Ha, ha, ha, ty mnie kochasz? Dobrze. Wy wszystkie kochacie pieniądze, ciuchy i luksusowe życie. Nie człowieka!” – wrzasnął i trzasnął drzwiami. Nie zmrużyłam oka do rana, zawiedziona człowiekiem, którego – okazuje się – nie znałam. Był gburowaty i brutalny. Mój Piotr... Piotr, za którym tu przyjechałam... był miły, ciepły i bardzo czuły. Ten kochał tylko wulgarny i zwierzęcy seks, ale wtedy mi to nie przeszkadzało. Rano otworzył sobie drzwi kluczem – tym samym, którym mnie zamknął, wychodząc. Bał się może, że ucieknę. Ale dokąd i za co miałam uciec? „Słuchaj, mała, zasady są proste: przychodzę, kiedy chcę, i robię, co chcę. Czasami wpadnę z kumplami i nas obsługujesz. W dzień pracujesz w moim sklepie. Jak się wdrożysz, może będziesz nawet kierowniczką, bo masz niezły kontakt z klientem. Płacę ci

za robotę najniższą krajową – bez premii. Jak zasłużysz – zarobisz dobrze, niczego ci nie zabraknie”. Mówiąc to, pokazał na pokój, urządzone faktycznie luksusowo. Nie zmarzniesz, nie umrzesz z głodu. Ekstrapraca po godzinach to ekstranapiwki od „tatusia”. Kończąc to, włożył mi język do gardła i zabrał się do swojej roboty po godzinach – na mojej dupie. W tej sekundzie czar powinien prysnąć, prawda? Ale nie prysnął. Kochałam tego drania i byłam pewna, że to jakaś gra. Zresztą... wieczorem zabrał mnie na kolację, kupił u jubilera bransoletkę i pochwalił za wyniki w pracy. „Zostaniesz kierowniczką. Od jutra. Bożena się już nie sprawdza”. „Kochanie, a kiedy mnie zabierzesz do naszego domu? Kiedy kociak zasłuży? Tak?”. „A ty znowu swoje. Dom jest mój, mieszkają tam moje dzieci i żona. Ty mieszkasz w apartamencie”. „Jaka żona? Jakie dzieci? Piotr, co ty mówisz?”. „Moja żona Oksana i moje dzieci: Piotr i Dymitr”. Wtedy pobiegłam do toalety wymiotować. Zwróciłam całą tę kosztowną kolację. Kiedy usiadłam znów przy stoliku, do restauracji weszło dwóch jego kumpli. Nie zjadłam już nic więcej, wszyscy poszliśmy do mieszkania. Musiałam być miła, uśmiechnięta, donosić drinki i dawać się obmacywać. Panowie grali w karty i pili do upadłego. Ochroniarz Piotra wyniósł kolegów, a Piotr – kompletnie pijany – zasnął na moim ciele.

Nie mogłam przestać płakać. On tylko obleśnie chrapał – leżąc na mnie zupełnie nagi – nawet nie był w stanie we mnie wejść... Zwyzywał mnie za to od starych nieprzydatnych kurew. Wtedy po raz pierwszy zniszczył mnie i fizycznie, i psychicznie... A po kilku dniach wiedziałam już wszystko. Zajął miejsce Bożeny nie tylko w sklepie, ale i w sypialni. Przed moim przyjazdem została wykwaterowana do mieszkania, gdzie było jeszcze kilka innych dziewczyn. Pomyślałam sobie, że muszę wytrwać do pierwszej wypłaty. Kupię bilet i natychmiast stąd ucieknę. Wszystko jest lepsze od tego miejsca. Dziwiło mnie, że Bożena i reszta damskiego personelu tego nie zrobiła. Wszystko stało się dla mnie zrozumiałe dzień przed wypłatą: „Wiesz, skarbie, jutro jest wypłata. Jakbyś miała jakieś genialne pomysły w stylu bilet czy wyjazd, to uprzedzam, że w mieszkaniu jest zamontowana kamera. Chyba nie chcesz, żeby świat obiegły zdjęcia, jak uprawiasz dziki seks, masturbujesz się na komendę i robisz inne sprośne rzeczy? Te małe cycki, których tak nie lubisz, obejrzy cały internet. Pewnie dzieci twojej siostry, a i twoje w przyszłości też. A co do cycków: w następnym miesiącu, jak będziesz grzeczna, zrobi ci je mój kolega, dość znany chirurg. Leciwy, doświadczony, poprawia urodę większości kobiet mafii. Wiesz, co to mafia, skarbie? Twarze też robi, genialnie robi, później nikt nie poznaje delikwenta. Doktor ze stolicy w ramach wdzięczności machnie ci dwa arbuzy”.

Następnego dnia dostałam swoje pieniądze, mniejsze nawet niż te obiecane. Powodem było to, iż rzekomo mój personel narobił strat. Na pytanie: „Jakich?”, usłyszałam, że... różnych. Wieczorem jakby nigdy nic zabrał mnie do sąsiedniego miasta do znanej włoskiej restauracji. Kazał wystroić się jak na bal. „Wszyscy mają paść na twój widok!” – rzucił od niechcenia. Powiedziałam, że nie bardzo mam co na taką okazję włożyć. „Jak dotrzesz do domu – znajdziesz”. I faktycznie, w pokoju stało dziesięć toreb z markowymi ciuchami,

butami i kosmetykami. Wybrałam bardzo krótką czarną sukienkę z ogromnym dekoltem na plecach i złote szpilki. Nie musiałam nosić stanika, miałam naprawdę małe piersi, których nie lubiłam, ale w tej sukience wyglądałam obłędnie. Poczułam się jak rasowa modelka na wybiegu. Moje sto siedemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu plus szpilki i długie blond włosy robiły wrażenie...

Magda (w końcu przestałam myśleć o niej „wagina”), opowiadając tę historię, bawiła się odpiętymi kosmykami sztucznych włosów. Jej własna czupryna wyglądała niestety mizernie.

– Ha – powiedziała – widzisz? – Podniosła kosmyk. – Widzisz, jak skończyłam? Moje piękne włosy szlag trafił. Długa historia... ale ci ją opowiem. W restauracji odbywała się zamknięta impreza. Słyszałam od pracowników sklepu, że to najmodniejsze miejsce w okolicy, do którego przyjeżdżają ze stolicy gwiazdy i bogate grube ryby. Nikt tam nie był poza Bożeną, ale ona nie chciała nic opowiadać. Wydawała się dziwna, zgaszona i nie miała do mnie w ogóle żalu, co mnie trochę dziwiło. Ale widziałam w jej oczach jakiś rodzaj współczucia... wyraz przeszywającego bólu...?

Na imprezie bawili się starsi bogaci panowie ze swoimi młodymi pięknymi dziewczynami. Wtedy pierwszy raz nie poznałam Piotra. Był wystrojony, pachnący i bardzo szarmancki, jak w czasach, kiedy mnie zdobywał. Czule się mną zajmował, komplementował i cały czas dolewał szampana. W pewnym momencie wszystko zaczęło mi wirować przed oczami i jedyne, co zapamiętałam, to starszego mężczyznę zdejmującego ze mnie ubranie. Z pewnością nie był to Piotr. Obudziłam się w swoim łóżku z potężnym bólem głowy. Piotr siedział koło mnie z filiżanką herbaty i tabletkami przeciwbólowymi. Na stole stało śniadanie i bukiet białych róż. A obok moja wymarzona torebka Chanel. „Ależ moje dziecko wczoraj się struło! Szampan widocznie nie jest twoim ulubionym trunkiem, kochanie. Spałaś całą noc niebywale spokojnie. Tomasz ochroniarz wniósł cię dosłownie do domu, a ja rozebrałem”. Tak... leżałam naga. Nigdy nie zasypiałam bez piżamy, takie miałam przyzwyczajenie. „Wydawało mi się, że ktoś mnie wczoraj próbował rozebrać, jakiś obcy mężczyzna”. „Czyś ty zwariowała?”. Zaskomlałam, próbując się podnieść. Moje biodra okazały się sine, podobnie jak pośladki. „Co to jest?” – zapytałam z przerażeniem, wskazując prawie czarne ciało. „Nie pamiętasz? Wywróciliśmy się, wychodząc z restauracji. Spadłaś prosto na schody. Tomasz od razu cię złapał, ale zdążyłaś jednak kilka stopni zaliczyć...”.

To wszystko nie trzymało się kupy, bo tam były trzy schodki, a siniaki jak po porządnym biciu lub kopaniu. Wyczołgałam się z łóżka i poszłam obolała do łazienki sprawdzić resztę. Moja twarz była cała, nietknięta, reszta też w porządku. Jednak ból nie pozwalał mi stać. Wracając, otarłam się w korytarzu o mój wiszący płaszcz. Był wyraźnie mokry. Po tylu godzinach? I ubiegły wieczór był piękny, gwiazdzisty. Wchodząc do łóżka, spojrzałam za żaluzje – padał mocny deszcz. „No dobrze – powiedziałam. – To narozrabiałam i przyniosłam ci mnóstwo wstydu. Dawno tak pada?”. „Od rana”. Wiedziałam już, że

znalazłam się tu rano. Nie przespałam całej nocy w tym łóżku. „Kochanie, byłaś wspaniała, a ten mały wypadek nic nie znaczył. Byłaś najpiękniejszą dziewczyną na imprezie. Wszyscy mi ciebie zazdrościli”. „A ta torebka na stole?”. „To prezent, marzyłaś o takiej. W szafie wisi jeszcze sukienka, bo tamta przy upadku się zniszczyła”.

– Stop. – Anna przerwała Magdzie opowieść jak z dobrego kryminału w najciekawszym punkcie. Widziała, że dziewczyna cierpi i robi się biała jak ściana. – Musisz znaleźć się natychmiast w szpitalu!

– Nie mam ubezpieczenia! – Rozpłakała się.

– Będziemy martwiły się tym później.

Anna wybrała numer pogotowia, a później zadzwoniła do matki.

– Mamo, potrzebuję natychmiast dostać się do ortopedy lub chirurga. Nie, nic mi się nie stało. Koleżanka w pracy złamała nogę, zaraz będzie pogotowie, ale musi to być zaufany lekarz. Błagam cię, nie każ mi teraz wszystkiego tłumaczyć! Mamo, czy myślisz, że doktor Żelazny jest w szpitalu? Spróbuj, proszę, do niego zadzwonić.

Żelazny był legendą miasteczka, ale przede wszystkim człowiekiem o gołęmbim sercu. Mama pracowała na ortopedii jako oddziałowa, a Żelazny był tam ordynatorem. Miał cudowną żonę, pediatrę. Anna od dziecka starała się partycypować w domowym budżecie i dzięki rekomendacji matki znalazła „posadę” u doktorów. W liceum w weekendy sprzątała ich dom i czasem pilnowała bliźniaków, które przyszły na świat po długim leczeniu pani Żelaznej. Minęło kilka lat i Anna poszła na studia, ale znajomość przetrwała i okazała się bardzo przydatna, kiedy pojawił się Leon, a z nim choroby dziecięce. Żona Żelaznego często ratowała synka Anny.

Matka oddzwoniła po chwili:

– Aniu, Żelazny czeka, jest po operacji, idźcie prosto do jego gabinetu. Zejdiesz później na SOR i dopełnisz formalności.

Nie zejść, pomyślała Anna, ale nie poinformowała matki o zawilości sprawy. Nie było czasu. Z Magdą było coraz gorzej. Kostka zlewała się z łydką, a stopa nabrała monstrualnych rozmiarów. Szczęśliwie zjawilo się pogotowie. Anna otworzyła drzwi, a lekarz tylko rzucił okiem na nogę i krzyknął, aby natychmiast rozkładać nosze.

– Twoja koleżanka jest już po operacji. Wszystko poszło dobrze, lecz musieliśmy niestety otworzyć nogę. Teraz dostaje kroplówki, ale ten upadek musiał być straszny. Dlaczego wcześniej nikt nie wezwał pogotowia?

– Jaki straszny? Doktorze, ona wsadziła obcas w metalową wycieraczkę i zwichnęła kostkę! Tak przynajmniej mi się wydawało, bo byłam przy tym.

– Aniu, twoja koleżanka ma złamaną kostkę oraz pogruchotaną piszczel. Ma też liczne siniaki na biodrach i pośladkach. Musiała niezle spaść z tych schodów.

Anna spojrzała przerażona na doktora.

– Panie doktorze, jest pan pewien?

– Dziecko – uśmiechnął się doktor – odszedłem od stołu operacyjnego. Ta dziewczyna była mocno poturbowana.

– Czy to może być efekt pobicia?

Lekarz spojrzał na nią uważnie, zdjął okulary i przetarł oczy. W milczeniu wyczyścił szklę, po czym cicho zapytał:

– Aniu, czy ty wiesz coś, czego my nie wiemy? Mówiła, że spadła ze schodów. Powtarzała to jak mantrę, zanim ją uspiliśmy do operacji. Mam swoją opinię na ten temat, będę musiał zgłosić to na policję.

– Nie, nie! Nie może pan! Przynajmniej na razie! – wykrzyknęła, ale zaraz się zreflektowała: – To wszystko jest nieco dziwne, ale wiem, że ona bardzo się boi... i jest jeszcze jedna rzecz. Ona nie ma ubezpieczenia.

– Uuu... – Lekarz spochmurniał. – No cóż, tym będziemy martwić się później, teraz ratowaliśmy jej życie. Zagroził jej wewnętrzny wylew. Trochę u nas poleży, a to poważny koszt. Nie jest to jednak pora, aby ją tym niepokoić.

Doktor pożegnał się, a Anna pojechała do matki i synka. Magda była jeszcze na sali pooperacyjnej, odwiedzi ją wieczorem.

Leon z impetem wpadł Annie w ramiona. Miał papierową zbroję i namalowane wąsy.

– Mamo, mammo, patrz! Jestem rycerzem! Babcia mi zrobiła zbroję z kartonu i walczyłem ze smokiem!

Przez korytarz przemknął wystraszony Fred, kot maści nieokreślonej, ale tym razem ustrojony w zieloną bibułę. Fred w odróżnieniu od większości kotów pozwalał robić ze sobą wszystko. Leon głaskał go pod włos, karmił dropsami miętowymi i czyścił mu szczoteczką pazurki. Czasem jednak zwierzak miał dość Leona i wtedy uciekał do swojej kryjówki, tak jak to zrobił przed chwilą.

– Leonku, czy Fred był tym smokiem?

– Nie, mamusiu! To smok jest Fredem!

Anna weszła do kuchni z małym na rękach i posadziła go na krześle. Matka uśmiechnęła się znad kuchenki gazowej, a do Anny doszedł zapach, który kochała najbardziej ze wszystkich zapachów dzieciństwa.

– Racuchy ciotki Marii!!! Mamo! Ty potrafisz zrobić racuchy?

W osłupieniu patrzyła, jak matka sprawnie przewraca na patelni placki.

– Tak, kochanie. – Uśmiechnęła się. – Potrafię wiele rzeczy, tylko nie wszystkie były dietetyczne czy ekologiczne... A jak pewnie pamiętasz, ojciec był bardzo restrykcyjny pod tym względem.

Roześmiały się szczerze, a Leon pobiegł szukać smoka.

– Usiądź i zjedz, zanim go zabierzesz. Resztę spakuję wam do domu. Leonek już jadł, ma też spakowaną do plecaka galaretkę. Nie wiem, czy się nie rozpuści po drodze, ale się uparł. Sam zrobił pod moim okiem.

– Wiesz, mammo, chciałabym, aby został jeszcze u ciebie. Muszę coś załatwić.

– Nie ma sprawy, z przyjemnością się nim zajmę. Ale co się stało, kochanie? Ten twój telefon, ta koleżanka? Czy wszystko okej?

– Tak, ale muszę jeszcze wpaść do niej do szpitala, zanieść jej jakieś rzeczy... Skończyło się na poważnej operacji.

– Oj, bardzo mi przykro. Oczywiście Leon może być u mnie, jak długo zechcesz, no i nie będzie się nudził.

– Widzę, że doskonale się bawi, a i Fredowi przyda się trochę ruchu, bo szoruje brzuchem po podłodze.

Anna zapytała jeszcze na odchodnym syna, czy ją kocha i czy zostanie z babcią. Leon przytulił ją mocno, zapewnił o miłości i pobiegł za Fredem, co oznaczało zgodę. Kiedy usłyszał, że Anna żegna się i wychodzi, wychylił swoją rycerską wąsatą głowę i pomachał jej, całując zarazem powietrze.

Jadąc do szpitala, zaczęła zaplatać włosy w warkocz.

– Proszę tego nie robić – usłyszała za plecami.

Odwróciła się i zobaczyła całkiem przystojnego faceta. Zmieszała się i przeszła na przód autobusu.

– Proszę się nie bać. – Podszedł i podał jej dłoń.

– Jestem Adam i zaraz wysiadam. Jest pani zjawiskowa.

Anna podała mu rękę, ale zanim zdołała podziękować, drzwi autobusu otworzyły się, a mężczyzna sprawnie wyskoczył na zewnątrz, po czym odwrócił się i pomachał jej z uśmiechem na pożegnanie. Miał z metr dziewięćdziesiąt wzrostu, wysportowaną sylwetkę i piękne białe zęby.

– Anna, spokój... – powiedziała sama do siebie i rozejrzała się dookoła, czy nikt tego nie zauważył.

Kiedy wysiadła na przystanku, wydawało jej się, że widzi odjeżdżające auto szefa. Pomyślała jednak, że to niemożliwe, bo był przecież w Niemczech po towar.

Wbiegła do szpitala. Trochę przemarzła i potrzebowała natychmiast ciepłej herbaty. Stołówkę już zamykali, ale młody chłopak z obsługi zlitował się nad nią.

– Bogini!!! Zrobię ci herbatę z prawdziwą przyjemnością!!! – Mrugnął i wstawił wodę.

Co oni wszyscy dzisiaj z tymi komplementami? Anna, lekko zmęczona i skołowana, wzięła herbatę i poszła na oddział, gdzie leżała Magda. Dziewczyna na jej widok prawie wyskoczyła z łóżka, ale zaraz jęknęła z bólu.

– Ooo matko, ale się cieszę, że jesteś! Kochana, boli mnie wszystko, nie mogę się ruszać. Proszę, zostań ze mną na noc. Drugie łóżko jest puste, boję się być tu sama.

– Co ty opowiadasz? – Anna uniosła wysoko brwi i usiadła na krześle.

– Był tu ten jego goryl, Tomasz, i powiedział, że jeżeli puszcze parę z ust, to nie doczekam rana.

Jej rozbiegane oczy i zdenerwowany ton głosu zaniepokoiły Annę. Nie wytrzymała i wypaliła prosto z mostu:

– Kto cię pobił?

– Skąd wiesz?!

– Z „Super Expressu”.

– Co ty mówisz?! – przeraziła się na dobre Magda.

– Żartuję. Jestem inteligentna i rozmawiałam z lekarzem. Podobno spadłaś ze schodów, no i widziałam, jak obcas utknął ci w wycieraczkę, ale od tego się nie gruchoczą kości prawie do pasa...

– Anka, proszę, nie mów nikomu, błagam... – Magda zacisnęła palce z pomalowanymi na czerwono paznokciami na jej dłoni.

– Pod jednym warunkiem: że powiesz mi całą, calusieńką prawdę.

– Dobrze. A zostaniesz na noc?

– A kto pójdzie jutro za mnie do pracy?

– No tak... Ale posiedzisz tu trochę?

– Posiedzę.

Anna pogłaskała swojego niedawnego wroga po głowie i pomyślała, że często to, co wydaje nam się złe, jest zwyczajnie skomplikowane, że czasem los nie daje nam możliwości wyboru, a strach rzuca w miejsca, w których jesteśmy poniekąd z przymusu, bo w danej chwili nie widzimy innego wyjścia.

– Opowiem ci teraz, choć boli mnie głowa i mdli mnie po narkozie.

– Nie, nic mi teraz nie opowiesz. Na kilka minut wyjdę, nie stresuj się, zostawiam tu torebkę, zaraz wrócę.

Anna wyszła, zostawiając przerażoną Magdę, autentycznie bojącą się o swoje życie. Poszła do pokoju pielęgniarek – miejsca doskonale jej znanego. Jeszcze rok temu był to oddział mamy – rządziła tu niepodzielnie, kochana przez cały personel i pacjentów.

Anna delikatnie zapukała i weszła.

– Anusia! A co ty tu robisz?! – Jedna z pielęgniarek zerwała się na równe nogi, witając serdecznie dziewczynę.

– Pani Stasiu, Bóg mi tu panią zesłał – odetchnęła z ulgą Anna.

Stasia była cudnym człowiekiem. Długie lata pracowała na oddziale, a krzepy i odwagi mógłby jej pozazdrościć niejeden facet. Trudni pacjenci dla niej nie istnieli, ba, na swoich plecach dźwigała dwadzieścia lat obłożnie chorego męża i zawsze była gotowa do pomocy.

– Pani Stasiu, jest tu na oddziale moja koleżanka. Czy mogę ją pani pokazać?

– Ależ oczywiście, moje dziecko.

– Musi jednak pani wiedzieć, że grozi jej niebezpieczeństwo. Ja nie mogę siedzieć tu całą noc, dlatego pani musi mi pomóc i przypilnować, żeby nikt w nocy nie wszedł i nie zrobił jej krzywdy.

– Aniu, czy ty jesteś trzeźwa?!

– Jestem jak nigdy wcześniej i błagam o zaufanie. Ta dziewczyna mówi, że spadła ze schodów, ale ja wiem, że ją pobito.

– Aniu, dziecko, natychmiast trzeba to zgłosić i wezwać policję!

– Nie, nie możemy teraz, bo jej zaszkodzimy jeszcze bardziej. Zrobimy to później. Proszę mi tylko pomóc, aby tej nocy nie była sama.

Stasia kiwnęła głową na zgodę, podejrzewając, że Anna straciła rozum i lepiej z nią teraz nie dyskutować. Kiedy jednak weszły do pokoju dziewczyny, zaczęła mieć wątpliwości co do zdrowia psychicznego obu.



– Anka, gdzie byłaś? Błagam, nie zostawiaj mnie! On znowu tu przyjdzie i może zrobić tak, że nigdy nikomu już nic nie powiem. Oni wiedzą, że ja wiem, jak było naprawdę, i wczoraj, jak mnie kopał, to mu wykrzyczałam, że podam wszystkie nazwiska policji, i jeszcze...

– Co ona mówi?

Stasia usiadła na krześle, a Anna na brzegu łóżka. W tym momencie otworzyły się drzwi i wszedł Tomasz, ochroniarz Piotra. Zaskoczony widokiem Anny spojrzał złowrogo.

– Ooo, cześć... – przywitała się Anna, aby wyprzedzić wszelkie pytania. – Słuchaj, jest mi tak przykro, że to przeze mnie wczoraj Magda wyróciła się i połamala. Tyle razy jej mówiłam, żeby nie chodziła do pracy w tych szrudłach... Ona teraz nawet nie chce moich przeprosin. Zadzwoiła po pielęgniarkę i kazała mnie wyrzucić.

– Tomasz, natychmiast wyrzuć tę dziwkę! Nie chcę jej widzieć! Przez nią wylądowałam w szpitalu!

Tomasz wziął Annę mocno za ramię i wyprowadził z sali. A zamykając drzwi, syknął:

– Spierdalaj...

Zeszła na dół i ukryła się w damskiej toalecie blisko drzwi wyjściowych, żeby kontrolować sytuację. Po kilku minutach usłyszała kroki i głos ochroniarza:

– Tak, szefie, teren czysty. Nikt niczego nie podejrzewa. Ruda jest pewna, że to jej wina, a młoda trzyma naszą wersję. Może szef spokojnie spać. No tak... Ha, ha, ha! Szef to tam nie sypia. A nada się? To dobrze, Siergiej wie, co najlepsze. Zawsze ma dobry towar.

Anna odczekała chwilę i pobiegła z toalety prosto do sali Magdy. Zastała tam zapłakaną dziewczynę w ramionach Stasi.

– Aniu, dziecko, teraz wszystko rozumiem. Idź do domu, a ja tu wszystkiego dopilnuję. Jutro będziemy martwić się, co dalej.

– Chyba uwierzyli, że ich nie sypniesz. Podśluchałam rozmowę telefoniczną Tomasza z Piotrem. Jednak mogą się bać całej twojej wiedzy, a ta – jak się domyślam – jest szeroka...

– Nie jesteś w stanie nawet wyobrazić sobie tego, co ja wiem. Ale idź teraz do domu, dziękuję za wszystko i proszę, uważaj na siebie.

Anna czule popatrzyła na Magdę i posłała jej powietrznego buziaka, tak jak robi to jej synek.

– Pa, do jutra. Będę po pracy.

Anna padła na łóżko, ale nie mogła zasnąć. Przed oczami galpowały jej obrazy z ostatnich dwóch dni. Na przemian: dziwne przebudzenie matki i kryminał z szefem w roli głównej. Facet zawsze wydawał się podejrzany, ale do głowy by jej nie przyszło, że aż tak zagmatwane jest życie Magdy. Dziewczyna była piękna, choć mocno humorzysta, no i stosunkowo młoda w porównaniu z czterdziestoletnią Anną. Miała w sobie coś z nimfetki i wampa zarazem. Czasami była spokojna, powściągliwa w słowach i gestach

czy doborze garderoby, a nawet miła dla pracowników i mimo młodego wieku dobrze zarządzała personelem. W tym wydaniu wszyscy ją lubili. Ale tak się prezentowała niestety tylko wtedy, gdy nie było szefa. Kiedy ten się pokazywał, wkładała wyzywające, kiczowate ciuchy i niebotyczne obcasy, a makijaż dopełniał jej obrazu – i wyglądała jak tania prostytutka. Stawała się nerwowa i pracowała krócej. Jeden z dwóch chłopaków zatrudnionych w sklepie mówił, że widywał ją czasem, jak wsiadała do samochodu szefa, wystrojona jak kobieta z wyższych sfer i takiegoż portfela. Mieszkał nieopodal zamkniętego osiedla Magdy. Podobno często czekała na szefa pod bramą, paląc nerwowo papierosa. Było to dziwne, bo w pracy nikt nigdy nie widział jej z papierosem, więc te opowieści o markowych ciuchach i szefie w garniturze wszyscy brali za fantazje Grzeška, bo lubił zwracać na siebie uwagę. Jediną osobą, która nigdy nie naśmiewała się z Grzeška, była Bożena. Ale zawsze podczas tych opowieści zniknęła. W ogóle Bożena była dziwna i nie utrzymywała z nikim kontaktu.

No a teraz opowieści Grzeška nabierały innego znaczenia. Ale do czego Magda jest zmuszana? Bo tego, że do czegoś jest, Anna była pewna.

Dzień w pracy minął szybko. Była promocja, mnóstwo klientów i brak czasu na myślenie. Pracownicy po kątach opowiadali sobie niestworzone historie, patrząc ukradkiem na Annę, najpierw wyrzuconą z hukiem, a później przyjętą z powrotem do pracy. Po zakończeniu zmiany Anna pojechała prosto do szpitala. W autobusie znów spotkała mężczyznę z wczoraj. Ukłonił się i szeroko uśmiechnął. Zarumieniona, odwzajemniła uśmiech, myśląc, iż dzisiaj nie pomalowała rzęs i nie włożyła maskującej sukienki, tylko spodnie uwypuklające grube uda. Wciągnęła brzuch, wyprostowała się i odwróciła do okna. Mężczyzna wysiadł tam, gdzie wczoraj. Ale spojrzał na nią za oknem i pomachał. Zrobiło jej się ciepło na sercu.

Magda była nadal obolała, ale spokojniejsza. Pani Stasia całą noc ją pilnowała. Nikt się już nie pojawił poza kurierem z kwiatami z rana. Był to ogromny bukiet i liścik: „Czekam na Ciebie. P”.

– Wiem już na pewno. Uwierzył w to, że nie puściłam pary z ust. Twój wczorajszy występ był doskonały! Kwiaty zawsze dostaję po drastycznych akcjach na zgodę.

– Po drastycznych akcjach? – Anna spojrzała pytająco na dziewczynę.

– Tak, po drastycznych akcjach. Na przykład takich, w których ktoś przypalił mi skórę papierosami na głowie, czego nie czułam, ale moje włosy już w tym miejscu nie odrosły. Miałam czterdzieści przypaleń, tyle, ile lat miał gość, który mi to zrobił. Świątował swoje urodziny. Byłam jego prezentem. Prezes dużej firmy giełdowej. Żona, dwoje dzieci, kościół każdej niedzieli... Znany ekspert rynku ekonomicznego w programach informacyjnych. Bywał na przyjęciach w słynnym włoskim hotelu z Marleną. Dziewczyna grała w jakimś serialu kompletny ogon i wierzyła, że dzięki prezesowi zrobi karierę. Robiła, ale w branży porno, jak my wszystkie. Kiedy chciała odejść z klubu, dowiedziała

się, że ma całe potajemnie nagrane portfolio i że tylko grzeczna i pokorna zatrzyma jego publikację w sieci. Na jednym z kolejnych przyjęć pan prezes zapragnął mnie. Dostał. Odurzona dziwną mieszanką nie miałam pojęcia, co się dzieje. Może to i lepiej. Jednak zdarzało się, że budziłam się obolała, posiniaczona czy tak jak wtedy z kępkami włosów na poduszce i ranami na głowie.

Anna słuchała tej opowieści i nie mogła zrozumieć, dlaczego ta torturowana dziewczyna była o nią zazdrosna. Przecież żyła w koszmarze, z którego mogła ją uwolnić potencjalna następczyni. Zadała jej to pytanie, na co tamta tylko się roześmiała.

– Co ty wiesz? – Po śmiechu nastąpiło wrogie milczenie. – Kobieto, tu jest hierarchia jak w każdym burdelu. Kiedy ktoś zajmie moje miejsce, ja zajmę miejsce Bożeny i będę wożona na giełdę dla tirowców. Szef nie jeździ po towar sam. Nie zauważyłaś?

– Nie rozumiem, przecież skoro cię nie chce, to możesz odejść i żyć, jak chcesz.

– Stąd się nie odchodzi. Te, co odeszły, są na liście zaginionych lub wyjechały do pracy za granicę i też słuch po nich zaginął.

– Żartujesz?

– A wyglądam na taką? Starsze podobno czasem puszczają wolno, takie, których nikt już nie chce. Ale one przeważnie mają już tak zryty beret, że kończą na ulicy jako bezdomne narkomanki, robiące wszystko za działkę...

– Mówisz o tym tak, jakby były tych kobiet całe oddziały.

– Bo są!

– W tym jednym sklepiku?!

– Czyś ty zwariowała?! Piotr to pionek, ma tu taki swój mały biznesik i go pilnuje. Dostarcza też dziewczyny Siergiejowi i z tego także ma kasę.

– Kim jest Siergiej?

– Rosjaninem, właścicielem kilku luksusowych i kilku podrzędnych burdeli w okolicy. Nie gardzi też parkingami. Obstawia je dziewczynami najniższej kategorii. Jest jeszcze pałac, ale to inna bajka. Tam chodzą tylko wyselekcjonowane dziewczyny, a te akurat robią to dobrowolnie. Tam odbywa się pewnego rodzaju casting na kobietę księcia. Milioner, zły do szpiku kości, znudzony życiem, choć mówią, że kiedyś był porządnym człowiekiem. Trudno mi to sobie wyobrazić. – Magda zamyśliła się, jakby coś sobie przypominała. – Zresztą nie wiem, nigdy tam nie byłam, nie moja kategoria.

Przetarła oczy, które raptem zrobiły się wilgotne, i zaczęła uciekać wzrokiem. Płakała. Anna wstała i ją przytuliła. Usiadła przy poduszce i zaczęła głaskać po głowie. Dopiero teraz zauważyła blizny po papierosach.

– Dość na dzisiaj, jadę po dziecko. – Zauważyła, jak jest późno, i zerwała się z krzesła.

– Ania... zaczekaj. Był jeszcze jeden powód, dla którego nie chciałam, żeby Piotr cię usidlił... Twój syn.

– Nie rozumiem... – Anna zatrzymała się zdziwiona.

– Chciałam cię chronić. Wiedziałam, że nie chcesz Piotra, ale kilka razy słyszałam, jak obaj z tym... no wiesz... ochroniarzem... knuli, jak cię zwabić i zrobić kompromitujące zdjęcia. Mieli konkretne zlecenie, a i Piotr ma słabość do obfitych kształtów. Jego żona podobno takie właśnie ma. Piotr jest bezwzględny. Kiedy klienci narzekali na mój mizerny biust, zawiózł mnie do lekarza, znanego chirurga, i spełnił podobno moje życzenie. Tyle że moim marzeniem była miseczka B, a obudziłam się z DD. Na pytanie: dlaczego? Dlaczego lekarz wszczepił mi coś, czego nie chciałam, usłyszałam chichot i tekst, że klient nasz pan, a jego klientem i płatnikiem był Piotr. Płatnikiem nie był, bo doktorek był na usługach, ćpał regularnie razem z nimi i korzystał z dobrodziejstw inwentarza w pałacowej enklawie.

– To jednak coś wiesz o pałacu?

– Idź do dziecka, innym razem pogadamy.

Miał już wszystko, co sobie wymarzył, poza kobietą życia.

Było ich wokół niego tyle, iż trudno uwierzyć w problemy z wyborem, a jednak... Lata temu spotkał miłość swojego życia. Była kompletnie platoniczna. Dziewczyna nigdy się nie dowiedziała, że jest uosobieniem marzeń oraz istotą kompletną, co w tym zepsutym świecie było unikatowe. Cóż, on sam również psuł ten świat regularnie. Rozbierał cegła po cegle wartości przypisane ludzkości, człowieczeństwu. Był jak demon bratający się z każdym, kto tylko wyraził wolę czy chęć zepsucia. Z dziką precyzją niszczył w każdym jasną, dobrą stronę mocy. Uwielbiał bawić się emocjami innych, dawało mu to dziwną przyjemność. Może to poczucie odwetu, zemsta małego chłopca tyle razy doświadczającego upokorzenia, aż stało się częścią jego samego? Dzieciakiem był wybitnie zdolnym, intelektualnym samorodkiem. W wieku pięciu lat biegłe czytał i pisał, choć nikt nigdy go tego nie uczył. Matematykę znał, zanim poszedł do szkoły podstawowej – w pierwszej klasie był na poziomie piątej. Ojciec matematyk i matka polonistka mieli w domu mnóstwo książek, które – jak myśleli – chłopiec oglądał od rana do wieczora. Szybko się jednak okazało, że on po prostu je czytał. Rodzice byli wdzięczni losowi za ten dar, bo dziecko było kaleką. Urodziło się z dużo krótszą nogą. W tamtym komunistycznym świecie zaradzić temu można było tylko w jeden sposób – kupić specjalny but ortopedyczny. Kuternoga, łamaga, niezdara – jak go przeżywali rówieśnicy... Nie chciał wychodzić na podwórko. W szkole siadał sam, a na przerwach unikał kolegów, często dla świętego spokoju przesiadując w cuchnącej toalecie. Tam czuł się bezpieczny. Nie grał w piłkę, nie zapraszano go na żadne wypadki i nigdy nie dostał żadnej roli w szkolnym przedstawieniu. Nie, nie ze względu na kłopoty z pamięcią, bo uczył się błyskawicznie (potrafił na przykład w mgnieniu oka nauczyć się całego *Pana Tadeusza*) – dla nauczycieli był po prostu niewidoczny. Rodzice, chcąc mimo wszystko mu pomóc, przenieśli go o kilka klas wyżej. A po każdym egzaminie słyszał: „Taki zdolny. Szkoda, że kaleka”.

Kaleka. To słowo było jak tatuaż na czole. Nie był kaleką. Był wybitnym dzieckiem. Tak przynajmniej mówili mu rodzice. Nie zdawali sobie sprawy, że wśród starszych dzieci przeżywał piekło. On, uzdolniony dziesięciolatek, w takim zestawieniu wydawał się

jeszcze większym dziwolągiem. „Ty, krasnal, weź mi, geniuszu, odrób matnę, bo zapomniałem”. „Ej, kuternoga, liliputku, masz zeta?”. „Karaluch, uważaj, jak kuśtykasz, bo cię rozdepczę!”.

Studia na szczęście zaliczył już w trybie indywidualnym – pięć lat w jeden rok – i stwierdził, że jakakolwiek dalsza edukacja jest bez sensu. Do pracy nie zamierzał iść, z racji wieku wyglądałby komicznie w bankowości i finansach, które cenił najbardziej. Matematyka, rachunek prawdopodobieństwa i wszelakie algorytmy czy też fraktale – to był jego świat. Postanowił spróbować swoich sił w sposób dość niezwykły. Udał się do dziadka, właściciela warsztatu samochodowego i wielkiego fana intelektu. Dziadek chwalił się chłopcem od zawsze. Zdawał się nie zauważać jego niedoskonałości fizycznej i nigdy niczego mu nie odmawiał, dzięki czemu chłopak potrafił doskonale prowadzić chyba wszystkie auta świata. Kiedyś jedno uszkodził, ćwicząc samodzielnie manewry na podwórku, wtedy dziadek – zamiast wpaść w złość – stwierdził, iż nauka wymaga ofiar i ważne jest tylko, że chłopak jest cały. Był jedynym jasnym rozdziałem w życiu Brunona. Gdy zabierając wnuka ze szkoły, usłyszał kiedyś, jak dzieciaki krzyczały: „Ej, kuternoga, dziadek po ciebie przyjechał”, niewiele myśląc, dopadł grupkę złośliwych gówniarzy, dwóch najbliższych wytargał za uszy, a reszta uciekła. „Raz jeszcze usłyszę, że na Brunona ktoś mówi kuternoga, to popamiętacie mnie przez ruski miesiąc!” – wrzeszczał wściekły. Niestety, w rezultacie to tylko pogorszyło sytuację chłopca. Bruno nigdy nie powiedział dziadkowi, że po jego wizycie dostał kilka nowych wyzwisk i dodatkowo porcje śliny na twarz... Był opluwany jako kapuś, choć nikogo nie zakapował. Ale na dziadka zawsze mógł liczyć. Był jego oczkiem w głowie.

Starszy pan uśmiechnął się szeroko na widok Brunona:

– Ooo, mój wnuk! Co cię do mnie sprowadza? Bo minę masz poważną i ten strój... jakbyś szedł na zakończenie roku szkolnego?

– Dziadku, przecież wiesz, że do szkoły dawno już nie chodzę. Dyplomy co prawda mam, ale co one są warte? Nikt nie traktuje mnie poważnie. Dyrektorem banku być nie mogę, a w kasowym okienku mnie wyśmiewają.

– Hmm... – Dziadek zamyślił się i wycierając o fartuch ubrudzone smarem ręce, zaprosił chłopaka do biura. – Ej, Wojtek, weźcie to dokończcie za mnie. Ja mam tu wnuka na poważnej rozmowie.

– Dobrze, szefie! – chórem odpowiedzieli pracownicy.

Dziadek był właścicielem doskonale prosperującego warsztatu i okazałego majątku, ale od lat zawsze równo ze swoimi ludźmi naprawiał samochody. Kochał to. Dzięki pasji miał opinię świetnego fachowca i klientów z całej okolicy.

– No, chłopcze, zaczynaj. Widzę, że będzie poważny temat.

– Widzisz, dziadku, teraz jest taki okres, kiedy największe dochody będą w budownictwie.

– Dziecko, ale ja mam duży warsztat samochodowy i nie mam ani czasu, ani ochoty na inne inwestycje. Poza tym mam gdzie mieszkać.

– Dziadku. Mówię o deweloperce, budowaniu domów dla ludzi, na sprzedaż.

– Ale ja się na tym nie znam.

– Ale ja się znam.

– Przecież kończyłeś finanse, a nie budownictwo.

– Właściwie to budować nie muszę umieć, ale na wszelki wypadek kończę studiować tę dziedzinę na własną rękę. Dyplomu nie potrzebuję, ale jeżeli ciebie to przekona, to go zrobię.

Starszy pan przez dłuższą chwilę patrzył przez okno. Kilka razy chciał coś powiedzieć, ale widać było, że mierzy się z myślami. W końcu wstał, energicznie przeszedł przez pokój i zatrzymał się przed wnukiem:

– Po cholereę ci dyplom. Wierzę, że masz wiedzę. Bo masz, prawda?

– Mam.

– To mów, co chcesz zrobić.

– No więc tak: masz za warsztatem te łąki po swoim tacie...

– Mam.

– Jest tego kilka hektarów i za nimi jezioro...

– Masz rację. No i co dalej, mój geniuszu?

– Trzeba zacząć od uzbrojenia terenu. W tym czasie robi się projekt architektoniczny, budowlany, załatwi zezwolenia i wybudujemy osiedle. Ludzie nie mają mieszkań, domy są drogie, my zbudujemy stosunkowo tanie szeregowce, energooszczędne, i sprzedamy je z dużym zyskiem.

– My, to znaczy kto?

– Ty i ja.

– Ja się znam na autach, a nie na budowlance!

– Ty wyłożysz pieniądze. Na początek tylko część. Dasz teren, a ja zrobię biznesplan i pójdziemy z nim do banku. Potrzebujemy jeszcze przekonać wuja Edmunda, żeby nam pomógł. On jest wieloletnim praktykiem w tym biznesie, a ja na razie teoretykiem.

– Edek mieszka w Warszawie i zarządza wielkimi budowami. W życiu tu nie wróci.

Edmund był młodszym bratem dziadka. Pracował dla dużych firm państwowych jako szef inwestycyjny. Nieszczęśliwie zakochany w miejscowej dziewczynie wyjechał do stolicy, kiedy wybranka wystawiła go do wiatru. Nigdy nie założył rodziny, nienawidził wracać do rodzinnego miasta, ale miał dobry kontakt z bratem i jego wnukiem, który – zaliczając poszczególne egzaminy na uczelni – przez rok mieszkał właśnie u niego. Bruno i Edmund bardzo się wówczas polubili i mocno zbliżyli. Pomysł tego biznesu pojawił się po raz pierwszy podczas wieczornych opowieści wuja.

– Dziadku, możemy spróbować. Wierzysz we mnie?

– Wierzę, dziecko, wierzę, ale tu nie chodzi o wiarę, lecz o grube pieniądze i spore ryzyko.

– Przeczytaj to.

Chłopak położył na biurku papier z analizą liczbową przedsięwzięcia. Co jak co, ale dziadek znał się na pieniądzach. Oraz silnikach.

– Hmm – mruknął. – Daj mi czas.

– Dobrze. Zatem jutro znowu tu będę.

– Możesz być, he, he, ale jutro ci nie odpowiem, bo mnie tu nie będzie. Spotkamy się, jak wrócę, za kilka dni.

Bruno pogłaskał aksamitne obicie podłokietnika fotela, przesunął palcem po anagramie na poduszce, spojrzął na ciężki kryształowy żyrandol, który temu szaremu wnętrzu dodawał niesamowitego klimatu komnaty Królowej Lodu. No tak, ale królowej nie było. Różnej maści księżniczki się tu przewijały, ale żadna nie rozpuściła na tyle lodowatego serca kuternogi, aby tchnąć życie w niego i jego pałac. Król był samotny. Spojrzął na marmurową komodę, na której stało zdjęcie jego syna. Ten mały człowiek był dla niego jedynym punktem odniesienia. Odkąd dziadek odszedł w inny wymiar, a rodzice zajęli się dziećmi jego siostry w Kanadzie (tak, miał jeszcze siostrę, zdrową i piękną), był sam jak palec. Janek był dzieckiem przypadku, czy też złudzenia. Kobieta, która wydała go na świat, była mistrzynią jednej roli. On – doświadczony stary lis – dał się raz w życiu nabrać na miłość. Regina była piękną trzydziestolatką po studiach. Miała olbrzymie marzenia i nie wiedziała, kim jest Bruno. Tak wtedy myślał... Nogi miał już równej długości, bo ciężkie, przebyte za granicą operacje prawie całkowicie zlikwidowały ułomność anatomiczną. A więc Bruno poznał ją przypadkiem. Miała obok niego pokój w pensjonacie na Mazurach, gdzie czasem przebywał zupełnie incognito. Nie był to najwyższy standard światowy, ale bardzo wygodny i klimatyczny rodzaj agroturystyki. Dużo ziół, zdrowej energii i subtelności.

Mijali się na korytarzu, spotykali czasem w ogrodzie czy na posiłkach. Kiedy padał deszcz, jako jedyni zaszywali się w bibliotece i czytali przy kominku. Mało kto zaglądał tu jesienią, więc był to w jego ocenie znak od losu. Piękna jesienna dziewczyna. Przyjeżdżał tu regularnie, ale nigdy wcześniej nie spotkał tu nikogo w swoim wieku. To nie było miejsce dla młodych ludzi. Jediną osobą, która wiedziała, kim on jest, była właścicielka. Poznali się na przyjęciu wspólnego przyjaciela z okazji otwarcia nowego hotelu wybudowanego właśnie przez Brunona na Sardynii. Od słowa do słowa okazało się, że Polka była zakochana w mazurskim krajobrazie i prowadziła kilka pensjonatów dla ludzi kochających spokój i bliskość natury. Bywał tu często. Jego helikopter lądował kilka kilometrów dalej na wojskowym lotnisku, a gospodyni osobiście odbierała go swoim samochodem. Obcym przedstawiał się jako nauczyciel. Mało kto tu jednak o cokolwiek pytał.

No więc któregoś deszczowego dnia, kiedy w zaciszu biblioteki i w świetle płonącego na kominku ognia piękna tajemnicza brunetka zaczęła płakać nad książką, natychmiast ruszył z chusteczką.

– Przepraszam, nie chcę się narzucać... Ale... widzę, iż mocno się pani wzruszyła...

Kobieta podniosła wzrok, uśmiechnęła się nieśmiało i potrząsnęła włosami.

– Dziękuję. Jest pan przemiły... Jestem Regina. Ach... to niesamowite. Za każdym razem, gdy czytam *Trędowatą*, płaczę, choć znam tę powieść na pamięć. Mam przed oczami obraz smutku i miłości przysparzającej zamiast szczęścia cierpienie. Czy myśli pan, że cierpienie jest domeną miłości?

Bruno zaniemówił. Kobieta była nie tylko piękna, ale i subtelna, mądra, wrażliwa. To była dla niego nowość.

– Wierzę głęboko, że miłość przewycięży śmierć, ukoi każdy ból i wywalczy szczęście – odrzekł, ważąc słowa.

– Ach, „miłość przewycięży śmierć”. To zupełnie tak jak w moim ukochanym filmie! *Dracula* Coppoli. Zna pan? Tak, wiem, wszystkim kojarzy się z wampirami, ale mi z niesamowitą miłością.

W tym momencie Bruno zadrżał. *Dracula* to jedyny film, który w jego ocenie pokazuje pełen wymiar miłości – czy też raczej jej bezmiar. Ta kobieta nie mogła tego wiedzieć.

Dalej wszystko potoczyło się jak w kiepskim romansie. Zakochał się po uszy, rozmawiali całymi dniami, przytulali się jak dzieci, a romantyzm unosił się w powietrzu niczym trujący narkotyczny opar. Regina trafiała każdym słowem w jego serce. Miała wiedzę i szerokie horyzonty. Była pisarką, skończyła filmoznaństwo. Na mazurską wieś przyjeżdżała pracować – pisać i czytać. Nie lubiła markowych ciuchów, bo uważała, że to tylko metki za nieprzyzwoite pieniądze. Nosiła ubrania z sieciówek – nie chciała się wyróżniać. Ale i tak to robiła. Miała urodę naturalnie oszałamiającą, jak piękna Indianka z amerykańskiego filmu. Oboje przedłużyli swój pobyt o tydzień. Później kolejny tydzień. Jej praca na to pozwalała, a on... powiedział, że jest na rocznym urlopie zdrowotnym. Jako nauczyciel ma do tego prawo. Ostatniej nocy postanowili wreszcie miłość metafizyczną urealnić. Mężczyzna zapalił kilka świec, otworzył butelkę dobrego szampana, tłumacząc, że to połowa jego pensji, ale miłość wymaga oprawy. Seks był dziwny. Najpierw było romantycznie – pieszczoty, pocałunki – aż nagle Regina zamieniła się w wampa. Niezbyt to do niej pasowało. Słowa, gesty i wyuzdanie... W sumie to go nawet kręciło, ale co z *Trędowatą*? Co z romantyczną iluzją? Wizją kobiety delikatnej i niedoświadczonej? No cóż – pomyślał rozsądnie – romantyczny charakter nie wyklucza demona seksu w łóżku. I ta myśl nawet mu się spodobała.

Wyjechali oboje tego samego dnia. Ona swoim malutkim formem, a jego gospodyni odwiozła na „pociąg”. Obiecali sobie, że będą dzwonić i pisać każdego dnia i wkrótce się spotkają. On, „będąc na urlopie”, mógł przyjechać do Warszawy, gdzie mieszkała. I tak było. Widywali się w każdy weekend, gdyż Regina w tygodniu intensywnie pisała –



wydawnictwo czekało na jej książkę. Podczas któregoś weekendu usiedli do kolacji jak zwykle w domu i świat Brunona zmienił się na zawsze.

– Kochanie, mam dla ciebie niespodziankę.

Regina podała Brunonowi paczuszkę. Trochę zdziwiony i lekko zażenowany podarunkiem od kobiety, której nie dał nic poza uczuciem, rozpakował pudełeczko. W środku były małe dziecięce buciki i test ciążowy. Mężczyzna poczuł, że brakuje mu powietrza. Rozluźnił krawat, ale to nic nie dało. Podeszedł do okna i w milczeniu kilka razy głęboko odetchnął. Odwrócił się i spojrzał na Reginę z mieszkanką strachu i szczęścia. Wciąż brakowało mu słów.

– Przepraszam, też się tego nie spodziewałam. Zabezpieczałam się. Jeżeli nie chcesz tego dziecka, to powiedz, proszę, tylko słowo, nie milcz tak. – Regina nie wiedziała, jak ma odczytać przedłużające się milczenie.

Bruno przemienił w głowie całą paletę myśli i emocji i poczuł, że los daje mu chyba właśnie najlepszy prezent. Cudowną kobietę i dziecko.

– Chcę, kochanie, chcę! Zaskoczyłaś mnie. Jestem taki szczęśliwy! Myślę tylko, jak to wszystko rozwiązać... Ty tu, ja tam. Nie przeniosę się do Warszawy. Co miałyby robić tu nauczyciel z prowincji?

– Kochany! To ja się przeniosę. Pisać mogę wszędzie. Najważniejsze, żebyśmy byli razem. Ty, ja i nasze szczęście, które urodzi się za kilka miesięcy.

I tu powinno nastąpić: żyli długo i szczęśliwie... Tak by wypadło. Historia jak z bajki, dziewczyna o gołęmbim sercu i książę przebrany za żabę. No tak, niby wszystko grało. Bruno musiał jakoś delikatnie odkryć karty. Wyjście było jedno: postanowił zaprosić Reginę do siebie. Nie chciał z tym zbyt długo czekać i rano zamówił taksówkę. Poprosił Reginę, by wzięła najpotrzebniejsze rzeczy. Kobieta szybko spakowała kilka drobiazgów i stała gotowa o drogi.

– Proszę na lotnisko.

– Chyba na Dworzec Centralny, kochany?

– Nie, proszę na lotnisko. Proszę, nie denerwuj się.

O dziwo, Regina nie protestowała i nie była jakoś specjalnie zdezorientowana. Oczywiście kiedy zobaczyła obsługę lotniska, prowadzącą ich specjalnym przejściem, i stojący na płycie prywatny helikopter, była zdziwiona, ale sprawiała wrażenie opanowanej. W helikopterze Bruno wyjaśnił, że to jego środek lokomocji, że resztę powie jej na miejscu i jedyne, co ma teraz zrobić, to się nie denerwować.

Dalej szkoda się rozpisywać... Były omdlenia, było szczęście, ekscytacja i natychmiastowe przyzwyczajenie się do bogactwa. Początkowo nie wydawało się to podejrzane. W końcu to nie rozczarowanie, że nauczyciel okazał się bogaczem. Ale wszystko zaczęło się zmieniać... Regina mało pisała. Ogólnie nic nie robiła. Skarżyła się wciąż na złe samopoczucie i choć przyjaciel Brunona – znany ginekolog – twierdził, iż nie ma powodu do niepokoju, to znosił cierpliwie wszystkie jej fanaberie, bo w końcu miała

urodzić jego dziecko. Ale w tej sytuacji temat zaręczyn nie był mu bliski, a co dopiero mówić o ślubie, którego natarczywie domagała się jego – do niedawna – romantyczna dziewczyna. Reginy matka, która w zasadzie z nimi zamieszkała, przyprawiała go o szaleństwo. Wszędzie było jej pełno, na okrągło jazgotała i dyrygowała służbą jak swoją. Nie pasowało to do wizerunku matki, jaki stworzyła Regina – cichej starszej pani, emerytowanej księgowej, kochającej teatr i kino. Ale to prawda, potrafiła doskonale liczyć, zwłaszcza nie swoje. Wydawała jednego dnia tysiące z karty Brunona – najczęściej na zakupy w delikatesach. Przymykał i na to oko. Kiedy wybrali się z powodu depresji i złego samopoczucia Reginy do Mediolanu, była chyba bardziej pazerna niż córka. Obie, wchodząc na słynną Via Monte Napoleone, zyskiwały nagle siły i biegały jak oszalałe po galeriach i butikach pomimo dość zaawansowanej ciąży Reginy. Ilość zakupów zdumiewała nawet przyzwyczajonych do takich zachowań sprzedawców.

– Córkuś, w tym płaszczu wyglądasz przepięknie i brzusek świetnie się wpasował! – mówiła matka niby to do córki, ale zaczepnie patrzyła na Brunona.

– Pani Wando, Regina za miesiąc urodzi... Kupowanie płaszczyka tylko na miesiąc za sześć tysięcy euro to absurd, przy czym Regina praktycznie nie wychodzi z domu!

Niedoszła teściowa aż podskoczyła w miejscu. Oczy – i tak zwykle niezbyt duże – zwęziły się jej do granic możliwości. Z siłą wodospadu wyszedł z niej charakter bazarowej przekupy:

– Co?! Nie stać cię?! Słyszała pani? Nie chce kupić jej płaszcza! Dziewczyna ma marznąć! W ciąży, biedna, pani patrzy! – trajkotała do sprzedawczynie, która patrzyła na tę osobliwą rodzinę z mieszaniną rozbawienia i strachu.

– Mamo, daj spokój, ta pani cię nie rozumie.

Regina, trochę zażenowana sytuacją, a przede wszystkim wystąpieniem matki, wybiegła za Brunonem, który wyszedł ze sklepu, nie chcąc uczestniczyć w tym cyrku.

– Bru, przepraszam, kochanie, mamę poniosło. Faktycznie ten płaszcz jest bez sensu, ale czy możemy kupić tamte szpilki i te trzy sukienki? – Chcąc się przymilić, zrobiła swoją pokazową minę skrzywdzonej dziewczynki.

– Nie, nie możemy. Wydałyście już kilkadziesiąt tysięcy euro i nie widzę powodu, by ten cyrk trwał dalej. – Twardy głos Brunona oraz twarz pozbawiona emocji były czymś nowym. Niemniej pod tą maską rozgrywał się prawdziwy huragan uczuć. – Kim ty jesteś? I nie chodzi o pieniądze, bo tych mam w nadmiarze. Ale o styl, fason, pazerność... Twoje teksty na Mazurach, że brzydzisz się markowymi ciuchami za nieprzyzwoite pieniądze! Już ci przeszło? Nie, nie mogłaś się tak zmienić. Kim ty jesteś?

Pisała coś w telefonie, ignorując kompletnie to, co do niej mówił. Chwycił ją za ramię i lekko wstrząsnął. Telefon wypadł jej z ręki. Schylił się, by go podnieść i jej podać.

– Zostaw to!

Próbowała go ubiec, co tylko wzbudziło w nim niepokój i potrzebę zajrzenia do telefonu. Był pierwszy, więc dziewczyna zaczęła okładać go pięściami. Tymczasem w drzwiach

pojawiła się jej matka, z naręczem wieszaków, a za nią ochroniarz, gdyż wybiegając córce na ratunek, uruchomiła wynoszonymi nieopłaconymi ubraniami alarm. Ochroniarz zatrzymał drącą się wniebogłosey kobietę. Krzyczała, że zięć zapłaci, a ona musi ratować córkę w ciąży przed oprawcą. Mężczyzna przejął ciuchy i spokojnie czekał na rozwój wydarzeń. Godzinę wcześniej ta dziwna rodzina zostawiła tu kilkanaście tysięcy euro. Widział w swoim życiu różne ekscentryczne zachowania bogaczy.

– Zięć czy oprawca? – zapytał Bruno, nie odrywając wzroku od telefonu.

Matka jego dziecka siedziała na chodniku i płakała. Na szczęście nie było zbyt wielu ludzi i nikt nie interweniował.

– Wstań, dziecko.

Dziewczyna wstała, a matka ostentacyjnie ją przytuliła.

– Nie płacz, skarbie, nie po to cię chowałam, żeby taki drań cię nie szanował!

– O, doszło jeszcze „drań”! Mamy więc zięcia, oprawcę i drania. A kim jest pani córka?

Wezwał szofera i kazał jechać na lotnisko. Wsadził obie kobiety do helikoptera, wydał dyspozycje i wrócił do centrum Mediolanu. Zjadł mule w pobliskiej knajpcie, poprawił makaronem z oliwą i czosnkiem i poszedł do ulubionego hotelu. Zawołał konsjerża i poprosił o zrobienie zakupów. Podał marki, rozmiar bielizny i kartę kredytową. Szczoteczka do zębów i cała reszta były w łazience. Usiadł na miniaturowym tarasie i obserwował ludzi zbierających się wieczorem na ulicy. Zamówił wino i zadzwonił do Heleny, właścicielki pensjonatu na Mazurach.

– Witaj, tu Bruno.

– Bruno! Chcesz do nas przyjechać? Słyszałam, że lada moment zostaniesz ojcem! Chłopiec czy dziewczynka?

– Nie chciałem poznawać płci dziecka przed urodzeniem. Ale mam pytanie, dlaczego mi to zrobiłaś?

– Ale co, kochany? – Helena odgrywała swoją rolę, nie podejrzewając, że mężczyzna już wie.

Wstał z fotela, odsłonił kotary i w zamyśleniu patrzył na ogród. Powoli wyłączył telefon. Końca nie było widać, a on czuł się jak samotnik w swoim pałacu-więzieniu. Wujek Edmund powiedziałby: „Sam to sobie uczyniłeś”. Wujek... kochany, dobry człowiek, wywrócił swoje życie do góry nogami dla niego. Jak się okazało, dziadek pojechał z pomysłem wnuka prosto do brata do Warszawy. Ten przeanalizował wszystkie wyliczenia i założenia i stwierdził autorytatywnie:

– Młody jest geniuszem.

– To wiemy od dawna. Ale co o tym sądzisz? – Pokazał palcem na kartki, które jego brat przed chwilą studiował.

– Co tu sądzić? Biznes pewny, tylko dobry kierownik budowy wam potrzebny.

– Po to tu jestem. – Dziadek uśmiechnął się chytrze.

– Bracie, ja mam tu dobrą robotę.

– Masz, masz... a ile ty zarabiasz? Chociaż tu wcale nie chodzi o pieniądze. Tu chodzi o wizję! Młody ma wizję! I trzeba go wspierać. Mieszkasz tu sam jak szczur i marnujesz życie.

Kiedy dziadek zadzwonił do Brunona, że już wrócił i chce się spotkać, chłopak pobiegł dosłownie natychmiast. W kuchni przy stole siedzieli już dziadek i wujek Edmund. Była niedziela, babcia z gosposią szykowały obiad, a ciotka rozstawiała talerze na stole. Biały obrus i niedzielne zapachy. Ogromna kuchnia, większa od niejednego salonu, była miejscem spotkań całej rodziny. Tym razem grono było mniejsze, ale ważne dla Brunona, może najważniejsze w życiu.

– Siadaj, mój wnuku – zaczął dziadek bardzo poważnie. – Postanowiłem, a w zasadzie postanowiliśmy z wujkiem i twoją babcią Tosią, że wybudujemy to osiedle. Ciotka też nam pomoże, poprowadzi księgowość, bo twój geniusz z pewnością nie będzie chciał się tym zająć.

Ciotka była główną księgową w dużej firmie, a babcia w rodzinie miała ostatnie słowo. A że to słowo było zawsze identyczne jak dziadka, to ten pytał ją entuzjastycznie o każdy pomysł.

– Przecież! Dobrze mówisz, Stachu. Widzę to tak, jak mówisz.

Babcia Tosia miała swój świat seriali w telewizji i kolorowych gazet. Zawsze wiedziała, jaki aktor się rozwodzi i co dzieje się w każdej telenoweli. Była pogodna, bezproblemowa i oddana, jak trzeba, rodzinie.

– Dziadku, to wspianała wiadomość! Dużo zarobisz, obiecuję!

– Nooo... mnie pieniądze nie są już potrzebne, mam ich w nadmiarze – starszy pan roześmiał się szczerze – ale jak ci to sprawi frajdę, to my zarobimy dużo pieniędzy! Biznes dzielimy na trzech. Ja wykładam kasę, a ciotka dostanie dobrą pensję i procent od sprzedaży. Ale na początek musimy dobrze cię ubrać. Przygotuję samochód i pojedziemy do stolicy. Musisz poważniej wyglądać. Prawo jazdy zdasz i możesz być biznesmen jak się patrzy! Po mojej śmierci dostaniesz udziały, tylko żeby babci i ciotce niczego nie zabrakło!

Dziadek roześmiał się ponownie, zadowolony z wrażenia, jakie wywarł na domownikach, i odkorkował nalewkę własnej roboty.

– Teraz po kieliszeczku na dobre trawienie przed obiadem!

Taki był początek imperium Brunona. Nikt się nie spodziewał, że ten młody, zamknięty w sobie chłopak będzie takim mistrzem pomnażania fortuny. Nastął czas intensywnych działań i strategicznych rozwiązań. Ciężko pracowali i otwierali kolejne inwestycje. Pojawiły się projekty luksusowe i elitarne, a także hotele, i to nie tylko w kraju. Bruno po kilku latach założył własne biuro architektoniczne i konstruktorskie. Nie miał wykształcenia uhonorowanego dyplomem, ale miał niewyobrażalną wiedzę, uczył się nieustannie i zatrudniał najzdolniejszych ludzi z uprawnieniami – zawsze za godziwe pieniądze. Jego biuro wygrało kilka konkursów międzynarodowych, a budowle stanęły

nawet w Dubaju. Nigdy nie dawał żadnemu przedsięwzięciu swojej twarzy. Mało kto go znał poza miejscowymi i nigdy nie epatował bogactwem, które szybko przyszło. Pozostał tym samym chłopakiem z podwórka. Kiedy dziadek zmarł nagle na zawał, jego świat – przynajmniej w teorii – legł w gruzach. Stracił grunt pod nogami, poczucie bezpieczeństwa. W testamencie widniał jako spadkobierca firmy, babcia z ciotką dostały całą resztę.

Drugim hobby Brunona była giełda papierów wartościowych. Tu zrobił jeszcze większy majątek niż w budowlance. Miał łeb na karku i nosa do inwestycji, kupował, sprzedawał, znowu kupował. Kiedy przyszło słynne załamanie na giełdzie i większość straciła – on nie. Wycofał się we właściwym momencie, a w najgorszym kryzysie kupował. Wiedział, co się odbije, a co zwróci, był w końcu matematycznym geniuszem i wizjonerem. Kiedyś obmyślił z przyjacielem (Włochem, którego poznał na nartach) ciekawą inwestycję na Sardynii. Luksusowy hotel o niebywałym charakterze i architekturze. Włoch miał ziemię, on pieniądze i pomysł. Na otwarciu hotelu było sporo osób, w tym kilku Polaków. Wśród nich znany warszawski adwokat z dziewczyną. Kobieta była tak zjawiskowa, że Bruno nie mógł oderwać od niej wzroku. Zdziwiła go i ujęła – poza urodą – pewna czystość i skromność, cechy niespotykane w obecnych czasach. Inaczej nie potrafił tego określić. O dziwo, nie znał jej nikt z tak zwanego towarzystwa. Za to znał adwokata. Był to ekscentryczny, bardzo przystojny półkrwi Włoch, który regularnie łamał serca kobiet i wszędzie, gdzie się pojawił, budził silne emocje. Krążyły plotki o jego dziwnych upodobaniach erotycznych. Kobiety, z którymi go widywano, były może i piękne, ale żadna z nich nie miała charakteru i klasy tej. Ta miała pewną dostojność i elegancję, choć była skromnie ubrana jak na gust i warunki mecenasa. Miała przepiękne miedziane włosy i mieniącą się oliwkową cerę. Delikatne piegi dodawały jej świeżości i jakiejś nierealnej aury małej dziewczynki w ciele dorosłej kobiety. Obfity biust falował, gdy się poruszała, pełne biodra pięknie kołysały zgrabną pupą. Była posągowo piękna, ale nie była zimnym marmurem. Jej ciało opływała zielona jedwabna sukienka w rude róże, a stopy w złotych balerinach prezentowały się lepiej niż w najwyższych szpilkach świata. Miała urok, który pozostawał w pamięci jak zapach najlepszych perfum.

Kiedy rozmawiała z jakąś kobietą, jej partner zniknął. Bruno obserwował go, jak odchodzi, i zagadnął rudowłosą piękność:

– Słyszę, że jest pani z Polski. – Uśmiechnął się szeroko.

Kobieta odwzajemniła uśmiech, pokazując naturalnie piękne białe zęby.

– Tak, jestem Anna.

Podążyła mu dłonią, a on wiedział, że nic równie zjawiskowego w życiu już nie spotka. Zamienili ze sobą tylko kilka zdań. Nie pamiętał, o czym, ale pamiętał jej ciepły, przyjazny głos i ogromne zielone oczy z długimi, nienaturalnie brązowymi rzęsami. Ten brąz go uwiódł. Nigdy nie spotkał kobiety, która tak by je malowała. Wszystkie używały czerni. Pachniała olejkiem różanym, miała pełne usta bez grama szminki, prawdopodobnie

używała tylko błyszczyku, stąd efekt delikatnej muślinowej poświaty. Jej biust, miękki i nieskrępowany żadnym gorsetem, nie był wulgarny ani zaczepny, a piękne jak u pianistki dłonie zdobił tylko jeden delikatny pierścionek.

– Pani gra? – zapytał, biorąc ją za rękę. – Ma pani przepiękne dłonie i takie długie palce.

– Tak, na nerwach narzeczonemu. – Dziewczyna roześmiała się, dając wyraźne znaki komuś w tłumie gości. – Kochanie, pozwól. Ten przemiły człowiek zaprojektował i wybudował ten obiekt! – Anna zwróciła się do nadchodzącego właśnie narzeczonego.

– Bruno! Kopę lat! – Robert uśmiechnął się szeroko, uściśnął dłoń mężczyzny i objął dziewczynę. – Porywam moją narzeczoną. Nie gniewaj się, ale na nas już czas.

Bruno patrzył zdezorientowany, jak jego marzenie oddała się w ramionach demona zła i zgnilizny. Czy kobiety genetycznie dążą do autodestrukcji? Gdzie w takich wypadkach podziewa się ta ich mityczna intuicja? Zrezygnowany usiadł w fotelu oddzielonym kotarą od ludzkich oczu i zatopił się w ponurych myślach.

Wiele razy próbował ułożyć sobie życie. Zawsze znajomość kończyła się podobnie. Wszystkie kobiety, na które trafiał, natychmiast oczekiwały pierścionka zaręczynowego, małego auta na zakupy i karty kredytowej bez limitu wydatków. Bywały mniej lub bardziej zachłanne. Jedne maskowały się dłużej, inne krócej, ale wszystkie przebiła Regina. Paradoks polegał na tym, iż on nie miał zielonego pojęcia, że to jest gra. Perfidna, wyrachowana zimna gra. Regina od samego początku wiedziała, kim on jest. Przyjechała do pensjonatu w określonym celu. Dał się nabrać po całości jak sztubak, bo stracił czujność. Czujność granicząca z obsesją była obroną zaszczutego dzieciaka, chowającego się przed swoimi oprawcami w szkolnej toalecie. Do głowy mu nie przyszło, że Helena mogła wyciąć taki numer! Kto jak kto, ale ona? Jego przyjaciółka i powiernica?

Helena prowadziła kilka pensjonatów o różnym standardzie i w różnych miejscach. Bywała w wielkim świecie i znała kilka języków. Nigdy nie chciała, aby odwiedził jakiś inny obiekt poza tym mazurskim. Był to jej pierwszy hotelik, postawiony obok domu z dzieciństwa, na tak zwanej ojcowiznie. Kobieta była po siedemdziesiątce – tę posiadłość traktowała jak własne siedlisko. Dużo podróżowała i zawsze, jak twierdziła, wypoczywała tylko tu, w swoim domu z domem gościnnym, jak nazywała pensjonat. Od lat miała tych samych gości, co prawda z małymi zmianami, ale przeważnie w jej wieku – wykształconych, spokojnych, uciekających od zgiełku miast, w których mieszkali. Niektórzy z nich spędzali tu po kilka miesięcy w roku i nikomu nigdzie się nie spieszyło. Kiedy Bruno poznał Helenę, był tak zmęczony szybkim tempem życia i przybity śmiercią dziadka, że z przyjemnością skorzystał z zaproszenia. I został stałym gościem „domu wiedzmy” – jak mawiali o niej miejscowi, robiąc czasem znak krzyża na piersi. To było nawet zabawne – był przekonany, że przydomek jest efektem zbierania ziół i przyrządzania wywarów leczniczych, jakimi Helena częstowała swoich gości. Były też magiczne nalewki, robione na miejscu, a dla kobiet kremy „na młodość” o terminie ważności niewiele dłuższym niż tydzień. Faktycznie oferta pensjonatu była ciut nietypowa

i opatrzona jakimiś znakami runicznymi, ale dla Brunona, poruszającego się w twardym świecie biznesu, była idealna, bo dawała mu upragniony święty spokój.

Helena miała córkę i tę córkę zamierzała za niego wydać. Tak to sobie wymyśliła. Małgorzata była niezwykle urodziwa, ale kompletnie pusta i próżna. Mężczyzn traktowała przedmiotowo, nigdy z nikim nie związała się na dłużej. Plan matki może i nie przypadł jej do gustu, ale przekonała ją liczba zer na koncie potencjalnego narzeczonego. Ale Bruno mimo najszczęśliwszych chęci nie czuł do niej nic. Życie jednak lubi płać figle. To Małgorzata – zimna i wyrachowana ekscentryczka – zakochała się nieprzytomnie w lekko gburowatym, ale ciekawym i charyzmatycznym mężczyźnie. A Helena nie chciała zmarnować takiej okazji.

– Bruno. Nie będę owijać w bawełnę. Mam jedną córkę. Nie wiem, jak to się stało, ale ona nie może przestać o tobie myśleć. Na wieść, że przyjeżdżasz, nie śpi, nie je i nie pilnuje biznesu, a sam wiesz, że ma co pilnować. Jej klinika chirurgii estetycznej niby pręźnie działa, ale tylko dlatego, że ja ją ostatnio nadzoruję, a naprawdę nie mam na to czasu. Mam swoje pensjonaty do ogarnięcia, a ona całymi dniami ogląda twoje zdjęcia i płacze. Zachowuje się jak nastolatka. Wiem, że zasypuje cię esemesami, i wiem, że nie chciałeś jej odwiedzić w Warszawie. Oczywiście nic nie musisz, ale... Pogadajmy jak ludzie biznesu. Czy byłoby to dużym problemem, gdybyś miał z nią po prostu romans? Gdy tu przyjedzie? Przecież to atrakcyjna kobieta, inteligentna, a ty jesteś wolny. Od rozwodu nikogo nie chciała i raptem wymarzyła sobie ciebie.

– Podobno wywróżyła... – burknął.

– To, że ma hopla na punkcie wróżek i magii, to wina jej babki, która ją tym zaraziła. Moja matka była miejscową wiedźmą. Jak widzisz, scheda po niej jest trafiona i dochodowa. Ja uczyłam się jednak fachu na innym uniwersytecie i nie dałam zamknąć się na wsi. Po latach światowego życia doceniłam tutejszy spokój. Co dziwne, Małgorzata także kocha to miejsce. Pasuje wszystko, możecie tu się spotykać, a potem... Potem zobaczymy, czy i co z tego będzie.

Bruno słuchał tego wszystkiego z coraz większym niesmakiem.

– Nic, nic, Heleno, z tego nie będzie. Małgorzacie jakaś wróżka naopowiadała głupot, że spotka mężczyznę nad wodą w domu swojej matki. I że ten mężczyzna zakocha się w niej i odmieni jej życie. Bzdury totalne. Spotkała mnie kiedyś tu nad wodą, ale się nie zakochałem! A tym bardziej nie zamierzam odmieniać jej życia! Tłumaczyłem jej dla świętego spokoju, że spaceruje tu wielu ludzi i może to inny mężczyzna. Uparła się, że to ja, i koniec. Nie będę się bawił z nią w żadne romanse. Nie gniewaj się. Owszem, jest piękna, ale jest też zepsuta pieniędzmi, życiem wśród celebrytów odwiedzających jej klinikę i tym całym blichtrzem, który ją otacza. To nie jest kobieta dla mnie, a ja nie jestem mężczyzną dla niej.

Bruno ze wszystkich sił starał się zapanować nad irytacją. Miał dość intryg w codziennym życiu – tu przyjeżdżał odpocząć, a Helena, jeśli chciała coś osiągnąć, nie

przebierała w środkach. Tak było i tym razem. Widać było, że poczuła się urażona, chociaż nie zamierzała tego okazywać.

– Cóż... nie obraziłeś mnie. Moja córka może nie jest romantyczką, ale przynajmniej twoje pieniądze nie są dla niej wabikiem. Pomyśl o tym...

– Heleno. Ja cię nie obrażam. To ty obrażasz mnie. Nigdy nie związę się z kobietą, która widzi we mnie tylko majątek. Z tego punktu widzenia to faktycznie atut. Ale to trochę zbyt mało, aby zbudować związek.

– Nigdy nie mów nigdy, mój drogi. Pamiętaj, los płata różne figle...

Ani Helena, ani Bruno nigdy więcej nie wrócili do tej rozmowy. Małgorzata nigdy już nie przyjechała do siedliska, gdy był w pensjonacie Bruno. Pozornie wszystko wróciło do normy. Czasami miał wrażenie, że bywa tu częściej niż sama Helena. Był ulubieńcem pani Gieni, zarządczyni pensjonatu, i nie brakowało mu niczego.

Kiedy przeczytał w telefonie Reginy sprawozdanie wysłane Helenie z zakupów i kolejne starsze wiadomości, zrozumiał, że został wrobiony. „Nigdy nie mów nigdy” – zabrzmiało mu w głowie jedno z ostatnich zdań z pamiętnej konwersacji. Helena podsunęła mu tę dziewczynę jak towar, który genialnie wyszkoliła. Zrobiła z niego frajera w odwecie za córkę... Wiedźma, miejscowi mieli rację. Ale jej uczennica była z nim w ciąży... Tylko czy na pewno z nim?! Mediolan od tej pory zawsze będzie mu się już kojarzył z tymi zakupami. Gdyby nie ta cała awantura, Reginie nie wypadłby telefon, on by go nie podniósł, nie przeczytałby wiadomości, nie dowiedziałby się o oszustwie... albo dowiedziałby się znacznie później. Teraz postanowił działać. Wsiadł w pierwszy samolot do Warszawy, później szybko w helikopter. Po wylądowaniu natychmiast pobiegł do pokoju Reginy. Siedziała jak gdyby nigdy nic i kremowała twarz.

– O, przyjechałeś! – Była spokojna, zupełnie wyluzowana.

Nie wiedział, czy jest aż tak głupia, czy pewna siebie. Jeżeli to drugie, to musiała mieć ku temu powód.

– Czyje jest to dziecko? – zapytał wprost, patrząc jej w oczy.

– A czyje ma być? Twoje – wyzywająco wycodziła przez zęby.

– Zażądam badań.

– Jak urodzę, to zrobisz. Teraz nie dam sobie grzebać w brzuchu.

– Dopóki nie będę miał pewności, możesz tu mieszkać. Ja wyjeżdżam. Daj znać, jak będziesz rodziła. Zrobiłem limit na karcie, nie stać cię obecnie na drogie ciuchy, kosmetyki i inne fanaberie. Jedzenie i całą resztę kupować będzie Maria. Czyli tak, jak było wcześniej. Wszystko, na co możesz sobie pozwolić, to prywatny kierowca, ginekolog i położna na dyżurze w domu do dnia porodu. Potem zobaczymy.

Nie czekając na rozwój wypadków, odwrócił się na pięcie i wyszedł. Wrzaski przestały już robić na nim wrażenie. Ostatnim akcentem tej rozmowy była rozpryskująca się na drzwiach butelka perfum. Wybiegł, żeby nie słyszeć niczego. Pojechał do swojego apartamentu w Warszawie. Nie był przekonany co do swojej decyzji – potrzebował czasu



na przemyślenie. A może właśnie się mylił? Może potrzebował ostrej zabawy i odstawienia raz na zawsze mrzonek o porządnych dziewczynach i wielkiej miłości?

Apartament znajdował się w jednym z najmodniejszych budynków Warszawy. To był jego budynek. Penthouse na najwyższym piętrze, czterysta metrów kwadratowych z tarasem i ogrodem. Jakkolwiek dziwnie brzmiało wyrażenie „ogród na dachu”, to właśnie tam się znajdował. Bruno rzadko tu bywał. Nie przepadał za całym tym zgiełkiem, szalonymi eskapadami biznesowych kolegów i nocnym życiem. Tego dziennego też nie rozumiał, bo zwyczajnie godzinne korki uważał za stratę czasu. Czuł się prowincjuszem z zamiłowania i z wyboru. Był tu, a raczej bywał, kiedy musiał. Najczęściej użyczał apartamentu siostrze, kiedy przylatywała z rodziną z Kanady. Magda była starsza, on pojawił się na świecie po latach walki o kolejne dziecko. Ta walka zakończyła się częściowym sukcesem, bo dla niego było jasne, że lepiej by było, gdyby się nie urodził.

Dzisiaj to już przeszłość, ale wciąż trudna i męcząca. Ciągle przecież w głębi czuł się gorszy i choć jego nogi były prawie równej długości, a wzrost to niezłe sto osiemdziesiąt centymetrów, w środku pozostał karłem i kuternogą. Kiedy nikt go nie widział, otwierał butelkę wina i przeglądał zdjęcia z dzieciństwa. Magda była chyba jedynym dzieckiem, które zdawało się nie zauważać jego ułomności. Dla niej był młodszym bratem, którym musiała się czasem opiekować. Może to przez jej introwertyzm, zanurzenie w świecie przyrody, który od dziecka uznawała za swoje przeznaczenie? A może po prostu była jedyną, poza matką, kobietą kochającą go autentycznie i bezwarunkowo? Ich rodzinny geniusz naukowy objawił się i u niej. Wprawdzie nie aż tak spektakularnie – nie przeskakiwała klas, ale zaliczała je z niebywałą łatwością – lecz jako stypendystka studiować mogła na kilku kierunkach różnych uczelni na świecie. Już w liceum napisała siedem wyróżnionych w konkursach międzynarodowych prac naukowych z biologii. Wybrała Kanadę z kilku względów. Jak się później okazało, jednym z nich była klinika doktora Rogera, specjalizująca się w wydłużaniu kości.

Magda wybrała medycynę, choć równolegle zgłębiała też inżynierię genetyczną. Medycyna w kontekście brata wydawała jej się naturalnym rozwiązaniem. Drugi powód kanadyjskiego kierunku to brat dziadka Tobiasz, który jako młody chłopak uciekł do Kanady i tam zamieszkał. Jako bliźniak jednojajowy nie mógł wybrać innej profesji niż mechanika samochodowa, więc całkiem niezłe mu się powodziło. Magda miała więc punkt zaczepienia i pracę u stryja, bo stypendium nie starczało na pełne utrzymanie. Tobiasz uwielbiał dziewczynę. Nie mieli ze stryjną swoich dzieci, więc zapowiedziana szumnie praca kończyła się na szykowaniu kolacji i sprzątaniu w domu. Magda wyszła za mąż za syna wspólnika Tobiasza, także Polaka, i była tam szczęśliwa. Jako lekarz świetnie zarabiała i nadal pracowała naukowo, studiując dodatkowo ukochaną genetykę. Mąż był inżynierem i uznanym ekspertem w wysokim budownictwie, więc często wyjeżdżał, między innymi do Dubaju czy Hongkongu. Specjalizował się w najtrudniejszych konstrukcjach. Jego ekspertyzy były jak wyrocznie. Bruno często korzystał z jego wiedzy

i umiejętności. Bardzo się lubili. Z Magdą jako rodzeństwo trzymali się dość blisko, choć ta bliskość pojawiła się dopiero, kiedy chłopak odkrył prawdziwy cel wyjazdu siostry do Kanady. Kiedy zrozumiał, że jest na świecie kobieta, której na nim zależy. Ta autystyczna trochę dziewczynka, jak wszystkim kiedyś się wydawało, była dzisiaj jednym z bardziej uznanych lekarzy i naukowcem. Była też jego starszą siostrą, na którą mógł liczyć tak samo jak na dziadka.

Jego warszawski apartament... był trochę jak on sam. Bogata i wysmakowana otoczka pustki i samotności. W salonie rzeźby i obrazy najlepszych artystów z całego świata, meble wyszukiwane w galeriach Szwajcarii i Francji. Kominek obudowany szarym marmurem i alabastrowe zimne ściany. Sypialnia z pokojem kąpielowym – ulubione miejsce Brunona – ogromny telewizor na ścianie naprzeciwko potężnego łóżka – jedyne pomieszczenie wśród ukochanej szarości w ciepłym kremie. Pikowany potężny zagłówek w formie ogromnego materaca, wyglądający na tle obitej kremowym welurem ściany jak łożo rozkoszy, jedwabna zimna pościel w złotym kolorze – z założenia mająca studzić rozgrzanych kochanków... Ciężkie stojące lampy o nowoczesnej formie, przypominającej ołówki, nadawały monumentalny wymiar wnętrzu. Chciał, aby regularna szarość większości jego domów miała swój kontrast właśnie w sypialni. I miała. Co z tego, że wszystko – włącznie z grubym puchatym dywanem kupionym w Persji za niebotyczne pieniądze – dawało przyzwolenie na rozkosz? Jedynym realnym jego towarzyszem w tym pomieszczeniu był telewizor, który zagłuszał samotność. Bywały tu kobiety, ale zanim doszedł z nimi do sypialni, wiedział już, że prowadzi towar, kupiony i chętny do wszelkich poświęceń za jutrzejsze zakupy w wybranym sklepie. Niektóre nawet nieźle grały, ale kiedy pojawiało się hasło lotu helikopterem, były trafione. Jedne wytrzymały krócej, inne dłużej sprawdzian finansowego lepu, każda jednak w końcu się poddawała i przestawała panować nad emocjami. Dziadek kiedyś zwrócił mu uwagę, że jak szuka kobiety uczciwej, nie może jej kupować.

– Ale ja ich nie kupuję, sprawdzam jedynie wytrzymałość na pokusę.

– Zaczynaj jeździć zwyczajnym samochodem, zaprosz do podrzędnego hotelu i pójdz do kina zamiast na kolację do najdroższej knajpy.

Wtedy zrozumiał już, gdzie popełnia błąd. Zanim wdrożył plan, pojechał do Heleny na Mazury. Tam był nikim. Tam od kilku lat grał swoją rolę, ale widownią byli emeryci – z reguły w parach. Pojechał odpocząć, znużony światem i pracą. Złapać dystans i przemyśleć kilka spraw przy naporach z ziół Heleny i szarlotce Genowefy. I tak wpadł w ramiona potwora. Dwugłowego smoka. Helena i jej uczennica Regina zrobiły z niego kretyna, zadrwiły z uczuć czystych i głębokich, a co najtrudniejsze – jedna z nich mogła urodzić jego dziecko. Prawdopodobieństwo było duże. Chciał tego dzieciaka, ale bez matki potwora.

Kiedy tak siedział zamyślony i patrzył na swój zegarek, zadzwonił telefon.

– Bruno?

– Tak, Bruno. A kto według ciebie odbiera mój telefon?

– No tak... ha, ha... Nie masz jeszcze dzieci, bo u mnie biegną na wyścigi, kto pierwszy odbierze. Odkąd moi synowie nauczyli się obsługiwać telefon, muszę go chować.

– No cóż, Bogdan, ja nawet nie wiem, czy będzie syn...

– No, brachu, jak nie tym razem, to następnym strzelisz gola.

– Nie wiem, czy tego akurat ja strzeliłem...

Nie był w nastroju do żartów. Po kilku lampkach wina stał się wręcz sarkastyczny i agresywny. Sytuacja tak go rozbiła emocjonalnie, że nie miał ochoty ani na rozmowę, ani na jakikolwiek kontakt z ludźmi.

– Słuchaj, Bogdan, nie mam ochoty rozmawiać. Rozłączam się.

– Bru! Bruno! Halo! Nie rozłączaj się! Co się stało?

Bruno jednak zakończył rozmowę, po czym wyłączył zupełnie telefon.

Bogdan. Zarobiony, jak mówią panienki z towarzystwa, dostawca stali zbrojeniowej dla jego firmy. Czasem lubili pogadać, bo był wesoły, inteligentny i także kiedyś inwestował na giełdzie. W zasadzie tak się poznali. Miał jednak jedną wadę: otóż namiętnie kochał imprezy, za którymi Bruno nie przepadał. Chociaż nie były to byle jakie imprezy – niebanalne i zarezerwowane dla wybranego grona. Pojawiali się na nich tylko ściśle wyselekcjonowani panowie i najdroższe prostytutki. Bogdan twierdził, że to kobiety marzeń wszystkich facetów, tylko mało którego na nie stać. No cóż, Brunona było stać, a jednak... nie znajdowały się w kręgu jego marzeń. Kurwa to kurwa, coś, co można kupić. Zwyczajny towar jak jacht czy helikopter, a on marzył o miłości czystej, bezinteresownej i szczerzej. Nie interesował go puchar przejściowy. Chciał czuć, kochać i być kochanym. „Miłość” to słowo, które postanowił tego wieczora wymazać ze swojego słownika, ze swojej głowy i serca. Przereklamowana sfera uczuć, która nie istnieje. Tak sobie to tłumaczył.

Bogdan nie dał za wygraną. Znał przyjaciela i wiedział, że ten nie urywa nerwowo rozmów, a wieczorem w sobotę nie powinien być w Warszawie. Nie lubił tego miasta, a tym bardziej sobotniego melanzu, którym całe ich towarzystwo żyło, startując już od piątku. Wjechał windą na samą górę prosto pod drzwi przyjaciela. Ostro nacisnął dzwonek. Długo nie musiał czekać, by zobaczyć wściekły wzrok Brunona.

– Co tu robisz, do cholery?

– Martwię się o ciebie.

– Bo?

– Bo gadasz od rzeczy, rzucasz telefonem, warczysz.

Bogdan, nieproszony, wszedł do środka. Bruno z wściekłością zamknął drzwi.

– Możesz sobie pójść? Nie masz nic lepszego do roboty o tej porze? Burdele zamknęły w stolicy? Żadnego swagu? Pokazu mody? Żadnych spektakli za zamkniętymi drzwiami? Nic? To może, kurwa, idź do żony i dzieci?

Bruno zachowywał się agresywnie i kompletnie nie w swoim stylu. Był jak dzikie poranione zwierzę, chodził nerwowo od rzeźby nagiej kobiety do okna i z powrotem.

– Powinienem dać ci w ryj, ale widzę, że ktoś przede mną musiał to zrobić. Co się, do cholery, dzieje? Jesteś moim kumplem i choć jestem kawał skurwiela, to nie w temacie męskiej przyjaźni.

Bruno usiadł wreszcie w fotelu, a w zasadzie wcisnął się w niego jak karaluch, który ukrywał się kiedyś w szkolnej toalecie. Biały fotel był ogromny, a czarna koszula i spodnie tak optycznie pomniejszyły i tak skurczonego już z bólu mężczyznę, że faktycznie wyglądał jak czarna plama. Schował głowę w dłoniach i zaczął się kołysać.

Bogdanowi ten widok wydał się irracjonalny. Bruno był jednym z tych ludzi, którzy nie okazywali emocji – każdy gest wystudiowany, każde słowo precedzone, a ruchy zawsze skoordynowane. To musiał być prawdziwy ból, którego nie opanuje żaden rozum, żaden schemat czy mechanizm obronny.

– Człowieku, mów...

– O czym?

– O tym, co się stało, przecież widzę, że cierpisz. Znamy się tyle lat. Nigdy wcześniej w takim stanie cię nie widziałem. Wiesz, że możesz mi ufać. Znasz moje ciemne strony, wiesz o mnie więcej niż ja sam o sobie, bo byłeś przeważnie jedynym trzeźwym gościem w towarzystwie. – Bogdan uśmiechnął się, a Bruno jakby rozluźnił na chwilę.

– To fakt, ale wiesz, że nie jestem skory do zwierzeń... Nie mam siły zresztą tłumaczyć teraz zawilości mojej sytuacji... Choć tu nie ma żadnej zawilości!!! Jest kurwa, jest jej mecenaska i jest frajer, czyli ja. Kurwa jest ze mną w ciąży, a jej mentorka dokonała w ten sposób zemsty na mnie, za... a zresztą, co za różnica. Kochasz kobietę, wydaje ci się, że spotkałeś anioła, a tu nagle okazuje się, że anioł jest szatanem. Myślisz: Nieee. To ciąża, hormony, to zwyczajne złudzenie. W końcu podejrzewasz, że to ty zepsułeś anioła! Jeszcze tłumaczysz sobie, że kobiety to pszczoły, zbierają miód dla młodych, ale taka ich natura i później minie... Orientujesz się wreszcie, że jesteś frajerem, a twoja pszczoła nie gromadzi pracowicie zapasów na zimę i cholera wie, jakie inne zdarzenia, tylko zwyczajnie cię skubie i ustawia sobie dożywotnią rentę! A ty... ty jesteś porządnym bankomatem na codzienne wydatki. Dobra, to idzie jeszcze przeżyć, w końcu to kobieta! Ale dochodzi do ciebie, że to nie jest tylko łapanie frajera na dostatnie życie. Twój anioł był zwyczajną kurwą na godziny lub – jak kto chciał – na dłuższe terminy, wszystko kwestia ceny. Poznajesz cennik i nawet procent, jaki musi płacić swojej mecenasce. Jest bowiem dziełem sztuki, nieźle wyedukowanym, i musi przynieść dochód swojej matce-opiekunce współmierny do zainwestowanych środków. Tak, okazuje się, że jesteś frajerem, któremu podstępnie wciśnięto towar, jakiego nigdy nie chciał. Cała reszta była tylko grą, serialem zmontowanym na potrzeby łapanki. Nauczycielka, czy też „mecenaska”, jak ta burdelmama mówi o sobie, miała pełen komplet informacji. Informacji o frajerze, dupku, idiocie – czyli o mnie. Ten idiota bywał u niej, przekonany, że to dobra kobieta, ciekawy,

doświadczony człowiek z zasadami, kobieta z klasą, trochę przyjaciół. Bawiło go, kiedy miejscowi mówili o niej wiedźma, ale jak się okazało, nie było w tym żadnej przesady. Frajer zakochał się w luksusowej prostytutce. Rozumiesz teraz?! I na deser historii z piekła rodem: to ta kurwa urodzi mu dziecko. Czy jego? Cóż, tu też pewien być nie może.

– Brzmi dość zawile, to fakt, ale mówi się, że kurwy to najlepsze żony.

Na te słowa Bruno rzucił w kierunku Bogdana kryształową szklankę z whisky. Szczęśliwie nie trafił, a ta rozbiła się na podłodze jak rasowy kryształ na setki kawałków.

– Stary, żartowałem. Może tragicznie trochę, ale co mam powiedzieć? Rozumiem, że Regina okazała się złą kobietą... Rozumiem, że to cię boli, wkurwia, a nawet brzydzi... Ale co teraz? Dalej chcesz czekać na swój ideał? Myślisz, że ona tu wejdzie w aureoli i okaże się święta? Nie, to kurwa i wszyscy o tym wiedzieliśmy. Sądziłeś, że ty także, ale tak wybrałeś. Może gdybyś bywał z nami w klubie, to łatwiej byłoby ci odróżnić kurwę od anioła?

– Jak to: wszyscy wiedzieliście?! Co ty do mnie mówisz? O czym ty pierdolisz?

Bruno zerwał się i chwycił Bogdana za gardło, ten zaczął się dusić. W końcu Bruno się opanował i puścił. Spozrzegł, że przyjaciel nie może złapać powietrza. Bogdan wyrzygał się na podłogę, a raczej na piękny perski dywan, i dopiero wtedy złapał regularny oddech i wybiegł jak poparzony.

– Pieprz się! – rzucił na odchodnym i trzasnął drzwiami.

Wszyscy w towarzystwie wiedzieli, kim jest Regina, i wszyscy byli przekonani, że Bruno też wie i że to jest jego ekscentryczny wybór. Był osobliwy, więc nikogo nie dziwiły jego pomysły. Nie on jeden pokochał taką dziewczynę i niejedyny budował życie na zasadzie układu ze specjalistką od miłości. Dojrzałym panowie wybierali sobie kobiety bardzo młode i proponowali im prosty układ. Jesteś ze mną, a za różnicę dwudziestu, trzydziestu, czterdziestu lat płacę wspaniałym życiem. Jak coś nam nie wyjdzie – dostaniesz odprawę. Bywało, że spisywali poważne kontrakty, czysto biznesowe, i nadawali im rangę u notariusza. Niektóre uważały to za lepszy rodzaj ślubu. Miłość? Raczej nie. Jeden powie na to „układ”, inny – „kurewstwo”. Dziwne słowo jak na taki stan zaangażowania. Jeden mężczyzna i życie we dwoje, więc dlaczego nominować to zaraz kurewstwem?

Zdarzało się, że w trakcie układu pomimo różnicy wieku pojawiało się uczucie, bo dlaczego nie? Zdarzało się, że kochanki zajmowały miejsca żon. Był biały welon, intercyza w ślubnym prezencie i imienna karta kredytowa, a jak mężczyzna miał fantazję i popłynął w głębokie uczucia, to zdarzało się bez intercyzy i naprawdę żyli bardzo szczęśliwie. Miłość to loteria, raz trafiasz szóstkę, innym razem okazuje się, że kupon jest pusty. Czy są pieniądze ogromne, czy mniejsze – nie ma różnicy. Uczucie jest niezależne od stanu posiadania i jeżeli się pojawia, bierze górę nad rozumem. Nieprzypadkowo dojrzałym mężczyźni, doświadczeni i często znudzeni już lub rozczarowani związkami, wybierali młodziutkie kobiety. Ich brak doświadczenia i ogromny jeszcze apetyt na kolorowe życie,

podsycający z każdej strony przez wirtualny świat, kolorową prasę czy telewizję, był dla nich łatwy do zaspokojenia, zwłaszcza przy często nieograniczonych środkach. Narzędzia w postaci drogich gadżetów, bajkowych wakacji, wystawnych kolacji i zabawy w świecie nieosiągalnym dla nawet najlepszej studentki z przyzwoicie zarabiającej rodziny były wabikiem, marchewką i doskonałym atutem. Robiąc zakupy na Rodeo Drive w Beverly Hills i lądując z nimi w luksusowym hotelu, pod który wiozła je luksusowa limuzyna, a w którym konsjerż organizował im resztę dnia w spa, miały świadomość, że oto ich życie stało się bajką. Czy wieczorem w łóżku czekał książę? Zależy, jak na to spojrzeć. Jedne traktowały to jak wyraz wdzięczności, inne – rodzaj pracy... I co w tym złego? Były takie, które autentycznie się zakochiwały. Ktoś powie, że trudno nie zakochać się w takiej kasie, ale racja zawsze leży pośrodku. Genetyczne uwarunkowania, wzmacniane dodatkowo przez kulturę, sprowadzały kobiety do roli matki, założycielki gniazda, i nie należy się dziwić, że każda samica ma w sobie instynkt zapewnienia najlepszych warunków swojemu potomstwu. Szuka samca wyjątkowego, który będzie silny, mądry, zorganizowany i zapewni najbezpieczniejszy byt jej rodzinie. Status społeczny i majątek są doskonałym potwierdzeniem tych cech. Potrafił zdobyć to, czego innym się nie udało, więc jest najlepszy. Dlaczego moje potomstwo ma nie spędzać wakacji na prywatnym jachcie? Mężczyźni zakochują się w biodrach, ustach, oczach, nogach, bo mają spłodzić potomka, to ich instynkt. Aby mechanizm zadziałał, kobieta musi ich fascynować, podniecać, budzić w nich zwierzę, które zapoluje i przedłuży linię krwi. A kobieta? Musi przez dziewięć miesięcy tę krew nosić w sobie i fajnie, jeśli zamiast stać do późna w pracy z opuchniętymi nogami, spędza ten czas w spa, zapewniając życiu, które w sobie nosi, spokój, relaks i brak stresu. Czy musi być od razu pusta? Nie, wręcz przeciwnie. Ta, która myśli poważnie o gnieździe, musi mieć trochę oleju w głowie i inteligencję emocjonalną. Ta druga pomoże jej bardzo w przedłużeniu związku i utrzymaniu go na odpowiednim poziomie.

W miłości nie ma żadnych reguł. Podobnie jak w kwestii fascynacji. Czasem potrzeba odwagi i nieograniczonej wyobraźni, aby postawić na własną przyjemność i mieć w nosie, co sądzą o nas inni. Twoje życie i jego styl powinny dawać przyjemność właśnie tobie – bez wpasowywania się w normy społeczne czy obyczajowe. Bywało oczywiście, że trafiała się zła kobieta, która niszczyła mężczyznę, ale w konsekwencji przeważnie przegrywała. Dziecko jako karta przetargowa nigdy nie było kluczem do dobrego życia, a oszukany samiec – nawet jeżeli to dziecko pokochał – robił wszystko, aby as w rękawie matki jego dziecka okazał się zwykłą dwójką. Alimenty nie starczały na luksusowe życie dla dwojga, a pełnoletność potomstwa nadchodziła szybciej, niż młoda dziewczyna się spodziewała. Czas zabierał jej atuty zewnętrzne, a bierne oglądanie życia, którego kiedyś była częścią, skutecznie okradało ją ze szczęścia. Dziecko jako dorobiona karta do bankomatu to jednak słaby pomysł. Wygrywały tylko owoce prawdziwej miłości. A te zdarzały się nawet w tym świecie zawyłych układów opartych na uczuciach i pieniądzu. Bywało, że zamożni panowie kolekcjonowali kobiety jak dzieła sztuki. Nie mogli czy też nie chcieli wiązać się

na stałe, ale posiadali pokaźny album, który był dopełnieniem ich męskości. Prawdziwi koneserzy, którzy dla czystej przyjemności otaczali się wyjątkowymi kobietami. A unikat musiał spełniać konkretne warunki i miewał najwyższą cenę. Był trudny do zdobycia, ale i utrzymania. Szybko też niestety tracił na wartości, bo zdobyty przez jednego stawał się towarem z drugiej ręki. Chyba że następowało spektakularne porzucenie kolekcjonera, a wówczas kolejny samiec postanawiał zdobyć niepokorny unikat i utrzymać go aż do momentu, kiedy mu się znudzi. Główną bowiem cechą unikatów była jego świeżość na rynku.

Byli też gracze hazardziści. Przerzucali sporo kobiet, z góry zamykali serca, a otwierali rozporoki i portfele. Instynktownie unikali niebezpieczeństwa miłości i rozterek. Mieli bowiem zbyt dużo do stracenia i pilnowali się, by kontakt schodził do poziomu zabawy, mniej lub bardziej zaawansowanej. Tu nie było miejsca na miłość. To był targ z luksusowymi usługami wzajemnymi. Czy wszyscy płacili? Nie, bywało różnie. Byli też tacy, którzy obiecywali złote góry, role pierwszoplanowe w filmach, niedostępne kontrakty reklamowe i inne baśnie z *Tysiąca i jednej nocy*. Ta kategoria polowała na chybił trafił, często zaliczając puste przeloty, bo ich sława bajkopisarzy wyprzedzała ich, zanim pojawili się w towarzystwie. Jedyłą ich szansą był narybek, czyli świeże dostawy towaru – bo tak mówili o nowych dziewczynach przybyłych do stolicy. Warszawianki trudno było nabrać na ten cyrk. Jeżeli interesowało je takie życie lub potrzebowały zwyczajnie sponsora, to na starcie były bogatsze o wiedzę, gdzie, kto, jak i za ile. Unikały facetów bujających się ze stadem nowicjuszek i podpierających się cudzym autorytetem. Sami mężczyźni kompensowali swoje braki, szerząc opinie, że interesuje ich tylko nieprzeterminowany towar. Coś w tym przecież było. I nie wykluczało to pewnej szczodrości, bo jednak drobny gadżet był obowiązkowy, jeżeli dziewczyna tylko chciała. Budżet na takie wydatki zawsze był zabezpieczony. Były i takie, które również traktowały panów sportowo, bo emancypacja przesadnie zaawansowana pozwalała im chwalić się odhaczonymi koneserami piękna. One wchodziły do gry na wcześniej ustalonych przez mężczyzn zasadach – miały kasę, pozycję, z reguły nie zależały od nikogo i skupiały się tylko na własnej przyjemności.

Bogdan. W domu żona, pierwsza miłość jeszcze z liceum, i poczucie uciekającego czasu. Poczucie pustki emocjonalnej, obowiązek bycia świetnym ojcem i mężem, obowiązek zapewnienia rodzinie wszystkiego, co niezbędne – oraz zbędne. Włącznie z nadmiarem. Nadmiar bowiem także był paradoksalnie niezbędny. Tu musiało być na bogato, musiało kapać i kłuć w oczy innych. Był jednym z tych, którzy w odróżnieniu od Brunona obnosili się ze swoim stanem posiadania. Bruno miał słabość do architektury, rzeźby, malarstwa, ale nie wychodził z tym do świata, nie nosił pasków Gucci i garniturów szytych na miarę w światowych domach mody. Lubił luz, dobrą literaturę i dobre jedzenie. Lubił zegarki, ale tylko te domowe, stojące, najchętniej art déco. Nie miał nic przeciwko odmierzaczom luksusu na rękach kolegów, którzy wyznaczali ich ceną swój status, ale on nie czuł

potrzeby eksponowania bogactwa, a bogaty był nieprzyzwoicie. Może ten stan posiadania, faktyczny, a nie stworzony z fikcyjnych liczb i torebek przywożonych żonom z Tajlandii (aby poszerzyć ich kolekcjonerską pasję markowych gadżetów tanim kosztem), dawał mu pewność siebie? On miał i wszyscy o tym wiedzieli.

Bogdan był przy nim pionkiem, choć jeździł bentleyem i posiadał rezydencję w najmodniejszej dzielnicy Warszawy, a jego dzieci chodziły do najdroższej prywatnej szkoły. Miał na godne życie i kolekcję kochanek jak z najlepszej galerii sztuki współczesnej. Lista jego podbojów była imponująca pomimo mizernej postury i kilku mankamentów takich jak żona, dzieci i brak intercyzy, co oznaczało, że rozwód nie wchodzi w rachubę... zbyt duże straty. Bogdan był mikrego wzrostu, jakieś sto sześćdziesiąt osiem centymetrów. Rekompensował to sobie dużym zegarkiem za kilkaset tysięcy, czarnym centurionem o wysokim limicie i ullańską fantazją. Ważnym elementem był wysoki rabat w najdroższych butikach stolicy i Europy. Personel był na tyle świadomy i dobrze opłacany, że nawet nie mrugnął okiem, kiedy rano do butiku wchodził z jedną kobietą, a wieczorem z drugą. Żona zaglądała tam sama, więc tu przynajmniej nic nikomu się nie myliło.

Wybierał głównie początkujące modelki i aktorki. Pierwsze łowił na pokazach mody, które często sponsorował, a drugie na imprezach o wszelakiej tematyce: od promocji nowego modelu Ferrari po nowy model buta. Tu było mu łatwo. Przeważnie chodził w parze z podstarzałym, bardzo znanym reżyserem angażującym każdą ładniejszą dziewczynę do filmu. Mało która dochodziła do zdjęć próbnych, ale wszystkie miały nadzieję. Reżyser przeważnie również nie dochodził, choć też zawsze miał nadzieję... Przedstawiał Bogdana jako producenta, którym ten nigdy nie był, ale wspólnie doskonale odgrywali swoje role teamu światowego formatu poszukującego nowej gwiazdy. Za reżyserem stały dziesiątki lat kariery i kilka kultowych tytułów, a za Bogdanem – pieniądze, więc wiarygodność była oczywista, choć tylko dla nowicjuszek. Chętnych nie brakowało. Nie wszystkie były głupie i naiwne, na szczęście nie zawsze uroda wyklucza rozum. Była pewna niepisana umowa: nikt nikogo do niczego nie zmusza, a jak obie strony wyrażą takową chęć, to idą na całość.

Inne zasady panowały na zamkniętych dla ścisłego grona imprezach, podczas których wszystko było komercją, ale to już inna bajka. Klub na Mazurach, z dala od jakichkolwiek zabudowań. Wysoki mur, sztab ochroniarzy, a w każdą sobotę limuzyny jak z targów w Genewie, znikające co kilka minut za potężną bramą. Bogdan tu nie bywał, tu nie sięgał nawet jego portfel, a zegarek nie starczyłby na pokrycie miesięcznego wpisowego. Wiedział, że istnieje enklawa dla wybrańców, ale nigdy jej nie dosięgnął.



Anna wróciła do domu, kiedy Leon już spał. Mama tym razem nie była tak wyrozumiała i miała minę, której Anna bardzo nie lubiła. Czuła serie wyrzutów w powietrzu, więc szybko zaczęła się nerwowo tłumaczyć:

– Przepraszam, mamó, ale byłam w szpitalu, musiałam dłużej posiedzieć...

Matka przerwała jej w pół zdania:

– W co ty się pakujesz? Dzwoniła do mnie przerażona Stasia.

– Mamó, ta dziewczyna potrzebuje pomocy.

– Ale dlaczego ty? Przecież ona ciebie nie znosiła, upokarzała, a teraz jej pomagasz? Przecież to panienka lekkich obyczajów!

– Mamó, jestem zmęczona... Zaufaj mi trochę. Na początku też tak myślałam, ale sprawa jest bardziej skomplikowana. Pamiętasz, ile razy mnie uczyłaś, żeby nie oceniać ludzi, zanim ich dogłębnie nie poznamy? Otóż to jest taki przypadek. Magda w środku to mocno poraniony człowiek.

Twarz matki złagodniała nieco.

– Dobrze, połóż się spać, nie ma sensu, żebyś wracała do domu. Jutro sobota, Leon ucieszy się, gdy będziesz obok, jak wstanie.

Anna instynktownie przytuliła się do matki, co je obie mocno zdziwiło.

– Wiesz, mamó, dobrze, że cię odnalazłam... – powiedziała cicho.

Miała wilgotne oczy, serce zaczęło bić szybciej, ukłucie w brzuchu, ciężar na piersiach i ścisk w gardle powstrzymały dalsze słowa. Za to starsza pani wyszeptwała cicho:

– Ja też, córeczko, cieszę się z tego przebudzenia.

Anna chciała, żeby ten dzień się już zakończył. Weszła do pokoju i położyła się koło Leona, ale nie mogła zasnąć. Przed oczami przesuwiał jej się film, a obrazy czasem zatrzymywały się na moment jak kadry filmowe. Myśli przenosiły ją od Magdy do jej własnego życia. Życia, które gdyby nie ten mały człowiek obok niej, uznałaby za przegrane.

Miała wszystko, aby odnieść sukces, być znakomitym prawnikiem, spełnioną kobietą. Czy to jakieś fatum? Jakieś przekleństwo, klątwa rzucona na kobiety z jej rodziny? Czemu od początku czuła się nic niewarta, pusta w środku, przezroczysta? Czemu przyciągała ludzi i wydarzenia, od których zawsze chciała uciec? Od dziecka czuła się niepełna. Ubóstwo emocjonalne, pewien rodzaj odrzucenia czy też niewidzialności, jakie zafundowali jej rodzice, były dla niej barierą nie do pokonania. Pozornie silna,

zdeteminowana, zdolna i piekielnie ambitna, chciała pokazać całemu światu, że będzie kimś. W swojej bowiem ocenie do tej pory była nikim. Nie czuła miłości, nie miała wzorców. Wychowywała się w kwaśnej atmosferze poświęcenia matki i dziwactwa ojca. Kiedy zostały z matką same, czuła się winna. Czuła się winna wszystkiego złego, jej dziecięca głowa nie potrafiła tego inaczej zinterpretować. Gdy ojciec odszedł, prowadziła ze sobą karzące, surowe dialogi: może gdyby potrafiła odpowiadać na jego filozoficzne wywody, nic takiego by się nie stało? Bo miałyby w domu partnera do dyskusji? Nie miała prawa rozumieć pokrętnej logiki świata niedojrzałych dorosłych, świata opartego na chwilowych zachciankach i ukrytych emocjach. Świata, gdzie nie bierze się odpowiedzialności za własne decyzje, gdzie ktoś inny świetnie się bawi, lekko traktując nie tylko swoje, lecz także – co najgorsze – cudze życie.

Jej życiem zabawiał się mężczyzna, który okazał się dupkiem.

Żyjąca na marginesie emocji, karmiona jak rybki w akwarium, bez przytulania, bez jakichkolwiek cieplejszych uczuć, patrzyła, z jaką czułością matka pielęgnuje nieobecnego, niedostępnego emocjonalnie ojca. Będąc czasem w szpitalu w trakcie dyżuru, widziała, jak ciepło i z uśmiechem matka traktuje pacjentów. Kim więc była ta kobieta? Dzisiaj wie, że zwyczajnie, po ludzku, na własne dziecko nie starczało jej siły. Grała nierealne, perfekcyjne role, aby nikt jej nie zwolnił, nie porzucił, aby była potrzebna, niezbędna, niezastąpiona. Annie, która tak bardzo potrzebowała matki, nie dawała już miłości. Nie miała po prostu sił. Wiedziała przecież, że Anna jest i będzie, że ona jedna nie odejdzie.

W drugim pokoju nie mogła zasnąć matka Anny. Myśli miała takie jak córka, liczyła czas zmarnowany na nieważnych ludzi. Zastanawiała się, jak bardzo skrzywdziła własne dziecko. Gdzie byłaby dzisiaj Anna, gdyby przelała swoje uczucia na nią, zamiast darzyć nimi i pielęgnować obcego człowieka? Czy zdoła to naprawić? Czy uda się zaleczyć, zabiłżnić tę ranę w sercu dziewczyny? Czy zdąży jej pomóc odnaleźć siebie, siłę, sens do walki o szczęście i chęć do życia? Czy zdąży nauczyć ją i siebie prawdziwej miłości, która ma wymiar bezwarunkowy? Czy starczy jej czasu?

Annę obudziło głaskanie po głowie. Kiedy otworzyła oczy, mały mężczyzna siedział obok i czule ją przytulał.

– Wiesz, mamusiu, masz takie piękne włosy jak w bajce o Złotowłosej, którą pani nam czytała w przedszkolu. Czy ty dzisiaj nie pracujesz?

– Nie, Leosiu, dzisiaj mama ma wreszcie wolną sobotę.

Zanim Anna skończyła odpowiadać synowi, w drzwiach stanęła babcia ze śniadaniem na tacy.

– Mamo, a cóż to za okazja?

– A czy musi być okazja, żeby ktoś podał ci śniadanie do łóżka?

Matka uśmiechnęła się kolejny raz i wyszła. Leon pobiegł za nią, a za Leonem pobiegł kot. Anna wyciągnęła się na łóżku i patrzyła na pięknie zastawioną tacę z jedzeniem. Jej ulubione rogaliki z masłem i wiśniową konfiturą. Kiedy ostatni raz ktoś zaserwował jej takie śniadanie?

Musiała przyznać, że człowiek, który dzisiaj był jej wrogiem, niegdyś grał pierwsze skrzypce w jej życiu, troszczył się o nią, rozpieszczał i pozwalał odrobić wiele emocji z dzieciństwa, takich teoretycznie zarezerwowanych dla małych księżniczek. Dzięki niemu zanurzyła się w świecie marzeń, bez troski i rozkoszy tak cielesnej, jak i duchowej. Dla niego poświęciła siebie, choć bardzo długo nie zdawała sobie z tego sprawy. Myślała, że świat, który wokół niej stworzył, był jej światem, że studia, których tak naprawdę chciała matka, niczego w jej życiu nie zmienią. Kiedy więc jej książe musiał wyjechać na Sycylię z powodu śmierci ojca i przejąć jego biznes, pojechała z nim bez chwili zastanowienia. Matka prosiła ją, żeby nie rzucała nauki. Anna tłumaczyła, że to tylko przerwa, że jada na rok, a Robert wróci wkrótce do swojej kancelarii, tylko uporządkuje sprawy spadkowe i poukłada wszystko w firmie tak, aby nadal mogła funkcjonować. I fakt, wrócił na chwilę, później na dłużej i jeszcze dłużej, ale bez Anny. Nie widziała w tym nic złego, pracował w dwóch krajach. Chciał, by jego dom był tam, gdzie matka, o którą musiał się troszczyć. Anna okazała się doskonałą opiekunką dla starszej pani cierpiącej na początki alzheimera. Obie siostry Roberta robiły kariery prawnicze w Mediolanie i żadnej nie uśmiechała się kuratela nad chorą. Anna okazała się wybawieniem dla całej rodziny. Słabo mówiła po włosku, nie miała prawa jazdy, dlatego całymi dniami siedziała w posiadłości, do której przylegała stara, przekazywana z pokolenia na pokolenie wytwórnia wina i winnica. Głównym zarządcą był tam od lat młodszy brat ojca Roberta. Anna nie rozumiała, dlaczego Robert zaplanował przeprowadzkę do Włoch, skoro wystarczyło załatwić sprawy spadkowe i zostawić wujka w spokoju. Był od zawsze prawą ręką swojego brata i znał się na tym biznesie jak mało kto. Robert z pewnością nie mógł w niczym mu pomóc, wkrótce więc zaczął wyjeżdżać do Warszawy, a Annę zaczęły dopadać wątpliwości. Nigdy jej nie zabierał, tłumacząc to złym stanem zdrowia matki i jej przywiązaniem do dziewczyny. Starsza pani jedynie przy Annie była łagodna i w miarę spokojna. Pielęgniarki, które wspierały Annę, z podziwem patrzyły na Polkę, która miała w sobie tyle empatii i cierpliwości. Kiedy matka Roberta dostawała ataków hysterii i próbowała uciekać z domu, tylko ona potrafiła opanować sytuację. Robert to także doceniał.

Na swój sposób Anna lubiła jego matkę, czuła się jej potrzebna, a ta często się do niej przytulała, uśmiechała i bezwiednie głaskała po rękach, kiedy wieczorem siedziały w ogrodzie, słuchając cykad. Anna nie tęskniła za swoim domem, jej matka była dla niej instytucją, a nie bliskim człowiekiem. Tęskniła jednak za Robertem. Brakowało jej pędzącego życia, w które ją – dziewczynę z prowincji, studentkę trzeciego roku prawa na Uniwersytecie Warszawskim – wciągnął. Zrobił to jednym ruchem, który zapamiętała na zawsze. Historia jak z filmu klasy B – niestety prawdziwa.

Była piękna jesień. Anna wracała z uczelni do akademika i nie miała ochoty iść na autobus, nie miała też ochoty iść z koleżankami do baru na pierogi. Potrzebowała pooddychać coraz ostrzejszym powietrzem i pobyć sama ze sobą. Od dziecka przecież była swoim najwierniejszym towarzyszem. Lubiła marzyć, zaglądać na wystawy sklepowe, w okna restauracji, lubiła patrzeć na ludzi przy stolikach, rozmawiających ze sobą. Przyglądała się kobietom wychodzącym z zakupami z drogich butików. Były w tym takie naturalne, lekkie, szczęśliwe i spełnione. Większość miała blond włosy, gładko wypięłgnowane, i cieniutkie szpileczki na stopach. Unosiły się prawie w powietrzu, jakby nie dotykały ziemi. Były eteryczne, posągowo piękne i poza zasięgiem przeciętnego człowieka. Często chodziły parami i miały limuzynę z szoferem, który czekał na ich znak, żeby otworzyć drzwi. Niektóre miały ochroniarzy, dzielnie dźwigających za nimi torby, a innym pomagała obsługa sklepów. Żegnano je jak księżniczki, bo nimi były. Miały swoje ulubione knajpki, kawiarnie i często tam przesiadywały. Pora była jeszcze taka, że pewnie ich mężowie pracowali, a one rozkoszowały się chwilą. Anna marzyła o takim życiu, mimo że wiedziała, iż nigdy tego marzenia nie spełni. Tak więc podglądając je, czasem zapominała, że czeka ją jeszcze sprzątanie biur – musiała zarobić na swoje utrzymanie. Matka jej pomagała, ale życie w Warszawie do najtańszych nie należało. Nie lubiła swojego kierunku studiów, ale uczyła się sumiennie. Do czasu...

Tego dnia zatrzymała się przy wystawie perfumerii. Unikatowa w dzisiejszych czasach butikowa miejscówka, piękna perfumeria z egzotycznymi zapachami w kosmicznych cenach kusiła ją od dawna. Spojrzała na swoje buty, płaszcz i torbę... Nie odważyła się wejść. Przecież widać po niej, że nie kupi perfum za równowartość pensji swojej matki. Marzyła, żeby choć powąchać te wszystkie zapachy. Obawiała się sytuacji, kiedy to świetnie wyszkolona i doświadczona sprzedawczyni da jej do zrozumienia, że ten świat nie należy do niej. Stała tak jeszcze chwilę zatopiona w myślach, kiedy nagle zerwał się wiatr i zaczął kropić deszcz. Zanosiło się na burzę. Zaczęła biec, żeby nie zmoczyć pieczołowicie prostowanych rano włosów i zdążyć dobiec do przystanku, zanim jej głowa zamieni się w skupisko wijących się ośmiornic. Nie lubiła swoich loków, wystarczy, że polubiła ich miedziany kolor. Wpadła na wychodzącego równie szybko ze sklepu mężczyznę. Efekt nie był zamierzony, za to piorunujący. Anna wywróciła się na kwietnik, a jej niepraktyczny – jak go określiła matka – płaszczyk przestał być jednolicie kremowy. W tym samym momencie z nieba lunęła ściana deszczu i zanim Anna zdołała zebrać z ulicy rozsypaną zawartość torby, była już cała mokra. Nawet nie zauważyła, że do jej torebki część rzeczy pakuje męska ręka. Kiedy zrezygnowana stanęła i uniosła głowę, zobaczyła przed sobą Roberta. Bożyszczce uczelni i kawałka świata poza nią. Człowieka legendę, nieziemsko energetyzującego każdą studentkę. Stał równie mokry, jak ona, trzymał w ręku jakiś pokrowiec z ubraniem i patrzył na nią w osłupieniu.

– Przepraszam... – burknęła, choć chciała być miła.

Była tak zmieszana i zdenerwowana, że nie potrafiła opanować ani głosu, ani emocji. Raptem, kompletnie zaskakując samą siebie, rozpląkała się i zaczęła biec w stronę przystanku. Robert ruszył za nią, złapał za ramię i krzyknął:

– Dooookąd to?! Dziewczyno, zawiozę cię do domu! Dlaczego płaczesz?! Nic ci się nie stało?

Anna zupełnie niepotrzebnie pokazała mu ogromną plamę na płaszczu i rozerwany bok, którym musiała zahaczyć o betonowy kwietnik. Nie chodziło jej o płaszcz, choć go lubiła, wyszukała go w lumpeksie. Upolowała i zazdrościły jej tego skarbu wszystkie koleżanki. Miał markową metkę światowego domu mody i był ponadczasowy, a mimo swoich lat prezentował się doskonale. Ale te łzy to było podsumowanie jej życia w zestawieniu z perfumierią dla bogaczy, strachem przed wejściem i na koniec tym upadkiem w deszczu...

– Dziękuję, zaraz mam autobus... – Anna zaczęła się uspokajać.

– Widzę, że narobiłem trochę szkód, więc załatwimy to inaczej. Proszę ze mną.

Robert wziął Annę za rękę, przeprowadził przez ulicę na parking i wsadził do jakiegoś cholernie niewygodnego sportowego samochodu. Szyby zaparowały w mgnieniu oka, a Robert – zanim ruszyli – zaczął tłumaczyć się dziewczynie:

– Nie jestem porywaczem, nie napadam na kobiety. Moja karnacja to włoskie korzenie i nie należę do żadnej grupy terrorystycznej. Chcę pani pomóc. – Zaczął śmiać się serdecznie i zrobiło się jakoś tak ciepło mimo spływającej z nich obojga wody.

– Tak, wiem, jest pan moim wykładowcą.

– Niemożliwe!

– Dlaczego?!

– Nie mógłbym pominąć moją duszą i sercem konesera takiego dzieła sztuki!

Pomimo iż Anna wiedziała, że mężczyzna jest znany z takich tekstów i zachwyków, to poczuła dreszcze. Temperatura rosła, a razem z nią znikająca para na szybach auta.

– W takim razie, moja uczennico, jedziemy, bo oboje skończymy z zapaleniem płuc, tak tu parując.

Anna siedziała przestraszona, a zarazem podekscytowana. Miała mętlik w głowie. Cóż, była niedoświadczoną gąską z prowincji, pełną kompleksów i zamkniętą na miłość. Nie ufała mężczyznom, choć gdzieś głęboko bardzo chciała być kochana i... kochać. Tylko kto pokocha piegowatego rudzielca o obfitych piersiach i rozmiarze większym niż trzydzieści dwa? Komu spodoba ją się jej paraboliczne biodra? W modzie były modelki. Tu, w stolicy, ona ze swoim rozmiarem uczciwego S nie była w trendach. Tu musiało być XXS, wąskie biodra, blond włosy i biust niezbyt duży. Jeżeli duży, to silikonowy, sterczący, nabrzmiały. Cała reszta filigranowa, wręcz nierealna. Dziewczyny, żeby osiągnąć ideału i przejść się po wybiegu marzeń, jadły płatki kosmetyczne nawilżone sokiem owocowym. Popadały w bulimię lub anoreksję. Żadna nie przyznawała się do problemów z żywieniem, ale wszystkie startowały w różnych konkursach, castingach lub szukały szczęścia w modnych

nocnych klubach. Ktoś by pomyślał, że proceder nie dotyczy studentek, że tu mózg gra główną rolę, i grał! Stereotypy, że uroda nie może iść w parze z inteligencją, dawno przestały obowiązywać. Dożyliśmy czasów, kiedy dopiero obie te cechy, wysoko rozwinięte, gwarantowały spektakularny sukces. Te dziewczyny, które chciały zmienić swoje życie z prowincjonalnego na światowe i nie miały sponsora w postaci rodziców, inwestowały w siebie i czasem dopinały niezłe kontrakty. Mało który poważany biznesmen chciał afiszować się w towarzystwie partnerki bez obycia, kultury i wiedzy. Studentki były w modzie, a połączenie studentki z modelką czy miss piękności było kategorią najbardziej poszukiwaną. Oczywiście było też mnóstwo zwyczajnych szarych dziewczyn jak Anna. Nie kwalifikowały się w żadnych rankingach, przyjechały zdobyć wiedzę, wykształcenie i dobrą pracę. Awansowały, wychodziły uczciwie za mąż lub wiodły życie szczęśliwych singielek w świecie, w którym słowa „stara panna” przestały istnieć. Feministki uprościły rolę mężczyzn i usamodzielniały kobiety. Miało to swoje plusy i minusy, bo jednak bez względu na płeć i stan posiadania każdy gdzieś głęboko liczył na miłość.

I teraz właśnie Anna była w tym momencie, kiedy dreszcze i słynne stado motyli pojawiły się w jej brzuchu. Jechała sportowym autem, z głośników śpiewał Ramazzotti, pomalą zapadał zmrok, deszcz ustał, a mężczyzna obok był intrygujący w każdym calu, choć według swojej legendy niebezpieczny. Anna wiedziała, że mężczyzna może być nudny, niewidzialny, nieobecny jak jej ojciec – i wówczas może spodziewać się katastrofy. Ale ten był jak rteć, ten żył i zabierał ją właśnie do swojego życia, czego nawet jeszcze nie przeczuwała. Nie miała też pojęcia, że te motyle kiedyś okażą się zakamuflowanymi, niosącymi śmierć ćmami.

Anna wzięła sok marchewkowy do ręki i pomyślała, że nie obudził jej głos sokowirówki. Spała mocno, była kompletnie wykończona i czuła się u mamy bezpiecznie. Dziwne uczucie, którego prawie nie знаła. Prawie... cóż, to stworzone przez Roberta okazało się iluzją, kaprysem, grą na potrzebę chwili. Uśpiło jej czujność i doprowadziło do upadku. Ugryzła rogala i spojrzała na telefon. Włączyła dźwięk i odczytała esemesy. Wszystkie były od Magdy. Prosiła, żeby przyjechać do niej do szpitala. Później odwoływała grzecznie swoją prośbę. Następnie pisała, że Anna jest suką, dziwką i szmatą i ma jej nie nachodzić. Anna chwilowo nie mogła zrozumieć tej absurdalnej kaskady emocji. Po chwili namysłu zaczęła jednak podejrzewać niebezpieczeństwo. Nie mogła sama pójść do szpitala, więc szczerze wszystko opowiedziała matce.

– Zostań z Leonem, ja tam pójde i obadam sytuację. – Matka nie zastanawiała się długo i swoim zwyczajem – dla człowieka w potrzebie – zaczęła działać.

Anna nie mogła skupić się na zabawie z Leonem, więc włączyła mu bajkę, co robiła bardzo rzadko. Wystarczy, że ona wychowywała się przy telewizorze. Myśl o Magdzie i ewentualnym niebezpieczeństwie wzbudzała w niej panikę. Chodziła z kuchni do pokoju

i z powrotem. Żeby się uspokoić, zaczęła sprzątać czystą łazienkę. Wreszcie zadzwoniła matka:

– Zaraz przyjadę, wszystko jest okej. Resztę powiem ci w domu.

Anna usiadła naprzeciwko telewizora, w którym leciały kreskówki, nie widziała jednak nic. Na dźwięk klucza w zamku natychmiast znalazła się w korytarzu.

– Mamo...

– Spokojnie, daj mi usiąść, ciężko mi złapać oddech.

Anna zauważyła, że matka faktycznie nie najlepiej wygląda, co jeszcze bardziej ją zdenerwowało. Była bowiem przekonana, że w szpitalu coś się stało.

– Magda jest bezpieczna, ale jest przekonana, że ma podsłuch w telefonie. Ochroniarz tego człowieka przyniósł jej nowy aparat, wymienił kartę i powiedział, że ma być grzeczna. Ma zaprzestać kontaktu z tobą, bo jak coś wykombinuje, to ucierpi na tym dziecko.

– Leon?!

– Tak, Leon... – Matce zadrżał głos.

– Boże...

– W coś ty się, dziecko, wpakowała... – Rozpląkała się prawie, ale opanowała emocje, bo do pokoju wbiegł chłopiec z pajakiem na ręce.

– Babciu, babciu, Tymek znowu wyszedł z za szafy!

– Leon, zostaw to ohydztwo! Wyrzuć go do toalety! – krzyknęła Anna.

– Mamo, to jest pajak Tymek, a nie ohydztwo, i nie będę topił przyjaciela!

– Dobrze, to zabierz go stąd, bo ja nie chcę się z nim przyjaźnić. – Zrezygnowana Anna spuściła z tonu.

Leon pobiegł dalej oglądać bajkę, a kobiety patrzyły przez chwilę na siebie bez słowa.

– Dzwonię do Adama.

– A kim jest Adam?

– Świetnym policjantem.

– A skąd ty znasz świetnych policjantów?

– W szpitalach leżą różni ludzie.

Anna nie dyskutowała dłużej, a matka wybrała numer telefonu i poprosiła „świetnego policjanta”, żeby przyjechał.

– I on tak na twoje zawołanie, mamo... na twoją komendę się tu zjawi?

– Anno, tu nie ma miejsca ani czasu na sarkazm. Przyjaźnimy się, odkąd umarła jego matka. Długa historia, która pomogła mi także zrozumieć dramat naszej relacji.

Po krótkim czasie rozległ się dzwonek do drzwi, Anna poszła otworzyć. Zaskoczona, zobaczyła w drzwiach mężczyznę z autobusu, tego od komplementów.

– Dzień dobry, jestem Adam, ale my się chyba znamy? – Mężczyzna uśmiechnął się ciepło, a jego błyszczące oczy przyglądały się Annie badawczo.

– Tak, zapraszam.

– To wy się znacie?! – Zza pleców Anny dobiegł mocno zdumiony głos matki.

– Trudno to nazwać znajomością. Widzieliśmy się dwa razy w autobusie – wyraźnie zmieszana Anna nie wiedziała, co powiedzieć.

– Ale jakże to były piękne dwa razy!

Adam z rozbawieniem obserwował sytuację. Dziewczyna poczuła, że zaraz spłonie ze wstydu.

– Wejdz, chłopcze, dalej, bo Anna stoi jak słup soli i blokuje drogę.

Matka objęła córkę z uśmiechem i wszyscy poszli do pokoju. Kolejny dzwonek do drzwi. Tym razem to sąsiadka, która przyszła ze swoim synkiem zaprosić Leona do wspólnej zabawy. Szczęśliwy zbieg okoliczności, bo rozmowa mogła być swobodniejsza.

Kiedy Adam wysłuchiwał szczegółowej relacji, starsza pani patrzyła na nich nieobecny spojrzeniem.

– Mamo, gdzie jesteś? Reszta opowieści należy do ciebie, ty byłaś dzisiaj w szpitalu u Magdy.

– Tak, rzeczywiście, przepraszam, zamyśliłam się.

– Dziwnie wyglądasz. Źle się czujesz?

– Nie, córeczko, przepraszam, już jest wszystko dobrze.

Matka zaczęła opowiadać, a Adam na zakończenie głęboko westchnął.

– Tak... – Przyłożył ręce do skroni, przetarł czoło, poprawił mankiet w lnianej, podkreślającej karnację koszuli i wreszcie spojrzął na kobiety... kompletnie niezaskoczony. – Cóż, nie mogę zdradzić szczegółów, ale jesteśmy w toku śledztwa dotyczącego między innymi tych ludzi. Wasze informacje są bardzo cenne i musimy spotkać się na komisariacie.

– Ależ nie możemy! – Anna dosłownie podskoczyła na kanapie.

– Aniu, usiądź i nie krzycz – skarciła córkę matka.

– Jak mam nie krzyczeć, skoro Magdzie może stać się krzywda? A Leon? Czy ktoś pomyślał o moim synu?

– Aniu, wasze zeznania będą ściśle tajne i zapewnię wam ochronę. Magdy na razie nie będziemy w nic wtajemniczać, bo może wszystko zepsuć i rzeczywiście na tym etapie jest to niebezpieczne. Ty będziesz nam potrzebna najbardziej i chciałbym po konsultacji z szefem złożyć ci pewną propozycję. Na razie niczego się nie obawiaj, trzymaj się z daleka od tej dziewczyny, lecz wkrótce będziesz musiała podjąć ważną decyzję.

– Muszę to wszystko przemyśleć.

– To zrozumiałe. Daj znać, ale nie możemy zwlekać. I jeszcze jedno: sama nie jedź na komendę. Zabiorę cię do innego miasta, tam, gdzie jest kwatera główna. Tam możesz czuć się bezpiecznie. Tu niestety teren jest skażony. Muszę już iść, dziękuję za herbatę i czekam na telefon.

– Adam, a może zostaniesz u nas na obiedzie? – zaproponowała entuzjastycznie matka. – Będą gołąbki, już wczoraj wszystko przygotowałam.



– Aaaaa, to stąd ten zapach! Niestety nie mogę, mam sprawy służbowe. Ale kto wie? Może innym razem będę miał więcej szczęścia? – Mówiąc to, puścił oko w stronę Anny.

Dziewczyna znowu zadrżała w środku i okrutnie się zmieszała. Co jest, do cholery? Pomyślała o swojej słabości. Rozdział mężczyzn mam zamknięty!

Adam wyszedł, zostawiając za sobą zapach lekko korzenny z odrobiną drzewa sandałowego. Ten zapach także ją zirytował. Dawno nie czuła żadnych zapachów, choć świat dookoła przecież posiadał ich tysiące. Jej zmysły były zamknięte na bodźce, które chciała wymazać z pamięci. Usiadła na balkonie w rattanowym fotelu, okryła się kocem, wyczuwając nadchodzącą jesień, jej ulubioną porę roku. Z kuchni docierały zapach kapusty i dźwięki pewnej piosenki, której matka ostatnio często słuchała. Była to stara włoska piosenka...

Anna przymknęła oczy.

Kiedy znaleźli się pod jednym z najdroższych budynków Warszawy, przypomniała sobie, jakie legendy krążyły na uczelni o apartamencie Roberta. Wszyscy o tym mówili, choć nikt z opowiadających go nie widział. Podobno był cały czarny, z demonicznym czerwonym światłem w sypialni i kołyszającym się łóżkiem. Na ścianach miały wisieć obrazy nagich kobiet, namalowane specjalnie dla niego przez jakiegoś znanego włoskiego malarza. Podobno był też pokój rozkoszy z ogromnym lustrem i kamerami na suficie.

Robert sprawnie zaparkował i pomógł dziewczynie wydostać się z niewygodnego auta. Spojrzał na nią badawczo i uśmiechnął się jakoś tak dziwne.

– Takiej dawki uroku w jednym fizycznym ciele jeszcze nie doświadczyłem. Jesteś jak zjawisko, fatamorgana, kobieta Botticellego, nie możesz być realna...

Anna – skonsternowana ilością komplementów – założyła pasmo mokrych włosów za ucho i spojrzała lekko spłoszona na swojego wybawcę. Tymczasem on, niewiele sobie robiąc ze zmieszania dziewczyny, wciąż bacznie się jej przyglądał. W końcu poruszył głową, jakby budził się z letargu, i powiedział cicho:

– Nie bój się, żadna krzywda ci się nie stanie.

Pojechali windą na drugie piętro. Po drodze toczyli całkiem zwyczajną, można by rzec, banalną rozmowę o tym, że apartament nie jest szczytem luksusu, że Robert ma lęk wysokości i że w związku z tym wybiera niższe piętra. Nie byłoby w tym nic osobliwego – ot, zwykła rozmowa znajomych w windzie – gdyby nie ostatnie zdanie:

– Nigdy, przenigdy w przyszłości nie ciągnij mnie w góry.

„W przyszłości”. Anna w myślach powtarzała sobie długo te słowa... Przyszłość, czyli nie jest dziewczynką z zapałkami, którą ktoś przygarnął na chwilę, żeby później wyrzucić na pewną śmierć... w przyszłości. Nie mogła wtedy wiedzieć, iż śmierć na mrozie jest lekka w porównaniu z tą, o którą przyjdzie się jej otrzeć. Nic nie zapowiadało nadciągającego horroru. Robert otworzył drzwi, przepuścił ją przodem. Apartament był duży i bardzo jasny. W zasadzie dominującym kolorem był krem. Żadnych obrazów nagich

kobiet, same obrazy o dobrej kresce, raczej współczesne i niezbyt nachalne. Taki dekoracyjny punkt zaczepienia dla zmęczonych po całym dniu myśli.

Anna znała się na sztuce. Matka nie chciała słyszeć o akademii sztuk pięknych, uważała to za fanaberię i zawód, przy którym umiera się z głodu. Była niezwykle pragmatyczna i zawsze – także i tym razem – stawiała na swoim. Bezwolność Anny, a raczej jej uległość, była zarówno konsekwencją potrzeby świętego spokoju, jak i efektem strachu przed samodzielnym podejmowaniem decyzji. Sama skrzywdzona, matka nie zauważała potrzeb własnego dziecka.

Piękny szklany stół z nogami jak sople lodu i miękkie pluszowe krzesła w srebrnej oprawie robiły wrażenie chyba na każdym. Na podłodze gruby kremowy dywan zasłaniał dość osobliwy kamień, wyglądający jak kruszony z betonu w duże kawałki i układany w przypadkową mozaikę. Kanapa była tak ogromna, że mogło na niej usiąść z dziesięć osób, i kuchnia, w której prawdopodobnie nikt nigdy nie gotował... Ta ogromna przestrzeń łączyła pozostałe pomieszczenia.

Annie było zimno – stojąc pośrodku salonu, zaczęła się trząść.

– Widzę, że klimatyzacja działa. Wychłodziła apartament... może nawet za bardzo. Chodź do łazienki, wykąpiesz się, przebierzesz i wysuszysz włosy. – Mówiąc to, Robert nawet nie patrzył na Annę. Zachowywał się, jakby fakt, iż są tu razem, nie był niczym niezwykłym.

– W co się przebiorę? – przytomnie zapytała.

– Spokojnie, moja droga. Wszystko dostaniesz.

Weszli do łazienki wielkości małego mieszkania. Mężczyzna odkręcił wodę w wannie, zapalił świece, pokazał suszarkę, wyjął gruby kremowy szlafrok (raczej męski, ale to w tej chwili nie miało najmniejszego znaczenia) i – wychodząc – nalał do wanny płynu do kąpieli. Wkoło rozszedł się nieziemski egzotyczny zapach, pomieszanie paczuli, róży, orchidei i wanilii. Wychodząc, zgasił światło i rzucił:

– Miłego relaksu. Nie musisz się zamykać. Nie wejść, chyba że poprosisz. Aaaa... Byłbym zapomniał. Jeszcze muzyka.

Z głośników w suficie popłynął delikatny dźwięk harfy. Anna stała przez chwilę, zastanawiając się, co robi, dlaczego bez większego oporu weszła do domu obcego mężczyzny. Cóż – całkiem obcy nie był, ale niczego o nim nie wiedziała. Niczego prócz plotek, które na szczęście okazały się nieprawdziwe (tak sobie to wtedy tłumaczyła). Faktem pozostawało, że ta niezgodność realu z legendą przemawiała na korzyść Roberta. Zanim zaczęła się rozbierać, delikatnie przekręciła zamek w drzwiach. Tak podpowiadał jej instynkt. Powoli weszła do wanny. Poczowała ból. Zauważyła, że ma sine udo. To pewnie po tym upadku... pomyślała. Nie czuła się bezpiecznie, raczej... trochę dziwnie... jakby grała rolę w dobrym filmie.

Po kąpieli wytarła ciało, wysuszyła włosy (co zajęło jej najwięcej czasu), nałożyła szlafrok i stanęła przed ogromnym lustrem. Mozolnie prostowane włosy po zderzeniu

z deszczem wiły się i żyły własnym życiem, skóra zaróżowiła się pod wpływem emocji, a oczy... błyszczały niebezpiecznie. Czuła strach i ekscytację zarazem. Zdała sobie sprawę, iż to wszystko narusza zasady. Na stojącym wieszaku w kształcie kobiecego ciała wisiało jej ubranie. Brudne, mokre, kompletnie nie do użytku.

Wyszła z łazienki i speszona zapytała:

– Co mogę zrobić z moimi rzeczami? Są przemoczone i brudne. Może masz pralkę? Wypiorę je i jakoś wysuszę?

Anna miała oczy pełne łez. Szarpały nią sprzeczne, silne emocje. W co ja się wpakowałam? W co ja się wpakowałam? – powtarzała sobie w głowie jak mantrę. Robert podszedł do niej, objął ją ramieniem, poprawił kołnierz szlafroka i poprowadził na kanapę.

– Usiądź. Mam wszystko, co niezbędne, ale nie będzie nam to teraz potrzebne.

Przerażona Anna rozplakała się na dobre.

– Aniu! Dlaczego płaczesz?

Robert przytulił ją delikatnie, podał srebrne pudełko z chusteczkami, po czym wstał z kanapy. Z dużej skrzyni udającej ogromny puf wyjął miękki kremowy koc, okrył nim dziewczynę i poszedł zrobić herbatę.

– Jesteś głodna? – zagadnął. – Co ja cię pytam... Jest wieczór, pewnie nic nie jadłaś od rana, moja ty studentko. Dobrze, że jutro sobota. Może nie umrzesz na suchoty, idąc na wykłady.

Wziął telefon i zniknął w drzwiach łazienki. Anna, popijając herbatę, wodziła dookoła wzrokiem. Wszystko było sterylne, szkło błyszczało bez skazy, stojące ogromne lampy z kryształowymi abażurami rzucały cienie płatków śniegu na ścianę. Pierwszy raz widziała takie połączenie: nowoczesna stal z osadzonym na niej kryształowym abażurem. Zestawienie ciężkiego metalu i potężnych rozmiarów biżuteryjnej konstrukcji abażuru wydało jej się tak nieoczywiste, iż nie mogła od lampy oderwać wzroku. Kontemplację przerwał jej Robert, pojawiając się w drzwiach łazienki. Ewidentnie odświeżony, ubrany w czarny welurowy dres i takie same mokasyny. Mokasyny i bluza miały podobny haft, jakby... herb. Wyglądał imponująco, a co ważniejsze, nie był nagi ani w szlafroku.

– Wszystko załatwione, wkrótce cię nakarmię i ubiorę.

Roześmiał się po swojemu i nastawił głośniej muzykę. Nigdzie nie było telewizora.

– Masz telewizor? – zapytała Anna.

Nie mieściło jej się w głowie, iż w tak eleganckim lokalu nie było żadnego ekranu, żadnej plazmy czy choćby małego odbiornika.

– Nie mam, ale mam za to mnóstwo książek. Chcesz zobaczyć?

Nie czekając na potwierdzenie, wydobył Annę spod koca i poprowadził do sporej biblioteki. Ta nie była kremowa. Mahoniowe drewno i korzenny zapach przenikały wewnątrz. Zielone kamienne biurko i ogromny żyrandol wyglądały jak z innej planety. Robert usiadł za biurkiem. Światło stworzyło rodzaj aureoli nad jego głową i stojąca

naprzeciwko Anna z rozbawieniem zauważyła, że boski pierwiastek nieźle koresponduje z lekko demonicznym błyskiem jego oczu.

– Ciekawe zestawienie! – skomentowała odważnie, zupełnie zapominając o stresie, który jeszcze chwilę temu czuła.

– Czyli? – zapytał wyraźnie zaintrygowany, nie podnosząc się zza biurka. Sytuacja była iście jak z sali egzaminacyjnej.

– Ty siedzący za biurkiem w boskiej poświacie i z niebezpiecznym błyskiem w oku, a naprzeciwko stojąca kobieta w szlafroku z miną, jakby szła na szafot.

Robert spojrział przenikliwie i ciut niebezpiecznie, trochę jak dzikie zwierzę chwilę przed atakiem.

– Czyli diabeł i jego święte pokuszenie. Demon i anioł... Wyrok wydany, Anno... – bawił się słowami, był mistrzem tworzenia napięcia i całkowicie panował nad sytuacją.

W tym momencie rozległ się dzwonek. Czar prysł.

– Wyrok brzmi: idziemy jeść! – Roześmiał się gardłowo, rozładowując niebezpieczne napięcie.

Anna zdała sobie sprawę, iż coraz bardziej prowokuje los. Wyobrażenia niejedną raz podsuwała jej obrazy, zestawienia niebanalne tak w życiu, jak i w marzeniach. Do tej pory co bardziej barwne czy ryzykowne fantazje nie wychodziły poza jej głowę. Do tej pory...

Wróciła na kanapę, na której czuła się zdecydowanie bezpieczniej, a Robert poszedł otworzyć drzwi. Z korytarza dochodziły męskie głosy i do pokoju weszło faktycznie dwóch mężczyzn. Anna przez ułamek sekundy czuła się dziwnie, aż spostrzegła torby z zakupami i styropianową kapsułę z jedzeniem. Odetchnęła z ulgą.

Panowie czuli się jak u siebie. Jeden natychmiast udał się do kuchni, przyniósł talerze i sztuce, a drugi zaczął rozpakowywać kapsułę. Pierwszy doniósł wino i kryształowe kieliszki. Na srebrnej tacy ułożył drobne przekąski w postaci cieniutko spreparowanych surowych ryb i polał je jakimś sosem. Na drugiej, trochę większej, ułożył surowe warzywa pokrojone w długie cienkie paski, a obok ustawił kilka malutkich miseczek z sosami. Na kolejnej, jeszcze większej, wyłożył gorące owoce morza i ryby. Przykrył je srebrną pokrywą, otworzył wino i życzył smacznego.

Robert nałożył Annie kilka kawałków ryby, po czym podał szarmancko z zalotnym uśmiechem i miną małego łobuza. Miał w sobie coś z dziecka, pewien rodzaj przekornej beztroski. Emanowała z niego ogromna siła i ten rodzaj władzy, który jest w stanie podporządkować sobie ludzi bez większego wysiłku.

– Dziękuję, nie musisz mnie obsługiwać, sama sobie poradzę. – Anna ciepłym, acz zdecydowanym głosem skomentowała sytuację.

– Jesteś moim gościem. Moją księżniczką. Moją fantasmagorią i kobietą doskonałą. Moim objawieniem i fascynacją. Mam mówić dalej? – Zaczerpnął powietrza i kontynuował: – Teraz bardziej przyziemnie: a może zostaniesz... carycą na moim dworze? – Zrobił śmieszny minę. – Car ze mnie słaby, ale kochankiem będę wyśmienitym!

– Zarechotał. I kiedy Anna miała już zripostować jego zaloty, dodał odmienionym nagle głosem świętego: – I urodzisz mi, pani, gromadkę *bambini*. Rude piękne dziewczynki i silnych ciemnookich chłopców!!!

Tu było trudniej, bo ten tekst, podobnie jak słowo „przyszłość”, pogłębiał znaczenie sytuacji, zabierając jej frywolność. Anna rozmarzyła się, po czym natychmiast oprzytomniała:

– A ty tak zawsze na pierwszym spotkaniu wiesz kobiecie wianek na głowie? I gniazdo?  
– rzuciła kpiąco.

Dla Roberta cięta inteligentna riposta była dopełnieniem wizerunku antycznej bogini, jaki stworzył w swojej głowie. Była intrygująca w swoich piegach, rumieńcu, który czasem ją zalewał, i języku, który korespondował z niepokornymi włosami. Ogniste, wijące się figlarne pukle były zapowiedzią gorącego temperamentu. Ostry język tylko upewnił go w tym przekonaniu. Czyżby – zupełnie przypadkiem – los wrzucił w jego ramiona mieszanekę, o której zawsze marzył?

– Moja droga Aniu, czy Anno, jeżeli wolisz... Zwierzęta wybierają samice po zapachu, instynktownie. Nie chodzą na randki, do kawiarni i nie rozmawiają godzinami przez telefon. Ufam swojemu instynktowi i doświadczeniu. Wiele w życiu widziałem, a jeszcze więcej skosztowałem, jeśli wiesz, co mam na myśli. Fakt, czasem działałem po omacku, ale efekt zawsze był podobny. Im dłuższe studiowanie dzieła, tym więcej dostrzegasz wad... niemniej jak ktoś podłoży ci falsyfikat, to też wystarczy kilka rozmów, aby poczuć tandetę podróbki. Bywają, moja droga, jednak takie sztuki, kiedy patrzysz i wiesz, że musisz to mieć. Musisz posiadać, bo nic lepszego w twoim zbiorze się nie pojawi. I ty jesteś takim dziełem ostatecznym, jednym na milion.

Mówiąc to, był bardzo poważny, wręcz surowy, bez najmniejszej nuty ironii czy sarkazmu. Anna nie spodziewała się takiego obrotu sprawy. Uznała, że to swoisty hołd. Nie rozumiała, czym sobie zasłużyła na aż takie wyróżnienie, ale jakąś częścią siebie czuła, że jest w tym prawda. Dała się otumanić, oszukać, złapała się na lep słów, które bywają zwodnicze. Stan posiadania, bycie elementem zbioru – prawdziwe ich znaczenie zrozumiała niestety zbyt późno.

Jej komentarz nie odzwierciedlał myśli. Nie pokazała, że jego słowa otworzyły w niej przestrzeń nadziei, tęsknoty, dziecięcych niespełnionych pragnień... Odpowiedziała w tonie figlarно-patetycznym, dopasowując się do wypowiedzi Roberta:

– Mój carze. Wieść gminna niesie, iż na dworze twym dostatek dziewic wszelakich, a i chłopców precudnej urody. Któż w tej sytuacji, będąc panem świata, chciałby go zawęzić do jednej skromnej kobiety? – Mówiąc to, uczyniła zgrabny dyg, jak na damę tamtych czasów przystało.

– O pani – Robert nie wychodził z roli – mężczyzna, który zdobył, co chciał, a i zaliczał, co mu popadło, zapragnął właśnie pognać te legendarne dziewczki, by uhonorować w swoim życiu kobietę doskonałą. Pozwól, iż ją ci opiszę: zarysowane jak skrzypce ciało, rzeźbione

przez najlepszego wirtuoza – samego Boga, włosy niczym złote runo i oczy dzikiego kota z egipskich rubieży, który czuje instynktownie bliskość... rozkoszy, której nigdy wcześniej nie zaznał.

– Skąd wiesz, jak pod tym niekształnym szlafrokiem wygląda moje ciało? – przerwała mu Anna, przyglądając się badawczo jego twarzy.

– Widziałaś się w lustrze, jak poszłaś mokra do łazienki? Podarty płaszcz został w bagażniku, szłaś w samej cieniutkiej sukience. Zaufaj oczom konesera. Rzeźba jest moją pasją. Mam z niej doktorat. Nie wiedziałaś o tym, prawda? Tak więc nie samym prawem żyje prawnik, Anno! – Po czym znów wrócił do frywolnej narracji, przybierając pozę mówcy motywacyjnego: – Twoje naturalnie obfite piersi, nieskorumpowane konstrukcją damskiego nosidla, które to, o pani, nawet w formie czarnej koronki budzi we mnie obrzydzenie, pięknie falowały z każdym twoim ruchem. Widziałaś swoje dłonie? Spójrz na te długie palce wykończone naturalnie różowymi paznokciami. Zobacz swoje ciało, jego kolor, strukturę. Dotknij uda i sprawdź, jak w twoim wydaniu wygląda alabaster. Przejeźdź językiem po wargach tak nabrzmiałych jak czereśnie latem i pozwól im żyć miłością. Są stworzone do pocałunków...

Anna czuła ostre dreszcze, które nagle przeszły w ogień. Jej ciało dosłownie płonęło pod grubym szlafrokiem. Zaczęła mocno zaciskać dłonie, żeby nie rozerwać Robertowi ubrania. Chciała teraz i natychmiast zatopić się w jego ustach – źrenice rozszerzyły jej się niebezpiecznie, a serce waliło jak oszalałe. W uszach jej dziko szumiało, kompletnie nie rozumiała, co się z nią dzieje... Była dorosła, co prawda niezbyt doświadczona, ale miała za sobą swój pierwszy raz... i kilka kolejnych, lecz nigdy nie czuła aż takiego, wręcz zwierzęcego pożądania. Człowiek naprzeciwko obudził w niej nowy wymiar kobiecości. Przy nim bezwiednie stawała się kimś innym. Ostatnim błyskiem świadomości zarejestrowała, że stąpa po bardzo śliskim gruncie. Tyle że nie miało to już dla niej żadnego znaczenia. Świat zawirował. Krew pulsowała jak oszalała, oddech stał się krótki i przerywany. Jak zza szyby doszedł do niej głos Roberta:

– Marzę o tym, by mocno chwycić cię za włosy i napiąć twoje ciało tak bardzo, aż będziesz jęczeć.

Anna była jak w transie. Powoli wstała z kanapy, zdjęła szlafrok i zapominając o wszelkich konwenansach, dosłownie rzuciła się na Roberta. Nie mogła dłużej zapanować nad dzikim pożądaniem. Pragnęła przeżywać nadchodzącą w niej burzę i cudowne rozładowanie.

Robert wziął ją na ręce, zaniósł do sypialni i położył na łóżku. Jednym ruchem zdarł z siebie ubranie i przylgnął do Anny. Opętanie, jakie zawładnęło dziewczyną, mógł ujarzmić tylko rasowy diabeł. Walczyli długo w dziwnej ekstazie, kompletnie nowej dla obojga. Zasnęli nad ranem.

Około południa Anna otworzyła oczy. Do sypialni wszedł świeży, uśmiechnięty Robert z naręczem białych storczyków w jednej ręce i tacą w drugiej. Tacę postawił na stoliku

obok łóżka, a kwiatami dosłownie okrył Annę.

– Jak się spało? – I nie czekając na odpowiedź, kontynuował: – Będiesz moją żoną. A teraz zjedz śniadanie, weź relaksującą kąpiel i w ogóle czuj się jak u siebie. W salonie od wczoraj stoją najpotrzebniejsze ubrania i kosmetyki, a ja lecę na spotkanie. Nigdzie się nie ruszaj. Jak wrócę, pojedziemy na zakupy. A, jeszcze jedno: chwilowo znajdziesz tylko ubrania sportowe. Musimy to nadrobić, bo zabieram cię dzisiaj na kolację i do klubu.

Wyszedł, zostawiając Annę pod stertą odurzająco pachnących kwiatów i z poczuciem dziwnego odrealnienia. Sama sobie wydawała się kimś zupełnie innym, nieznanym. Nie było w niej pełnej kompleksów dziewczyny z prowincji. Obudziła się piękną, świadomą siebie kobietą.

Poszła do łazienki i stanęła przed ogromnym lustrem. Spojrzała na swoje nagie odbicie: dostrzegła wreszcie, że jej nogi są bardzo zgrabne, uda sprężyste, biodra pięknie zarysowane, cienka talia w zestawieniu z dorodnym biustem wydaje się prawie nierealna. Włosy zakrywające niemal połowę ciała wyglądały faktycznie jak z Botticellego, a oczy – patrzące odważnie – nie miały w sobie ani krzty lęku. Obejrzała dłonie i stopy, stanęła bokiem i oceniła z zadowoleniem pupę. Jedyne mankament – siniak na biodrze – był realnym dowodem na to, iż to wszystko jej się nie śni, a raczej przeżywa swoiste... zmartwychwstanie.

Niechętnie otworzyła oczy. Usłyszała dzwonek do drzwi i radosny głos wracającego od kolegi synka. Jedyna i niezaprzeczalna wartość, która pozostała po tamtym człowieku. Leon. Całą resztę w niej zabił. Wpierw dał jej nowe życie, wyzwolił z szarości i pozwolił uwierzyć w szczęście, by po czasie brutalnie zabijać, odcinając kawałek po kawałku świat, który sam pomógł zbudować. Anna wróciła do terażniejszości. Nie mogła przestać myśleć o Magdzie. Nie radziła sobie zupełnie z sytuacją – na nic nie miała wpływu, nie mogła działać. Czuła się osaczona przez brak kontroli. Zadziały stare mechanizmy obronne...

Wzięła ze stołu wizytówkę Adama i wybrała numer.

– Halo? Adam? Tu Anna. Jestem gotowa zeznawać.

W słuchawce zapadła głucha cisza.

– Adam? Słyszysz mnie? – Głos Anny łamał się niebezpiecznie, była na granicy płaczu.

– Tak... słyszę. – Mężczyzna odchrząknął głośno i spokojnym już tonem dodał: – Jest niedziela. Zgodzisz się, żebyśmy zrobili to jutro?

– Myślę, że nie można zwlekać. Poza tym chcę mieć to już za sobą. Więc tak, oczywiście będę gotowa jutro.

– Przyjadę po ciebie rano, około ósmej.

– Dobrze. Będę czekać. Do zobaczenia.

– Anno? Poczekaj, halo? Anno? – Adam nerwowo próbował podtrzymać rozmowę. – Pomimo sytuacji cieszę się, że cię zobaczę. Spędzimy trochę czasu razem.

– Zobaczymy... zobaczymy, czy uda się znaleźć choćby najmniejszy powód do radości – zakończyła Anna sucho i odłożyła słuchawkę.

Bruno zebrał szkło z podłogi i wsypał je do kosza. Drobiniki kryształu były jak jego rozbite myśli. Nie potrafił posklejać ich w całość, więc postanowił chwilowo wyrzucić do kosza. Sięgnął po telefon i wybrał numer Bogdana, który – o dziwo – odebrał.

– Przepraszam. Trochę mnie poniosło. Zaskoczyłeś mnie tym, że wszyscy wiedzieli o profesji Reginy. Wszyscy, tylko nie ja. Nikt nie lubi, jak robi się z niego błązna. Myślałem, że mój świat jest czysty, poukładany, nieskażony, a tu ukazuje się nagle zgnilizna i odór parazywego kłamstwa – wyrzucił z siebie jednym tchem.

– Stary. Przestań pieprzyć. Zabieraj tyłek i przyjeżdżaj do Czarnej Wdowy. Dzisiaj wieczór kawalerski Ryśka. Zapomniałeś? Po to także przyjechałem, żeby cię zabrać. Nikt



co prawda nie liczył na twoją obecność, ale jako kumpel wyczuwałem, że tym razem powinienem cię zmusić. – Bogdan całkowicie puścił w niepamięć ostatnią sprzeczkę.

– Wiesz co, masz rację. Pieprzyć to. Pieprzyć te wszystkie wymyślone zasady i świętości. Życie to nie film, tylko syf, kicz i targowisko próżności. Zaraz tam będę.

Zerwał się z fotela, wskoczył pod prysznic, wybrał z garderoby czarny garnitur, czarną koszulę, przekornie dorzucił do tego trampki i uśmiechając się do siebie, wyjął z sejfów jedyny zegarek, który miał. Kiedyś kupił go za połowę ceny od człowieka, który potrzebował szybko pieniędzy. Nawet połowa kwoty już powalała i gdyby nie chęć pomocy koledze, rozpaczliwie potrzebującemu gotówki, nigdy by pewnie w taki drobiazg nie zainwestował. Pospiesznie założył zegarek na rękę, wziął kluczyki od najmniej wygodnego, ryczącego szpanerskiego samochodu i zamknął za sobą drzwi. Dorośli i zarobieni chłopcy lubili bezużyteczne gadżety. Bruno taki nie był, to auto wymarzyła sobie Regina. Kiedy przeszła szczęśliwie pierwszy trymestr ciąży, dostała je na urodziny. Niestety, a może stety – jej stan nie pozwalał na jazdę szejkerem o grubości naleśnika, więc auto stało w garażu i czekało na poród. Auto, zegarek – atrybuty męskości. Czy Bruno ich potrzebował? Nigdy. Pomimo przeszłości czuł się spełniony bez szpanerskich zabawek, które kłuły innych w oczy. Ale dzisiaj stracił nie tylko wiarę, lecz także nadzieję. Nie musi już być normalny, nie chce być poukładany, nie czeka na żadną kobietę, nie wierzy w miłość! Teraz będzie jak zła pogoda, będzie nadciągał z hukiem silnika i zapowiadał tornado. Zegarek za milion złotych będzie odmierzał czas z zepsutymi kobietami, którym będzie płacił za seks. Nie ma już miłego romantyka, wierzącego w anioły. Zesłano go do piekła, więc dostosuje się do realiów i postara się świetnie bawić.

Przed klubem na chodniku stało kilka aut. Dostawił swoje tuż przed drzwiami, a ochroniarz, który wyskoczył, by zwrócić mu uwagę, zatrzymał się w pół kroku.

– Witam, panie Brunonie, dawno pana tu nie było!

– Witaj, jak widzisz, czas nadrobić zaległości.

Bruno szybko wskoczył do środka i poszedł prosto do VIP roomu. Zabawa trwała już na całego.

– Bruuunoooo! Co za niespodzianka!!! To ty? Człowieku! Nikt się ciebie tu nie spodziewał! Jak Bogdan powiedział, że wpadniesz, obstawialiśmy zakłady! – Rysiek poklepał kolegę po plecach, śmiejąc się głośno.

Rysiek – jeden z potentatów biznesu szeroko pojętego, lat około sześćdziesięciu, doskonały w swojej dziedzinie, do niedawna poukładany mąż, ojciec i dziadek. Uchodził za ostoję moralności i więzi rodzinnych. Wyżywał się w biznesie, nie chadzał do klubów, rauty i bale omijał szerokim łukiem, a te, na których bywać musiał, zawsze odwiedzał w parze z uroczą małżonką, tą samą od czasu studiów. Trudno mu było omijać okładki gazet, ale zawsze gościł na nich w kontekście osiągnięć biznesowych, nigdy plotek czy skandali. Tym większym szokiem okazał się jego romans, którym żył nie tylko biznes, lecz

także cała Polska. Milionerzy w dzisiejszych czasach są jak celebryci i budzą ogromne emocje. Ludzie chcą podglądać ich życie, znaleźć rozwiązanie magicznej zagadki, jak im się to udało, a każde potknięcie traktują jak własną wygraną. Media prześcigają się w donoszeniu czytelnikom czy widzom o kolejnych sensacjach. Paparazzi nie przestają śledzić, a czasem i zwyczajny Kowalski zyska kilka tysięcy, robiąc przypadkowe zdjęcie, kiedy to na jego drodze pojawi się znany celebryta w dwuznacznej czy też dziwnej sytuacji. Im większy skandal, tym większa wartość informacji. Udokumentowane zdjęcia kosztują krocie. Bywa, że najbardziej pikantne newsy nigdy nie przedostają się do mediów. Za gruby skandal na portal. I za duże ryzyko. Rysiek zaś na tyle stracił głowę, że jego żona zmuszona była przejść całą tę operę mydlaną w wydaniu brukowców drukowanych oraz cyfrowych, a w kolejnej fazie czytać o jego miłości dosłownie wszędzie. W konsekwencji popadła w ciężką depresję. Podobno wciąż się leczy i nawet spora część potężnego majątku nie jest w stanie poprawić jej samopoczucia. Zniknęła całkowicie z życia publicznego, zrezygnowała z funkcji prezesa swojej fundacji i nie schodzi z silnych leków. W najcięższych chwilach jej depresji media szykowały się na ślub stulecia, prześcigały w komplementowaniu przyszłej panny młodej i dywagacjach na temat podróży poślubnej.

Kim była nowa narzeczona? Nikim. Teoretycznie modelką. Skończyła biznes i zarządzanie, chodziła dobrze ubrana, miała markowe drogie dodatki. Mówiła, że prowadzi agencję nieruchomości, ale nikt nie wiedział, jak ta agencja się nazywa i co konkretnie sprzedaje. Bywała na stołecznych salonach, zawsze uśmiechnięta, miła, uczynna. Kiedyś, podczas jednej z imprez, Ryszardowi zginął telefon. Tamara zlokalizowała go w ciągu kilku minut, po czym ochroniarze przynieśli go razem z kelnerem, któremu przylepił się do ręki. Ryszard – urzeczony sytuacją i niewątpliwą urodą Tamary – podziękował, ale nie byłby sobą, gdyby zakończył sprawę bez żadnej zabawnej puenty. Wszyscy wiedzieli, że Ryszard ma ogromną łatwość do nauki języków obcych i znał ich przynajmniej kilka – w tym te egzotyczne. Ułatwiało mu to interesy na całym świecie, bo taki na przykład chiński w europejskim wydaniu niezwykle szybko otwierał w Państwie Środka serca tubylców. Ryszard często używał tego języka w ramach dowcipu. I podobny żart zrobił Tamarze – zwrócił się do niej w dialekcie mandaryńskim, podkreślając wymowę charakterystycznymi ruchami głowy i rąk. Jakie było jego zdziwienie, kiedy dziewczyna odpowiedziała błyskawicznie – także po chińsku! Był tak zaskoczony, iż bez chwili namysłu poprosił ją o rękę! Oczywiście żartując. Tamara podchwyciła dowcip i stwierdziła, że żonę jedną to on już ma, ale z pewnością nie ma tak doskonałej asystentki. Zostawiła mu wizytówkę, posłała buziaka i wyszła bez słowa. Rycho, człowiek czynu i sporej fantazji, natychmiast za nią wybiegł i wspomnianą pracę zaproponował od razu. Trzeba przyznać, że Tamara doskonale sprawdzała się w roli asystentki. Poniekąd trudno było dziwić się Ryśkowi, że jej perfekcjonizm i młode, a przynajmniej młodsze o dwadzieścia lat od żony ciało zaczęły mu przesłaniać rozum. Bomba wybuchła, kiedy do prasy ktoś sprzedał zdjęcie z rejsu po Morzu Śródziemnym.

Jakiś ktoś na innym jachcie musiał mieć niezły sprzęt i fart, aby dostrzec i uwiecznić ich namiętny pocałunek. Rysiek ze swoim ogromnym jachtem i takim samym brzuchem znany był w całej Europie. Tamara toples przytulała się do niego. Trudno mówić tu o przypadku, choć zdjęcia poszły na konto przypadkowego turysty. Dziewczyna potrafiła znaleźć telefon, biegle władała chińskim, rosyjskim, angielskim i niemieckim, latała na paralotni i nawet zmieniała wyznanie, bo Rysiek był żydem, a drugi dom miał w Izraelu. Wszyscy się domyślali, że ta wysoka ponętą blondynka o twarzy i manierach anioła potrafi przekupić nawet FBI, a co dopiero poinformować zaprzyjaźnionego fotoreportera, gdzie ma płynąć i o jakim czasie. Pewnie jacht i załogę dla jego wygody także zorganizowała. Temat się wylał, Rysiek wynagrodził szczerze straty żonie (nie przewidział tylko, że dla niej skończy się to ciężką depresją), przeprowadził szybki rozwód, po czym z całkowitym spokojem poddał się kolejnym planom swojej asystentki. Jednym z nich był ślub.

Na kawalerskim nie zabrakło także adwokata diabła, specjalisty od trudnych i drogich rozwodów. Jednego z gorszych typów, jakie nosiła ziemia, niejakiego... Roberto.

Roberto. Ten sam, który kiedyś na imprezie na Sardynii pojawił się z kobietą zjawiskiem. Wieść niesła, że wywiózł ją do Włoch na dobre i słuch o niej zaginął. Piękny Roberto wiał się jednak nadal po stolicy, skubiąc co lepsze kąski z ludzkich klęsk i skandali. Zawsze był po ciemnej stronie i zawsze wygrywał. Podobno ostatnio widywano go w towarzystwie sporo starszej kobiety i nikt nie mógł zrozumieć, na czym ten układ polegał. Dzisiaj był sam. Brylował oparty nonszalancko o dwie brunetki, wyglądające jak żywcem wyjęte z rewii paryskiej. Okazało się, że dzisiejsza noc jest wyjątkowa, a prezent od kolegów to pełen skład tancerek prosto z Paryża. Język francuski był dla Ryśka jak muzyka. Razem z Bogdanem odliczali kolejne butelki szampana, które wносиły zamiast kelnerek wspomniane tancerki. Każdy gość dostawał butelkę Dom Pérignon w pakiecie z osobistą tancerką. Na koniec ze specjalną złotą butelką wkroczyła Tamara. Ku zaskoczeniu wszystkich panów była przebrana za tancerkę. W kuluarach rozeszła się wieść, że to ona zorganizowała przyjęcie. Była rzeczywiście perfekcyjna, pomysłowa i zapobiegliwa. Wiedziała z doświadczenia, że Ryśkowi wystarczy bystry intelekt, cięta riposta oraz znajomość języków obcych i... może nie dojść do ślubu.

Klub był zamknięty, więc wszyscy czuli się swobodnie. Niepisany kodeks regulował zwyczaje. Nikt po wyjściu z imprezy nie komentował, nie przysyłał zdjęć, nie udostępniał kontaktów. Cokolwiek się tam wydarzyło, zawsze pozostawało za zamkniętymi drzwiami. W klubie było kilkanaście luksusowych apartamentów, nieźle ukrytych i strzeżonych przez zaufaną ochronę. Kto chciał, mógł skorzystać.

Bruno obudził się z potężnym bólem głowy i obcą kobietą u boku. Jak to się stało, że znalazł się z nią we własnym apartamencie – zupełnie nie pamiętał. Wszystko, co świtało mu w głowie z ostatniej nocy, to to, iż w końcu zmienili klub – wszyscy poszli do Perły, kiedy razem z Ryśkiem i Tamarą zniknął szwadron francuskich tancerek. Bo główny

bohater imprezy został zabrany do domu przez przyszłą żonę. Tamara doskonale wiedziała, kiedy Rysiek powinien opuścić nawet najlepszą zabawę, i miała na to swoje magiczne sposoby. Dziewczyna zawsze była przytomna i skutecznie unikała skandali. To, co się działo od miesięcy wokół niej w mediach, uważała raczej za nobilitację oraz zwyczajną kolej rzeczy. Nie miała żadnych wyrzutów sumienia w stosunku do byłej żony Ryśka oraz nie spędzał jej snu z oczu fakt, iż trójka jego dzieci serdecznie jej nienawidziła. To był ich problem. Pod Warszawą trwała budowa imperium. Była ona wynegocjowanym zapisem przedślubnym, rekompensatą za intercyzę, do której podpisania namówił Ryśka jego prawnik. Po ewentualnym rozwodzie lub zgonie męża miała dostawać dożywotnio pięćdziesiąt tysięcy miesięcznie, tyle samo na ewentualne dziecko. Posiadłość pod Warszawą i luksusowe spa również miały pozostać własnością Tamary. Wszystko to w najwyższym standardzie, z lądowiskiem dla helikopterów i prywatnym konsjerżem.

Miała także apetyt na własny program telewizyjny, taki o metamorfozach. Od jakiegoś czasu ambitnie działała w temacie. Wszystko układało się znakomicie, bo majątek i kontakty przysłego męża były kluczem do wielu drzwi. Pomimo tak zwanego bojkotu pierwszych żon z towarzystwa nawiązywała nowe kontakty i relacje biznesowe. Reszta świata miała świadomość, że sprzyjając jej, może pomnożyć swój majątek i koneksje. Podlizywali się więc wszyscy. Dziennikarze z zachwytem pisali o jej urodzie i głowie do biznesu, jednocześnie przyjmując markowe prezenty. Pojawiała się wszędzie. Była uosobieniem sukcesu w istic amerykańskim stylu. Choć mało w tym Ameryki i słynnego od zera do milionera. Tamara bowiem nigdy nie była biedna. Świetnie wykształcona, pochodziła, można by rzec, z robotniczo-chłopskiej rodziny. Ojciec – stary cinkciarz i mitoman – przebrał się w nowych czasach za hrabiego, dorobił sobie herb, historię i domalował kilka obrazów przodków na swoje podobieństwo. A jako że sam nie miał kręgosłupa moralnego, był dumny ze sprytu oraz błyskotliwej kariery córki. Dla niego i matki Tamary jedyną wartością był pieniądź. Mówiło się czasem, że kobieta jest powiązana ze służbami i odkąd towarzyszy Ryśkowi, jego interesy ze Wschodem faktycznie mocno się rozwinęły. Te języki... sport we krwi, umiejętność logicznego myślenia, zdolność błyskawicznej analizy i syntezy oraz żelazna samodyscyplina dawały do myślenia.

Bruno na swój sposób lubił Tamarę, bo nie udawała słodkiej idiotki i nigdy nie owijała w bawełnę. Szła jak po swoje i otwarcie o tym mówiła. Negocjowała wszystko. Kiedyś Ryszard w przypływie szczerości i po nadmiarze wina zapytał ją publicznie, czy byłaby z nim, gdyby był biedny. Kobieta odpowiedziała: „A gdybym ja była stara i brzydka, czy wtedy też byłbyś ze mną?”.

Bruno nie czuł się najlepiej. Sytuacja była cokolwiek niezręczna – od jakiegoś czasu unikał przypadkowych kontaktów i poranków połączonych z kacem oraz niezręcznym

milczeniem. Nie lubił nie pamiętać. Nie lubił pijackiego zakończenia wieczoru i brudnego seksu z przygodną panienką lekkich obyczajów.

W tym momencie dziewczyna odwróciła się na drugi bok, twarzą do niego. Spała nadal, ale... znał tę twarz. Znał ją z gazet, z jakichś reklam, była z jakimś aktorem czy dziennikarzem. Średnio orientował się w tym świecie i notorycznie mylił nazwiska, ale ta twarz była mu znana. Pomimo wieku i doświadczenia poczuł zmieszanie, nie lubił takich klimatów. Wstał i poszedł do łazienki. Kiedy wrócił, dziewczyna siedziała naga na łóżku, uśmiechając się zalotnie.

– To jak, mój kocurku? Bawimy się dalej? – zaszcebiotała.

– A w co, kociczko? – próbował wczuć się w rolę, choć średnio mu to wychodziło.

– Nooo jak to? Umówiliśmy się na dwa razy. Pierwszy chyba zaliczyliśmy z sukcesem? Teraz ten drugi, poranny.

– Jaki poranny?

Bruno był kompletnie zdezorientowany, ale dziewczyna nie dawała za wygraną.

– No to może najpierw wezmę prysznic i wrócimy do tematu.

Podniosła się i przeciągnęła jak rasowa kotka. Zdając sobie sprawę z wrażenia, jakie robi na mężczyznach, przeszła sprężystym krokiem po sypialni. Kiedy zamknęła drzwi łazienki, Bruno zaczął nerwowo szukać w głowie jakiegoś punktu zaczepienia. Niestety nic nie pamiętał. Wejście do klubu, mnóstwo ludzi, Bogdan z naręczem kobiet, jakieś trunki... i dalej nic. Zaczął szukać w telefonie śladów pamięci, ale jedyny numer, który wybrał ostatnio, był numerem jego ochroniarza. Na szczęście zachował na tyle przytomności, żeby nie kierować autem osobiście.

– I jak, kocurku?

Kobieta wyszła z łazienki wciąż zupełnie naga i usiadła mu na kolanach. Poczuł niesmak. Odsunął delikatnie jej ręce i wydukał zrezygnowany:

– Przepraszam, ale nie mam nastroju... jestem... zmęczony.

Kończąc zdanie, zsunął ją z kolan. Wstała, wyprostowała się, skrzyżowała ręce na piersiach i spojrzała mu w oczy.

– Ty serio nic nie pamiętasz.

– Nic... – przyznał Bruno.

– No tak. Mogłam się tego spodziewać... Kto teraz mi zapłaci?

– Że co?

– Zapłaci. Umawialiśmy się na dwa numerki. Jeden do poduszki i drugi na przebudzenie. Miało być razem dwadzieścia tysięcy. Powinnam zadzwonić po Roberta?

– Po kogo?

– Po Roberta, twojego znajomego prawnika... Przypominam, na wypadek gdybyś tego też nie pamiętał.

– A po cholere ci Robert?

– Podpisałeś umowę. Robert ma dokumenty.

– Jaką umowę? Co ty, dziewczyno, szyjesz?

Bruno poczuł, że grunt pali mu się pod nogami. Nie wiedział, co i jakim tytułem podpisał. Nie wiedział, czym to może skutkować. Stopniowo narastający gniew oraz silny kac nie pozwalały mu jasno myśleć.

– Ja? Jak to powiedziałeś? Szyję?! Robert mnie uprzedzał, że mam wziąć z góry, ale nie chciałeś jechać do bankomatu. Podpisałeś więc u Roberta kwit na usługi domowe: sprzątanie, pranie, gotowanie. Wyceniliśmy pucowanie twoich dzieł sztuki na dwadzieścia tysięcy. Dwa razy po dziesięć.

– Dobra. Dzwonię do Roberta.

Dziewczyna usiadła na łóżku i sięgnęła po telefon. Wybrała jakiś numer:

– Robert? Ten palant nie chce mi zapłacić... Okej, już ci go daję.

Poirytowana podała telefon Brunonowi.

– Nooooo, Bru, kochany, usługa czyszczenia dzieł sztuki wykonana, a ty nie chcesz wyłożyć banknotów? Chłopie... mamy dokument i zdjęcia okolicznościowe. Chyba nie chcesz, żeby przedostały się do prasy?

Zapadła ciężka, pełna napięcia cisza, którą skończył krzyk Brunona:

– W co wy, kurwa, gracie?! W co próbujecie mnie wrobić?

– Stary, w nic. Kompletnie. To był twój wybór. Jest umowa o dzieło, podpisałeś z góry wykonanie i odebrałeś fakturę. Płacisz dzisiaj albo będą wysokie odsetki. I jeszcze jedno: nie mów mi, że masz problemy finansowe. – Spokojny głos Roberta nie pozostawiał wątpliwości co do egzekucji należności.

– Ja, kurwa, śnię. Robert, ty mendo! Podła, pierdolona gnido! Nigdy więcej nie zlecę ci żadnej sprawy! Nigdy...

Bruno wrzasnął i rzucił słuchawką. Po chwili na jego komórkę przyszło zdjęcie umowy i kilka zdjęć z dziewczyną. W końcu sobie przypomniał, gdzie widział ją ostatnio. Reklamowała ciuchy dla młodzieży, była na billboardach w całej Polsce. Wybrał numer mecenas-alfonsa:

– Słuchaj, palancie. Tu nie chodzi o te marne dwadzieścia tysięcy, tylko o sposób, w jaki je zarabiacie. Zapłacę tej medialnej kurwie, a ty... Ty więcej się do mnie nie zbliżaj. Ani ty, ani twoje dziwki! – Sam nie wiedział, co chciał osiągnąć tą rozmową.

– Jeszcze wczoraj byłeś zachwycony perspektywą czystej płatnej miłości, zakresem ryzyka i ceną. Za zero ryzyka i towar z najwyższej półki cena adekwatna. Przypominam ci, że dostałeś zniżkę, bo twierdziłeś, że interesują cię stałe zlecenia. – Głos w słuchawce ani na chwilę nie wypadł z zimnego, rzeczowego tonu.

– *Fuck you!!!*

Bruno rzucił telefonem na łóżko i podszedł do sejfu. Wyjął kasę i wsadził dziewczynie dwadzieścia tysięcy do torebki leżącej koło łóżka, po czym wziął torebkę i dziewczynę za przedramię i silnym ruchem wyrzucił za drzwi. Nikt na tym piętrze poza nim nie mieszkał.

Zupełnie naga i zaskoczona „gwiazda co najmniej medialna” zaczęła dobijać się do drzwi. Zebrał jej ubranie z podłogi, znalazł tylko jeden but, po czym wyrzucił wszystko na środek korytarza. Niezrażona kobieta wciąż ambitnie próbowała dostać się do środka. Bruno – wściekły – odepchnął ją silnym ruchem i zatrzasnął drzwi.

Matko kochana, nawet kurwy są... kurwy... – pomyślał bez sensu i schował głowę między kolanami. Ból porażki z Reginą wrócił ze zdwojoną siłą. Okazało się, że plaster, po który wyszedł wieczorem, rano okazał się kwasem solnym na zbyt świeżą ranę.

Resztę niedzieli Anna postanowiła spędzić z synem i matką. Po obiedzie cała trójka poszła do parku pokarmić kaczki. Leon podskakiwał radośnie i wymachiwał rękoma, udając, że ma skrzydła i lata.

– Mamo, mamó! Zobacz! Jestem kaczką!

– Chyba kaczoem, synku!

– Mamo, nie kaczoem, bo kaczo jest stary!

– Leonku: kaczki to dziewczynki, a kaczoorki to chłopcy. – Anna się roześmiała.

– A to będziesz dzisiaj miała dziewczynkę – kaczkę zamiast synka!

Anna uśmiechnęła się i wzięła matkę pod rękę.

– Wiesz, mamó, taka zwyczajna niedziela, a jednak wyjątkowa. Może pójdziemy do kina?

– Kino, kino, kino! – Leoś wychwyił z całej rozmowy tylko to, co było dla niego ważne. – W przedszkolu Asia mówiła, że grają *Rybki z ferajny!* Babciu, babciu, pójdziemy do kina?

– Oczywiście!

Matka i córka popatrzyły z miłością na chłopca i całą trójką ruszyli w kierunku galerii handlowej, gdzie mieściło się kino.

A potem były naleśniki na kolację w małej sympatycznej restauracji. Leon po wejściu do domu padł na łóżko i zasnął w ubraniu snem kamiennym. Anna przebrała go śpiącego w piżamkę, pocałowała w czoło i poszła dotrzymać matce towarzysztwa. Ta nerwowo czegoś szukała w szafce nocnej. Na widok Anny próbowała opanować zdenerwowanie.

– Mamo, co się dzieje?

– Nic, córeczko. Zupełnie nic...

Matka rzadko tak ją nazywała. Była córką, Anną, kochaniem, ale nie córeczką. Kolejny raz. Kolejny raz w ciągu kilku dni została nazwana córeczką. To mogło budzić niepokój.

Zauważyła, że ręce matki drżą, a na twarzy pojawia się dziwny skurcz, z którym matka usilnie walczy, starając się przywołać uśmiech.

– Mamo, przecież widzę... – nie dawała za wygraną Anna.

– Zmęczona jestem. Doszły nerwy, martwię się o ciebie, Leona i całą tę sytuację. – Matka nieudolnie próbowała wymigać się od odpowiedzi.

– Mamo, ze wszystkim damy sobie radę. Jak zawsze. Obiecuję być ostrożna i mądra, obiecuję poszukać innej pracy i nie mieć z tymi ludźmi więcej do czynienia, ale teraz... Teraz muszę pomóc Magdzie. Ty powinnaś rozumieć to najlepiej. Ta dziewczyna przeszła w życiu piekło i ono wciąż trwa. Wierz mi, wiem, co ona czuje. Strach zabija najskuteczniej. – Anna wzięła matkę za drżące ręce i przytuliła mocno. – Nie martw się – powtórzyła i spojrzała jej głęboko w oczy.

– Dobrze, dobrze... Idź spać, a ja wezmę tabletkę od bólu głowy i może też usnę.

Anna poszła jeszcze posiedzieć na balkonie. Zapaliła świece i owinięta kocem, przypomniała sobie wieczory na Sardynii i tamtą kobietę, która miała być jej drugą matką.

Siadały wieczorami w ogrodzie, Anna czytała głośno polskie książki, a kobieta uśmiechała się, tak jakby wszystko rozumiała. Raz nawet wydawało się, że płakała, kiedy czytany fragment był naprawdę smutny. Język polski był w tym domu rzadkością, a ona podobno bardzo tęskniła za Polską. Tam się przecież urodziła, wychowała i poznała swojego męża. Mąż był rodowitym Włochem, obdarzonym temperamentem i walecznym sercem. Kilka lat zabiegał o jej względy, ale nie chciała opuścić rodziny i kraju. Wreszcie uległa. Choroba przyszła dość szybko, ale długo udawało się utrzymać ją w ryzach. Kiedy zmiany były już nieodwracalne, mąż okazał się dobrym opiekunem. Jego jednego poznawała i od niego nie uciekała. Gdy zmarł, nikt nie potrafił opanować coraz częstszych ataków złości, paniki i płaczu. Nikt poza rudą dziewczyną z Polski. Starsza pani często bawiła się włosami Anny, zaplatając z nich warkocze, czesząc, a czasem niestety szarpiąc nerwowo. Miała na tym tle dziwną fiksację. Potrafiła wyć całymi nocami, zdzierać z siebie ubranie, wywracać sprzęty, a na widok Anny uspokajała się i tuliła nieporadnie jak małe dziecko. Anna była świadoma, iż postępująca latami choroba poczyniła spustoszenie w psychice i organizmie staruszki. Szczerze jej współczuła. Po każdym ataku tak długo zostawała przy starszej pani, aż ta spokojnie usnęła. Czasem usypiały razem w jednym łóżku. Robert doceniał zaangażowanie Anny, a przynajmniej tak jej się wtedy wydawało... Nie zdawała sobie sprawy, że to poświęcenie, które ona uważała za oczywiste, będzie pretekstem do zakończenia ich relacji. Nie zdawała sobie także sprawy z tego, iż temu uwikłaniu daleko jest do prawdziwej miłości.

Obudził ją intensywny zapach kawy. Za oknem cieszył oczy piękny dzień, choć wczoraj zapowiadali deszcz. Wyszła ostrożnie z łóżka, nie chciała obudzić synka. Leon spał z nogami na poduszce i Anna już wiedziała, dlaczego śniła się jej ostra walka na śnieżki... Delikatnie przykryła stopy synka kocykiem i poszła do kuchni. Matka siedziała przy oknie, machinalnie obrywając suche listki aloesu i paprotek równo ustawionych na parapecie.

– Dzień dobry, mamo. Jak się czujesz? Odpoczęłaś choć trochę? – siliła się na beztroski i pogodny ton.



– Dobrze, kochanie. Na stole pod kloszem masz rogalę i sok w lodówce. Może zrobić ci jajecznicę?

– Nie, dziękuję... Nie mam jakoś apetytu. Stresuję się dzisiejszym dniem, tą sytuacją, która mnie czeka... Poza tym mam zdrowe ręce, zdrową głowę... Leon jest zdrowy, ty jesteś zdrowa – to daje mi siłę.

Matka uśmiechnęła się i pogładziła córkę po głowie, choć sama była porządnie zdenerwowana. Nie chciała jednak tego po sobie pokazać i dodatkowo niepokoić Anny. Aby dodać jakoś otuchy córce, przekierowała rozmowę na Adama:

– Adam to dobry człowiek, bardzo empatyczny i kulturalny. Z pewnością nie pozwoli zrobić ci krzywdy. Często z nim rozmawiałam, jak jego matka odchodziła w szpitalu. Przychodził do niej codziennie, nawet jak nie było z nią kontaktu ani żadnej nadziei na wyleczenie. Mówił do niej, głaskał ją, uspokajał. Kiedy umarła, przyniósł kwiaty i powiedział coś, co dało mi mocno do myślenia, a w efekcie poniekąd przebudziło. Jemu zawdzięczam, że spojrzałam na nasze życie i relacje z innej perspektywy.

Annę z całej tej przemowy najbardziej zainteresowało ostatnie zdanie.

– Co takiego powiedział?

– Innym razem ci opowiem. Teraz się szykuj, bo za chwilę powinnaś wychodzić.

Anna spojrzała na zegarek. Faktycznie musiała się zbierać. Żałowała, że nie zaszła wczoraj do swojego mieszkania, żeby wziąć jakąś ładniejszą sukienkę. Pomyślała jednak zaraz, że może jednak dobrze się stało. Nie powinna – dla własnego dobra – stroić się dla kolejnego mężczyzny. Wskoczy w dżinsy, koszulkę i szary sweter. Włosy zebrała gumką i poszła pożegnać się z matką.

– Aniu? A ty co tak się ubrałaś? Wyglądasz, jakbyś szła do pracy do magazynu... Zdejmij chociaż ten okropny sweter. Weź z mojej szafy ten szmaragdowy. Będzie pięknie pasował do twoich włosów. I na miłość boską, zdejmij tę gumkę! Wyglądasz jak mniszka!

– W matkę nagle wstąpiła energia. Anna swetra nie zmieniła, ale gumkę zdjęła, a zbiegając po schodach, zdążyła jeszcze pociągnąć usta błyszczkiem.

Matka z uśmiechem patrzyła z okna, jak córka z błyskiem w oku i w rozpuszczonych włosach wsiada do czekającego pod domem samochodu Adama.

Już w drodze dowiedziała się, że jadą do Warszawy. Adam okazał się niezwykle sympatyczny i wesoły. Opowiadał mnóstwo ciekawych historii z okresu studiów i kompletnie pomijał wątek rodzinny czy zawodowy. Kiedy Anna, ciekawa bardziej prywatnych kwestii, zapytała, czy ma rodzeństwo, odpowiedział po dłuższej chwili:

– Nie wiem...

– Nie rozumiem...

– Nie wiem. Wychowałem się w domu dziecka.

– Ale przecież moja mama mówiła...

– Tak – przerwał jej. – Twoja matka mówiła, że poznała mnie w szpitalu, jak odwiedzałem moją matkę...

– No... właśnie?

– Zostałem adoptowany. Jak miałem jedenaście lat. Była moją nauczycielką... Walczyła o tę adopcję cztery lata, bo była sama. Nigdy nie wyszła za mąż, a to było przeszkodą dla urzędników. W końcu ktoś się zlitował, na moje szczęście jakiś ludzki urzędnik się trafił... była u mnie codziennie. Zabierała mnie z biduła, jak tylko dostawała pozwolenie, na czas świąt czy weekendy. Walczyła o każdą przepustkę jak lwica. Moich biologicznych rodziców nie znam i nie chcę znać. Nie umiem im tego zapomnieć. Mogę wybaczyć, ale nie zapomnieć. Zostawili noworodka na śmietniku. Wtedy policja ich znalazła, dzisiaj dla mnie nie ma to znaczenia. Moja prawdziwa mama, jedyny człowiek, który o mnie walczył i mnie kochał, nie żyje.

Po tych słowach zapadła długa cisza. Anna nie wiedziała, co powiedzieć – po prostu przeprosiła za pytanie. Adam wciąż milczał, widać było, iż myślami jest gdzie indziej. W końcu spojrzął na dziewczynę i spokojnie odrzekł:

– Nie ma sprawy. To żadna tajemnica.

Resztę drogi spędzili każde zatopione we własnych wspomnieniach. Anna myślała o swoim życiu, rodzicach, ojcu... Też nie chciała go znać, choć kilka lat po odejściu próbował wrócić do rodziny, nawiązać z nią kontakt. Wciąż miała w sobie dużo bólu. Wiedziała, że żyje samotnie, wiedziała, że chodzi brudny, że wyrzucili go z uczelni. Nie wiedziała, za co żyje i co robi... i wiedzieć nie chciała.

Zajechali od tyłu do dużego szarego budynku komendy. Zaparkowali w garażu i poszli na górę. Adam miał karty dostępu do wszystkich drzwi i przejść, co świadczyło o tym, że tu pracuje. Przesłuchanie poszło sprawnie i bez większych emocji. Wszystko szczegółowo

opisała, włącznie z własnymi spostrzeżeniami i opiniami. Pokazano jej kilka zdjęć – rozpoznała niektóre miejsca i ludzi, ale ostatnie zdjęcie mocno wytrąciło ją z równowagi, ścisnęło żołądek i spowodowało, że w ułamku sekundy zalała się potem. Jej reakcja nie uszła uwagi policji:

– Poznaje pani tego człowieka?

– Tak, tak... To ojciec mojego dziecka...

Anna nie mogła znaleźć w całej tej sprawie punktu wspólnego z Robertem. Policjanci popatrzyli na siebie porozumiewawczo.

– Na dzisiaj tyle. Dziękujemy. Adam, musicie pojawić się jeszcze, jak będzie szef. Najlepiej w środę, będziemy mieli już jasność.

– Ja pracuję w środę... – wydukała Anna ze ściśniętym gardłem. – I... czy mogę wiedzieć, o co chodzi z ojcem mojego dziecka?

– Na razie nie. Proszę się nie denerwować, nie rozmawiać z nikim na ten temat, w ogóle najlepiej na razie zapomnieć. Umówmy się: nigdy pani tego zdjęcia nie widziała i nie była tu na przesłuchaniu. Nic pani nie grozi. Na chwilę obecną jedynym człowiekiem do kontaktu dla pani jest Adam. Proszę żyć normalnie i spać spokojnie, wszystko mamy pod kontrolą.

Po drodze do auta Adam zaproponował Annie wspólny obiad. Chciał, żeby przetrwała część emocji, zanim wróci do domu. Dziewczyna jednak milczała, cała spięta i przerażona.

– Aniu? Obiad? Haaalo! – Adam z niepokojem się jej przyglądał.

– Nie... Nie sędzę, aby to był dobry pomysł... Jest kilka powodów. Po pierwsze, nie powinniśmy się razem pokazywać, po drugie, nic nie przełknę, a po trzecie... – Głos Anny drżał niebezpiecznie. – ...chcę natychmiast do domu!!! – Rozpląkała się cicho.

Adam ruszył, nie zwracając na nią uwagi. Płakała, a on jechał, jakby był z kamienia. Po wyjeździe z miasta skręcił w jakąś boczną leśną dróżkę, czym wystraszył ją nie na żarty.

– Co ty robisz?! – krzyknęła.

Adam zatrzymał auto, wysiadł, otworzył drzwi i kucnął obok. Wziął ją za rękę, spojrzał w oczy i podał chusteczki ze schowka. Czuł jej drzenie i wiedział, że lęk można opanować tylko spokojem.

– Chodź... przejdziemy się po lesie... porozmawiamy... Możesz płakać bez obaw. Płacz jest potrzebny, emocji nie można hamować.

Anna wyszła z auta, a on ją objął, przytulił i poszli przed siebie. Kiedy już uspokoiła oddech, Adam odezwał się pewnym głosem:

– Nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo. Nikt nie połączy cię z tą sprawą. Pracuję nad tym od dawna i przypadkiem, będąc u mamy w szpitalu, natknąłem się na ciebie. Nie zauważyłaś mnie, przyszłaś po coś do swojej mamy. Zwróciłaś moją uwagę, bo trudno cię nie dostrzec. Jesteś wyjątkowo piękna, choć chowasz się pod szarością i smutkiem. Kiedy pojawił się wątek Roberta, siłą rzeczy pojawiłaś się w nim również ty. Wiemy o nim wiele. Nie interesowałaś nas, bo nie miałaś nic wspólnego ze sprawą. Znamy wasz status, wojnę

o dziecko i fakt, że większą część związku z nim spędziłaś we Włoszech, będąc, paradoksalnie, niańką niedoszłej teściowej. Wiemy, kiedy wasz związek stał się przeszłością dla ciebie, bo dla niego chyba nigdy nie był związkiem... Przepraszam, ale prawda wyzwala. Nie mogę ci wszystkiego powiedzieć, choć przyjdzie i na to czas. Teraz musisz wiedzieć, że to jest kawał niezłej mendy. Ale o tym się pewnie już przekonałaś. Sam los tak chciał, żebyś otarła się znowu o to piekło. Miałaś kupę szczęścia, że byłaś potrzebna jego matce i że pojawił się Leon. Inaczej moglibyśmy tu nie rozmawiać. Ale wszystko w swoim czasie. Dzisiaj po prostu mi zaufaj. Jedźmy do domu, przytul Leona, a do rozmowy wrócimy w środę. Musisz załatwić sobie dzień wolny w pracy. Jako alibi masz dokument potwierdzający termin badania onkologicznego w Warszawie. Będzie nam potrzebna twoja współpraca, czyli częstsza nieobecność w pracy, a podejrzenie choroby onkologicznej zamknie wszystkim twarzę.

Anna się uspokoiła. Zaczynała rozumieć, że to nie jest żadna katastrofa, że to może być nawet realna szansa na zamknięcie tematu Roberta w każdym aspekcie.

– Jeszcze jedno: twoja mama o niczym nie wie i ta wiedza w jej stanie jest jej teraz zbędna – rzucił Adam mimochodem.

– W jakim stanie? Co ty opowiadasz?

Anna nerwowo szarpnęła Adama za rękaw. Ten, zdziwiony i lekko zmieszany, uciekł wzrokiem w bok.

– O kurwa... Chyba wysypałem temat... Nie wiedziałem, że ci nie powiedziała. W mojej ocenie powinnaś jednak jak najszybciej się dowiedzieć. A więc tak: krótko przed śmiercią mojej matki twoja dowiedziała się, że choruje na parkinsona. Stąd ta wcześniejsza emerytura. Nie zastanawiało cię to?

Anna nie miała już łez. Nie wiedziała, czy ta ilość zaskakujących informacji ma ją zabić, czy wzmocnić... Nic już nie wiedziała. Poczowała, że wszystko odpływa, rozmywa się, a ona sama wpada w jakąś głęboką czarną dziurę.

W domu przywitał ją zapach galaretki wiśniowej.

– Mamo! Mamo! Zrobiłem ci galaretkę! Babcia mówi, że będę świetnym kucharzem, ale ja nie chcę być Magdą Gessler i krzyczeć w telewizji! Podobają mi się jej sukienki, ale sukienek też nosić nie będę!

– Ha, ha, ha! Leonku, nie musisz być panią Magdą, możesz być kucharzem Leonem.

– Nieee! Mamusiu, kucharzem nie będę. Będę... będę... będę... Nie wiem, kim będę, ale tato mówi, że prawnikiem.

Anna uśmiechnęła się do synka, ale na słowo „tato” poczuła ukłucie w brzuchu. Teraz do osobistych doświadczeń i zmarnowanego życia doszedł strach przed historią, której tajemnicę kryło policyjne zdjęcie i słowa Adama: „To zły człowiek”. Oczywiście, że to zły człowiek. Tylko czy to możliwe, że aż tak zły?

– Aniu, jest twoja ulubiona pomidorowa. Chodź, zjesz coś. Chyba że już jadłaś?

– Nie, mamu. Adam mnie zapraszał, ale nie miałam apetytu.

– Opowiesz mi, jak było na komendzie.

– A ty mi powiesz o swoich wynikach?

– Nie rozumiem? – Matka wyraźnie spłoszona spojrzała na Annę.

– Dobrze wiesz, o czym mówię, mamu. Zamierzałaś mi w ogóle powiedzieć?!

– Anka! Nie unosź głosu. Nie, nie zamierzałam, bo nie uważałam, żeby ta informacja zmieniła coś w naszym życiu na lepsze. Nie jest to radosna wiadomość, a mnie przede wszystkim zależało na tym, abyś odnalazła spokój i szczęście. W kontekście tego kryminału, jaki ostatnio się wydarzył, nie był to chyba najlepszy moment...

– Mamu, na takie informacje nie szuka się momentu. Tu czas gra główną rolę! Trzeba działać!

– Działam, działam. Leczę się, przeszłam wszystkie badania, ale i tak czeka mnie powolne pogarszanie stanu zdrowia. Jak bardzo powolne? Nikt tego nie wie. Ale teraz chcę żyć normalnie, dopóki jeszcze mogę kochać was z Leonem. Bo to wy dajecie mi siłę do walki i sens życia. Wiem, dziwnie to dla ciebie brzmi. Ale paradoksalnie, w momencie, kiedy dowiedziałam się o chorobie, zmartwychwstałam. Zawdzięczam jej przebudzenie. Byłam martwa tyle lat... Byłam robotem, maszyną. Obcy ludzie w szpitalu dostali ode mnie więcej czułości niż ty przez całe swoje życie... Ta choroba przyszła w najlepszym momencie – kiedy mam jeszcze szansę poczuć, że jestem matką, babcią... człowiekiem.

Matka rozplakała się, a Anna podeszła do niej i zaczęła ją uspokajać.

– Mamuś, kocham cię, ja wszystko zrozumiałam, nigdy cię nie oceniałam. Wiem, że nie potrafiłaś dać mi tego, czego sama nigdy nie dostałaś. Od okaleczonych psychicznie rodziców potworów, od męża dziwaka i egoisty... W domu dziecka byłaś tylko częścią stada, które łączyła ta sama historia. Ktoś was wszystkich zawiódł, porzucił, oddał. Mnie nie oddałaś, nigdy nie uderzyłaś, nie upokorzyłaś, nie chodziłam głodna, brudna, pilnowałaś, żebym się uczyła, rozwijała... Byłaś zimna, bo nikt nigdy ciebie nie rozgrzał. Przeszłaś tak dużo, że wielu na twoim miejscu dawno by się poddało.

Matka wzięła twarz Anny w drżące dłonie, spojrzała jej w oczy i wyszeptwała:

– Urodziłam swoje szczęście. Dobre, mądre szczęście. Przepraszam, córeczko...

Na tę scenę wpadł do kuchni Leon z kotem, a właściwie kot z Leonem. Chłopiec był tak zaaferowany gonieniem zwierzaka, który coś trzymał w pysku, że nie zauważył łez babci.

– Leon, a co ty tak gonisz tego Freda? – zareagowała Anna gwałtownie, zmieniając przy tym nastrój panujący w kuchni.

– Bo ukradł mi motyla!

– Jak to?

– Tak! Przyleciał motylek, tam, na balkonie, a Fred złodziej mi go ukradł!

– Leosiu, obawiam się, że Fred niestety uszkodził motylka i nie będzie już latał... Chłopczyk rozplakał się jak na komendę.

– Dlaczego płaczesz? Jesteś już zmęczony, kochanie. Chodź, babcia poczyta ci o Królu Lwie i pójdziemy wcześniej spać. Mama jutro idzie do pracy i też musi się wyspać. Idź, umyj ząbki. Babcia chwilę jeszcze porozmawia z mamą.

Kiedy malec zamknął drzwi od łazienki, matka szybko przekazała Annie informacje:

– Dzwoniłam dzisiaj na oddział do dziewczyn. Wagina...

– Mamo! Magda.

– Przepraszam, Magda zostanie w szpitalu jeszcze minimum tydzień. Nikt do niej nie przychodził, ale dostaje ciągle jakieś prezenty i kwiaty. Dosłownie trzy razy dziennie. Przynosi je ten sam człowiek, niby-ochroniarz. Wchodzi, zostawia i wychodzi. Dziewczyny też dostały do gabinetu kosz słodczy. Dzisiaj dyżur ma Stasia. Magda jej powiedziała, że masz się nie martwić i trzymać z daleka. Powiedziała też, że dla dobra wszystkich ona będzie udawać. Będzie udawać, że dała się przeprosić, a ty masz normalnie pracować. Dziecko, dasz radę tam pracować? Nie musisz... Poradzimy sobie...

– Nie, mamo, teraz nie mogę zrezygnować – powiedziała Anna pewnym siebie głosem gotowej na wszystko kobiety.

Leśna rozmowa podziałała jak katharsis. Wszystko, co wydarzyło się wcześniej, było jak za grubą szybą – odległe i niedostępne... Zmęczona, usiadła przed lustrem i zaczęła rozczesywać włosy. Spojrzała na szczotkę: piękną, z kremowej masy perłowej, ozdobioną małutkimi turkusami. Przypomniała sobie chwilę, w której ją dostała. Wenecja. I Roberto. Znów on. Pojawia się jak zły duch, krąży nad jej życiem jak chmura gradowa. Nieoczekiwanie przeniosła się do pamiętnego pierwszego wspólnego poranka...

Zobaczyła swoje ciało z innej perspektywy. Po nocy z mężczyzną, które poniekąd na nowo ją stworzył, Anna dostrzegła w sobie kobietę. Narzuciła szlafrok i poszła zobaczyć, co kryją torby przyniesione wieczorem razem z kolacją. Znalazła kilka kompletów bielizny, kosmetyki i kilka par dresów. Wszystkie były po prostu fajne, nie mogła się zdecydować, który włożyć. Ubrana i uczesana chciała w spokoju pomyśleć i napić się kawy. Usiadła przy oknie i wtedy zadzwonił telefon.

– Anno, tu Robert. Niestety będę musiał zostać dłużej w pacy. Przyjedzie po ciebie kierowca, będzie miał moją kartę kredytową... Idźcie na zakupy. Kup sobie coś eleganckiego na wieczór. I nie zapomnij o dodatkach...

– Skąd masz mój telefon? – nerwowo weszła mu w słowo.

– Ja mam wszystko, czego zapragnę. Rozumiesz? Wszystko.

Nie zabrzmiało to jakoś szczególnie uprzejmie, ale biorąc pod uwagę okoliczności, można było to przemilczeć.

– Jest niedziela. Pracujesz w niedzielę?

– W moim zawodzie nie ma niedziel, moja droga. Przyzwyczajaj się.

Dalsza rozmowa wyglądała już na zwykłą konwersację dobrych znajomych. Robert spytał, jak się czuje, czy nie jest głodna, a jeśli tak, to żeby zjadła coś na mieście lub

poprosiła kierowcę o dostawę do domu.

– Dam sobie radę, jakoś dożyłam tego wieku bez niani.

Anna roześmiała się, jednak było jej miło, że ktoś się o nią troszczy. Powoli docierało do niej, że sytuacja zaczyna się zmieniać:

– Wiesz... będę czuła się jednak niezręcznie, idąc z twoją kartą na zakupy. Wolałabym pojechać autobusem do akademika, coś tam znajdę w swojej szafie...

– Dziecko drogie. Moja przyszła żona nie będzie jeździła autobusami i nie pójdzie na przyjęcie do ambasady w czymś z akademickiej szafy. Bądź uprzejma się dostosować. Kolejny raz przypomnę: diabeł tkwi w szczegółach! Dodatki! Przede wszystkim dodatki muszą być doskonale dobrane! Zresztą... kierowca zawiezie cię, gdzie trzeba, i odda w dobre ręce. Nie mogę dłużej rozmawiać, pa.

Anna wyszła na taras i usiadła w ogromnym szarym fotelu, który wyglądał jak konstrukcja z kilku dużych i mniejszych poduszek. Zastanawiała się, czy powinna zrobić to, o co prosił ją Robert. Poczowała się trochę jak Julia Roberts w *Pretty Woman*. Niby doskonała bajka o Kopciuszku i prawdziwym księciu, a jednak Kopciuszek był uliczną prostytutką – o czym oglądający pod koniec filmu zapominają. Anna też wylądowała tu... z ulicy. Oczywiście okoliczności były zupełnie inne, ale jakoś to wszystko jej się jednoznacznie kojarzyło.

Wybrała numer, z którego dzwonił Robert. Nie odebrał. Spakowała swoje brudne rzeczy w jedną z toreb po zakupach, płaszcz wyrzuciła do kosza, sprawdziła, czy jak zatrzaskie drzwi, nikt się nie dostanie do środka, i nie czekając na windę, zbiegła po schodach. Weszła do metra, które było tuż przy apartamentowcu, i czekając na kolejkę, napisała esemes: „Przepraszam, nie mogę iść z tobą wieczorem. Pracuję”.

Nie kłamała, miała pracę. Dzisiaj w nocy sprzątała sale konferencyjne w jednym z biurowców. Poczekała kilka minut, czy Robert nie zadzwoni, i wyłączyła telefon, żeby nie kusić losu. Odzyskała poczucie wartości dzięki temu mężczyźnie i nie chciała go zaraz stracić. Trochę było w tym hipokryzji, ale takie zakończenie wydało jej się idealnym wyjściem z sytuacji. Idąc krok dalej, czułaby się podobnie jak bohaterka Roberts. Koleżanki zachwycaly się jej „karierą”, szarmanckim ekranowym księciem i szczęśliwym zakończeniem. Anna jednak nie podzielała ich podziwu, nawet w żartach zachowywała zdrowy osąd sytuacji. W jej ocenie były inne sposoby utrzymania się, niekoniecznie trzeba sprzedawać ciało na ulicy lub... w apartamencie.

Teraz jej myślenie się zmieniło. Po poznaniu Magdy zrozumiała, że scenariusze bywają bardziej skomplikowane, a miłość potrafi być naprawdę ślepa. Czego akurat w bardzo bolesny sposób doświadczyła osobiście.

Anna po pracy pobiegła prosto do akademika. Szybko wskoczyła do łóżka – chciała zdążyć na dodatkowe wykłady, które szczęśliwie zaczynały się od południa. Po przebudzeniu skorzystała z nieobecności współlokatorki i szeroko otworzyła normalnie szczelnie zamknięte okna. Julita bała się jak ognia przeciągów. Świeże powietrze... –

pomyślała i zaczęła głęboko oddychać. Na krześle leżał dres, w którym wyszła od Roberta. Patrząc na niego, pomyślała, że może powinna włączyć telefon... Bała się trochę, nie była pewna, czy chce wiedzieć.

Po włączeniu telefonu odetchnęła z ulgą i szeroko się do siebie uśmiechnęła. Wyprostowała się, odrzuciła włosy i zaczęła się ubierać. Rzęsy przed wyjściem przeciągnęła brązowym tuszem, a usta kropelką oliwy z oliwek. Odruchowo chciała spiąć włosy w koński ogon, ale nie... zostawiła je rozpuszczone.

Wybiegła na ulicę. Spojrzała na zegarek – miała czas. Postanowiła pójść pieszo. Odnosiła wrażenie, że cały świat patrzy tylko na nią. Niebieskie dopasowane džinsy, białe trampki, luźna biała koszula i wełniana marynarka unosiły ją dosłownie nad ziemią. Ludzie nieufnie przyglądali się uśmiechniętej dziewczynie. Jej szmaragdowe oczy błyszcząły, a serce biło w rytm ostatniego esemesa, który powtarzała sobie w myślach: „Odnajdę cię, jesteś tylko moja”. Anna chciała, żeby ta przygoda trwała. Pragnęła dalszego ciągu i tych dreszczy, które przeżyła tamtej nocy. Marzyła, aby ktoś taki obsypywał ją kwiatami i przynosił śniadanie do łóżka. Chciała też pójść w te wszystkie niedostępne dla niej miejsca jak tamta perfumeria... ale chciała też, aby odbyło się to na jej zasadach. Miał ją zdobywać, a nie kupować, szukać, a nie zostawiać w poczekalni swojego życia.

Pewna siebie i swojego uroku weszła na salę wykładową. Dziwne, ale wszyscy na nią patrzyli. A może tylko tak jej się wtedy wydawało. Pomyślała, że musi naprawdę dobrze się prezentować. Usiadła zadowolona na swoim miejscu, czekała na początek prelekcji. Po wykładach poszła na pierogi do barku. Miejsce było zatłoczone proporcjonalnie do jakości jedzenia, jakie tam serwowano. Odstała swoje w kolejce, poflirtowała z sympatycznym, stojącym za nią blondynem, poobserwowała przytuloną do siebie parę. Zjadła i postanowiła pójść pieszo do akademika. Im bliżej wieczoru, tym większy zaczynała czuć niepokój. Książę na białym koniu się nie zjawiał.

Kolejne dni miały podobnie. Zupełnie straciła dobry nastrój, nie dało się z nią o niczym porozmawiać. Była nieobecna i smutna. A jednak to była tylko gra. Nie szukał jej, choć doskonale wiedział, gdzie ją znaleźć, nie dzwonił – choć znał numer telefonu... nie pisał. Przeliczyła się, zagrała nie tymi kartami... i straciła być może szansę na swoje szczęście. W totalnej rozsypce dotrwała do piątku. Rano nie wybierała się na uczelnię, jedyny wykład, który był dzisiaj, prowadził właśnie Robert. Nie miała siły stawić czoła swojej porażce i patrzeć na mężczyznę, którego pragnęła dotykać... a to okazało się już niemożliwe. Zrobiła pranie, żeby nie zaprzętać sobie głowy czarnymi myślami, i zaczęła szukać jakiejś książki, która mogłaby przykuć jej uwagę. Niestety, nie potrafiła skupić się kompletnie na niczym. Odrzuciła książkę i wzięła do ręki telefon. Bezmyślnie scrollowała media społecznościowe. Na portalach plotkarskich same bzdury. Weszła na grupę studentów i natknęła się na relację koleżanki z roku, która na żywo puszczała wykład Roberta. Skręciło ją. Był uśmiechnięty, jak zwykle świetnie ubrany: aksamitna czarna marynarka, ciemne džinsy, biała koszula. Zero smutku czy choćby minimalnej



melancholii... Sama nie wiedziała, czego się spodziewała. Była na zmianę zła i zrozpaczona. Rzuciła telefon na łóżko i wtuliła głowę w poduszkę. Łzy ciekły jedna po drugiej, nie mogła przestać płakać. Czuła się okropnie, czuła, że lęk był złym doradcą. Bała się, że jeśli zostanie w tym wymuskany apartamencie, przestanie mieć dla niego znaczenie. Że będzie musiała w którymś momencie podać cenę. I teraz ponosi tego konsekwencje.

Płacząc, usnęła. Obudził ją powrót współlokatorki. Spojrzała na zegarek i stwierdziła, że musi szykować się do pracy. Dzisiaj księżniczka sprząta biura – pomyślała z ironią. Jadąc metrem, gapiła się tępo w telefon. Walczyła sama ze sobą: napisać do Roberta? Może powinna zrobić pierwszy krok? I zwyczajnie go przeprosić? Tylko za co? W tej chwili przyszedł esemes. Zadrżała, zrobiło jej się sucho w gardle, poczuła strach. „Sobota, godzina 10:00, będę pod akademikiem. Robert”. Nie wiedziała, co odpisać i czy w ogóle. Wszystkie wcześniejsze rozterki uleciały z głowy. Serce waliło jak oszalałe. Tyle że tekst był oschły, mało w nim było emocji, i jakiś taki – w zestawieniu z poprzednimi, które dostawała – dziwny. Ma prawo – pomyślała. Ma prawo być zły. Mogła się wcześniej sama do niego odezwać, zagrała jak szczeniak z dorosłym facetem. Pomimo strachu przez głowę przeleciała jej myśl, żeby go ukarać za ten ton. Nie będzie jej o 10:00 pod akademikiem.

Sprzątanie poszło sprawnie, stres i natłok sprzecznych emocji napędzały w niej energię. Rozładowywała napięcie, jeżdżąc przemysłowym odkurzaczem po gabinetach, i ciągle biła się z myślami. Kiedy wreszcie wylądowała w łóżku, nastawiła budzik na ósmą. Rano się zastanowi, rano podejmie decyzję. Bała się. Po prostu bała się kolejnego fałszywego kroku.

Obudził ją zapach świeżo parzonej kawy. Współlokatorka trzymała w ręce parujący kubek i pytająco patrzyła na Annę.

– Co?

– No właśnie, co? Co się z tobą od kilku dni dzieje? Albo się wściekasz, albo milczysz, albo beczysz w poduszkę... Co jest? Mów, jaki masz problem. – Dziewczyna rozsiadła się wygodnie, najwyraźniej czekając na wyjaśnienia.

– Nie chcę o tym mówić. Przynajmniej na razie. Sama do końca nie rozumiem... ale wiesz co? – Szybko wyskoczyła z łóżka. – Może jutro będę wiedziała więcej. I wtedy wszystko ci opowiem! – Ostatnie słowo wykrzyczała już spod prysznic.

– Okej... jak sobie chcesz, ale ja dziś wyjeżdżam do domu. Pogadamy, jak wrócę!

Anna szeroko otworzyła okno. Nie miało znaczenia, że właśnie wyszła spod prysznic, uwielbiała świeże powietrze. Chwyciła za prostownicę, chciała ujarzmić wijące się włosy. I od razu odłożyła ją na miejsce. Robert wyraźnie lubił jej potargane loki. Nałożyła odrobinę kremu nawilżającego, podkreśliła rzęsy tuszem i ubrała się w dzinsy, koszulkę i luźny kremowy sweter. Wyjęła jedyne szpilki, jakie miała, ale zaraz schowała je z powrotem. Nie będzie udawać kogoś, kim nie jest. Wsunęła białe stopy w baleriny – przy stu siedemdziesięciu pięciu centymetrach mogła sobie na to pozwolić. Jako nastolatka nie

lubiała swojego wzrostu, dzisiaj był atutem. Nie musiała wydłużać się niewygodnymi konstrukcjami, podstępnie deformującymi nogi i kręgosłup.

Miała jeszcze czas. Usiadła na łóżku i zaczęła przeczesać internet. Szukała informacji na temat Roberta. Kim był, czym się zasłużył lub... co przeszkrobał. Jakieś plotki, skandale, sensacje. Wszystko, co znalazła, to mnóstwo prawniczych historii i zalew zdjęć z różnych VIP-owskich imprez. Nic, o czym do tej pory by nie wiedziała. Żadnej żony, partnerki, nawet eks. Podobno był kawalerem. Anna spojrzała na zegarek. Powinna już wyjść. Nie chciała kusić losu.

Zbiegła na dół, przed drzwiami wyjściowymi stanęła, poprawiła włosy i wzięła głęboki oddech. Wychodząc, zauważyła czekające już auto Roberta. Podeszła. Nie wyszedł, żeby otworzyć jej drzwi ani zwyczajnie się przywitać. Gestem zza szyby – nie uchylając nawet okna – wskazał siedzenie. Otworzyła drzwi i wsiadła. Czuła się niepewnie. Mężczyzna miał twarz bez wyrazu, więc nie mogła rozpoznać jego nastroju.

– Dzień dobry! – starała się miło przywitać, dokładając w pakiecie uśmiech.

– To się jeszcze okaże, czy dobry.

Robert nawet na nią nie spojrzał, ruszył dynamicznie, włączając głośną muzykę. Tym razem nie był to Ramazzotti, tylko jakaś orkiestra symfoniczna. Milczał, ale w tym milczeniu było sporo agresji. Jechał ryzykownie, przekraczał wszystkie dozwolone prędkości. Nie zatrzymał się nawet na czerwonym świetle, a wjeżdżając do garażu, lekko otarł felgą o betonowy słupek.

– Kuuurwa! – syknął i uderzył pięścią w kierownicę.

Anna zaczęła się bać. Sytuacja wymykała się jej spod kontroli. Nie wiedziała, w co obecnie grają. Czy to był jakiś test? Czy Robert chciał wzbudzić w niej strach? A może to jakiś rodzaj kary? Nie wpadła na to, że jego zachowanie nie jest związane z nią. Robert był inny niż ostatnio, jakby... nieświeży. Spojrzała na jego koszulę: wymiętą, poplamioną, na lekko potargane włosy. To nie był ten dopięty na ostatni guzik, pachnący mężczyzna. Było w nim coś dziwnego, niepasującego do obrazu i aury, które roztaczał. Powoli wyszła z samochodu i pomyślała, że przecież nie musi być tu z tym człowiekiem, który ją przeraża. Tak, Robert wtedy przeraził ją po raz pierwszy.

– Może powinnam jednak pójść do siebie. Moje towarzystwo nie sprawia ci chyba specjalnej przyjemności – odważyła się w końcu odezwać.

Strach, że go straci, zniknął, rozpląnął się. To nie był ten Robert, za którym tęskniła. Nie ten, który rzucił na nią naręcze storczyków.

– Nigdzie nie pójdziesz poza kierunkiem, który ci wskażę. – To mówiąc, Robert pokazał jej ręką wyjście z garażu do windy.

O dziwo, Anna posłusznie wyszła. Ten człowiek miał coś z hipnotyzera. Kiedy mówił, stawała się bezwolna. Używał przy tym specyficznego, niskiego, głucho brzmiącego głosu, a ona zaczęła zachowywać się jak lalka na baterie.

Robert otworzył drzwi, zrzucił marynarkę na podłogę, chwycił Annę za ramię i pociągnął do sypialni. Następnie, przytrzymując głowę, zaczął całować i rozbierać. Zachowywał się jak bestia. Sapał, przeklinał, wyzywał ją i całował jednocześnie. Rzucił na łóżko, odwrócił tyłem, po czym brutalnie w nią wszedł. Anna naprzemiennie czuła strach, oburzenie i nieprawdopodobne podniecenie. Kiedy skończył, ona znowu zaczęła. Odsunął ją jednak od siebie, co tylko wzmogło jej apetyt. Zaczęła się z nim szarpać, gryźć, drapać. Zachowywała się jak rozzłoszczona kotka, ale tym razem to ona polowała. Poczuła silną potrzebę dominacji. Od czasu do czasu coś na kształt błyskawicy, jakiś przebłysk instynktu samozachowawczego, pojawiała się w jej głowie. Jakiś krzyk: „To chore! Uciekaj!”. Ale mroczne manipulacje Roberta padły na podatny grunt. Anna była zagłodzonym emocjonalnie dzieckiem z dużymi deficytami. Nie potrafiła w sposób zdrowy stawiać ani respektować granic. Nieoczekiwanie sytuacja się zmieniła: Robert stał się uważny i czuły, skupiony na jej potrzebach, wyczulony na każdy jej oddech. Anna poczuła przypływające pożądanie w zupełnie innym wymiarze. Ciało wygięte w parabolę dało przyzwolenie na rozkosz. Robert – odczytując sygnał – przesunął językiem od szyi do łona. Kiedy Anna eksplodowała, on wrócił do gry. Zaczął swój brutalny taniec, ale Anna nie miała już siły się szarpać. Uległa, delikatnie jęcząc i odpływając na fali niewyobrażalnej rozkoszy. Po wszystkim spojrzała na leżącego obok faceta – w tym momencie uosabiającego dla niej szatana i Boga. Jego spocone włosy wydawały się jeszcze bardziej czarne, a oczy nabrały demonicznego wyrazu.

Anna wstała. Nic nie mówiąc, poszła pod prysznic, związując po drodze włosy. Ciepła woda spływała po jej ciele. Czuła odprężenie i błogą nieważkość. Niby była, a jednak jej nie było... Ponownie jak ostatnio stanęła naga przed lustrem. Patrzyła na nią piękna kobieta. Kolejny raz odkryła w sobie pożądanie, o jakim nawet nie śniła. Wyszła z łazienki zupełnie naga i zwierzęcym krokiem niebezpiecznej kotki zbliżyła się do łóżka. Robert leżał i patrzył, jak idzie. Miał przymrużone oczy, a wzrok skupiony na ruchu falujących piersi. Idąca w jego kierunku Anna była posągowo piękna, nietuzinkowa, widział w niej przebłysk antycznej sztuki, szlif dłuta Michała Anioła. Miała w sobie niewinność pomieszana z siłą i to go fascynowało najbardziej. Ważne było, że mógł lepić ją w rękach jak plastelinę, oddawała się w całości, bez zastrzeżeń. Jej gniew nie był wystarczająco silny, a dzikość do okiełznania. Jako typowy narcyz lubił, jak cała uwaga partnerki skupiała się tylko na nim. Paradoksalnie jej sarkazm i bystrość umysłu też traktował jak daninę, która mu się po prostu należy. A Anna... była naturalnie piękna. I równie naturalnie naiwna.

Robert, fan wszystkiego, co doskonałe, parzył kawę. Kopi luwak – najdroższą kawę świata. Anna nie mogła się do niej przekonać – za każdym razem miała przed oczami odchody łaskuna, z których miejscowi wygrzebywali ziarna...

Spojrzała na Roberta: miał na sobie czarne jedwabne szorty. I nic więcej.

– Witam, o pani. Kawy? Dla ciebie zaparzyłem normalną. Zaraz dotrze śniadanie. Ubierz się, nie każdy ma prawo na ciebie patrzeć.

Stał oparty o ekspres z filiżanką w ręce i przyglądał się Annie bezceremonialnie. Włosy – zmierzwiłone po ostrym seksie – opadały mu na twarz, przez co mrużył oczy i wyglądał jak polująca pantera. Anna – świadoma wrażenia, jakie robi cała jej postać, wyprostowała się, a w zasadzie odgięła mocniej do tyłu. Zdjęła gumkę i poruszyła głową. Włosy rozsypały się miedzianą kaskadą i zakryły piersi. Stali tak chwilę naprzeciwko siebie. Robert – nie spuszczać wzroku – odstawił filiżankę. Podszedł do Anny powoli, a ona czuła już, jak wzbiera w niej pragnienie. On jednak odgarnął tylko włosy z jej piersi.

– Reszta wieczorem – wyszeptał.

Anna ubrała się w przygotowany dla niej w garderobie dres. W końcu ostatnio wybiegła, zostawiając wszystko na środku salonu. Garderoba była ogromna, lecz w połowie pusta. Wisiały w niej ubrania, które ostatnio dostała, plus bielizna. Jednak było tam coś jeszcze: zestaw Chanel. Kultowy tweed w kremowym kolorze, przepiękne buty na płaskim obcasie i torebka z takim samym znaczkiem. Ta torebka. Marzenie każdej kobiety, kultowy drobiazg, w pewnych kręgach postrzegany jako wyznacznik statusu. Anna lekko zaniepokojona wyszła z garderoby i zapytała:

– Czyje to ubrania? Te w garderobie?

– Twoje.

– Nie pytam o dresy...

– Ooooo! Czyżbyś była zazdrosna? – Szczery śmiech odbił się echem od szklanych ścian. – Dopytujesz jak rasowa żona! Zaraz będzie awantura! – Robert ubawiony całą sytuacją nie mógł zachować powagi. Na koniec trochę już bardziej rzeczowym tonem odparł: – Twoje, Anno. Twoje. Po śniadaniu możesz je włożyć. Pojedziemy na te zaległe zakupy, mam wieczorem spotkanie biznesowo-towarzyskie, a moja narzeczona musi się godnie prezentować.

Uszczypnął ją delikatnie w policzek i poszedł otworzyć drzwi, do których dobijał się kurier.

Narzeczona. To słowo rozmiękczało Annę. W zestawieniu ze sterylną wręcz pustką połowy kremowej garderoby dawało nadzieję, iż może te kilka ubrań na wieszakach to nowy początek w życiu Roberta. Uśmiechnęła się do wchodzących mężczyzn, którzy raz już donosili posiłek. Zastanawiało ją trochę, czemu poziom życia Roberta nie do końca pasuje do nawet najlepiej zarabiającego adwokata. Wiedziała, iż wykłady na uczelni to było bardziej jego hobby, a nie sposób na życie, ale ile dochodu mogła przynosić uznana nawet kancelaria? Niemniej na widok ciepłych naleśników z czekoladą kompletnie przestała zwracać sobie głowę finansami Roberta. On tymczasem usiadł w fotelu i przyglądał się jej ze szklanką soku w ręce.

– Czemu nie jesz? – Anna zorientowała się, że egoistycznie nie poczekała nawet na to, żeby podszedł do stołu.

- Nie jem śniadań.
- Dlaczego?
- Bo mam włoskie korzenie, ha, ha, ha.
- A Włosi nie jedzą śniadań?
- Ja nie jem. I to wystarczy. A co jedzą Włosi, dowiesz się niedługo. Na razie jedz, ja pójdę pod prysznic.

Robert wyszedł po dłuższej chwili w eleganckiej sportowej marynarce indygo, dżinsach identycznego koloru, rudych butach z wypolerowanej skóry i białej koszuli. Półdługie włosy miał starannie ułożone, a lekko przebijająca siwizna dodawała mu tylko uroku. Trudno było dziwić się tym wszystkim rzeszom kobiet, dziewczyn czy studentek – urok Roberto miał nieodparty.

– Zrób mi przyjemność, proszę, i idź się ubierz. Mam na myśli ten zestaw Chanel. Z garderoby. Zaraz musimy wychodzić.

Anna posłusznie poszła się szykować. Pogłaskała rząd białych koszul i podeszła do drugiej części garderoby, z samotnie wiszącymi ciuchami z ostatnich zakupów. Włożyła komplet, o którym rozmawiali. Pod spodem stały buty. Zastanowił ją idealnie dobrany rozmiar balerin. Cóż, w tej bajce książkę zna stopę Kopciuszka – pomyślała. Przerzuciła jeszcze rzeczy ze swojej torebki i była gotowa. Weszła do łazienki podkreślić rzęsy. Resztę uznała za zbyteczną. Bił od niej blask miłości... Tak. Czowała wtedy pożądanie, które myliła z miłością. I nie chodziło o tę torebkę czy buty, ale o to, co ten mężczyzna wydobył z jej wnętrza. Stała się przy nim wartością sama dla siebie. Obudził się w niej pierwiastek kobiety pierwotnej, zmysłowej, dzikiej, namiętnej i pewnej siebie. Wcześniej ta jej część, za którą w życiu dziewczynek odpowiada ojciec, była martwa.

Robert stał przy drzwiach gotowy do wyjścia. Czekał na kobietę, która miała odmienić jego życie. I nie miała to być zmiana, o jakiej marzyła Anna.

Zatrzymali się na znanym w stolicy placu. Gwar ludzi, popularne knajpki serwujące całodobowo śniadania, najdroższe showroomy. Robert z kurtuazją otworzył drzwi przed Anną – weszli do butików z najlepszymi światowymi markami.

– Witam panie! – Uśmiechnął się szarmancko do obsługi. – Jestem tu z damą mojego serca, ale kompletnie nie mam czasu, aby jej towarzyszyć w zakupach. Potrzebujemy kilku zestawów koktajlowych i kilku wieczorowych. Do tego koniecznie buty na szpilce oraz tę torebkę. – Robert wskazał na małe dzieło sztuki stojące na podświetlanej ekspozycji pośrodku salonu. – Co prawda Anna ma doskonały gust, ale gdyby potrzebowała jakiegokolwiek pomocy, proszę być do dyspozycji. – Całując Annę w policzek na pożegnanie, dyskretnie włożył jej do ręki kartę kredytową i szepnął, że jest obok na spotkaniu. – Zakupy zostaw. Jak skończysz, wypij po sąsiedzku kawę i zaczekaj na mnie.

A więc tak to wygląda, pomyślała. *Pretty Woman 2*.

Poczuła się nieswojo. W całej sytuacji był pewien zgrzyt, dyskomfort, choć kilka koleżanek uznałoby ją za idiotkę.

– Proszę, pani Aniu, zapraszam.

Sprzedawczyni, czując jej niezdecydowanie, uśmiechnęła się ciepło i przyjaznym gestem zaprosiła do środka.

– Kawa? Woda? Sok? – zapytała tym samym ujmującym tonem.

– Nie. Dziękuję... – odpowiedziała Anna coraz mniej zmieszana i zaczęły wybierać ubrania.

Po kilku kwadransach Anna uznała, że wystarczy. Sprzedawczyni była niepokieszona – liczyła na kosmiczny rachunek. Jednak dla Anny to był kosmiczny wydatek, jako studentka mogła za tę kwotę przeżyć kilka lat. Nie czuła się z tym dobrze.

Wyszła ze sklepu i poszła do kawiarni obok. Humor postanowiła poprawić sobie ciastkiem i kawą. Nie zdążyła jeszcze usiąść, a już obok niej pojawiła się kelnerka, mimo iż przy stoliku obok niecierpliwili się inni ludzie. Wyraźnie turyści.

– Na co ma pani ochotę? Czym mogę służyć?

– Poproszę kawę i szarlotkę.

– Oczywiście! Piękny ma pani żakiet.

No tak, Chanel robi wrażenie. Zdała sobie właśnie sprawę, iż od stóp do głów ubrana jest w kultowe ciuchy za niebotyczne pieniądze, a to gwarantuje... specjalne traktowanie. Na przykład ekspresową obsługę kelnerską. Smutne, pomyślała, i zaczęła obserwować ludzi. Dwóch mężczyzn po przekątnej przyglądało się jej z zainteresowaniem. Odwróciła wzrok i popatrzyła na ulicę. Do kawiarni weszły trzy prawie identyczne blondynki. Uśmiechnęły się do Anny i zajęły kolejny stolik. Miały podobne buty i ten sam styl. Wysokie klasyczne szpilki, krótkie spódniczki i małe skórzane kurteczki. Każda była w innym zestawie pasteli i wszystkie razem wyglądały jak jeden ogromny deser lodowy. Tylko jeszcze posypka, pomyślała Anna złośliwie. Rozmawiały o zabiegach kosmetycznych, minionych wakacjach, zbliżającym się wyjeździe w tropiki i konieczności przygotowania w tym celu ciała. Miały identyczne fryzury – długie wyprostowane blond włosy z przedziałkiem pośrodku, postrzępione wokół twarzy, i podobny makijaż. Wszystkie zamówiły sok warzywny i espresso, co Annie wydało się nieapetycznym zestawieniem. W porównaniu z nią były wręcz zabiedzone, za to każda miała spore sztywne piersi. Jedna delikatnie odstawała od koleżanek – wyróżniały ją oznaki upływającego czasu, aczkolwiek doskonale maskowane.

– Czy możemy dosiąść się do pani? – Annę wybił z zamyślenia głos mężczyzny, jednego z tych, którzy siedzieli po przekątnej. Nawet nie zauważyła, jak do niej podeszli.

– Przepraszam, ale czekam na kogoś.

Blondynki obok musiały obserwować sytuację, bo zaczęły się śmiać, rozbawione miną łysawego blondyna w średnim wieku.

– Andrzej! Dostałeś kosza! – krzyknęła jedna z nich.

Mężczyzna bez mrugnięcia okiem usiadł jednak koło Anny.

– Proszę tu nie siadać, już panu mówiłam, że czekam na kogoś.

– Andrzej Bracki – przedstawił się mężczyzna, niezrażony chłodnym tonem Anny.  
– Proszę odejść. – Anna nerwowo próbowała się pozbyć intruza.  
– Serio nie wie pani, kim jestem?  
– A pan serio nie zauważył, że jest tu zbędny? – Anna odzyskała pewność siebie i cięty język.

– Dziecko, samotna dziewczyna w podróbce Chanel z Turcji w kawiarni o tej porze może być tylko w jednym celu.

– Mianowicie?

– Dla... kariery! – szyderczo roześmiał się łysy.

– Oooooo, serio? I to właśnie pan mi może tę karierę zapewnić? – Ton głosu Anny nie wróżył niczego dobrego.

– Tak. I nie będzie musiała pani nosić tej taniej turszczyzny.

– Andrzejku drogi, to nie jest żadna tania turszczyzna, tylko oryginał! I ja osobiście mogę cię o tym zapewnić, nawet notarialnie! – Za plecami Anny nagle pojawił się Robert i niezle ubawiony sytuacją właśnie włączył się do dyskusji. – Aniu, pozwól. To jest słynny stołeczny łowca talentów i największy casanova w stolicy, właściciel konkursu piękności Miss Galaxy, szukający nieustająco dwóch rzeczy: miłości swojego życia i piękności, które mogą zdobyć koronę. To drugie robi wyśmienicie, a w pierwszym, biedaczysko, nie ma szczęścia. Nadmiar piękna dookoła spowodował, iż jest okrutnie wybredny. – Robert dokonał prezentacji, po czym zwrócił się do kolegi: – A to jest Anna. Moja przyszła żona.

Zapadła cisza. Mężczyzna spojrzał zdumiony na Roberta. Wyraźnie dobrze się znali.

– Tak, tak, Andriusza. Na każdego przychodzi pora. W szczególności gdy znajdzie taki diament...

Kobiety obok wyraźnie znały obu panów. Widząc, co się święci, zaczęły bić brawo i z coraz większą sympatią przyglądały się Annie.

– Cholera, no cóż. Głupio mi. Przepraszam. Bywa, że i sam mistrz wtopi. No, muszę przyznać, iż faktycznie dostałeś wyjątkowy dar od losu.

– Dziękuję. Musimy już iść. Anno, pozwól, proszę.

Robert podał jej ramię, a Anna wstała i wyszła, trzymając pod rękę swojego rycerza. Tak muszą czuć się uratowane księżniczki – pomyślała. Była szczęśliwa.

Bruno wyszedł ze spotkania i włączył się do sieci. Spojrzał na nieodebrane połączenia. Kilka z rzędu było od przyjaciela – ginekologa Reginy. W pierwszej kolejności oddzwonił do niego:

– Dzwoniłeś?

– I to nie raz! Masz syna! Gratuluję! Cztery kilo dwadzieścia, pięćdziesiąt dziewięć centymetrów. Dziesięć punktów w skali Apgar. Chłop jak dąb! – Po tych słowach w słuchawce zapadła cisza. – Bruno? – zapytał niepewnie lekarz. – Słyszysz mnie?

– Tak. Dziękuję. Wpadnę wkrótce. Będę też miał małą prośbę.

– Jasne. Dzisiaj do rana jestem na dyżurze.

Syn... Tylko czyj? Bruno poczuł złość, żal, smutek, a na samym końcu pojawiło się jednak coś na kształt wzruszenia.

Wsiadł do auta i udał się w kierunku swojego miasteczka. Nie uważał, aby prywatna klinika, w której chciała rodzić Regina, była lepsza od oddziału, jaki stworzył w jego niewielkiej miejscowości kolega Konrad. Był doskonałym specjalistą. Przyjeżdżały do niego kobiety z całej Polski. Kilka razy dostał propozycje wyjazdu do różnych prestiżowych klinik, ale on był skromnym człowiekiem i nade wszystko kochał święty spokój. Bruno myślał o tym, jak całe jego z trudem zbudowane szczęście upadło, nie przymierzając, jak domek z kart. W brutalny sposób odarty ze złudzeń zrozumiał, że cała sytuacja powstała głównie w jego głowie. Tak bardzo chciał kochać i być kochany... Tak bardzo idealizował Reginę, przypisywał jej cechy, których nigdy nie miała, wypierał – świadomie lub nie – wszelkie sygnały świadczące o tym, że to tani falsyfikat. Stracił czujność. Nie słuchał ani swojej intuicji, ani mniej lub bardziej bezpośrednich aluzji znajomych. Teraz widział tylko mocno zaburzoną istotę... jakby ktoś zdjął mu z oczu gęstą zasłonę. Na własnej skórze odczuł powiedzenie, że miłość jest ślepa. Nigdy nie rozumiał, jak ludzie nie zauważali w związkach nadchodzącej burzy, jak nie widzieli zdrady, oszustwa. I oto on, profesor w temacie, dostał od losu solidną lekcję. I chociaż mógłby być teraz najszcześniejszym człowiekiem na świecie, nie był pewny, czy to jego dziecko. A jeśli nawet okaże się, iż to jego syn, nie zniknie problem stworzenia mu prawdziwej kochającej rodziny. Dziecko stanie się narzędziem w rękach kobiety, która posunie się do wszystkiego.

Zaparkował pod szpitalem i zamyślony wszedł na porodówkę. Dyżurka lekarzy była otwarta.

– Cześć, Konrad. Jak chłopak?

– Dobrze, tak jak mówiłem. Dla twojej informacji: Regina też dzielnie zniosła poród, choć trochę histeryzowała, że rodzi w stajni...

– Wybacz, stary... – wymamrotał pod nosem zakłopotany Bruno.

– No cóż... Krzyczała, że rodzi jak zwierzę w publicznym szpitalu. Położna jej powiedziała, że zwierzęta bywają miłsze od ludzi, no i tak rozpętała się awantura. Szczęśliwie intensywne bóle przerwały paniom pyskówkę i dalej poszło bez większych komplikacji. Ma pojedynczą salę, jest z dzieckiem, no i pielęgniarka non stop do dyspozycji. Serwis prywatny w państwowym szpitalu jest absolutnie dopuszczalny, ale raczej wyjątkowy. Powinna być zadowolona. Trochę gania personel, ale wiesz... nerwy. Poród zmienia czasem psychikę kobiety.

– Jej nie zmienił. Ona taka jest. Ech, Konrad, długo by mówić... ale nie dzisiaj. W skrócie to potrzebuję badań w kierunku ojcostwa. Jak szybko mogę je zrobić?

Konrad przyglądał się przyjacielowi w skupieniu.

– Od razu. Ale... człowieku, jesteś blady jak ściana.



– Spokojnie, nic mi nie jest. Wściekłość z fioletu przeszła w biel... – pozwolił sobie na sarkazm Bruno. – A kiedy będzie wynik?

– Kilka dni...

Lekarz wciąż obserwował dziwnie zachowującego się kolegę.

– Długo.

– Minimum czterdzieści osiem godzin. Postaram się to załatwić.

– Dzięki. Teraz pokaż mi to dziecko i nie wychodź, proszę, z sali, żebym tej suki nie zabił.

– Aż tak źle?

– Tak, ale błagam, nie teraz, chłopie, nie teraz.

Brunon wbił zaciśnięte dłonie w kieszenie i poszedł za lekarzem.

Mały był śliczny – wzruszenie wzięło górę. Miał ciemne rzadkie włoski, ciemne oczy i wyglądał jak krasnoludek. Regina nie odzywała się początkowo, po czym nieśmiało próbowała nawiązać rozmowę:

– A ze mną się nie przywitasz? – Spojrzała tym swoim miękkim spojrzeniem, a jej głos był przymilny i aksamitny.

– Tę rolę możesz już zarzucić. Oscara masz w kieszeni. Żadnych gestów, kombinacji i udawania, bo wylądujesz na bruku, a dziecko – jeżeli będzie moje – odbiorę. Pozostań sobą i nie próbuj mi kręcić w głowie, to może się dogadamy.

– Bru, ale ja cię kocham! – Dramatycznie przewróciła oczami.

– Ty? Żartujesz sobie. Oszczędź nam tej dramy, błagam cię...

– Konrad, czy możesz wyjść? – zwróciła się bezpośrednio do lekarza Regina.

– Nie, nie może. – Bruno złapał kolegę za ramię. – Konrad tu zostanie dla twojego bezpieczeństwa – powiedział w sposób, który mógł przerażać.

– Bru... – nie dawała za wygraną Regina.

– Milcz.

Kiedy opuszczał szpital, brakowało mu tchu. Był jak pobity, bolało go wszystko, a najbardziej dusza. Ta wręcz wyła. Skomlała. Skowyczała jak skopane zwierzę... Wsiadł do auta i się rozplakał. Faceci nie płaczą, pomyślał. Cóż za frazes.

Anna zadzwoniła do Adama, potwierdziła załatwiony dzień wolny. Dostarczyła przyniesione przez niego zwolnienie i skierowanie na badanie onkologiczne. Szef był zaskoczony, ale też pierwszy raz zobaczyła w nim jakikolwiek ludzki odruch. Adam miał rację, zadziałało. Zaproponował jej nawet pomoc w transporcie. Kiedy odmówiła, wyraźnie zatroskany życzył powodzenia. No cóż, nawet źli ludzie mają gdzieś na dnie załączek dobroci.

W komisariacie złożono Annie propozycję, by została przynętą. Policja miała rozpracowany sposób działania sporej siatki handlarzy kobietami. Od najniższego szczebla. Brakowało im samej góry. Tu dostęp uniemożliwiał im koszt zabawy i ścisła

selekcja. Grono było podobno wąskie, a wysokość wpisowego gwarantowała, iż z budżetu policyjnego nie da się go zapłacić.

– Ja? Ale jak? Ja nie jestem ani atrakcyjna, jak na luksusową dziwkę przystało, ani nie mam pojęcia, jak się tam dostać. Nie będę też poświęcała swojego ciała nawet w takim celu. – Anna sprawiała wrażenie mocno zaskoczonej.

– Atrakcyjna jesteś wyjątkowo, a my pomożemy stworzyć ci nową tożsamość. Nie zrobimy z ciebie towaru do sprzedania. Zrobimy obiekt pożądania. Wiemy, że w tej kategorii podstawą jest nie złamać się na żadnym szczeblu. Jeżeli będziesz miła i odmówisz swojemu pracodawcy amatorów, on zabierze cię do pierwszej jaskini. Tam nie możesz nic pić. Jeżeli i tam nikt cię nie zdobędzie, zgłosi się kolejny odbiorca. Oni uprawiają rodzaj gry, jak daleko dziewczyna wytrzyma i ilu mężczyznom odmówi. Mała która nie pęka. Zobaczysz tam świat, który już poznałaś. I tym się różnisz od reszty kobiet. Wiemy, jak żyłaś obok Roberta. To jest twoja siła. Nie kupią cię za torebkę Chanel ani wakacje na Seszelach. Ty to już znasz. Oni prowadzą zakłady między sobą. Normalny hazard. Obstawiają potężne pieniądze na konkretne kobiety. Im wyżej zajdziesz, tym większe stawki. Niewiele kobiet dochodzi do szczytu i zdarza się to niezwykle rzadko. Nie szukają młodziutkich. Wybierają takie, które się cenią, nie są łatwe, potrafią podbijać stawkę. Stawiają na te, które rokują, chcą zejść jak najwyżej. Wtedy zabawa trwa. Ważne! Nie mogą pochodzić ze stajni kobiety, która prowadzi największe burdele w tym kraju. Wiesz, o czym mówię? To swoista sieciówka. W biznesie od lat pomaga jej ojciec twojego dziecka. Ma swój udział w dostarczaniu dziewczyn za pieniądze, zabezpiecza ich interesy prawnie i pilnuje, aby każdy klient miał kartotekę, która go w razie potrzeby skompromituje. Dostarczają dziewczyny na wszystkie okazje. Te najniżej w hierarchii – jak Magda – muszą pracować prawie za darmo. Nie trzymają ich pod kluczem, ale tak prowadzą, iż same mają świadomość, że nic nie mogą już zrobić. W czasach internetu są skończone. Im musimy pomóc najbardziej – reszta robi świetny biznes. Wśród ofert tej pary są kobiety z całego świata: znane twarze, modelki, aktorki, celebrytki. Nie zawsze chodzi o seks, czasem tylko o towarzystwo. Bywają ozdobą, wyznacznikiem statusu i możliwości. Ten układ nas nie razi. Inaczej jest z tymi, które są zmuszane, trzymane czasem jak zwierzęta po kilka w jednym pokoju. Dodatkowo – jak u twojego szefa – są zmuszane do pracy w innym charakterze za małe pieniądze, często na czarno. Swoista przykrywka dla prawdziwego źródła utrzymania ich właścicieli. Z działki pod tytułem nierząd nie otrzymują żadnych pieniędzy, czyli nie ma przestępstwa. Te posłuszne dostają na początku prezenty i nawet lubią ten rodzaj zabawy. Kiedy zostaną uznane za przeterminowany towar i spadają na parkingi czy ulice, nie ma mowy o żadnych dodatkach. Czasem dziewczyny rozplývają się i ślad po nich ginie. Co ciekawe, na obu szczeblach. Najniższym i najwyższym. Tak jak na nizinie można to jeszcze jakoś wytłumaczyć, tak na sam szczyt dochodzą kobiety niedostępne, inteligentne, przebiegłe.

Trudno, aby taka kobieta się zagubiła. Musisz dojść do celu. Tam mamy czarną dziurę i ostatni klocek naszej układanki.

– Ale skoro tyle wiecie, dlaczego nie ratujecie tych dziewczyn?

– Nie możemy zrobić żadnego ruchu, bo ratunek będzie pozorny. Uwolnimy je tylko teoretycznie, bo to, co je zniewala, to strach, że świat się dowie i zobaczy na własne oczy to, czego nawet one nie chcą widzieć. Każda z nich teoretycznie może pójść swoją drogą, nikt ich nie więzi. Szkopuł w tym, że one teoretycznie się na to godzą. Nikt nie widział, jak się rozliczają, a na wyższych szczeblach wszystkie mają umowy o różnym zakresie usług. Od sprzątnięcia do uświetniania spotkań towarzyskich, co w wypadku celebrytek jest proste. Tam, gdzie w grę wchodzi potężne stawki, pojawiają się nawet przelewy. Wszystko legalnie. Jeżeli układ zaskoczy i obie strony są zadowolone, to właściciele biznesu ustalają stałą opłatę, a mężczyzna rozlicza się dalej z dziewczyną. Umowa na stanowisku asystentki bywa bardzo przydatna i tłumaczy żonatego mężczyznę z towarzystwa innej kobiety. Taki układ potrafi trwać latami, a czasem kończy się ślubem. Wtedy umowa przestaje obowiązywać.

Anna słuchała z zapartym tchem. Wspomnienia wróciły ze zdwojoną siłą.

– Matko... A co z Robertem? Przecież on mnie pozna!

– Robert wyjeżdża w najbliższym czasie na miesiąc do Włoch. Kończą tam hotel. Intymne miejsce dla elit, które chcą się zabawić z dala od kraju na najwyższym poziomie.

– A... jak wróci?

– Nie wróci, ma tam kilka ważnych spraw i dziewczynę... – Adam spojrzał na Annę, czy nie sprawił jej tym bólu. – Ostatnio widywany jest z pewną starszą od niego kobietą. To jest właśnie jego współniczka. Dystygowana starsza pani, która wygląda piętnaście lat młodziej od swojej metryki. Klasa sama w sobie. Nikt by jej nie podejrzewał o taki biznes. Ma jednak potężne doświadczenie. Była jedną z pierwszych w Polsce luksusowych kobiet do towarzystwa. Słowo „dziwka” do niej nie pasuje. To raczej rodzaj słowiańskiej gejszy. Zarabiała ogromne pieniądze, krążyły o niej legendy, ma kilka fakultetów, zna kilka języków i zawsze była niezależna. Miała ochronę kogoś bardzo wpływowego w tamtych czasach. Mogła czuć się bezpiecznie. Jeden z jej kochanków, czy też stałych klientów, to znany polityk.

Anna była zdziwiona. Ból, który towarzyszył jej tak długo, zdążył wyparować. Teraz czuła tylko złość pomieszana z obrzydzeniem. Od nadmiaru emocji rozboleła ją głowa. Było jej niedobrze. Sam fakt ponownego spotkania byłego faceta budził w niej odruch wymiotny.

– To wszystko wcale nie gwarantuje, że Robert nie przyleci do Polski wcześniej.

– Nie przyleci. Bierze ślub i wyjeżdża na miesiąc miodowy. Otwarcie hotelu to także jego wesele.

Anna zaniemówiła. To już ją złamało. Tu był czuły punkt w jej sercu. Przypomniała sobie piękny czas, naiwne marzenia, obietnice, które wtedy wydawały się drzwiami do

raju...

– Anno... – Głos Adama wyrwał ją z zamyślenia. – To jest przeszłość. To zły, zepsuty, zgniły człowiek. Żeni się z młodziutką dziewczyną, córką współnika, tego od hotelu. Mężczyzna jest podobno chory i ten ślub to rodzaj kontraktu. Jedyna córka ma odziedziczyć potężny majątek. Hotel będzie w całości jego, a i kilka innych wartościowych rzeczy.

– Przecież niczego mu nie brakuje, ma pieniądze... – Anna prawie się rozpląkała.

– Aniu, ten człowiek handluje kobietami, para się nierządem! Skrzywdził cię, wykorzystał i zamierza zabrać ci syna!

Leon! Anna oprzytomniała. Kiedy zdusi w sobie do końca to cholerne uczucie? Syndrom sztokholmski. Emocjonalne uzależnienie ofiary od kata. Przerabiała to na terapii. W przypiływie determinacji podjęła szybką decyzję.

– Dobrze, możecie zacząć mnie przygotowywać.

Po kilku godzinach, dziesiątkach zdjęć i nawale informacji miała dość. Głowa jest spuchła od tego wszystkiego, oczy piekły, uczucia kotłowały się dziko.

– Dość. Reszta kiedy indziej, muszę natychmiast stąd wyjść.

Wstała i zmęczonym krokiem skierowała się do drzwi.

Adam bez słowa odwiózł ją do domu. Wiedział, że potrzebuje ciszy i musi teraz to wszystko przetrwać w sobie. Na pożegnanie pogłaskał ją po policzku, ale nawet nie wysiadł z samochodu. Anna pobiegła do domu, było już późno. Nie miała siły się rozebrać, opadła na łóżko i skulona zaczęła płakać. Tak usnęła.

Bruno wrócił do domu, do swojej twierdzy. Nie lubił mieszkać w Warszawie – w budynku, który był dla niego jak hotel. Dom budował latami. Nie dlatego, że zbierał pieniądze. Był spełnieniem jego marzeń i miał być siedliskiem na pokolenia. Nie przypominał nowobogackich form stylizowanych na dworki czy pałace. Był prosty, poskładany z ciężkich kwadratowych i prostokątnych form. Stanowił minimalistyczną geometryczną przestrzeń. Duże szklane powierzchnie i ogromny zielony teren. Trzeba było zejść od tyłu, żeby zobaczyć, że stoi na wzniesieniu, a w dole rozpościera się jezioro. Z okna sypialni i salonu można było godzinami przyglądać się kaczkom i łabędziom, które czasem lądowały na wodzie w kompletnej ciszy. Ta cisza i odludzie były największą zaletą tego miejsca. Turyści tu nie zaglądali nawet latem, nie było wokół jeziora żadnej plaży ani pola namiotowego. Znalazł to miejsce zupełnie przypadkiem. Stanął przy starej rozwalającej się chałupie i pomyślał: Tu będzie mój dom.

Mieszkało tam starsze małżeństwo. Deszcz padał im prawie na głowę, a najbliższy przystanek autobusowy w odległości siedmiu kilometrów nie ułatwiał komunikacji ze światem. Zaproponował cenę, za którą mogli kupić wygodne mieszkanie w odległym o piętnaście kilometrów miasteczku. Uznali go za wariata, ale natychmiast skorzystali z okazji.

Rozbiórka ruiny trwała krótko, za to budowa ciągnęła się latami. Praktycznie kiedy uznał dom za skończony, poznał Reginę. Mieszkał w nim już, ale nadal coś zmieniał, urządzał, dobudowywał. Z planowanych ośmiuset metrów kwadratowych zrobiło się tysiąc sześćset. Kilka hektarów ogrodu także było wyzwaniem. Był las i koryto rzeki stanowiącej granicę działki. Rzeka wpadała do jeziora przez starą zepsutą tamę. Ją po licznych perturbacjach także naprawił. Woda była wyjątkowo czysta – tak w rzece, jak i w jeziorze, czego najlepszym dowodem były żyjące tam raki i szczupaki. Czasem pojawiali się miejscowi wędkarze, ale nie zabraniał im łowić. Jezioro bowiem wydzierżawił na lata, żeby nikt nie zakłócał mu spokoju. Kochał ciszę, leniwe wieczory na ogromnym tarasie lub w ogrodzie. Codziennie do pracy w terenie przyjeżdżało dwóch mężczyzn. Dom prowadziła starsza pani, wdowa mieszkająca na miejscu. Doskonale zarządzała wszystkim i pysnie gotowała. Ganiała czasem z hukiem po domu sprzątaczkę, podobno wyjątkowo krnąbrną. Przynajmniej takie wytłumaczenie słyszał od pani Wandy, kiedy pytał o krzyki i hałas. Miał swoją twierdzę. Wizja życia z Reginą wpuściła w nią życie, powiew świeżości i nadzieję na zupełnie inne hałasy. Chciał mieć minimum trójkę dzieci. Marzył, że będą

biegały po domu, kiedy wróci z pracy, będą siadać przy dużym stole do wspólnych posiłków, a w święta ustawi ogromną choinkę, taką na pięć metrów. Projektując swój dom, założył z góry, iż wysokość salonu musi być odpowiednia właśnie dla takiej choinki.

Wszedł do dziecięcego pokoju w błękitne chmurki. Serce podeszło mu do gardła. Wszystko było gotowe na przywitanie malca... Przeszedł do sypialni, która znajdowała się zaraz obok. Zobaczył rzeczy Reginy, poczuł zapach jej perfum. Nie będzie tu spał. Skierował się do skrzydła dla gości i położył na łóżku w neutralnym emocjonalnie pokoju. Wtedy zapukała Wanda:

– Proszę! Skąd zawsze pani wie, gdzie jestem?

– A bo ja wiem wszystko, proszę pana. Ja chciałam panu powiedzieć, że pan jest dobry człowiek i mnie się serce rozpadało, jak ja patrzyłam, jak ta dziewczucha panem kręci.

– A to dlaczego Wanda mi o tym wcześniej nie powiedziała?

– Pan był taki szczęśliwy, takie pan miał zadowolone oczy jak nigdy przedtem. Pan musi pognać tę babę, a dzieciaka zostawić.

– Nawet nie wiem, czy jest mój...

– Pana, pana! Słyszałam, jak pana nie było, jak ona przez telefon rozmawiała z matką, że badań się nie boi, że to pana dziecko. Straszne rzeczy mówiła, to okropna dziewczucha, a ta matka to identyczna jak ona. Panie, one pokoleniowo nierząd uprawiają. Co one tu wyprawiały, jak pana czasem nie było! – coraz bardziej rozkręcała się gosposia.

– Teraz już nie chcę nic wiedzieć, pani Wando. A właśnie, ta jej mamuska to gdzie?

– Ustaliły, że pojedzie do domu, bo ona chce się panu przypodobać, a matka wyrywna i grę jej zepsuje. Ona myśli, że jeszcze pana w sidła złapie. Panie Bruno, pan weźmie jej to dziecko, bo się zmarnuje.

– Pani Wandeczko, jak mały będzie mój, to pomyślimy. Na razie muszę ją tu razem z dzieckiem przywieźć ze szpitala, bo strach, co ona może jeszcze zrobić, jak nie będzie pod nadzorem...

– Ma pan rację. Pan się nie martwi, ja swoich piątkę wychowałam, to i tego dam radę ogarnąć.

– Dziękuję, Wandziu, teraz muszę odpocząć, dobranoc.

– Dobranoc, dobry z pana człowiek.

Bruno zasnął natychmiast, ale obudził się około trzeciej w nocy. Stres i nerwy nie pozwoliły mu już usnąć do rana. Myśli biegały po głowie, a złość i niemoc rozwalały od środka. Poszedł do kuchni, gdzie krzątała się już Wanda, usiadł przy szklanej ścianie i patrzył na jezioro. Nie mógł nic zjeść, wypił więc tylko herbatę i poszedł do biblioteki. Tu się uspokoił – stos dokumentów pochłonał jego myśli. Kiedy skończył, było już południe.

Zadzwoił po pilota helikoptera – musiał polecieć na budowę odległą o dwieście kilometrów. Nie miał ani siły, ani ochoty prowadzić auta. Wieczorem bił się jeszcze

z myślami, czy nie pojechać do szpitala. Położył się jednak spać. Kolejny dzień upłynął podobnie, ale wieczorem zadzwonił Konrad:

– Witaj, przyjacielu. Mam wyniki testu na ojcostwo.

Bruno zaczerpnął głęboko powietrza i dopiero po chwili je wypuścił.

– Jaki wynik?

– To twój syn.

Nie wiedział, czy się cieszyć, czy rozpaczać. Żadna z tych emocji nie miała jednoznacznie sensu w kontekście sytuacji. Paradoks szczęścia, pomyślał.

– Dziękuję. Masz teraz dyżur?

– Tak.

– To wpadnę do dziecka.

– Jasne, stary... Zapraszam.

Bruno całą drogę myślał, jak powinien postąpić w tej sytuacji. Niby wszystko miał już ułożone w głowie, ale powinność przegrywała z uczuciami i świadomością, że przecież jednak jest ojcem. Powinien bowiem wyrzucić Reginę na zbity pysk, ale dziecko potrzebuje matki. Wiedział też, że ma do czynienia z kobietą pozbawioną kręgosłupa moralnego, więc jej udziałem mógł być każdy czarny scenariusz.

Wszedł na oddział, zajrzał na dyżurkę, przywitał się z Konradem machnięciem ręki i zapowiedział, że wróci. Poszedł do sali, gdzie leżała Regina. Z jego dzieckiem. Przed drzwiami zatrzymał się na chwilę, wyrównał oddech, po czym wszedł do środka. Regina akurat karmiła dziecko. Uśmiechnęła się słodko. Tego widoku kiedyś pragnął najbardziej na świecie, a teraz ten właśnie widok przypieczętował decyzję. Kolejny raz w życiu musiał zmierzyć się z cierpieniem. Nie był już krasnalem, ale jest frajerem, który będzie zmuszony żyć pod jednym dachem z wrogiem, przynajmniej przez jakiś czas.

Regina skończyła karmić i podniosła dziecko w jego kierunku.

– Weź go, to twój syn, Bruno junior.

Dobra była. Musiał przyznać, że była w swojej roli wyśmienita.

Wziął małego i nieporadnie przytulił. Poczul natychmiast taką więź, że łzy wzruszenia napłynęły mu do oczu. Chwilę ponosił dziecko, a kiedy malec zdrowo beknął, odłożył go do łóżeczka.

– Posłuchaj teraz. Jesteś matką mojego dziecka. Miałaś być miłością mojego życia. Zakpiłaś sobie jednak okrutnie, zabawiałaś się moim kosztem. To jeszcze bym zniósł. Ale nigdy nie wybaczę tego, że zniszczyłaś na starcie życie mojemu dziecku, że nigdy nie będzie przychodziło w środku nocy do sypialni rodziców, że nie będzie uczyło się od nich miłości, takiej partnerskiej, i szczęścia rodzinnego, że będzie rozdarte między uczuciem do matki i ojca. Jesteś zwykłą kurwą, egoistką, pozbawioną wyobraźni i inteligencji emocjonalnej karykaturą człowieka, ale jesteś doskonałą aktorką. Jesteś też cyniczną materialistką. Zawrzemy więc układ. Będiesz z dzieckiem mieszkała w moim domu, będziesz spała w naszej sypialni, bo jest obok pokoju dziecka, będziesz miała pieniądze na

swoje wydatki i czy ci się to podoba, czy nie, będziesz dobrą matką. Dostaniesz auto z kierowcą. Nie sportowe, ale wygodne. Odpowiednie dla matki z dzieckiem. Wanda pomoże ci, jak mnie nie będzie. Ja będę mieszkał w części gościnnej i chcę mieć stały dostęp do dziecka oraz rzetelne informacje, gdzie i kiedy będziesz je zabierała. Na każde opuszczenie posiadłości musi być moja zgoda. Ty możesz robić, co chcesz i z kim chcesz. Udawać pary nie będziemy, ale jesteśmy rodzicami i na tej płaszczyźnie powinniśmy egzystować w miarę zgodnie. Jest jeszcze jedno rozwiązanie: możesz zostawić mi dziecko, rzec się go, a ja zapewnię ci mieszkanie i zapłacę jednorazowo sporą sumę.

– Ile?

– A ile chcesz?

– Pięć milionów – jednym tchem wyrecytowała kobieta.

– Dobrze.

Bruno patrzył na tę człekopodobną postać i nie wierzył, że potrafi z zimną krwią sprzedać dziecko. Nie wierzył w ten krótki dialog i transakcję, jaka przed chwilą została zawarta. Wstał z nieukrywaną radością. Właśnie wykupił się z piekła. Cena nie grała roli.

– Idę, jutro przyślę prawnika – rzucił na odchodnym.

Wyszedł, nawet nie oglądając się za siebie. Coś go jednak tknęło i został pod drzwiami. Począł chwilę, było późno, korytarz pusty. Nasłuchiwał uważnie, co będzie działo się w środku.

– Mamo, no to mamy problem z głową. Sprzedałam dzieciaka za złą sumę. Nie wytrzymam z nim w tym domu na odludziu i w takiej atmosferze. Do dzieci też się nie nadaję. Poza tym, jak dłużej go pokarmię, to mi cycki całkiem zwiędną. Jak ile? Pięć milionów. Jak to mało? Jak nie umiem liczyć?

W tym momencie z dyżurki wyszła pielęgniarka, więc Bruno ruszył spod drzwi. Wszedł do gabinetu Konrada i usiadł na kanapie. Lekarz kończył pisać coś w komputerze. Zdjął okulary, odłożył je na biurko, odwrócił fotel przodem do kolegi i spojrzał mu prosto w oczy.

– Mów.

– Kupiłem dziecko. Potrzebuję doskonałej opiekunki, dobrze zapłacę.

Po tych słowach zapadła głucha, pełna napięcia cisza.

– Co? – wydukał doktor. – Co?

– Regina zrzeknie się dziecka, nie chce go. Jestem ojcem, więc temat prosty. Ta kobieta to zawodowa prostytutka. Byłem ofiarą, a raczej celem. Długa historia. Zdarza się, ale ona powinna zagrać u jakiegoś dobrego reżysera. Byłyby nagrody za tę rolę. Nie ona tu jednak gra pierwsze skrzypce. Nie mogę tego tak zostawić. Jest wina, musi być i kara.

Anna poszła do pracy wystrojona jak na imprezę. Dawno się tak nie szykowała. Obudziła się dzisiaj dziwnie silna, a perspektywa przedarcia się na sam szczyt hierarchii w burdelu wydawała się tak samo zabawna, jak przerażająca. Górę wzięło jednak co innego. Otóż coś



się zaczęło dziać w jej nudnym życiu. Dodatkowo może skutecznie pozbawić człowieka, który ją zniszczył, tego samego: wolności, radości, perspektyw. Żądza zemsty wzięła górę. Jeżeli jeszcze w ten sposób może pomóc pogubionym, żyjącym na uwieży handlarzy żywym towarem kobietom, to cała przyjemność po jej stronie. Zauważyła, iż wraca jej wypracowana na terapii pewność siebie, skutecznie wspierana przez Adama.

– Woooow, pani Aniu, ależ pani znakomicie wygląda! Jak badania?

– No właśnie, szefie, wszystko dobrze. Przepraszam. Ostatnio byłam nieznośna, ale widmo choroby towarzyszyło mi od kilku miesięcy. Szczęśliwie wszystko zakończyło się dobrze, badania pomyślne, czekam jeszcze na jeden wynik, ale już postanowiłam wrócić do życia.

– Brawo! Właśnie widzę! Zawsze mi się podobałaś, ale teraz promieniejesz, Aneczko! Ja teraz panią zapraszam w bardzo eleganckie miejsce! Pani się skusi! Obiecuję być dżentelmenem w każdym calu i na pełny etat!

– A wie pan, że chętnie? W końcu coś mi się od życia należy! – Anna uśmiechnęła się zalotnie. Sama była zaskoczona, jak gładko idzie jej ten cyrk. Nawet czuła pewien rodzaj przyjemności.

– No to do dzieła. W sobotę o dwudziestą przyjeżdżam i proszę tego dnia nie przychodzić do pracy. Zarezerwuję kilka godzin w spa Diamenty i zapłacę za wszystko. Proszę być gotową i w takiej formie jak dziś.

– Dobrze, szefie. – Anna uśmiechnęła się, niby zaskoczona, ale nadal uwodzicielska.

– A... dasz buziaka?

A jednak wyszło z niego bydlę, pomyślała dziewczyna.

– Szefie, ja z szefem tylko na kolację... Szef ma żonę – udała zawstydzoną i Piotr, o dziwo, odpuścił.

– No dobrze, pani Aniu. Ustalimy wszystko na kolacji.

Uśmiechnął się i poszedł do biura.

Dzień minął szybko. Gdy Anna wychodziła z pracy, została jeszcze zawołana do biura. Cofnęła się z niepokojem. Wiedziała przecież, co potrafi Piotr. Miała świadomość, że wszystko może się zdarzyć, a nie uprzedziła Adama, iż swoją misję zacznie natychmiast. Nie wiedziała więc, co robić w razie zagrożenia. Jak to co? Walczyć! – pomyślała i odważnie weszła do biura. Za biurkiem w centrum bałaganu siedział Piotr. Nie wstając, podał jej kopertę.

– Tu jest premia. Proszę całość wydać na sukienkę i buty. Torebkę osobiście dam pani w sobotę, to będzie na przeprosiny za tamto moje niefortunne zachowanie.

Piotr był zupełnie kimś innym. Magda miała rację! Anna zauważyła jeszcze jeden szczegół. Musiał się w ciągu dnia przebrać i był czysty. W powietrzu pachniało męskimi perfumami. Miał czyste paznokcie i przycięte włosy. Hmm, pomyślała, coś będzie się działo.

– Ależ dziękuję, mam się w co ubrać.

– Pani Aniu, powiedziałem, że to premia ze wskazaniem celu, na jaki należy ją wydać. Proszę dobrze przyłożyć się do zakupów.

Anna wzięła kopertę, podziękowała i pobiegła na autobus.

W domu szybko zrzuciła kurtkę i wysokie buty, które tak dały jej popalić przez cały dzień, że pod koniec czuła już ból całego ciała. Leon został na noc u babci. Anna nalała więc wody do wanny, zapaliła świece, zrobiła sobie zieloną herbatę, puściła muzykę i szybko się rozebrała. W lustrze zerknęła na nią piękna kobieta, znowu zaczynała postrzegać się w ten sposób. Włosy spięła na czubku głowy i weszła do wanny. Z muzyką wróciły wspomnienia. W zasadzie całe jej życie było przesiąknięte kadrami z przeszłości. Nie potrafiła skutecznie się ich pozbyć. Czasem miała wrażenie, że sama pielęgnuje i podlewa łzami ten ogródek... Po zakończeniu związku z Robertem była martwa.

Przed oczami pojawił się wieczór, w którym zaniepokojona brakiem okresu zrobiła test. Robert przyjeżdżał raz w miesiącu na kilka dni – dni pełnych dzikiego seksu. Nie stosowała żadnej antykoncepcji. Znała swój organizm i kalendarzyk wyznaczał idealnie cykl. Kiedy ujrzała dwie kreski, nie wiedziała, co ma myśleć. Czuła potężny niepokój. Nie rozmawiali o dziecku, nie planowali jeszcze założenia rodziny. Wiedziała, że kiedyś w przyszłości ma zostać jego żoną, ale że teraz jest trudny czas: żałoba po ojcu, choroba matki Roberta, ważne sprawy w Polsce... A i ona sama w obcym kraju, na kompletnym odludziu, w dodatku z chorą kobietą... Stryj Roberta, zajmujący się winnicą, pracował od rana do nocy – nie było nikogo, z kim mogłaby porozmawiać. Poza tym nauka włoskiego szła jej opornie. Kiedy przyjeżdżał Robert, wynagradzał jej wszystko. Rzadko jednak wychodzili z domu, bo jego matka, mocno przyzwyczajona do Anny, zaczynała się okaleczać, wyjąc przy tym jak zwierzątko, a rola opiekunki karmiła potrzebę Anny bycia kochaną i potrzebną. Poza tym była też dramatycznie zmęczona. Kiedy Robert chciał gdzieś wyjść wieczorem, zwykle prosił stryja, żeby towarzyszył matce. Czasem się na to godziła i wtedy jechali motorem do miasteczka na romantyczną kolację lub spotkanie z jego znajomymi. Był cudowny, czuły, ciepły, zabawny. Była szczęśliwa. Żyła od jednego jego przyjazdu do kolejnego.

Stała i patrzyła na test, nie mogła sama ze sobą ustalić, co czuje. Radość, strach, szczęście, przerażenie...? Co powie Robert? Chciała chwycić za telefon i zadzwonić. Nie zrobiła jednak tego, bo się bała. Miał przyjechać za kilka dni. Poczeka.

Woda w wannie wystygła, Anna odkręciła prysznic i połała ciało zimnym strumieniem. Przegoniła wspomnienia. Tej nocy spała spokojnie.

Bruno nie mógł usnąć. Nie potrafił zrozumieć, jak pokochał taką iluzję. W głębi duszy myślał, iż Regina będzie walczyć o dziecko, spróbuje go przekonać do siebie, wymyśli jakąś bajeczkę, że ktoś ją zmusił do tej gry, a tak naprawdę to zakochała się, pogubiła i tak dalej. Chwytał się absurdalnych scenariuszy – żeby po chwili znów wrócić do rzeczywistości.

Rano transakcja – profesjonalnie przygotowana przez adwokata – była gotowa do zrealizowania. Dokumenty zrzeczenia się praw do dziecka oraz osobny dokument darowizny z zastrzeżeniem jakichkolwiek roszczeń w przyszłości. Wszystko skrupulatnie przemyślane i zapisane – dawało poczucie bezpieczeństwa i absolutnie niwelowało podejrzenie handlu dzieckiem. Pieniądze miały wpływać ratami przez pięć lat, równo po milionie za każdy rok. Tyle czasu potrzebował, aby mały związał się z nim emocjonalnie. Tę kobietę podejrzewał o wszystko. Wiedział, że może próbować kontaktu w przyszłości, choćby w celu wyłudzenia kolejnych pieniędzy.

W szpitalu zjawili się z adwokatem i notariuszem. Regina znowu karmiła dziecko. Nienawidził tego widoku – przypomniał mu o porażce. Do sali weszła pielęgniarka. Stała koło łóżka i zapytała:

– Czy jest pani pewna?

– Tak. Proszę natychmiast zabrać ode mnie tę pijawkę. Moje piersi nie są do tego stworzone. To było ostatnie karmienie. Resztą zajmie się tatuś.

Chłód i sarkazm w jej głosie wbiły pielęgniarkę w ziemię. Spojrzała zszokowana na Brunona i zabrała dziecko.

– Co ty wyprawiasz? – warknął mężczyzna.

– Ja? Nic! Gdzie masz tych swoich mecenasów? Chcę przeczytać dokumenty.

Bruno poprosił prawników. Adwokat podał dokumenty. Usiedli przy stole, przy którym szczęśliwie stały trzy krzesła.

– Czy pani jest świadoma tego, co podpisuje? – zapytał notariusz.

– Na razie proszę mi pozwolić spokojnie przeczytać. Teraz niczego nie podpiszę. Proszę o opuszczenie sali. Muszę wszystko skonsultować telefonicznie.

Bruno wstał, a za nim obaj prawnicy. Popatrzył na kompletnie obcą mu kobietę i wzdrygnął się wręcz na samą myśl, że musiałby żyć z nią pod jednym dachem. Po godzinie Regina wysłała mu esemes z wiadomością, że jest gotowa i że mogą wrócić na salę.

– Chcę pieniądze w całości, nie zamierzam ryzykować. Może nie pożyczysz tyle? – Uśmiechnęła się szyderczo.

– Ma pani dokument, który w razie śmierci zobowiązuje spadkobierców do spłacenia wszelkich zobowiązań – odezwał się adwokat.

– A jak nie będzie co spłacać? Jak mój książę się rozpłynie razem ze swoim majątkiem? – nie dawała za wygraną Regina.

– Widzę, że masz dobrego doradcę. – Bruno nie powstrzymał się od komentarza.

– Mam głowę na karku i nie takie numery widziałam, kochasiu.

Chryste, kim była ta kobieta? Miał wrażenie, że cierpi na rozdwojenie jaźni.

– Jak chcesz. W sumie to alimenty będą mnie mniej kosztowały, a dziecka widzieć nie muszę, nie zdążyłem się jeszcze przyzwycząić – zagrał ryzykownie.

– Pieniądze od razu albo nie ma mowy o dziecku. Będziesz musiał mnie znosić pod swoim dachem w twierdzy, która przestanie być taka przytulna, jak zacznę żyć po swojemu. Mówiłeś, że mogę robić, co chcę, byle dziecko było pod twoją kontrolą. – Zaśmiała się znowu jak rasowy przestępca, ukrywający skok życia.

– Nie będziesz ze mną mieszkała, chyba nie zrozumiałaś ostatniej wersji. Nie chcę widzieć ani ciebie, ani dziecka. Podaj mi alimenty i przelicz, ile dostaniesz. Nie zamierzam niczego ci zabezpieczać. Na dziecko będę płacił według stawki sądu. Jak myślisz, ile sąd przyzna alimentów dziwce, która para się nierządem? Mam dowody, przypominam ci. A nawet jeżeli pominę ten argument i sąd wyliczy na potrzeby niemowlaka alimenty w kosmicznej jak na polskie warunki wysokości pięciu tysięcy, to dokładnie tyle będę płacił. Wiesz, jak jest z nami, facetami, zrobię sobie kolejne dziecko i o tym zapomnę. – Bruno uśmiechnął się i rzucił do prawników: – Wychodzimy, panowie.

Serce podchodziło mu do gardła, krew pulsowała w głowie, ale musiał zagrać do końca.

Kiedy byli już na parkingu zadzwonił telefon.

– Wracaj. Podpiszę te cholerne dokumenty i zabieraj tego bachora.

Obaj prawnicy po zakończeniu formalności pożegnali się z Brunonem, który od razu poszedł do dyżurki pielęgniarek.

– Ta pani zrzekła się właśnie praw do dziecka, ja jestem jego ojcem i jedynym opiekunem. Pani wychodzi w tym momencie ze szpitala na własne żądanie, a właściwie ucieka – jednym tchem poinformował dyżurnego lekarza, po czym poczuł mdłości, silny ucisk w klatce piersiowej.

Dalej już nic nie pamiętał. Zapadła ciemność. Obudził się na łóżku szpitalnym pod kroplówką. Obok siedział Konrad, którego wezwał z domu lekarz dyżurny.

– Noo... kolego, na ginekologii to jeszcze nie leżałeś... Ha, ha, ha! Napędziłeś strachu personelowi, myśleli, że masz porażenie mózgowe albo zwariowałeś. Mówili, że bredziłeś, po czym ustalili, że matka dziecka faktycznie opuściła szpital, a ty jesteś ojcem. Szczęście twoje, że pielęgniarka skojarzyła cię ze mną. Zasłabłeś, nic ci nie jest, ale niezbędny będzie wypoczynek. EKG w porządku, niemniej skoki ciśnienia mogą cię zabić. Kardiolog wykluczył problemy z sercem, nerwy musisz leczyć.

– Długo muszę tu być?

– Aż skończy się kroplówka. Trochę byłeś nieprzytomny, więc zrobimy jeszcze rezonans głowy, a jak nic nie będzie się działo, możesz jechać do domu. Zadzwon jednak po kierowcę.

– Ta kurwa mnie wykończyła...

– Nikt cię nie wykończył, wyluzuj, wypocznij. Mam dla ciebie doskonałą pomoc do dziecka. Potrzebujesz dwóch opiekunek na zmianę. Jedna nie da rady. Przynajmniej przez pierwsze miesiące. A jeszcze przy twoim trybie pracy...

– Dziękuję, stary. Jak ja sobie poradzę? Nie znam się na dzieciach... – Bruno był bezradny, blady i zmęczony.

– Poradzisz, poradzisz. Dzieci dodają siły. Miłość uskrzydla, a ta do dziecka jest bezwarunkowa. Nie rozczaruje cię, choć czasem będziesz chciał gościa zabić. Znam z autopsji. No a teraz dzwoń po kierowcę. Kroplówka zaraz się skończy, pójdziemy na chirurgię, zrobimy tomograf i do domu. Młodego weźmiesz za kilka dni. Teoretycznie powinien jutro wyjść, ale na pediatrii chcą go poobserwować. Matka miała podczas badań we krwi ślady narkotyków. Musiała je brać krótko przed porodem. W sumie to powinniśmy powiadomić policję, ale ze względu na ciebie wyciszyłem temat.

- To dlaczego pozwoliliście jej karmić?
- Jak to pozwoliliśmy jej karmić?
- No karmić dziecko piersią!
- Przecież ona nie miała pokarmu...
- Widziałem, jak karmiła!
- Mogłeś widzieć jedynie, jak dziecko ssie pustą pierś.
- Kolejna inscenizacja! – Bruno zakrył dłońmi twarz i kołysał się jak w obłądnie. – Ta dzidra do końca odgrywała swoją rolę! To nie może się dziać naprawdę. Może ja się, kurwa, jednak obudzę!
- Nie krzycz, jesteśmy w szpitalu.
- Przepraszam, stary, nie mogę tego w sobie przerobić. Nie potrafię uwierzyć, że istnieją takie karykatury. Puste, wyrachowane zdziury – wycedził Bruno z nienawiścią.
- Nie, bracie, my jesteśmy często równie beznadziejni.
- My?
- Mężczyźni.

Anna rozczesywała włosy i myślała, jak będzie wyglądał dzień. Doszła do wniosku, że musi uprzedzić Adama o tym, co się wydarzyło. Wybrała jego numer i zadzwoniła. Po krótkiej relacji i kilku wskazówkach podeszła do szafy. Przypomniała sobie wtedy o kopercie w torebce. Włożyła romantyczną sukienkę w zielone liście, w której zrobiła już furorę. Szczerze mówiąc, nie miała zbyt dużego wyboru. Nie inwestowała w ciuchy, bo nie miała czego inwestować ani większych potrzeb. Swoje życie jako kobiety romantycznej uznała za zakończone. A tu taka niespodzianka od losu. Musi na powrót odnaleźć w sobie to, co głęboko zakopała dla dobra sprawy. Ale czy tylko? Pomyślała, że ten powrót kobiecości zaczyna sprawiać jej przyjemność. Przed wyjściem z domu wyjęła kopertę. Teraz wydała jej się dziwnie gruba. Plik pieniędzy, który który z niej wydobyła, trochę ją przeraził. Policzyła. Pięć tysięcy! Co teraz zrobić? Zadzwoniła do Adama.

- Słuchaj, w tej kopercie jest pięć tysięcy!
- I?
- I co ja mam z tym zrobić?
- To, co kazał ci szef: kupić sukienkę i buty.
- Ale że za moje dwie pensje z premią świąteczną?

– Jak zauważyłaś – albo jeszcze nie – musisz przedrzeć się do świata dużych pieniędzy i on też to wie. On, czyli twój szef. Inwestuje, żeby później wybrać kilkakrotnie powiększoną kwotę, a jak dobrze pójdzie, to możesz być strzałem jego życia. To jest gra o potężne pieniądze, nawet jak dla niego. Zrozum wreszcie, w czym uczestniczysz.

– Okej. Ale gdzie ja tu kupię sukienkę za takie pieniądze? To nie Warszawa!

– Aniu. Uświadom to swojemu szefowi i weź wolny piątek. Z pewnością ci da. Przy okazji podjedziemy na komendę porozmawiać, żebyś była bezpieczna w sobotę.

Anna bez problemu uzyskała dzień wolny. Piotr był cały czas miły, szarmancki, czysty i uśmiechnięty. Nie przeszkadzał jej w pracy i się nie narzucał. Była mile zaskoczona, bo szczerze się bała, iż będzie musiała walczyć z jego amatorami. Nic z tych rzeczy.

Tego wieczora powiedziała matce, w czym będzie brała udział. Kobieta z przerażenia usiadła.

– Anno, to nie jest bezpieczne!

– Mamo, poradzę sobie, mam opiekę policji i Adama. Jestem pod stałym nadzorem. Mam numer alarmowy i dostanę inne zabezpieczenia.

– Córciu, ale to nie jest wytwórnia filmowa! Ty nie grasz w Bondzie! Tu jest życie, masz dziecko!

– Mamo, ciszej, bo to dziecko dopiero uśpiłam...

– Przepraszam cię, ale nie uważam, abyś ty, samotna matka, musiała brać udział w tak niebezpiecznym zadaniu! Przecież powinni tam mieć jakieś atrakcyjne szkolone do tego policjantki!

– Mamo, przestań krzyczeć, bo obudzisz Leona. Nic mi nie będzie. Mnie życie przeszkoliło najlepiej. Ja byłam dość długo częścią tego luksusowego zepsutego świata. Co prawda nieświadomie, ale zawsze... Mam praktykę. Moja jedyna prośba do ciebie: zajmij się Leosiem. Wiem już przynajmniej, dlaczego Robert nie może się z nim spotkać i odwołał dwa kolejne weekendy, które należały do niego.

– No? Z jakiego powodu? – zapytała już zdecydowanie spokojniejsza kobieta.

– Żeni się.

Matka spojrzała na Annę i postanowiła szybko zmienić temat. Przeszły płynnie na osiągnięcia Leona w przedszkolu i ustalenie dyżurów z wnukiem.

Leżąc w łóżku, Anna wróciła do sytuacji w kawiarni, w której po zakupach czekała na Roberta.

Po utarciu nosa słynnemu warszawskiemu playboyowi Andrzejowi Brackiemu poszli na dalsze zakupy razem. Robert wybierał jej bieliznę i kilka codziennych zestawów ubrań za koszarne pieniądze, aż w pewnym momencie doszli do sławetnej perfumerii. Tej, przed którą wpadł na nią, co zapoczątkowało ich związek. Weszli do środka.

– Tu wybierzemy, jak moja Anna będzie pachniała...

Dziewczyna poczuła się jak w kulminacyjnej scenie z romantycznego filmu. Wchodziła do miejsca, które uważała za bramę do innego życia. Robert jako koneser podawał nazwy

kompletnie jej nieznane, choć wszystkie perfumy dostępne w sieciowych perfumeriach znała. Testery Diora, Chanel... kolejne edycje. Tu jednak był świat dla wybranych. Oni nie mogli pachnieć jak ktoś z ulicy. Tu były flakony za tysiące. Zapachy niepowtarzalne, opakowane jak dzieła sztuki, i atmosfera wręcz mistyczna.

Sprzedawczyni podawała kolejne fiołki, a Robert odstawiał te, które mu nie pasowały. Wybrał kilka i dał je do powąchania Annie. Dziewczyna wybrała perfumy. Wyszli z wersją tego samego zapachu na dzień i na noc. Kiedy Robert płacił, Anna zaczęła się zastanawiać, czym zajmuje się jego kancelaria, że stać go na zakupy, których kwota jednego dnia opiewała na kilkadziesiąt tysięcy złotych. Dziewczyna uważała to za kosmiczną sumę i nie do końca czuła się z tym dobrze.

Na lunch poszli do słynnej restauracji, w której przy stolikach siedziało kilka znanych osób. Robert z każdą się przywitał i przedstawił Annę. Podczas jedzenia zachwycał się jej oczami, kolorytem skóry, odcieniem włosów i delikatnymi palcami. Patrzył, jak je, uważnie słuchał, co mówi, mimochodem głaszcząc ją po policzku.

– Wiesz... muszę poruszyć temat zakupów – odezwała się, kiedy czekali na deser.

– Czy moje kochanie coś jeszcze potrzebuje? Mów śmiało! – Robert uśmiechnął się ciepło.

– Nie, nie, absolutnie nie! Wręcz odwrotnie! Niezręcznie się z tym czuję, że wydajesz takie sumy. Nie potrzebuję tych wszystkich luksusów. W moim dotychczasowym świecie było mnóstwo rzeczy, o których marzyłam, i wszystkie one sprawiłyby mi radość, a kosztowałyby dziesięć razy mniej.

– Anno, czy te rzeczy nie sprawiły ci radości? – Robert spochmurniał.

– Ależ to nie tak! Nie o to chodzi, nie zrozumiałeś mnie! Sprawili, i to ogromną, ale źle się czuję z tym, że musiałeś na nie tyle wydać!

– Po pierwsze, nie musiałem, tylko chciałem. A po drugie, dżentelmeni nie rozmawiają o pieniądzach. Zarabiają je i wydają. – Uśmiechnął się na koniec. Wiedział, że Anna nie lubiła tego zachmurzenia na jego twarzy.

– No dobrze, zrozumiałam. Pozostaje mi więc podziękować...

– To, moja droga, zrobisz wieczorem. Wszelkie hołdy i pokłony będą później, teraz spieszmy się z deserem, bo muszę zawieźć cię do fryzjera. – Spojrzał na zegarek i skrzywił się nieznacznie: – Mamy mało czasu, więc raz-raz tę bezę i znikamy.

U fryzjera czekała na nią trzyosobowa ekipa stylistów i masażystka dłoni. Jeden przez drugiego prześcigali się w zachwytach nad włosami Anny. Dodatkowo dziewczyna miała do wyboru przeróżne napoje.

– Czy dużo mamy w środku doczepów? – zapytał pierwszy z trzech mężczyzn.

– Czego?

– No... czym są włosy zagęszczone?

– Niczym...

– Mogę dotknąć?! – Drugi prawie eksplodował ze zdziwienia. Ewidentnie nie dowierzał!

– Mam wrażenie, że jestem u fryzjera, więc musi pan mnie dotknąć, a zwłaszcza moich włosów! – Roześmiała się.

Wszyscy trzej rzucili się do głowy Anny jak stado sępów.

– Maaaateczko najukochańsza!!! – krzyknął jeden. – Mateczko moja, ta bogini to druga Viola Villas!!! To jest jakiś odrealniony przypadek, matulu moja!

– I co z tym przypadkiem zrobimy, drogi panie? – Rozbawiona sposobem mówienia fryzjera Anna dostroiła się do jego tonu.

– Jak to co? Boska Rita!

– Kto?

– Rita Hayworth! Bogini! Królowa tańca i seksu, obiekt marzeń całego świata, nawet geja! – To mówiąc, poprawił włosy, wyprostował się, oparł rękę na biodrze i spojrzał w lustro przed oczami Anny. Miało to oznaczać „czyli mnie”.

– Może być Rita, proszę to tylko ujarzmić.

Po trzech godzinach zabiegów Anna dostała od Roberta esemes: „Kierowca już jest, ja będę wieczorem”. Przed salonem stał jeden z tych mężczyzn, którzy przywozili do apartamentu jedzenie. A w mieszkaniu Roberta czekał na nią gigantyczny bukiet czerwonych róż i bilecik: „Mojej bogini – R”. Przy wazonie z kwiatami leżało pudełko czekoladek i puzderko z karteczką na wierzchu: „Otwórz, Anno”. Po otwarciu zobaczyła przepiękny łańcuszek z zawieszka w kształcie okrągłego pudełeczka, z małutkimi diamentami w środku. Chopard. Czytała o tej marce i szczęśliwych diamentach. Czy nie jest to wszystko dziwne? Czy rzeczywiście znalazła się w bajce? W tym czasie przyszedł kolejny esemes: „Kochanie, za godzinę przyjedzie makijażystka. Wpuść ją, pomoże ci zrobić się na bóstwo”.

Odpisała: „Dziękuję za wszystko, czuję się jak Kopciuszek w drodze na swój pierwszy bal”. Na co dostała odpowiedź: „To nie bal, ale wszystko przed nami”.

Anna wysłała na koniec serduszko i pomyślała, że te wszystkie romansidła muszą jednak mieć podłoże w realnym świecie. Dotychczas myślała, iż to zwykła fikcja literacka dla gospodyń domowych. A teraz jej życie jest najlepszym przykładem...

Makijażystka zjawiła się punktualnie z kufrem wypełnionym po brzegi kosmetykami. Anna w życiu nie przypuszczała, ile trzeba tego wszystkiego po kolei nałożyć na twarz, aby zrobić profesjonalny makijaż. Trwało to ponad godzinę. A w tym czasie wysłuchała pochwał na temat fryzury i zauważyła kpiący wzrok, gdy zaprzeczyła, że użyła doczepów. Dziewczyna ewidentnie nie wierzyła, a Anna nie zamierzała jej tego udowodniać. Wysłuchała za to kilku historii o twarzach znanych kobiet i zabiegach, jakim się poddają, aby cera była gładka, a oczy wydawały się większe. Po wszystkim stanęła przed lustrem. Faktycznie wyglądała jak Rita. Naturalne długie rzęsy, pomalowane i wyczesane, wyglądały imponująco, włosy ułożone jak w kultowej scenie z filmu *Gilda*, a makijaż dopełniał dzieła. Brakowało jeszcze tylko czarnej wąskiej sukienki z długim rozcięciem z przodu i czarnych rękawiczek.



Sukienka była, choć nie tak długa, a rękawiczki... to już nie ta era. Nikt nie docenia takich drobiazgów, kiedyś uchodzących za prawdziwy fetysz. W czasach otwartej pornografii śmieszny ten kontekst. Anna spojrzała na godzinę. Powinna się już ubierać. Roberta jeszcze nie było, ale jak wróci, będzie potrzebował chwili na przygotowanie. Włożyła więc bieliznę, szlafrok z czarnego jedwabiu, który dzisiaj kupili, i mając kilka minut w zapasie, oddała się lekturze leżącej na stole gazety. Zaczytana, nie usłyszała nawet, że Robert już wszedł.

– Kochanie! Czy jesteś gotowa?! – krzyknął jeszcze z holu.

– Prawie. Zostało mi tylko włożyć sukienkę.

Anna wyszła na korytarz i stanęła jak jej pierwowzór podczas tańca. Zakręciła biodrami, wzniosła się na palcach i rozłożyła ręce.

– Woouooooow!

Widok zapierał dech w piersiach.

– Woouooooow! – powtórzył Robert.

Anna była zachwycona jego reakcją. Lubiła zwracać uwagę, choć od niedawna.

– Ubieraj się, kochanie, choć powinienem teraz cię raczej rozebrać... Musimy zaraz wychodzić. Ja tylko wezmę szybki prysznic i jestem gotowy.

Kiedy Robert wyszedł z garderoby, zobaczył Annę w dopasowanej czarnej sukience z ogromnym dekoltem na plecach i długim rozcięciem z przodu. Jedno ramię miała gołe, a po drugim spływał ciężki materiał – na zasadzie upiętej togi. Dziewczyna była bardzo wysoka – wzrost plus jedenastocentymetrowe szpilki robiły robotę. Miała piękne szczupłe kostki, długie nogi, okrągłe kobiece biodra i talię osy. Spory biust łagodnie układał się pod materiałem. Złota karnacja, rude włosy do połowy pleców uczesane w stylu Rity oraz ogromne zielone oczy w modnym makijażu *smoky eyes* powalały. Na szyi pobłyskiwał wisiołek – prezent od Roberta – a zapach delikatnie orientalnych perfum dodawał całości nieprzyzwoicie sensualnej magii. Była zjawiskiem. Robert wiedział to od pierwszej chwili. Takiej kobiety szukał.

Impreza okazała się kolacją z okazji urodzin jakiegoś bardzo zamożnego człowieka, który wydawał ją w swojej rezydencji. Był klientem Roberta. Miał piękną, ale bardzo smutną żonę. Wydawała się kompletnie nieobecna, choć szalenie miła. Mechanicznie witała gości, mechanicznie wydawała dyspozycje ludziom obsługującym przyjęcie i każdemu posyłała ten sam uśmiech. Miała około pięćdziesięciu lat, a jej mąż ze dwadzieścia więcej, dzisiaj właśnie świętował siedemdziesiąte urodziny.

Setka zaproszonych gości miała do dyspozycji kilka atrakcji. Potężny namiot w ogrodzie z wystrojem jak u samego maharadży robił wrażenie. Orientalne akcenty przejawiały się również w wyszukanym menu i napojach. Lampiony rzucały niezwykły kolor ciemnej purpury, a z głośników snuła się dyskretnie arabska muzyka. Dookoła roztaczał się ciężki wschodni zapach. Naczynia, sposób ułożenia oraz pewien rodzaj obfitości, charakterystyczne dla tej części świata – wszystko to przenosiło gości w inny wymiar.

Anna chłoneła każdy detal, przyglądała się stojącym z kieliszkami szampana w rękach grupkom ludzi, które co chwilę rotowały. Wszyscy się znali, witali i sprawiali wrażenie zachwyconych swoim towarzystwem. Stoły czekały cierpliwie na sygnał do startu. Kelnerzy chodzili między gośćmi gotowi na każde skinienie podać, odebrać, dolać, wymienić... Nikt nie jadł, ale wszyscy pili. Kiedy gospodarz pojawił się na scenie, wszyscy zamilkli. Przemówienie było standardowe: że czuje się zaszczycony, iż goście dopisali w komplecie, że czuje się spełniony, że ma wciąż marzenia do zrealizowania... Podziękował żonie i synom. Obaj synowie wzniesli toast, a żona skrzywiła się, wymuszając tym razem uśmiech odmienny od tego rozsyłanego hurtowo. Była wyraźnie bliska łez i chyba tylko Anna to widziała. Reszta towarzystwa pogrążyła się w takiej euforii, iż dziewczyna miała wrażenie, że to sam bóg przemówił.

Kiedy rzeczony bóg dał przyzwolenie, goście zasiedli za stołami, a na scenie pojawił się ormiański zespół. Jak się dowiedziała później od Roberta, jubilat miał ormiańskie korzenie, stąd pomysł na oryginalny klimat imprezy. Kobiety towarzyszące mężczyznom były w różnym przedziale, nie tylko wiekowym. Z łatwością mogła rozpoznać pierwsze żony. Były przeważnie w wieku swoich mężczyzn i miały stonowany styl bycia. Sama co prawda nie była z tego rozdania i towarzyszyła sporo starszemu mężczyźnie, ale na tle tej grupy nie raziła różnica dwudziestu lat. Były i pary, w których można było śmiało stwierdzić dwupokoleniowy, półwieczny przedział. Nie zamierzała oceniać. Wśród gości zauważyła kilka znanych twarzy obu płci i cudzoziemców. Nie miała świadomości, jak wielkie wzbudza zainteresowanie. Jak się okazało, ten rodzaj towarzystwa przygląda się dyskretnie, a widzi niezwykle dużo. Po posiłku zapowiedziano atrakcję wieczoru. Ku ogromnemu zdumieniu gości na scenie pojawiła się... Cher! Anna była przekonana, iż to doskonale dobrany sobowtór, ale i tak uznała to za niezwykle wydarzenie. Później, gdy dowiedziała się, że to gwiazda we własnej osobie, nie mogła uwierzyć.

– Robert! Taka gwiazda!!! To niemożliwe! Nigdzie nie mówili, że do Polski przyjedzie Cher!

Była tak rozemocjonowana, że Robert nie mógł powstrzymać śmiechu.

– Kochanie, o tym, że tu jest, wie bardzo wąskie grono. Ta informacja nigdy nie przedostanie się do mediów. Tu panują określone zasady i ty także im podlegasz. Gwiazdy występują i na mniejszych przyjęciach – wszystko kwestia ceny, znajomości i czasem sympatii. Tu mamy wszystkie czynniki naraz. Cher jest Ormianką, a oni bardzo się wspierają. Prywatny odrzutowiec, prywatna odprawa na lotnisku, dokumenty o poufności, właściwa organizacja i ochrona. Plus oczywiście adekwatne pieniądze. Ten człowiek ma wszystkie atrybuty i insygnia władzy, wierz mi. I choć nie czytasz o nim na pierwszych stronach gazet, to jego majątek przewyższa najbogatszych Polaków z pierwszych miejsc wszelakich rankingów. Prawdziwe pieniądze nie lubią rozgłosu.

Była to jedna z wielu lekcji, które Anna odbyła dzięki Robertowi. Koszt ich okazał się niewspółmierny do wiedzy, choć dzisiaj zaczęła na tę wiedzę patrzeć inaczej. Teraz może

okazać się jej orężem. Dzięki niej wie, jak poruszać się po świecie zamkniętym dla przeciętnych ludzi, i posiada odporność na jego blichtr. Robert skutecznie ją zaszczepił. Choć wtedy, na tamtym przyjęciu, dała się uwieść ułudzie – jak każdy nowicjusz oszołomiony nieprzeciętnym bogactwem i możliwościami, jakie z niego wynikały.

Bruno poinformował Wandę o zmianach. Ta kobieta była dla niego jak członek rodziny i miał do niej zaufanie. Jej prosta mądrość i uczciwość, których często był świadkiem, dawały mu poczucie bezpieczeństwa, jakiego potrzebują i dorośli, i dzieci. Wanda ucieszyła się z obrotu wydarzeń. Nie znała co prawda ceny, ale miała świadomość, że dziecko trzeba ratować i pomóc wychować. Pokój dziecięcy od dawna stał przygotowany, a reszta to nie problem. Swoje dzieci wychowała na zdrowe dęby, to i temu krzywdy nie da zrobić. Pielęgniarki będą zbędne na dyżurach, ale skoro pan tak chce, to tak być musi.

Bruno zadzwonił do Bogdana. Długo myślał, jak dotrzeć do czubka góry lodowej, by sprawdzić, jak daleko sięga biznes tych dwojga: Heleny i Roberta. Ten nieszczęsny duet był winny jego cierpieniu. Para oszustów, która – jak się okazało – pod przebraniem ludzi z klasą handluje kobietami i bez skrupułów bawi się uczuciami.

– Cześć, Bogdan, jutro będę w stolicy. Masz może czas na wspólny lunch lub kawę u mnie w domu?

– Oczywiście, ja dla ciebie mam zawsze czas, nawet jak nie mam. Ha, ha, ha. Wpadnę do ciebie w południe. Pasuje?

– Jasne! Jesteśmy umówieni.

Rano Bruno pojechał do szpitala zobaczyć syna. Mimo iż bardzo się przed tym wzbriał i nawet przed samym sobą nie chciał się do tego przyznać, mały skradł jego serce, zanim się urodził. Kiedy dowiedział się, że będzie ojcem, oszalał. Pierwsze USG sprawiło, że popłakał się ze szczęścia. Synek był zdrowy, miał wszystkie kończyny równej długości (co z oczywistych powodów mocno niepokoiło Brunona) i pachniał jak malutka mleczarnia. Bruno poczuł wreszcie jednoznacznie szczęście i spokój. Spędził z dzieckiem dwie godziny, przyglądając się, jak śpi i jak karmi go pielęgniarka. Sam także spróbował go nakarmić. Czuł to swoje szczęście, niepełne jak całe jego życie, kulawe. Poradził sobie jednak ze wszystkimi brakami i nadmiarem, który w rekompensacie dostał od losu, więc i z tym da sobie radę.

Jadąc do Warszawy, myślał o dziecku. Planował czas z nim, ubierał w wyobraźni choinkę, budował zamki na plaży, jeździł rowerem. Został ojcem...

Bogdan zjawił się w doskonałym humorze. Zresztą czy Bogdan kiedykolwiek nie miał humoru? Dobry nastrój był nieodzownym elementem jego osobowości i z tego głównie powodu Bruno lubił z nim przebywać. Patrzył na życie trzeźwo, liczył logicznie i trzymał się zasad. Jego słabość – kobiety – też była pewnego rodzaju zasadą.

– Jaki masz temat? Coś z biznesu? – zaczął Bogdan dyplomatycznie, choć wiedział, że kolega biznesy załatwia drogą służbową.

– Ile mam zapłacić za to, żebyśmy znaleźli się tam, gdzie ty dostać się nie możesz?

– Mogę, mogę, ale kwota kłóci się z moim rozsądkiem, przyjacielu. Ja mogę wszystko, he, he, ludzie mają do mnie zaufanie. Ale koszt... koszt to pół miliona za weekend.

Bruno rzucił się w wir pracy. Próbował zapomnieć o całym świecie. Poza pracą nic innego mu nie zostało. Po kilku dniach zadzwonił Bogdan:

– Hej, chłopie, jak tam u ciebie? Nie odzywasz się, a my robimy zrzutę na ślubny prezent dla Ryszarda i Tamary. Bierzesz udział?

– Bogdan, możemy spotkać się u mnie wieczorem?

– Jasne, nie ma sprawy. Wpadnę około dwudziestej.

Bruno załatwił, co miał załatwić, wpadł tu i tam, po czym pojechał do swojej jaskini. Analizował dogłębnie, jaki udział mógłby mieć w tej całej historii Bogdan. Musiał z kimś porozmawiać, a Bogdan był jedynym człowiekiem, do którego miał jakieś takie zaufanie. Dodatkowo regularnie obracał się w tym bagienku. Jako umysł ścisły Bruno układał w głowie informacje jak puzzle, ale pomimo starań nie znalazł żadnego fałszywego elementu, żadnej pustej przestrzeni ani wątpliwej historii, na której mógłby oprzeć jakąkolwiek wątpliwość co do uczciwości kolegi. Znał go dość dobrze. Bodzio był z tych, którzy swoje braki czy niedostatki emocjonalne nadrabiali zaliczaniem pańienek, ale czerpanie korzyści z nierządu kompletnie do niego nie pasowało.

Przyjaciół zjawiał się punktualnie z butelką szkockiej i szerokim uśmiechem na twarzy. Od progu starał się stworzyć zabawową atmosferę:

– Słuchaj, wymyśliśmy, że oni wszystko mają i kupowanie im...

– Nie, nie chcę rozmawiać o prezencie. Prześlij mi numer konta i kwotę. Zróbcie, co zaplanowaliście. Chciałem spotkać się w zupełnie innej sprawie...

– Mianowicie? Jakiś teren wyczałeś pod budowę? Czy masz z czymś problem? Wiesz... ja o Reginie wiem niewiele.

– Nie chodzi mi o Reginę. Czy znasz dobrze Roberta, tego adwokata?

Bruno w skupieniu obserwował reakcję kolegi.

– Dobrze to go nikt nie zna. No, może poza nim samym... a i tu chyba jest jakiś problem. Facet ma kilka osobowości, niewątpliwy talent w swoim fachu, zero zasad i dziwne interesy na boku. Jedno, co mogę stwierdzić, to to, że jest niezrównany, jeśli chodzi o laski z najwyższej półki. W jego stajni są rasowe damy, ostre kurwiszony, skromne pańienki oraz celebrytki z pierwszych stron gazet. Modelki wszelkiej maści i autoramentu. Jednym słowem: atrakcyjne pańie – nie tylko z rynku krajowego.

– No właśnie... – Bruno spojrzął w okno, zamyślił się na chwilę.

– Poczestujesz mnie tą szkocką, kolego? Specjalnie przyjechałem z kierowcą.

– Jasne. Ale będziesz pił sam. Mam wstręt do alkoholu po wieczorze kawalerskim Ryśka.

– Nooooo, niedziwne. Zastanawiałem się, czy w ogóle przeżyjesz. Ciągnąłeś jak smok i to takie mieszanki, że normalny człowiek by zdechł.

– Taaaak? I sam tak sobie mieszałem? – podchwycił temat Bruno.

– Wpierw Rysiek zapodał ci kilka karniaków, później wziąłeś udział w zawodach, kto szybciej wypije butelkę szampana. A w drugim klubie to w zasadzie straciłem cię z oczu. Tam zajmował się tobą Robert, a później ta modelka. Z nią wypłynąłeś w doskonałym nastroju, regulując ambitnie cały rachunek. Co piłeś, nie wiem, tylko jak przyszło do płacenia i zrzuciliśmy tradycyjnie karty, kelnerka powiedziała, że rachunek zapłacił pan Bruno.

– A skąd kelnerka знаła moje imię?

– Stary, nie wiem. Może się jej przedstawiłeś? Nie pilnowałem cię, miałem się czym zajmować, he, he, he. – Bogdan rubasznie się roześmiał, dając do zrozumienia, że bawił się w damskim towarzystwie.

– A Robert? Wyszedł z wami?

– Neeee, no coś ty się uparł z tym Robertem? Nie wiem. Ty zniknąłeś i Robert zniknął. Nie jestem waszą niańką.

– Przepraszam. Muszę ci coś opowiedzieć, ale może najpierw pójde po lód.

– Już się zamieniam w słuch.

Bogdan usiadł głębiej w fotelu, wyraźnie zrelaksowany i ciekawy. Bruno wrócił z pojemnikiem pełnym lodu, postawił go na stole i stał tak chwilę, pocierając w zamyśleniu szczękę – ciągle nie zdecydował, czy powinien wszystko to opowiedzieć Bogdanowi.

– Stary, siadaj w końcu, nie stój tak i nie męcz twarzy. – Bogdan, wyraźnie rozluźniony drinkiem, nie mógł ukryć ciekawości. – Siadaj i mów, bo widzę, że nie tylko wątroba, ale i głowa przeciążona, a problem ją dobija. Może jednak zalejesz robaka, zanim mi go wyjawisz?

Bruno usiadł, a w zasadzie ciężko opadł na fotel.

– Dobra, słuchaj. Tej nocy urwał mi się kompletnie film. Bywa, ale nie u mnie. Z tego, co mówisz, ma to sens o tyle, że faktycznie mogłem się ostro struć. Miałem bagno w głowie, więc zalewałem je koktajlem Mołotowa. Okej. Tu przynajmniej mamy jasność. Rano obudziłem się z jakąś kobietą i skoro mówisz, że z nią wyszedłem, to teraz już wiem, jak znalazła się w moim łóżku. Ale cała reszta jest dla mnie średnio zrozumiała. Może jako bardziej obyty w temacie mógłbyś mnie oświecić?

Bogdan, doceniony słowami przyjaciela i podkreślony trunkiem, wyprostował się zadowolony w fotelu, położył beczelnie swoje krótkie nogi na stolik kawowy i tonem zadowolonego z siebie narcyza rzekł:

– Mów, synu, czego nie rozumiesz. Przypuszczam, iż nogi moje mogą tu odpocząć? Lżej będzie słuchać.

Bruno spojrział na buty Bogdana spoczywające na jego stoliku ze słynnej szwajcarskiej galerii i machnął ręką, pokazując tym samym, że ma to gdzieś.

– Otóż ta kobieta, celebrytka...

– Tak, tak, wiemy, że zaliczyłeś znany towar – przerwał mu wywód Bogdan.

- Nie o metkę mi chodzi... o cenę raczej...
- Dużo chciała? Za dużo?
- Bogdan, o czym ty mówisz?
- A ty o czym mówisz?
- Skąd wiesz, że cokolwiek chciała?
- Ty jednak jesteś z innej planety! Stary, takie panie nie przychodzą do klubu dla czystej przyjemności, chyba że ekonomicznej. No dobra, nie wszystkie. Ale sporo. Jest podaż i jest popyt. Rozumiesz? Jak w biznesie. Z mojej wiedzy – nie doświadczenia, bo aż taki rozrzutny nie jestem i wolę nieprzechodzony towar – to najdroższe perełki i teoretycznie nieosiągalne są pod prawną opieką tego gogusia Robercika. Podobno osobiście sprawdza jakość towaru, puszcza w czarter i zapewnia opiekę. Zbyt długo bawię się tu i tam, żeby umknęło to mojej uwagi. Ma współniczkę, a na moje oko to ta jego podstarzała partnerka, z którą czasem się pokazuje.
- Z nikim go nie widziałem poza studentkami i celebrytkami.
- A ile razy w roku bywasz w klubach? Jesteś, gdzie musisz, krótko i raczej na części oficjalnej. Reszta dzieje się za zamkniętymi drzwiami. Ta najciekawsza w miejscu, którego ja niestety nie dosięgam. Mam rozum i... chyba nie chcę wiedzieć, co tam się dzieje.
- Ale ja chcę teraz nabyć tę wiedzę.
- Uuuuuu, drogo będzie cię to kosztować.
- Nieważne. Będiesz moim przewodnikiem, chcę się tam dostać i płacę za nas obu.
- Szczyt kosztuje milion i płatny jest z góry. Co tam się dzieje za takie pieniądze – nie wiem. Mogę się tylko domyślać. Tam panuje zasada dyskrecji obwarowana prawnie. Nikt z uczestników nie puści pary z ust.
- Milion, powiadasz... czyli za nas dwóch dwa...
- No właśnie, więc na razie może zabawimy się w ten weekend w ciut tańszym klubie. W sobotę są wybory Miss Galaxy. Zapraszam cię jako juror konkursu. Po koronacji mamy afterek i tam możesz nawet dostać... koronę.
- Nie. Chcę doświadczyć samej góry.
- Bruno już podjął decyzję. A jeśli czegoś się podejmował, realizował to metodycznie z zimną krwią i precyzją chirurga.
- Człowieku! Nikt cię tam z marszu nie wpuści, nawet ze mną. Musisz kilka razy się pokazać i skosztować różnych wariantów. Te wybory miss tylko ci pomogą. Mogę załatwić fotel jurorski, tylko dorzucić parę groszy do imprezy. Andy Bracki nie jest drogi, jak impreza za pasem, schodzi z ceny za pakiety. Żeby później dobrze się bawić, musisz wykupić pakiet sponsorski. Życie, stary, życie, he, he, he. Pojawisz się kilka razy tu i tam i wszyscy będą wiedzieli, że jesteś zabawny chłopak i skory do wydawania pieniędzy na uciechy. Wtedy pogadamy o szczycie.
- Okej, to o której ta impreza i ile mam wpłacić Andrzejowi za pakiet? – Bruno skrzywił się do własnych słów, a dreszcz obrzydzenia przeszedł mu po plecach.

– Drobiazg, myślę, że pięćdziesiąt tysięcy wystarczy. Jest po terminie, materiały sponsorskie wydrukowane, to i cena bez reklamy będzie mniejsza. Dam ci znać i poproszę Andy’ego, żeby się skontaktował.

– Wiesz co? Podaj mu telefon do mojej sekretarki i niech wyśle zwyczajną umowę na promocję firmy podczas imprezy. Pięćdziesiąt tysięcy brutto i ani grosza więcej za ten galaktyczny cyrk.

– Chłopie! Cyrk? Będziesz zachwycony!

– Jasne... – rzucił Bruno sarkastycznie. – Dobra, muszę jechać, mam małe dziecko.

– Oooooo! To dlaczego nic nie mówisz, że już jest? Gratuluję! Pogodziliście się z Regina? Wiesz, mówią, że z kurwy najlepsza żona. Potwierdza to kilku naszych kolegów, ha, ha, ha.

– Nie. Regina zrzekła się praw do dziecka. I nie chcę więcej o tym rozmawiać. Mam syna, jestem samotnym ojcem i muszę poświęcić mu czas. Chcę. Nie muszę. – Ostatnie zdanie Bruno powiedział już raczej do siebie.

– Okej, stary, to do soboty. Wszystko dostaniesz mailem. A tak na marginesie: to ile ta gwiazda krzyknęła?

– Dwadzieścia kawałków.

– Dwa numerki?

– Niby tak.

– Niby?

– Nie pamiętam, byłem poza zasięgiem rozumu, ale podpisałem kwit na odkurzanie antyków.

– Roberto... No tak, stawka w tej kategorii jest dziesięć koła za numerki. Dwadzieścia za dwa i pięćdziesiąt za weekend. Wiesz, ja jednak wolę młode, piękne, świeże i jeszcze nieznane. Jeszcze... He, he, he.

– Nie rozumiem...

– Ty ogólnie mało, chłopie, rozumiesz. Jestem dżentelmenem, więc nie pokażę ci, które gwiazdeczki były kiedyś świeże, młode i nieznane, he, he, he.

– Czy tu w tym mieście mieszkają jeszcze porządne kobiety?

– Oczywiście! Stary, to tylko margines i wierz mi, że jak w każdej branży tak i tu jedna kurwa potrafi rzucić cień na całe środowisko. Porządnych kobiet nie złapiesz na żadne pieniądze, role w filmie ani inne hity. Nie kupisz ich za żadne zabawki świata. Takich też jest całe mnóstwo. Nie przesiadują w klubach, nie polują, nie mają cenników... Są bezcenne. Dlatego się nigdy nie rozwiodę, a że jestem skurwielem i mam ogień w spodniach, to inna sprawa. Poza tym dlaczego tak źle myślisz o tych kobietach? To ich sprawa, ich życie, ich cena. Każdy żyje, jak chce. Twoje nieszczęście, to brak doświadczenia. Dla przykładu: tę celebrytkę, która wzięła za usługę dwadzieścia klocków, szanuję. Twoja Regina natomiast jest szmatą. Czym innym jest sprzedawać się uczciwie, a czym innym odgrywać role, udawać miłość i dorabiać sobie PIN do bankomatu w postaci

dziecka. Jeżeli pałasz zemstą do tego brudnego świata, to pamiętaj, że nikt tu nikogo do niczego nie zmusza. Każdy jest świadomy tego, co robi. Chyba że się uchleje jak ty ostatnio. Ale nikt do gardła ci nie nalewał. Straszny typem z pewnością jest mecenasik *made in Italy*, tu do końca nie jestem pewien jego zasad. To możemy sprawdzić jedynie za twoje pieniądze, bo z tego, co wiem, na najwyższym szczeblu także on rozdaje karty, a nie zawsze są one legalne.

Bruno codziennie spędzał kilka godzin w szpitalu. W urzędzie stanu cywilnego nadał synkowi imię Jaś. Jeśli nie Jaś, byłyby Małgosia. A kiedyś jeszcze myślał, że jedno nie wyklucza drugiego i będzie w jego życiu więcej niż jedno dziecko. Dzisiaj uznał rozdział kobiet za zamknięty. Nigdy żadnej już nie zaufa. Jedna porażka zniszczyła wszelkie złudzenia. Miłość... Prawdziwa miłość jest iluzją, poza szelestem pieniędzy nie istnieje.

W sobotę wyjątkowo długo siedział w szpitalu, razem z nim pani Wanda, która miała w końcu zastąpić dziecku matkę. Bardziej pasowała na babcię, ale może to i lepiej. Babcie, jak wiadomo, są w temacie wychowania dzieci najlepsze i niezastąpione. Wanda już w szpitalu uprawiała charakterystyczne dla babć szczebiotanie i zachwyty. Tak Bruno, jak i ona doskonale radzili sobie z karmieniem, przewijaniem i kąpielą. Może z tym ostatnim młody ojciec trochę mniej, ale była to kwestia powodującego drzenie rąk niebotycznego wzruszenia. Był naprawdę szczęśliwy. Malec w poniedziałek miał opuścić szpital.

Wieczorem spojrzął raz jeszcze na zaproszenie i zastanawiał się dłuższą chwilę, czy ciągle chce zemsty. Czy chce iść na wybory Miss Galaxy. To kompletnie nie jego świat, nie ten target marzeń i emocji. Paradujące po scenie w strojach kąpielowych dziewczyny opowiadające o swoich pasjach... Otwierał i zamykał czarno-złoty kartonik, aż wstał i zaczął się ubierać. Poza zemstą poczuł coś na kształt misji. Potrzebował rozwiązania logarytmu zdarzeń, który tworzą ci ludzie, by zniszczyć innego człowieka. Nie wierzył, że wszystko tu gra, że cała ta zabawa odbywa się dobrowolnie. Doświadczył osobiście, jak daleko posunięte jest zepsucie tego świata, więc trudno było mu uwierzyć, że wszystko tam jest czyste. W takim brudzie zawsze giną niewinni ludzie. Czy czuł się zbawicielem i miał potrzebę ratowania tonących? Nie... Bardziej był ciekaw, jak to działa i jakie mechanizmy napędzają te krwawe igrzyska lub targ niewolników – jak kto woli.

Anna podjechała z Adamem pod znajomy sklep. Wiedziała, że kwota, którą musi wydać na jedną sukienkę i buty, w tym butikiu znajdzie swoje przeznaczenie. Adam przyglądał się jej, jak walczyła ze sobą, aby wyjść z auta.

– Okej, idę – powiedziała to bardziej do siebie niż do niego.

W butikiu o tej porze była tylko jedna mierząca jakieś espadryle dziewczyna. Ekspedientka natychmiast rozpoznała Annę, choć minęło kilka ładnych lat.

– Ach! Pani Aniu! Ależ wieki u nas pani nie było! Tak się ciszę, że znowu mogę panią gościć!



Anna regularnie odwiedzała ten i kilka innych butików, będąc z Robertem. Nie mogła nosić ubrań z sieciówek, choćby nie wiadomo jak jej się podobały. Jako ozdoba znanego mecenasa musiała mieć wszystko z najwyższej półki. W tym towarzystwie, w którym bywali, było to ważne. Tak tłumaczył jej to Robert, a ona sama dzięki temu miała tematy do rozmowy z innymi kobietami. Przewijały się wymiennie: marki ubrań, butów i wakacje. Wakacje były zawsze na czasie, bardzo ważne w hierarchii i musiały być jak najbardziej elitarne i niedostępne. Nie mogły być *all inclusive*, a już broń boże Turcja czy Egipt. Te kraje przypominały McDonald's. Pachniały frytkami, przeciętnością i ginęły w tłumie. Malediwy, Seszele, wyspy Bora-Bora, a najlepiej jacht i kilka miejsc naraz. Katamaran też był w modzie lub prywatna rezydencja w ciekawym zakątku świata. Te europejskie należały do standardu i nikt nie rozpatrywał ich w kategorii wakacji, a raczej drugiego domu. Niektórzy docierali tam swoimi samolotami, inni podróżowali pierwszą klasą. Nikt nie latał ekonomem, a business class stanowiła *faux pas*. Nie zawsze mężczyźnie towarzyszyła żona, co nie oznaczało, że takowej w domu nie posiadał. Żywym przykładem był boss, który sprowadził na swoje urodziny Cher. Na kolejnej imprezie Anna zobaczyła go z młodziutką dziewczyną. Początkowo myślała, że to córka. Ich relacja nie pozostawiała jednak złudzeń. Zrozumiała wówczas to dziwne zachowanie jego żony na urodzinach. Kobieta musiała wiedzieć i z jakiegoś powodu tkwiła w tym trójkącie. Na kolejnym raucie Anna, chcąc nie chcąc, otrzymała pełen pakiet informacji od żony innego znanego milionera:

– Bo widzisz, kochana, ta jego żona była głupia. Puszczała go wszędzie samego, lubiła być w domu... Pięknie maluje i ma wystawy na całym świecie. Jest znaną artystką. Dom był dla niej wszystkim. Dom i jej pracownia. Drugi dom mają we Włoszech, a kolejny na Karaibach. Dom... Co ja mówię, rezydencje! I w każdej z nich miała swoją pracownię. A mąż, mąż, moja kochana, chodził samopas. Który niepilnowany mąż będzie wierny? Żaden! Dlatego nawet jak mam gorączkę i kompletnie nie chce mi się wychodzić, zbieram się i idę! Ona była długo nieświadoma całej historii. I pewnie byłaby nadal, gdyby nie fakt, iż poleciała sobie do Włoch. Do tej rezydencji. A małżonek był przekonany, że jest na Karaibach, i zabrał swój młody narybek na cudowny weekend w te okolice. Nie zauważył obecności żony, bo pojechała do Florencji napawać się widokami i kupić jakieś farby. Kiedy wróciła, zobaczyła helikopter na lądowisku. Pobiegła się przywitać – cała szczęśliwa, że się spotkają. No cóż... zastała przed kominkiem męża tarzającego się nago po podłodze z inną kobietą. Jak się domyślasz, nie była to zabawa w Królową Śnieżkę, tylko perwersyjny seks. Od tej pory popadła w depresję. Nie maluje, nie wystawia, praktycznie nie wychodzi z domu. On natomiast już bez żadnej maskarady pokazuje się oficjalnie co chwilę z nową partnerką. Bawi się człowiek!

– Dlaczego ona nie odejdzie? Po co cierpi i patrzy na to wszystko? Jak te dziewczyny mogą przy nim tak dumnie paradować? Przecież ta kobieta cierpi! – zbulwersowana Anna zasypała rozmówczynię pytaniami.

– Moja droga... to nie jest takie oczywiste. Mówi się, że ona nie chce się z nim rozwieść, a on nie może. Choć na moje oko i doświadczenie, to jemu jest tak wygodnie. Panienki, które mu towarzyszą, nie robią tego z miłości. Żadna z nich nie ma skrupułów. W ich ocenie to problem żony. Mądrzejsze wchodzą z nim w otwarty układ, ale to przeważnie takie trochę starsze i bardziej doświadczone. Zdarza się, że jest przy nim ciekawa kobieta, ale każdy jego romans ma termin ważności.

– Okropne – podsumowała Anna i zaczęła zdawać sobie sprawę z pewnego schematu obowiązującego w tych kręgach. Jak to dobrze, że jej przytrafiła się czysta miłość – pomyślała.

Jak się później okazało, czystość była pozorna i miała cechy kaprysu oraz okrutnego wyrachowania.

Anna wyszła ze sklepu z sukienką i butami. Kiedy podeszła do samochodu, pomyślała jeszcze o zapachu. Niestety, na wizytę w tej perfumerii stać jej już nie było. Podjechali więc z Adamem do centrum handlowego, gdzie kupiła kilka tanich olejków eterycznych – jej sposób na własne perfumy, niepowtarzalne i zwracające zawsze uwagę. Zaskakiwała wiele osób próbujących odgadnąć markę. Zajechali jeszcze na komendę. Tam Anna dostała garść informacji i specjalne urządzenie wyglądające jak zapalniczka. Po naciśnięciu guzika funkcjonariusze mogli ją zlokalizować i wkroczyć do akcji. Panowie w odróżnieniu od niej już wiedzieli, gdzie dzisiejszego wieczoru odbędzie się impreza, i poinformowali ją, że będzie pilnowana i ma czuć się bezpiecznie.

Sobota zapowiadała się słonecznie. Annę obudził jakiś szum za oknem. Wstała więc, zamknęła okno i poszła do łazienki. Woda w wannie przyjemnie koła ciało i myśli. Co może jeszcze się wydarzyć? Czego nie przewidziała? Czy dzisiejszy wieczór będzie trudny, czy bardzo trudny? Co robi, jeżeli ktoś użyje w stosunku do niej siły? – myśli przelatowały przez jej głowę z prędkością huraganu.

Najgorszemu koszarowi w życiu poddała się dobrowolnie. Kiedy ojciec Roberta ciężko zachorował, ten pracował akurat nad jakąś bardzo ważną sprawą i nie mógł jechać do Włoch. Anna zaś studiowała wtedy, cały wolny czas poświęcając nauce. Chciała, żeby Robert był z niej dumny, żeby mógł wszystkim mówić: „To moja dziewczyna! Prócz tego, że jest piękna, jest także mądra!”. Chciała tego tym bardziej, że wszyscy na uczelni szeptali o tym, że są parą. Trudno było się nie domyślić: Anna nie mieszkała w akademiku, miała markowe ciuchy, kierowca podwoził ją pod uczelnię i bywało, że razem wychodzili z auli wykładowej.

Raz po zajęciach podeszła do niej lubiana i ceniona przez studentów wykładowczyni. Miała mnóstwo wyrozumiałości i potrafiła nawiązać świetne relacje z podopiecznymi.

– Anno, czy możemy porozmawiać?

– Tak, pani profesor, oczywiście.

Anna była przekonana, że chodzi o jakieś materiały na kolejny wykład.

– Aniu, mogłabyś być moją córką... – zaczęła dość dziwnie. – Ponieważ nie mam dzieci, a wy jesteście moim całym światem, to czuję potrzebę, aby cię uwrażliwić na Roberta. Mecenas jest z pewnością zacnym człowiekiem, ale kilka lat temu była już w jego życiu studentka. Miał być ślub, po czym ona nagle porzuciła studia, wyjechali razem do Włoch i słuch po niej zaginął. Nigdy stamtąd nie wróciła. Podobno wyszła za mąż za jakiegoś obrzydliwie bogatego starca i jest bardzo nieszczęśliwa. Podobno – mimo majątku męża – nie ma nawet na bilet do Polski. Nie chcę, żeby coś ci się stało. Dziecko, jesteś wybitnie zdolna. Skończ studia i planuj później życie. Broń Boże nie wyjeżdżaj z nim nigdzie.

Anna stała jak marmurowy posąg. Była tak oburzona słowami profesor, że nie potrafiła nawet trzeźwo zareagować. Jak ktoś mógł tak szkalować jej Roberta? Musi natychmiast mu o tym powiedzieć!

– I... proszę cię, dziecko, niech to zostanie między nami. Robert poinformował nas, że nie będzie przez kilka miesięcy prowadził wykładów, dał dobre zastępstwo na ten czas. Mówił, że musi wyjechać do Włoch...

Tu Anna struchlała. Bała się, że ukochany nie zabierze jej ze sobą. Nie dopuszczała do siebie myśli, iż jej księżę mógłby okazać się zwykłym draniem. Kochał ją przecież, przedstawiał jako żonę!

– Dziękuję. – Tylko tyle potrafiła powiedzieć, nim wybiegła z sali. Za plecami usłyszała głos kolegi z roku:

– Anka! Co tak pędzisz?

Zatrzymała się i odwróciła:

– Bo co? – odburknęła wściekła.

Nie lubiła tego chłopaka. Był złośliwy i arogancki. Był też w grupie szeptaczy, co to za jej plecami opowiadali sensacje o niej i o Robercie.

– A nic, chciałem ci tylko powiedzieć, choć pewnie gównu cię to obchodzi, że ten twój Robert regularnie chadza do klubu studenckiego z jakimiś dwoma koleśkami i wrywają niezłe laski.

– Odpieprz się! – wrzasnęła Anna, kompletnie nie panując nad sobą.

Chłopak przytrzymał jej rękę.

– Hooooola, nie wierzysz... tak myślałem. Więc patrz, mam foty.

Podsunał Annie pod nos ekran telefonu. Dziewczyna zobaczyła na dość ciemnym zdjęciu Roberta z uczeponą do ramienia blondyną. Prócz blondyny była tam jeszcze druga, tuląca się ostentacyjnie dziewczyna w mocno wyzywającym kombinezonie. Na kolejnej fotce wychodzili objęci z klubu, a za nimi dwóch mężczyzn, których doskonale znała: kierowca i ochroniarz Roberta. Zamarła, zrobiło jej się słabo, nie mogła złapać tchu, ale dzielnie grała do końca niezainteresowaną i obojętną.

– Wal się!!! – Szarpnęła rękę i wybiegła z uczelni.

To właśnie wtedy zaczęła się jej gehenna. Koszmar, którego nadal nie była świadoma.

Anna zauważyła, iż wanna jest miejscem jej wspomnień. Nie tylko tych miłych, lecz przede wszystkim tych niechcianych. Wzięła jeszcze zimny prysznic, włożyła dresy i poszła zrobić się na bóstwo. Niestety, atmosfera spa, zapach kadzidełek oraz relaksacyjna muzyka w tle znów przywołały wspomnienia.

Tego dnia, gdy rozmawiała z profesorką, po raz pierwszy poczuła lęk. Kiedy Robert wrócił wieczorem do domu, przywitała go w progu, krzycząc:

– Co ty wyprawiasz?! Dłaczego mi nic powiedziałeś? Wyjeżdżasz do Włoch?! Kim są te dziewczyny, z którymi chodzisz do klubów?!

Robert stał przed nią i nie drgnęła mu nawet powieka. Uśmiechnął się spokojnie i zapytał:

– Możesz mi jaśniej wytłumaczyć swój problem?

– Mój? Mój problem?! A ta studentka, co to kilka lat temu miałeś się z nią ożenić i nigdy nie wróciła z Włoch, i siedzi ze starym dziadem?! – krzyczała Anna nieskładnie, a łzy leciały jej ciurkiem po opuchniętej twarzy.

– Uspokój się i usiądź.

Dziewczyna usiadła, choć spokój był dla niej w tej chwili nieosiągalny.

– Anno, wyjeżdżamy do Włoch razem. Z klubu wyprowadzałem córkę mojego klienta, która narozrabiała i potrzebowała prawnika. Beata – czyli moja studentka – wyjechała ze mną do Włoch, zakochała się w moim koledze i tam została. Czy nie może wrócić do Polski? Tego nie wiem. Nie mam z nią kontaktu, bo trudno mieć go po zdradzie. Czy to ci wystarczy? Czy dalej będziesz mnie osądzać?

– A dlaczego ostatnio tak często wychodzisz sam?

– Dużo pracuję. Przecież wiesz.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś, że jedziemy do Włoch?

– Dziewczyno... zmarł mój ojciec. Nie lubię mówić o tym, co mnie boli. Musiałem szybko załatwić kilka spraw i założyłem – być może błędnie – iż jako moja partnerka polecisz ze mną. Zamiast słuchać bzdur i plotek, mogłabyś na przykład spakować nas na wyjazd. – Robert był już wyraźnie zły.

Wiadomość o śmierci ojca Roberta lekko otrzeźwiła Annę.

– Przepraszam, nie chciałam cię zdenerwować... Nie bywasz ostatnio za często w domu i nerwy mi wysiadają. Mam głupie myśli... i te informacje, o które nikogo nie prosiłam...

– Anna się rozpłakała.

– Przestań słuchać plotek. Pakuj się, jutro wylatujemy na cały miesiąc. Czego nie zabierzesz – kupimy. Nie denerwuj już mnie, a i siebie przy okazji.

Anna wyraźnie się uspokoiła.

– A co z uczelnią?

– Nadrobisz. A jak będziemy musieli zostać dłużej, to załatwię ci dziekanę.

– Dłużej? Co to znaczy: dłużej? – Anna miała mieszane uczucia. Z jednej strony ogarnął ją strach, a z drugiej – ekscytacja. To oznaczało wspólne życie.

Zadzwoiła do matki, w końcu powinna poinformować ją, że wylatuje z kraju. Matka miała sto pytań, ale Anna nie czuła potrzeby tłumaczenia się. Zdawkowo odpowiedziała, że leci ze swoim chłopakiem do Włoch, bo zmarł jego ojciec. Matka nie miała pojęcia o tym, że Anna ma na tyle poważnego chłopaka, i zaczęła kolejną serię pytań. A ona rzuciła oschle, iż jest dorosła i nie zamierza się spowiadać, a poza tym nie ma czasu, bo musi się pakować.

Bruno włożył dopasowany czarny garnitur i czarną koszulę. Był szary na twarzy. Nie dosypiał ostatnio, a stan rozdrażnienia i tak zwanego totalnego wkurwu odcisnął na nim swoje piętno. Nie widział ani pięknej pogody, ani ogrodu, który o tej porze roku wyglądał jak wielki pachnący bukiet liści. Wybuchająca dookoła feeria kolorów była dla niego niezauważalna. Nastrój romantycznych jesiennych wzruszeń nie pasował do postawy, z której wszyscy go znali, a do której wrócił po epizodzie z Regimą: postawy twardego biznesmena. Tak naprawdę twardy nie był nigdy, ale uparty i konsekwentny już tak. W biznesie miał nosa. Analityczny umysł, skoncentrowany na zarabianiu pieniędzy i budowaniu majątku, był jego pancerzem. Czasem robił sobie krótkie wakacje od tego wizerunku, ale w tym nie brały udziału ani serce, ani dusza. Tylko raz w życiu prywatnym rozum przykryła aura szalejącego z emocji serca. Tylko raz rozum był bez szans.

Bogdan czekał już przed Salą Kongresową. Brunonowi Kongresowa wydawała się dziwnym miejscem jak na tego typu imprezę. Konkurs piękności w tak dużej sali – kto to chce oglądać? Rzeczywistość zweryfikowała jego wątpliwości – sala była wypełniona po brzegi, a ludzie ekscytowali się widowiskiem, które od strony artystycznej niczego ciekawego nie miało do zaoferowania. Niczego ciekawego dla niego, bo widownia była szczęśliwa, iż uczestniczy w imprezie transmitowanej przez ogólnopolską telewizję. W odczuciu wielu panienek podnosiło to rangę wydarzenia, a i dawało szansę załapania się na obrazek. To – jak wiadomo – w przyszłości może przełożyć się na chwilową popularność. Paradowały więc po scenie, wyginały się i wdzięczyły w przeróżnych pozach do widowni, głównie jurorów, a kiedy dany numer miał na sali swój fan club w postaci rodziny czy znajomych, wtedy rozlegały się krzyki, gwizdy i brawa rodem ze stadionu piłkarskiego. Jurorzy – w przeważającej mierze mężczyźni – oceniali bez pardonu każdy centymetr kroczących po wybiegu ciał. Bruno czuł się tu jak ryba bez wody. Jedynie on i pewien znany reżyser nie widzieli w tym spektaklu niczego atrakcyjnego i cały czas

spoglądali w swoje telefony, nie patrząc w ogóle na scenę. Jedna z dwóch obecnych w komisji pań (właścicielka agencji modelek) ekscytowała się mocno przy wyjściach dziewczyn ewidentnie z jej stajni. Trudno było później nie zauważyć, na kogo głosowała i dlaczego tak walczyła o swoje faworytki. Druga kobieta – znana projektantka – przytomnie zwróciła jej uwagę podczas obrad końcowych, iż niepotrzebnie miesza modeling z wyborami miss, że wybieg i scena nie idą w parze, a pozy wyuczone przy konkursach psują późniejsze kandydatki na modelki. Dorzuciła jeszcze, że w przyszłości taka modelka wdzięczy się do publiczności, żeby sprzedać siebie, a nie ubranie, i kariery w świecie nie zrobi. Pani od agencji ewidentnie poczuła się urażona i stwierdziła, że nie rozumie problemu, bo nie ma tu żadnej z jej podopiecznych, ale jeżeli znajdzie talent, to chętnie zatrudni. Projektantka z kompletnym spokojem zaczęła bawić się swoim telefonem, ignorując obrady. Jak się po kilku minutach okazało, szukała konkretnego maila, żeby pokazać go pani od modelek. Ta zrobiła się czerwona, widać było jej konsternację, ale nic nie odpowiedziała. Projektantka wstała, pożegnała się oficjalnie i wyszła. Bruno miał ochotę wyjść za nią, ale Bogdan wyłapał jego nastawienie i szepnął mu do ucha:

– Chcesz dostać się na szczyt? Zalicz to piętro.

Co miał zrobić? Westchnął, usiadł głębiej w fotelu i dalej przyglądał się tym dziwnym obradom. Właściciel i przewodniczący imprezy w jednej osobie zsumował punkty. Nikt mu nie towarzyszył, więc należało uznać, że zrobił w konsekwencji to, co chciał.

– I po co ten cały cyrk? – zapytał Bruno, kiedy wyszli z pomieszczeń na zapleczu.

– Pozory, mój drogi, pozory, he, he, he. Choć wierz mi, ostatnia pierwszą nigdy nie będzie. Andrzej ma swoje typy, ale one są szkolone do wygranej. Potrafią tak się sprzedać, żeby nie zawieść szefa. Co prawda po otrzymaniu korony niektóre wymykają się spod kontroli, lecz spora część zostaje w jego stajni i doskonale mu służy.

– W jakim sensie?

– W każdym. Zależy od dziewczyny. Jedne stanowią ozdobę imprez, inne dostają się na wybiegi, a jeszcze inne zmieniają świat, ha, ha, ha.

– No tak... te wszystkie tematy, o których mówiły, ekologia, działania charytatywne i tak dalej...

– Charytatywnie to żadna świata nie zmienia, ale jak ustalisz stawkę i będzie satysfakcjonująca dla obu stron, to jest szansa, że twój świat zmieni z pewnością.

Bruno złapał się za głowę.

– Tu wszystko sprowadza się do jednego?

– Przecież mówiłem, że nie! Nikt ich nie zmusza. Jak nie chcą, nie wchodzi w to. Przeważnie mają wtedy zero ofert i odchodzą w zapomnienie. Choć jak któraś jest naprawdę ładna, inteligentna i bystra, to potrafi dalej sama poprowadzić swoją karierę. Andrzej daje możliwości, pokazuje fajny świat, do którego mogą należeć, a od nich zależy,

czy są zainteresowane, czy nie. Przemocy bezpośredniej brak, ale moc argumentów i owszem. Chodź na salę, zaraz zaczyna się finał.

Bruno siedział obok projektantki i czuł z nią nic porozumienia. Widział, że jest tu, bo musi. Tylko czy ta kobieta coś musi?

– Czasem każdy z nas coś musi zrobić wbrew sobie. Kto wie? Może znajdę tu jakiś diament? – Kobieta jakby czytała w jego myślach, co zmroziło go trochę, ale po chwili odpuścił i rozluźnił się nieco.

– Skąd pani wie, że o tym właśnie myślałem? Zaskoczyła mnie pani!

– Przyglądał mi się pan cały czas i miałam wrażenie, że pan tu także jest z przymusu. Podniecenia w panu brak, radości także, a i spięty pan okrutnie. Proszę wyluzować, ten sponsoring pewnie sporo kosztował, więc niech pan się przynajmniej dobrze bawi. Mnie się zdarza wśród tych odrzuconych znaleźć czasem potencjał na modelkę. Lubię świeże twarze i nieoczywistą urodę, lubię także popatrzeć, jak piękne dziewczyny noszą moje sukienki. W końcu to są niezaprzeczalnie piękne młode kobiety. Nie jestem zwolenniczką tego typu wyborów, ale soku z buraka też nie lubię, a... piję.

Kobieta uśmiechnęła się, spiker zapowiedział wyjście finałowe w kreacjach wieczorowych i wszystko stało się jasne. Dziewczyny były ubrane w kolekcje z jej domu mody. Bruno odwzajemnił uśmiech i faktycznie trochę się rozluźnił. Po ogłoszonym werdykcie kobieta szepnęła:

– Widzi pan? Wszyscy jednym głosem stawialiśmy na tę, która zajęła trzecie miejsce, a nikt słowa nie powiedział o pierwszej. Logicznie powinien każdy z nas przyznać jej najwięcej punktów. Powstaje pytanie: czy wszyscy kłamali, czy ktoś ma dwóję z matematyki? Nie jestem tu pierwszy raz, znam schematy działania. Nie chciałam długo siedzieć w tamtym dusznym pomieszczeniu. Życia szkoda na fikcje. Żegnam, miło było pana poznać.

– Pani już wychodzi? Jeszcze przecież część koktajlowa i zabawa – podobno do rana.

Bruno zrobił ruch, jakby chciał zatrzymać kobietę. Poczł bratnią duszę i wiedział, a bardziej czuł, iż ona nie ma potrzeby łowienia faceta na kasę. Miała własny dorobek i ewidentnie była znużona tym światem.

– Szanowny panie, ja nie mam czego świętować i w ogóle nie mam takiego zwyczaju. Proszę się dobrze bawić, to raczej męska impreza, a dojrzałe kobiety o tej porze przyjemnie spędzają czas w domu.

Uśmiechnęła się szeroko, uściśnęła po męsku jego dłoń i odeszła. Nie był szczęśliwy, ba, był zły. Czuł, że z nią przetrwałby ten cyrk. Niestety na horyzoncie pojawił się Bogdan.

– A ty co panią bajerujesz? Ona nie bywa. Pokazuje się, jak musi. Więcej czasu spędza poza krajem i ma cięty język.

– Nie bajeruję, liczyłem na inteligentne towarzystwo i ten, jak to nazwałś, cięty dowcip.

– Ty pamiętaj, że masz zagrać rolę napalonego milionera, bo inaczej to zapomnij o naszym celu. Sztabki złota, mój drogi, sztabki złota!

– Jakie sztabki?

– Ty jednak jesteś ignorant... Młode, piękne, świeże miss i ich koleżanki. Sztabki. A tę panią odpuść.

– Ja nie zamierzałem jej poderwać. Czy dla ciebie istnieje kontakt damsko-męski pozaseksualny?

– Tak, z moją żoną. – Bogdan roześmiał się głośno, rozweselony własnym żartem.

Brunona nawet rozbawiła ta cała sytuacja, doszedł do wniosku, że chyba faktycznie zbyt się napina. Trzeba się zabawić. Na trzeźwo nie da rady, dwa drinki, no, może trzy i zero alkoholu dalej. Inaczej nie ma szans utrzymać się w tej grze.

Anna, zrelaksowana, zostawiła w końcu za sobą strach i niepewność. Pomału rosło w niej podniecenie. Zaczęła czuć, iż może przyczynić się do ukarania Roberta. To nie była chęć zemsty, bardziej poczucie solidarności z tymi skrzywdzonymi dziewczynami. O Magdzie nawet nie myślała. Od matki wiedziała, że wyszła ze szpitala i przebywa w jakimś kurorcie. Podobno Piotr w ramach rekompensaty wykupił jej pobyt i opiekę oraz zapewnił, iż opłaci szpital. Pani Stasia mówiła, że jak opuszczała klinikę, była szczęśliwa i podekscytowana. Przyjechał zabrać ją ochroniarz. Zanim wyzdrowieje i wróci do pracy, Anny już tam nie będzie. Taką przynajmniej miała nadzieję... Myślała o tym, że chciałyby już zakończyć misję i zapomnieć o tym wszystkim. Myślała też o przeprowadzce do Warszawy.

Kiedy wyjeżdżała do Włoch, była pewna, że szybko wróci do stolicy. Gdy jednak okazało się, że musi zostać, bo matka Roberta potrzebuje opieki, nie wahała się ani chwili. Przecież wkrótce to miała być także jej matka. Mimowolnie porównywała swoją, zimną i robotyczną, do tej kompletnie bezradnej, wystraszonej kobiety, przytulającej się do niej jak spłoszone zwierzątko. Wiedziała, że wybór jest oczywisty. Robert musiał wkrótce wracać – ona zostanie. Miało to potrwać maksymalnie kilka miesięcy, bo siostra Roberta szykowała podobno miejsce dla matki u siebie w Mediolanie. Polecieli tam nawet na jeden dzień. Robert miał sprawy spadkowe, a Anna? Cóż... mogła robić sobie zakupy, bo jednak nie była przygotowana na tak długi pobyt. Podjechali do słynnej Galleria Vittorio Emanuele II, gdzie zostawił ją razem z kartą kredytową i plikiem gotówki. Nakazał (tak, nakazał to właściwe słowo) kupić, co chce, i jak zabraknie gotówki, korzystać bez oporu z karty.

Nie bardzo wiedziała, co ma tu kupić, bo pasek do spodni za dwa tysiące euro wydawał jej się szaleństwem i zbytkiem na prowincji, wśród plantacji winogron, podobnie jak sportowe buty w identycznej cenie. Nie potrafiła nigdy zrozumieć cen znanych marek, choć kiedyś Robert jej to tłumaczył i wtedy wydawało jej się to całkiem logiczne. Składowe ceny matematycznie niby się zgadzały, ale pragnienie wielkiego LOGO na plecach już do niej nie przemawiało. Poddawała się jednak z przyjemnością rozpuście, jaką fundował jej Robert. Myślała, że skoro tyle w nią inwestuje, to jest dla niego ważna.



Naiwność młodych kobiet nierozumiejących nadmiaru pieniędzy i przyjemności męskiej w uzależnianiu od nich kogoś nie zna granic. Mało która potrafi później zejść na ziemię. Często podzielają los żon milionerów. Smutnych u boku mężów, matek ich dzieci, a każda to praktycznie *persona non grata*.

Anna po godzinie podziwiania galerii – która była bez dwóch zdań dziełem sztuki – poszła poszukać czegoś bardziej przyziemnego. Mediolan, o którym tyle słyszała, trochę ją rozczarował. W porównaniu z urokliwymi miejscami małej Sardynii, miasteczkami czystymi i wolnymi od pośpiechu, romantycznymi ciasnymi uliczkami, mnóstwem zieleni i cudownie ostrym pomimo temperatury powietrzem był szary, odrapany i zakorkowany. Wszyscy gdzie się spieszyli i nikt do nikogo się nie uśmiechał. Okrężnymi drogami dotarła do kultowej Via Monte Napoleone. Tu w końcu zrozumiała, czym jest luksus, snobizm i prawdziwie wysokie ceny. Bała się wejść jak kiedyś w Warszawie do sklepów, których wystawy kusily wzornictwem z najwyższej półki. W końcu nieśmiało otworzyła drzwi do małego sklepiku. Wydawał się pozbawiony przepychu, tego marmurowego szaleństwa i potężnej przestrzeni wypełnionej po sufit luksusem przenikającym się z zapachem potężnych pieniędzy. Nie stało przy drzwiach dwóch ochroniarzy, tylko jeden, a i ten był bardziej *doormanem* niż ochroniarzem. Wydawał się przy tym całkiem przyjazny. Uśmiechnął się zza szyby i zachęcił do wejścia. Anna nie była już szarą myszką. Nie stała w płaszczyku z lumpeksu i nie marzła z nosem przy szybie. Miała pieniądze i kartę kredytową na takie zakupy, jakie chciała, ale nadal tkwił w niej pewien rodzaj zażenowania i poczucia wstydu, że będzie wydawać nie swoje pieniądze. W tym sklepiku z cudownymi butami, jakich nie widziała nigdy przedtem, była pewna, że nie będzie musiała walczyć z rozsądkiem. Wystrój i rozmiar nie wskazywały na ceny z kosmosu. Zanim zdążyła odpowiedzieć ekspedientce na powitanie, musiała odebrać telefon, który właśnie zadzwonił.

– Anno, gdzie jesteś? Zaraz po ciebie przyjadę.

Robert był w wyjątkowo dobrym humorze, widocznie sprawy spadkowe szły po jego myśli. Miał dogadać się z siostrą i coś podpisać u notariusza.

– Zeszłam ze szlaku. Za to zawędrowałam do małego butikiku z butami na Via Monte Napoleone, zaraz wyjdę i biegnę, gdzie trzeba.

– Nie wychodź, proszę, sama. Podjadę tam, podaj tylko numer i nazwę sklepu.

Anna szybko dowiedziała się wszystkiego od miłego ochroniarza i usłyszała, że ma tam zostać i kupić, co chce. Jedne z butów wydały jej się dziełem sztuki. Nie mogła oderwać od nich wzroku, choć nie wyobrażała sobie, gdzie mogłaby w nich pójść, nawet w Warszawie. Wymagały topowej imprezy i odwagi. Były jak biżuteria na stopy, tysiące małych kryształków układało się w obłądnego motyla, który obejmował stopę i stawał się botkiem na niebotycznej cieniutkiej złotej szpilce.

Anna patrzyła na nie tak zauroczona, że ekspedientka natychmiast zapytała ją o rozmiar. Dziewczyna wpierw odpowiedziała, ale zaraz uprzedziła, żeby nie szukać ich nawet, bo

ona potrzebuje bardziej codziennego fasonu w sportowym stylu. To mówiąc, wskazała na czarne sneakersy ze złotymi klamerkami i drugie, stylizowane na militarne traperki do kostki, fantazyjnie sznurowane. Ekspedientka uśmiechnęła się wyrozumiale i poszła poszukać rozmiarów. Anna usiadła, po czym zaczęła przyglądać się dwóm kobietom. Kończyły zakupy. Żadna z nich nie wyglądała na bogatą. Były bardzo zwyczajne, nie przyjmowały żadnej pozy, co prawda rozmawiały z obsługą po angielsku, ale z obcym akcentem. Zapłaciły i wyszły – każda z kilkoma parami butów. Anna pomyślała, że dobrze trafiła. Wspaniałe wzornictwo i niskie ceny. Tu mogła się skusić. Sprzedawczyni przyniosła trzy pary. Uśmiechnęła się i... podała te z motylem. Anna zaczęła zaprzeczać, że to pomyłka, że tych nie, ale sprzedawczyni nalegała, żeby przynajmniej przymierzyła. Zaznaczyła przy tym od niechcienia, iż widzi doskonały gust klientki. Anna spojrzała na siebie. No tak, była ubrana cała od stóp do głów w Chanel, co mogło tłumaczyć zainteresowanie tymi pięknymi, ale mało przydatnymi butami. Zdjęła kultowe czarno-kremowe baleriny i włożyła motyle. Stała przed lustrem. Jej smukłe opalone nogi wyglądały jak z innej galaktyki, błyszczały w diamentowej poświacie jak u księżniczek z reklam bajek. Kopciuszek, pomyślała. Ekspedientka uśmiechnęła się i szczerze krzyknęła:

– *Bella! Bellissima! Woooow!*

Anna nie potrafiła zdjąć butów, nie chciała się z nimi rozstać. Robert pewnie nie będzie zły, bo niczego jej nie odmawiał, a i Anna też zwykle o nic go nie prosiła. Znała umiar, ale te buty mieć musiała. Były jak symbol jej bajki. Pomyślała, że drugie weźmie sneakersy i będzie miała buty na co dzień. Poprosiła o spakowanie obu par. Kiedy podjęła decyzję, serce biło jej mocno i czuła ekscytację jak mała dziewczynka, która dostała pierwszą w życiu wymarzoną lalkę. Pani spakowała buty, nabiła na kasę, wydrukowała paragon i powiedziała kwotę, której Anna nie zrozumiała. Uznała angielski dziewczyny za słaby i spojrzała na paragon. Serce stanęło jej w gardle. Spojrzała przerażona na ekspedientkę. Ta spokojnie pokazała, że motyle kosztują siedem tysięcy euro, a sneakersy tysiąc pięćset. Anna nie wiedziała, jak ma się zachować. Zaczęła przeproszać, że się pomyliła, że nie może takiej sumy wydać, że to tragiczna pomyłka. Ze wstydu płonęła, mówiła w nerwach raz po polsku, raz po angielsku. Kobieta zrobiła minę pełną pogardy, zmierzyła jej Chanel od góry do dołu i burknęła, że tu sprzedaje się oryginały, a nie kopie. Temu wszystkiemu z rozbawieniem przyglądał się Robert, który zdążył wejść do sklepu i stał przez chwilę w milczeniu za plecami Anny. Owca

– Proszę nie obrażać mojej żony. Kopie? Jest pani pewna? – rzucił po angielsku, po czym zaczął ostrzej po włosku, czego Anna już nie rozumiała.

Kazał zapakować ponownie obie pary butów – asystentka sprzedawczyni zdążyła je już rozpakować – i połączyć go z menedżerem. Kobieta broniła się nieudolnie: że menedżera nie ma, że nie jest dostępny, ale Robert wyjął wizytówkę, uprzednio zapłaciwszy czarnym centurionem, a wizytówka adwokata i ta karta kredytowa zwiastowały kłopoty, więc

ekspedientka szybko zmieniła front i oznajmiła, iż postara się znaleźć szefa. Wykonała jeden telefon i do salonu wszedł mężczyzna. Po kilku minutach rozmowy, której Anna nie rozumiała, pan coś sobie zapisał, kilka razy przeprosił Annę oraz Roberta za zaistniałą sytuację, obiecał, iż to się więcej nie powtórzy, a na koniec osobiście otworzył im drzwi.

– Moja droga, to jest jedna z najdroższych marek na świecie, Giuseppe Zanotti. Rozumiem, że nie spodziewałaś się takiej ceny.

– Robert, ja cię bardzo przepraszam... Nie powinniśmy kupować tych butów, wiem, ja nie wiedziałam! Ten sklep był taki mały i zwyczajny, i kupiły tu kilka par takie zwyczajne kobiety... – Anna zaczęła płakać z nerwów.

– Aniu... przestań beczeć. Chcesz buty, masz buty, cena nie jest ważna. Tu nie Polska i nikt nie ocenia wchodzących po zakupy po ubiorze. Ludzie też na co dzień nie stroją się jak u nas do teatru, nosząc torby z zakupami. Przestań się mazać, widzę, że nic nie kupiłaś. Nie mamy już czasu, musimy jechać na lotnisko, więc któregoś dnia po prostu pojedziesz ze stryjem do miasteczka.

– Ze stryjem?

– Tak, jutro muszę wylecieć do Polski.

– Już jutro?

– Niestety tak. Wkrótce wrócę, pobędziemy razem kilka cudownych dni.

Annie to wystarczyło. Robert w jej buty zainwestował małe auto, więc musiała być ważna. Oddał też w jej ręce swoją matkę, a to z pewnością pokazuje, kim Anna jest dla niego. Nie, nie musi się bać, będzie czekać wiernie w jego rodzinnym gnieździe.

Anna zyskała bojowe nastawienie. Wracała jej dawna siła i poczucie własnej wartości, zaczynała widzieć i czuć. I nie były to odczucia romantyczne. Wyjście na tajemniczą imprezę z żonatym facetem, którego przecież serdecznie nienawidziła, nie było szczytem marzeń. Ale czuła w sobie moc sprawczą, ten piekielny szczegół, który wynosił ją kiedyś ponad przeciętność. Obudził tę cechę Robert i teraz szykując się świadomie do walki z nim, odszukała dawno zapomniane emocje. Jak to jest panować nad mężczyznami? Wiedziała, że przegrała wszystko, kiedy uległa, gdy stała się przedmiotem w jego rękach. Dopóki nie miał nad nią całkowitej władzy, był nią zainteresowany, zazdrosny, czuły, dbający.

Kiedyś poszli na przyjęcie do elitarnego klubu, przyjęcie po pokazie znanego projektanta. Sponsorzy, modelki, goście ze strefy VIP, gwiazdy... Anna notorycznie dostawała propozycje przejścia się po wybiegu. Nie było to jednak nigdy jej marzeniem. Nie czuła się wystarczająco szczupła jak na tę branżę i nie chciała sławy. Kochała swoje anonimowe życie. Nie rozumiała tej nieustannej potrzeby bycia na okładkach, idącego za tym niewolnictwa własnego wizerunku. Dziwiła się, jak te wszystkie gwiazdy i gwiazdeczki mogą czytać o sobie te okrutne plotki, być celem paparazzich, żyć pod ostrzałem mediów i nie mieć prawa do błędów, bo te były surowo oceniane przez całą Polskę. I kiedy Robert rozmawiał z grupką kolegów w drugim końcu sali, a ona stała

z kilkoma kobietami spotykającymi się mniej więcej w stałym składzie podczas różnych imprez, podszedł do Anny szpakowaty mężczyzna w rzadko spotykanym garniturze w tenisowy prążek. Jego wizerunek był ciut przerysowany, ale miał w sobie coś intrygującego. Anna wiedziała tylko tyle, że to bardzo bogaty, inwestujący w Polsce Amerykanin. O takich ludziach mówiono w towarzystwie od razu, jak tylko pojawiali się na horyzoncie. Mężczyźni w celach biznesowych, kobiety – matrymonialnych. Kiedy mężczyzna podszedł, wszystkie okoliczne panie – świadomie lub nie – przybrały pozę miss podczas prezentacji, a szeroki uśmiech nie schodził im z twarzy. Anna jako jedyna nawet nie drgnęła.

– Przepraszam, czy mógłbym z panią zamienić parę słów? – Mężczyzna zwrócił się bezpośrednio do Anny.

– Ze mną?

– Tak, proszę pani – mówił prawie poprawną polszczyzną z mocnym amerykańskim akcentem.

Anna odeszła kilka kroków i popatrzyła pytająco.

– Ja chciałbym z panią wypić szampana, porozmawiać, pójść może na spacer. Pani jest taka fascynująca jak dzieło sztuki. Nie mogę oderwać od pani oczu!

– Jest mi niezmiernie miło, ale musimy poprzestać na oczach, bo jestem tu z kimś i nie mogę ugasić pana ciekawości ani spełnić innych marzeń, przykro mi. – Anna uśmiechnęła się uroczo, a jej oczy nabrały odcienia ciemnej zielni, odbijając kolor aksamitnej sukienki, którą miała na sobie.

Nagle – jak spod ziemi – pojawił się obok nich Robert. Minę miał rozwścieczoną, sprawiał wrażenie, jakby chciał człowiekowi zrobić krzywdę. Zaczął krzyczeć, żeby nie dotykał jego kobiety i trzymał z dala od niej swoje brudne ręce. Anna była zszokowana, nigdy nie widziała u Roberta takiej furii, tym bardziej w towarzystwie.

– Robert. Mówiono mi, że tu będą dziewczyny, z którymi można wyjść. Nie rozumiem, dlaczego się denerwujesz. Nie wiedziałem, że ta najpiękniejsza jest twoja. – Rozbrajająca szczerłość Amerykanina uspokoiła Roberta.

– Idź do Andrzeja na drugą salę, tę dla top VIP.

W tamtym momencie Anna czuła tylko dumę. Była szczęśliwa, że Robert o nią walczył.

– Kochanie, jesteś zazdrosny...

– Marzy ci się Ameryka?

– Zwariowałaś? Powiedziałam mu, że nie jestem tu sama i nie spełnię jego marzeń...

Robert rozchmurzył się nieznacznie.

– A moje spełnisz?

– Oczywiście! – wyszeptała mu wprost do ucha, zbliżając się niebezpiecznie blisko.

Anna stanęła przed lustrem: patrzyła na nią kobieta atrakcyjna, przypominająca tamtą dziewczynę. Uzmysłowiła sobie, że aż tyle lat nie minęło, że nadal jest młoda, że odbicie

w lustrze to efekt nowej siły, spojrzenia, pewności siebie, odwagi i potrzeby zemsty. Tak... potrzebowała jednak wyrównać rachunki.

Widziała piękne, nadal żywo rude włosy uczesane na wzór Rity, sukienkę, prawie wierną kopią tamtej, którą kiedyś nosiła, a której krótszy model tak oczarował Roberta. Wiedziała, że go nie spotka. Żenił się, niszcząc pewnie kolejną kobietę. Kolejne bezwolne narzędzie w jego rękach. Ona była idealną opiekunką matki, a tamta wniesie majątek i będzie... nieważne, to nie jest już jej sprawa.

Zadzwoiła do matki i Leona, a później do Adama, żeby upewnić się, że ma wszystko pod kontrolą. Spakowała torebkę, spojrzała ostatni raz w lustro, pociągnęła usta szkarłatną szminką i zeszła na dół. Piotr aż wysiadł z auta. Miał taką minę, że tylko dla niej warto było się pokazać. Stał jak słup, widząc i nie widząc zarazem. Po dłuższej chwili zdołał tylko wydukać:

– Eeeej, to ty?

– Nie, mój sobowtór.

Dziewczyna uśmiechnęła się zalotnie i nie czekając na otwarcie drzwi auta, sama weszła do środka. Piotr całą drogę milczał, co Annie absolutnie nie przeszkadzało. Wręcz czuła ulgę – rozmowa w tych okolicznościach byłaby udręką. Okazało się, że jadą do Warszawy na wybory miss.

Czyżby Miss Galaxy? Anna przypomniała sobie obleśnego szefa konkursu, którego miała okazję poznać. Zero szacunku dla kobiet, instrumentalne traktowanie i obstawianie młodymi niedoświadczonymi dziewczynami różnych podejrzanych imprez. Niektóre czuły się co prawda jak ryba w wodzie, ale większość sprawiała wrażenie skrepowanych bądź przerażonych koniecznością dotrzymania towarzystwa panom w różnym wieku i wątpliwej kultury. Dziewczyna nagle uzmysłowiła sobie, że Bracki może ją poznać, a raczej na pewno ją pozna. Była wiecznym obiektem jego dennych, niewyszukanych komplementów, pasujących bardziej do taniego burdelu niż do towarzystwa, w jakim się obracali. Cóż, Bracki mógł wtedy wiedzieć więcej i mieć pełną świadomość faktu, iż Anna jest kolejną chwilówką... Ale co robić? Musi zadzwonić jakoś do Adama. Kiedy Piotr parkował auto, rzuciła smutno:

– Słuchaj, bardzo przepraszam, mój synek gorączkuje. Czy nie będziesz miał nic przeciwko, jak zadzwonię do niego?

– Dobrze. Podwiozę cię pod wejście. Ty zadzwoń, a ja w tym czasie zaparkuję.

Adam natychmiast odebrał telefon i powiedział, że ma się nie martwić. Nie chcieli jej tego mówić, ale Bracki współpracuje z nimi, ponieważ nie ma wyjścia. Jest jednym z pionków na samym dole tej piramidy, został niedawno aresztowany i postawiono mu zarzuty. Jego asystent to człowiek z policji. Jest dobrze pilnowany. Nie ma paszportu ani dowodu osobistego, w kartotekach policyjnych znajduje się w tajnej zakładce, na wszystkich lotniskach figuruje na czerwonej liście i nigdzie nie ucieknie. Grozi mu poważna kara. Jedyнным sposobem złagodzenia jej jest współpraca z policją. Podpisał

wszystko, wie, że spotka Annę, i ma ułatwić jej dojście do kolejnego etapu. Nie byli pewni, czy Anna kiedykolwiek go poznała, więc nie chcieli na wszelki wypadek demaskować własnej wtyki. Jednak w zaistniałej sytuacji musi być poinformowana, żeby nie panikować.

Piotr podszedł do Anny, podał jej ramię, zapytał o stan zdrowia syna. Kompletnie nie przypominał tego gburowatego chama ze sklepu. Można było się pomylić. Czyste paznokcie, pachnący, dobrze ubrany, ostrzyżony króciutko, co likwidowało rodzaj zaczeski... Nie szczyrzył się tylko szeroko, mając chyba świadomość, iż tu szybko niczego naprawić się nie da. Magda naprawdę mogła widzieć w nim początkowo starszego partnera na zasadzie ojca, opiekuna. Należała przecież do dziewczyn rozpaczliwie potrzebujących poczucia bezpieczeństwa. Anna doskonale to rozumiała. Robert też miał w sobie coś z mądrego opiekuna, imponował jej. Stan posiadania u mężczyzny jest utożsamiany często z sukcesem, a ten z kolei z siłą. Kobiety podświadomie szukają kogoś, kto zabezpieczy im oraz potomstwu wygodne gniazdo. Takie atawistyczne dziedzictwo.

Miejsca mieli w dobrym trzecim rzędzie. Pierwszy należał do jury i kilku VIP-ów. Anna wzbudziła niemałą sensację w rzędach powyżej – niższe były kompletnie niezainteresowane tym, co dzieje się za ich plecami. Niektórzy jurorzy – ewidentnie znudzeni – bawili się komórkami. Piotr siedział dumny jak paw. Ktoś rzucił:

– Patrz, tam siedzi sobowtór boskiej Rity!

Ktoś skomentował:

– Sobowtór jest ładniejszy.

Anna przypomniała sobie wszystkie emocje, jakie jej towarzyszyły podczas wyjść z Robertem, i poczuła się kobietą wyjątkową.

Po zakończeniu części oficjalnej wszyscy udali się do zamkniętego klubu. Skąd ona to знаła...

Bruno wsiadł w swój najbardziej niewygodny samochód, pozostałość po Reginie. Ruszył gwałtownie, bez kontroli, jak mały chłopczyk, któremu dano zabawkę. W tym pisku opon nie chodziło o zabawę. To był swoisty sposób rozładowania napięcia i złości. Co ja tu robię? Powinienem być z dzieckiem. Już miał zrezygnować z dalszej części wieczoru, gdy nagle przed maskę wtargnęła mu kobieta. Przy samym wyjeździe z parkingu... prawie ją przejechał. Brawura opadła, ale serce podeszło mu do gardła i poczuł dreszcz na plecach. Anna, najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek spotkał. Wystarczyło kilka zdań, zamienionych przed laty, by odcisnęła ślad na jego duszy. Wówczas była z Robertem. Teraz wymachiwał do niego jakiś starszy facet, który wręcz zastawił mu drogę. Zatrzymał auto na środku przejazdu. Od razu utworzył się korek, wszyscy zaczęli trąbić, a on... on wyszedł przeprosić kobietę i jej towarzysza.

– Bardzo przepraszam. Zachowałem się jak idiota i nie ma na to wytłumaczenia. Czy mógłbym to państwu jakoś wynagrodzić?

Mężczyzna spojrział na auto warte kilka milionów i zdecydowanie milej się odezwał:

– Chyba opuszczamy tę samą imprezę. Myślę, że zbyt wiele emocji może przytłoczyć.

Przeprosiny przyjęte.

– Ja byłem na wyborach miss – mimowolnie udzielił informacji Bruno.

– O, my także. Będzie pan miał szansę postawić nam przeprosinowego drinka na afterparty.

– Z największą przyjemnością.

Anna – zajęta czytaniem esemesa w telefonie – nie zwracała uwagi na otaczających ich ludzi.

– Przepraszam, ważna wiadomość. – Uśmiechnęła się służbowo i poszła do auta.

W klubie było ciemno i tłoczno. Sala VIP także pękała w szwach. Bruno poczuł znużenie. To nie były jego klimaty – na trzeźwo czuł wręcz dyskomfort.

– Witam ponownie. – Mężczyzna – bez Anny niestety – podszedł do niego.

– To co, drink?

– Nie tu, zapraszam do VIP.

– Tam niestety jest równie tłoczno.

– Są VIP-y i VIP-y. – Mężczyzna zaśmiał się głośno i zaproponował Brunonowi, by poszedł za nim.

Kiedy wreszcie przecisnęli się przez dziki tłum, stanęli przed wejściem chronionym przez trzech zawodowców. Natychmiast zrobili przejście.

– Ten pan jest ze mną – rzucił towarzysz Anny, bez Anny niestety.

– Tak, mamy pana na liście.

Bruno zdziwił się nieco. Przecież nikt nie wymienił nazwiska...

– Listę trzeba mieć w oczach, sponsorów uczymy się na pamięć, twarzami. Nazwisko poda każdy, o dowód nie poproszę, a twarz... tu nie da się oszukać – wyjaśnił największy z mężczyzn i uśmiechnął się oszczędnie.

Bruno miał wrażenie, że gra w kiepskim Bondzie. Po wejściu na salę serce zabiło mu gwałtownie: zauważył Annę. Przestronne klimatyzowane pomieszczenie z dyskretnym światłem, szklanym barem, kryształowymi czarnymi żyrandolami, ciężkimi klubowymi kanapami i fotelami. Przepiękne kobiety w różnym wieku, kilka znanych osób płci obojga i finałowa trójka dziewcząt. Reszta, jak się okazało, nie miała wstępu. Na ścianach potężne telebimy wyświetlały teledyski na przemian z pokazami mody. Wszystko w najlepszym gatunku, od ludzi po sprzęty. W rogu kolega Bogdan wisiał już na jakiejś młodej piękności, a deweloper z konkurencyjnej firmy miał obok siebie dwie kobiety około trzydziestki. Anna siedziała co prawda samotnie, ale dookoła krążyła już czujna grupka mężczyzn, chłodno oceniających swoją ofiarę. Uroda Anny była absolutnie niezemska. Przez te lata nabrała tylko tajemniczości i jakiejś niedookreślonej klasy. Bruno przyglądał się dziewczynie z ukrycia. Co tu robiła? Kim tak naprawdę była? Jak potoczyło się jej życie? Słyszał jakieś plotki, że Robert zostawił ją w tragicznej sytuacji. Nie wyglądała jednak na

kobietę z problemami. Była kwintesencją wszystkiego, co stanowi o kobiecości. Podszedł bliżej:

– Anna?

– My się znamy? Aaaa tak, to pan mnie prawie przejechał.

Uśmiechnęła się nieśmiało. To był ten sam piękny uśmiech. Te same szmaragdowe oczy, ta sama aura, oryginalny zapach perfum i blask, którego nie można nabyć za żadne pieniądze. Bruno nabrał powietrza w płuca, by złapać jakąś równowagę emocjonalną.

– Nie całkiem przejechałem i nie całkiem na pasach, choć tak, jestem winien i raz jeszcze przepraszam. Ale poznaliśmy się dawno temu, na otwarciu hotelu na Sardynii.

Annę obleciał strach. Nerwowo spojrzała na Piotra, stojącego opodal z grupą mężczyzn. Nie patrzył na nią. Zaraz... spokojnie.... Przecież mogła być na Sardynii. Niczego to nie oznaczało. Ale jeżeli ten człowiek był przyjacielem Roberta? Jest tu, wśród tych ludzi, którzy odpowiadają za nieszczęścia wielu kobiet.

Bruno zauważył jej reakcję i postanowił przybliżyć sprawę.

– Rozmawialiśmy, ale zabrał mi panią partner. Znałem go z kilku imprez, niestety ostatnio zniknął mi z oczu. Co u niego słychać?

Anna płonęła, czuła, że za chwilę się rozsypie! Podjęła jednak grę:

– Nie wiem, nie widuję go. I nie tęsknię.

Bruno rozluźnił się wyraźnie i dodał z uśmiechem:

– Szczerze powiem, że za nim nie przepadam, zatem nie dziwi mnie pani stosunek.

– Pani? Proszę mówić mi na ty, skoro już zna pan moje imię...

– Bruno. Przepraszam, że się nie przedstawiłem. Miała pani prawo mnie nie pamiętać.

– To skończmy już z tym pan, pani! – Anna uśmiechnęła się i zaryzykowała: – Czy możemy oboje zapomnieć o tym człowieku? Nigdy go nie widzieliśmy. – Roześmiała się najbardziej naturalnie, jak potrafiła, a mężczyzna ochoczo przystał na tę propozycję:

– Jasne! Czy mogę się przysiąc? Sama jesteś?

– Nie, ze znajomym, ale to nic poważnego, kolega tylko.

Anna roześmiała się, tym razem szczerze. Czuła, że według Piotra zaczęła się gra. Pamiętała opowieść Magdy z jej pierwszego przyjęcia. Zerknęła na szefa – ten uśmiechnął się aprobująco, po chwili jednak podszedł, chcąc najwyraźniej włączyć się do rozmowy.

– Widzę, że w zamian za morderstwo na drodze podjął się pan opieki nad tą niewinną duszyczką! Bogdan mówił, że hojny z pana człowiek, proszę strzec Anny. Bawcie się dobrze. – Nachylił się jeszcze nad Anną i szepnął jej do ucha: – To bardzo bogaty człowiek, możesz się ustawić na trochę.

A więc tak to wygląda. To jest klient, a ja jestem towarem, pomyślała Anna.

– Drinka?

– Nie, dziękuję.

Anna pamiętała, że nie wolno jej pić niczego poza butelkowaną wodą, którą zresztą sama otworzy. Woda ma być dobrze gazowana. Słaby gaz może oznaczać nakrętkę przebitą



strzykawką z narkotykiem.

– Może odrobina wina? Szampana?

– Nie, dziękuję. Proszę o wodę gazowaną i koniecznie musi być zamknięta butelka, mam zarazkofobię. – Anna mrugnęła porozumiewawczo.

– Oczywiście, natychmiast!

Bruno uśmiechnął się szeroko, a Anna dostrzegła w tym uśmiechu rodzaj szczerości niepodrzytej żądzą czy chęcią skrzywdzenia. Miał piękne dłonie, gęste jasne włosy jak u surfera oraz stalowe oczy w ciemnej oprawie. Był trochę zmęczony, o czym świadczyły sińce pod oczami, ale wydawał się przyjazny i niegroźny. Wieczór z nim dawał jej dość łatwą możliwość przejścia do kolejnego etapu. Nie czuła, żeby polował na nią za wszelką cenę. Znała też zasady i wiedziała, że tamta grupka mężczyzn z Piotrem na czele prawdopodobnie obstawia zakłady, czy Brunonowi uda się zabrać ją do domu. Nie wiedziała tylko, czy on też bierze udział w tej grze...

Kiedy tak stała zatopiona w swoich myślach, podszedł Bruno z dwiema butelkami wody: francuską i włoską.

– Którą wybierasz?

– Francja. Zdecydowanie. – Anna uśmiechnęła się i sięgnęła po napój.

– To ja zaliczę Włochy. – Oddał jej uśmiech.

– Nie pijesz? – zdziwiła się.

– No jak to? Przecież piję? Jeżeli jednak chodzi ci o alkohol, to nie. Nie jestem w tym mocny, więc nie kuszę losu, żeby później nie cierpieć. Poza tym bawię się doskonale o wodzie. Są ciekawsze sposoby na poprawę nastroju.

Annę zaintrygował ten – wydawało się – szczery mężczyzna, kompletnie niepasujący do schematu, jaki znała z przeszłości. Faceci z tego typu imprez byli jak kopiowani przez szablon. Nie mieli ani czasu, ani ochoty na długie zaloty, poważne rozmowy i cały ten cyrk, który w ich ocenie można było skrócić odpowiednim czekiem. Anna była coraz bardziej ciekawa, czy ma do czynienia z graczem, czy zwykłym facetem. Brakowało mu rysu myślowego. Wydawał się wręcz nieporadny w roli adoratora. Rozmawiając z nią, nie ukrywał, iż jest oczarowany w sposób prawdziwy. Miał w sobie coś z amanta ze starych filmów. Był kulturalny, bardzo delikatny, zmiękczał naturalnie sarkastyczny charakter i dość drapieżne usposobienie dziewczyny, zwłaszcza w kontekście zadania, jakie miała do wykonania. Ona była tu jednocześnie myśliwym i zwierzyną. Musiała zachować czujność, a on ją rozpraszał.

Nagle obok Anny i Brunona zaczęła się szarpanina. Jakiś mężczyzna ciągnął za rękę znaną modelkę. Dziewczyna prawie płakała, a on krzyczał:

– Mówiłem ci, że masz tu stać i czekać! A nie mizdrzyć się po kątach! Nie będę wiecznie cię pilnował! Płacę i wymagam! Zrozumiałaś?!

– Nigdzie się nie mizdrzyłam! Byłam w toalecie! – krzyknęła dziewczyna tak głośno, że wszyscy zwrócili uwagę na awanturującą się parę.

– Przestań się drzeć, szmato!

Mężczyzna uderzył ją w twarz. Bruno wstał i podszedł do niego. Po chwili doszło jeszcze dwóch mężczyzn, a wśród nich Andrzej Bracki. Pokazał się po raz pierwszy tego wieczoru.

Andrzej zabrał dziewczynę, nie zauważywszy Anny lub celowo na nią nie patrzył. Chyba jako jedyny, bo wszyscy mężczyźni się jej non stop przyglądali. Andy wyszedł z zapłakaną modelką, a pozostali wyprowadzili awanturnika. W tym czasie, korzystając z wolnego miejsca, obok usiadł – nawet nie pytając o pozwolenie – inny mężczyzna.

– Witam. A pani to gwiazda filmowa czy branża mody? Bo ja, proszę pani, jestem reżyserem i szukam takiej lilii do obsady. Pani jesteś jak otchłań ze świeżym powietrzem i perspektywą sukcesu. Pani pozwoli, iż zamówię butelkę najlepszego szampana, aby uczcić przyszłą sławę, droga lilijo... – Reżyser najwyraźniej rozwijał się w temacie, z uwielbieniem słuchając własnego głosu.

– Dziękuję, ale żadnych trunków z alkoholem nie powinnam dziś pić. Jestem trochę przeziębiona, kończę antybiotyk, a w moim przypadku, panie reżyserze, to jest ryzykowne. Uczulenie pojawi się natychmiast i będzie pan miał kłopot.

– Ach, lilijo moja!!! – wykrzyknął z emfazą mężczyzna. – A czy pani mnie zna, moja lilijo? – Przybrał ewidentnie wystudiowaną przez lata pozę, jak na rasowego narcyza przystało. Interesował się tylko tym, co dotyczyło jego.

– Przepraszam. Długo przebywałam poza granicami kraju. Moja wiedza na ten temat jest mizerna...

– Ach, lilijo moja! A ja dłuuuugo już żyję, więc to dziwota jakaś, że pani taka... nieobyta. – Reżyser wyraźnie się zachmurzył. Pomyślał chwilę, ważąc w sobie wszelkie za i przeciw dalszego angażowania się w tę rozmowę, ale ewidentnie Anna mocno go intrygowała. – To czas dokonać prezentacji! Józef Trolski jestem! – Stanął na baczność, strzelił lakierkami i – z pewnym trudem – się uklonił.

– Anna.

Dziewczyna wstała kulturalnie, po czym oboje usiedli. Anna spojrzała na Piotra stojącego ciągle w tym samym miejscu, w zasięgu jej wzroku. Dyskretnie pokręcił głową, co oznaczało, iż reżyser to żadna partia. Uf, pomyślała dziewczyna. Chwała Bogu! Choć w zasadzie czas spędzony ze starszym panem był całkowicie nieinwazyjny, wręcz miły. Człowiek ten w bardzo staroświecki sposób prezentował swoje wdzięki i snuł wizję obsadzania Anny w różnych rolach: od pastuszki po Bonę. Był faktycznie znany, choć czasy świetności miał już dawno za sobą. Ciągnęła się jednak za nim sława nie tylko filmowca, lecz także flirtiarza. Obecnie był kompletnie nieszkodliwy. Annie jego nazwisko kilka razy obilo się o uszy, ale nie śledziła, kto za nim stoi. Kinematografia nie interesowała jej jakoś szczególnie. Gdzieś kiedyś czytała o jego podbojach. Historie rodem z oper mydlanych, podkręcane jeszcze na potrzeby mediów, nigdy nie były jej bliskie. Kiedy to było? Jakies dziesięć lat temu?

W tym momencie stanął przed nimi Bruno i mężczyzna, z którym odprowadzał agresywnego partnera modelki.

– Józefie, widzę, że opuściłeś nasz posterunek! – odezwał się mężczyzna.

– I podrywasz moją towarzyszkę niedoli – dokończył Bruno.

– Moi drodzy, ja tylko pilnuję! Strzegę, aby nikt nie zniszczył pani wieczoru! Chamów tu na pęczki, a ty, Bogdanie, ty obiecałeś mi powabne kandydatki na przyszłe gwiazdy filmowe! A tu co, proszę ja waści? Słaby raczej zakres urody do wielkiego ekranu. Może jakbym zdjął okulary, tobym coś wybrał... Ale szczerze mówię, mój przyjacielu: poza panią Anią nie ma na czym oka zawiesić.

Reżyser wstał nieporadnie. Już nie stanął na baczność i nie stuknął obcasami. Najwyraźniej ból w krzyżu przypomniał mu o wieku.

– Z nudów, Bogdanie, to mnie nawet wiek zaatakował, a jak jeszcze pani Ania, że tak powiem, w rezerwacji twojego kolegi, to i krzyż wysiadł, he, he, he. Pani dziękuję za towarzystwo, a ciebie puszczam na moje miejsce. Niech ci się poszczęści, hi, hi, hi! – zwrócił się tym razem do Brunona.

– Józefie drogi, pani nie jest, jak to ująłeś, w mojej rezerwacji. Raczej w niewoli dobrej energii, ha, ha, ha! – Rozbawiony Bruno rzucił obu oddalającym się panom.

Reżyser i jego towarzysz zniknęli w głębi sali. Anna spojrzała mimochodem na Piotra – ten uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Przepraszam, że zostawiłem cię samą na tak długo, ale ten człowiek zachowywał się koszmarnie. – Bruno spoważniał.

– Znasz go?

– Nie, ale nie będę patrzył beczynn timer, jak szarpie kobietę. Wydaje mi się, że był pod wpływem jakichś środków odurzających i alkoholu. Bogdan go zna... a ja znam Bogdana.

– Kim jest Bogdan? Nawet się nie przedstawił.

– Fakt. Trochę to niegrzeczne, ale to porządny człowiek, choć ze skazą.

– A skaza w którym miejscu?

– To byłoby już plotkowanie. – Bruno uśmiechnął się tajemniczo.

– Tak, masz rację. – Dziewczyna odwzajemniła uśmiech.

– Pięknie się uśmiechasz, Anno.

– Dziękuję.

Po tych słowach zapadła cisza. Obydwoje wiedzieli, czuli to podskórn timer, że jakaś granica została przekroczona, że wchodzą na teren, po którym nie spaceruje się bezkarnie. A jednocześnie coś, jakaś magiczna siła przyciągała ich do siebie.

– Czy jest szansa, żebyśmy spotkali się kiedyś? Poza tym miejscem?

– Podobno ludzie spotykają się minimum dwa razy w życiu, więc limit statystyczny chyba wyczerpaliśmy. – Anna niepewna, jaka odpowiedź będzie właściwa w tych okolicznościach, zdobyła się tylko na taką.

– Dlatego trzecie spotkanie nie będzie wynikiem przypadku. Po dwóch razach nieplanowanych, które możemy uznać za dary losu, czas na ludzkie działania. Teraz wszystko w naszych rękach. Więc? – Mężczyzna był nieustępliwy.

– Cóż, zaryzykuję i zaufam przeznaczeniu, nie lubię planować.

– Planowanie ma kolosalną przyszłość w przeciwieństwie do hazardu. Zdanie się na ślepy los to porażka.

– Nie uważam, aby moje zaufanie przeznaczeniu miało być hazardem. Bardziej nazwałabym to mistyczną wiarą, że to wszystko mamy zapisane w gwiazdach. – Anna lawirowała, jak mogła, żeby nie określić się w żaden sposób.

– Jest to jednak ryzyko. Według rachunku prawdopodobieństwa nie wygląda to optymistycznie.

– Trudno. Pozostanę przy romantycznej wersji. Matematyka nigdy nie była moją mocną stroną, niestety...

– A więc nie pozostawia mi pani wyboru. Poddaję się. – Bruno udał smutnego, po czym natychmiast się roześmiał.

Ta dziewczyna była tym, czego było mu potrzeba. Bawił się doskonale i prawie zapomniał o chmurnej rzeczywistości, którą zostawił za drzwiami klubu. Anna była taka, jaką ją zapamiętał. Bystra, inteligentna, dowcipna i kompletnie niepasująca do tego miejsca. Podejrzany mężczyzna, z którym przyszła, cały czas ją kontrolował. Co chwilę na nich zerkał, dziwnie się uśmiechał, jak kupiec na arabskim targu. Bruno miał wrażenie, że próbuje ich wręcz zachęcić do flirtu. Kim był dla niej ten mężczyzna? Ta myśl, ta obserwacja była rodzajem załamania na aureoli, którą w jego oczach Anna nosiła. Od pierwszego spotkania widział w niej pewien rodzaj czystości i siły zarazem, zestaw urody i charakteru niespotykany. Błyszczała od środka.

– Anno, kim jest twój towarzysz? Ciągłe nam się przygląda. Może nie powinniśmy rozmawiać tyle ze sobą? Może powinnaś mu towarzyszyć?

– Piotr jest związany z moją koleżanką. Niestety doznała poważnego złamania nogi i nie mogła mu towarzyszyć. Namówiła go, by zabrał mnie w charakterze damy do towarzystwa. Jest niezwykle wyrozumiała, choć mam wrażenie, że chyba chciała pobyć sama, ha, ha, ha. – Anna puściła oko, dając tym samym do zrozumienia, że koleżanka nie jest do końca uczciwa. – Osobiście nie pochwalam takich sytuacji, ale że Piotr nie jest łatwym człowiekiem, to pomogłam jej w organizacji czasu wolnego. Mam też niejasne wrażenie, iż oboje uporczywie szukają dla mnie partnera! – wybrnęła z sytuacji, na którą była kompletnie nieprzygotowana. – Proszę jednak, niech to zostanie między nami. Nikt nie lubi, jeśli jego drobne tajemnice wychodzą na jaw bez pytania.

– Cóż, nie wyobrażam sobie piękniejszego zastępstwa. A, i chciałbym zgłosić swoją kandydaturę na tego poszukiwanego partnera, ha, ha, ha! Mam wysokie kwalifikacje, mogę również przesłać CV oraz list motywacyjny – powiedział to z kamienną powagą, jednak na koniec szelmowsko puścił oczko.

– Tak jak powiedziałam: co ma się zdarzyć, będzie. Los zadecyduje, nie ja. Proszę, pozwól mi zostać przy moim wyborze. – Anna miękko spojrzała na Brunona.

– Dobrze, to tylko jeszcze jedno pytanie, Anno. Czy jest w ogóle w twoim życiu jakiś mężczyzna? – Bruno postawił wszystko na jedną kartę, a teraz z napięciem przyglądał się twarzy dziewczyny, oczekując odpowiedzi.

– Jakiś? Nie, jakiegoś mężczyzny nie ma... – odrzekła powoli, bawiąc się szklanką. Gestem dała znać, że jeszcze nie skończyła mówić. – Jakiegoś, jak to ująłeś, mężczyzny nie ma, ale jest ktoś najważniejszy. Ktoś, kto zawładnął całym moim sercem.

Bruno wstrzymał oddech. Był w stanie tylko wyszeptać:

– To dlaczego przyjaciele cię swatają, Anno?

– Widzisz, nie obnoszę się z moją miłością. – Dziewczyna znowu uśmiechnęła się delikatnie, a na jej twarzy pojawił się cień zadumy.

Bruno nie drążył dłużej tematu. Zrozumiał niechęć dziewczyny do jakichkolwiek flirtów – choć trudno mu było przyjąć porażkę. No i nie chciał wychodzić jeszcze z imprezy, mimo iż w pierwszym odruchu miał taki zamiar. Szkoda mu było dobrej energii, którą poczuł po raz pierwszy od bardzo dawna, czegoś na kształt porozumienia dusz? Nie do końca wiedział, jak to sobie ułożyć w głowie.

Imprezę zakończył spektakularny wjazd ogromnego tortu, który miała pokroić królowa wieczoru. Wyglądała na trochę spiętą, korona uporczywie zsuwała się jej z głowy. Andy. Andriusza. Andrzej Bracki szedł dokładnie za nią. Był wyraźnie zmęczony, ewidentnie nie bawił się całą tą sytuacją. To nie był ten sam człowiek, który wyluzowany i rozbawiony zaczepiał przed laty Annę w kawiarni. Wiedziała, dlaczego jest taki sztywny, ta wiedza przypomniawszy jej o grze, w której brała udział.

Czy Bruno zna zasady? Czy jest zawodnikiem, czy przypadkowym graczem, nieświadomym ceny, którą przyjdzie mu zapłacić? Anna wiedziała od Adama i drugiego policjanta, iż na tym pierwszym poziomie w grę wchodzi głównie stawki z zakładów. Jeśli jednak któraś dziewczyna da się skusić, wdepnie w to bagno, to z reguły pozostaje w biznesie na zawsze. Te z dziewczyn, które nie są świadome okoliczności, idą po prostu na dobrą imprezę i myślą, że poznają księcia z bajki. Po tej pierwszej nocy bajka niestety z reguły zmienia się w horror i zaczyna się początek ich końca. Świadome dziewczyny mają łatwiej. Ustalają stawki, biorą czynny udział w grze. Tu nie ma oporu, tu nie ma niespodzianek. Każda z nich ma ściśle sprecyzowane zadanie: doprowadzić mężczyznę do jak największej porażki wizerunkowej, a za tym finansowej. Łatwiej mają stali bywalcy – od początku zawierają kontrakt. Oni przeważnie wypożyczają na noc towar rezerwowany wcześniej. Anna początkowo miała duże opory przed zaakceptowaniem nomenklatury obowiązującej w tych kręgach – słowo „towar” w odniesieniu do żywego człowieka budziło w niej zdecydowany opór. Później przywykła – oddzieliła pierwiastek ludzki od całej reszty, przy czym całą resztą nazywała czyny, działania, czynności... tak było uczciwie.

Jedna z takich wyraźnie świadomych dziewczyn, piękna brunetka o sarnich oczach i urodzie elfa, zupełnie niepasująca do roli luksusowej kurtyzany, siedziała na kolanach starszego ze czterdzieści lat mężczyzny i cały czas kokietowała go, całowała, szeptała do ucha i trzepotała niebotycznie długimi rzęsami. Miała czerwoną minisukienkę i praktycznie było jej widać bieliznę. Niebotycznie długie nogi, wysmarowane jakimś błyszczącym specyfikiem, wieńczyły złote szpilki z biżuteryjnym przodem. Anna natychmiast przypomniała sobie swoje zanotti z Mediolanu. Poza tym dziewczyna miała na palcu ogromny pierścionek z bordowym oczkiem i długie kolczyki w tym samym stylu. Jej delikatna, świeża uroda kłóciła się z tym, co robiła, a mianowicie penetrowała językiem ucho partnera z obleśnym śmiechem, z lubieżnym dotykiem... Mężczyzna siedział jeszcze z dwoma innymi kolegami. Cały czas opowiadali sobie coś zabawnego. Obok tkwiła znudzona blondynka o dość mocnym makijażu, ostrych rysach, sztucznych rzęsach i mocno tlenionych włosach. Najbardziej jednak rzucały się w oczy jej ogromne usta, nienaturalnie spuchnięte i pomalowane w dość osobliwy sposób. Trudno było stwierdzić z tej odległości, czy czerwień wyszła mocno poza kontur, czy to kontur został tak mocno przesunięty przez chirurga. Była kompletnie niezainteresowana tym, co się działo dookoła. Przeglądała telefon w różowym etui, mocno okraszonym kryształkami i brokatem. Na ręce miała kilka bransoletek z różnych bajek, ale wszystkie ciężkie, bogate i w złotym kolorze, na nogach – kozaki sięgające do połowy uda, i krótką sukienkę z wielkim dekoltem, z którego wylewał się ogromny biust – wszystko to również złote i błyszczące. Na szyi wisiało kilka krótkich łańcuszków, jeden dłuższy z sercem opadał na dekolt. Mężczyzna, któremu towarzyszyła, był koło pięćdziesiątki. A ona? Trudno ocenić – pod górą tapety mogła kryć się młoda dziewczyna. Nie wyglądała jednak młodo. Była typem przeciwnym do elfiej piękności, ale widocznie na mocniejszej pozycji, bo jej towarzysz cały czas trzymał ją za kolano, adorował, co chwilę próbował wzbudzić zainteresowanie i wywołać uśmiech. Ona natomiast uśmiechała się półgębkiem, kompletnie nie podejmując żadnej interakcji. Kiedy szła do toalety, jej partner odprowadzał ją wzrokiem pełnym zachwyty – szła dumna, kręcąc dość sporą pupą i nienaturalnie w kontekście do niej wąską talią. Jej sztywno napięty biust przewodził całości.

Bruno zauważył, że Anna bacznie przygląda się towarzystwu, a zwłaszcza kobietom.

– Co za czasy, prawda?

– Nie rozumiem? – zdziwiła się szczerze.

– No... taka dziewczyna na przykład zagrała rozebraną scenę w teledysku znanego rapera i otrzymała status gwiazdy.

– A skąd wiesz? Ja kompletnie jej nie kojarzę.

– Była na otwarciu jednej z moich inwestycji i agencja promocyjna, która organizowała całość, sto razy podkreślała, jaką to ściągnęli gwiazdę. Nie miałem oczywiście pojęcia o jej zasługach, więc dopytałem. – Roześmiał się.

– No to faktycznie mocne uderzenie, top class. Jak widać: jest popyt, jest i podaż. Towarzysz wydaje się wniebowzięty. W odróżnieniu od tej drugiej, która ciężko pracuje na zainteresowanie swojego pana, ta musi tylko być. – Anna rozłożyła ręce i wzniosła oczy do góry.

– Tamtej nie znam, ale siedzi na żonatych kolanach, które mają już wnuki. Bardzo bogatych, oczywiście, kolanach. Co wysiedzi, będzie jej. Każda myśli, że jak dobrze usiądzie, to jakoś w przyszłości pozbędzie się żony. Tu niestety nie. Żona jest współwłaścicielką potężnej fabryki kosmetyków. Ale sytuacja jest o tyle czysta, że żona toleruje te nasiadywaczki. Sama ma bardzo przystojnych trenerów osobistych, oczywiście w domowej siłowni. Wygląda na trzydzieści, a ma sześćdziesiąt lat, więc ten starszy pan jest w jej pojęciu ciut... stary.

– Znasz ich?

– Tylko z przyjęć, na których czasem muszę bywać, a tam kochanek się raczej nie przyprowadza. To ten rodzaj spotkań, gdzie wszyscy uchodzą za wzór cnót wszelakich. Tam ocenia się ewentualnych partnerów biznesowych, a ci z młodymi kociakami z wypożyczalni nie budzą zaufania.

Słuchała Brunona i nie mogła go rozszyfrować. Zdawał się kpić z tego światka, a jednak tu był. Przyszedł i został, nie uciekł po wyborach jak kilka osób z jury, w tym znany artysta plastyk i projektantka mody. Nie było też aktora komediowego, którego, swoją drogą, bardzo lubiła. A on był.

– Przepraszam, chcę cię o coś zapytać: lubisz takie imprezy, takie miejsca? Opowiadasz o tych ludziach z lekką ironią, a jednak tu jesteś – postanowiła zagrać bezpośrednio.

Przyglądał jej się przez chwilę i milczał. Ewidentnie wahał w głowie, czy powiedzieć prawdę, czy skłamać. Obawiał się reakcji.

– A kto powiedział, że nie lubię? Jestem jak każdy mężczyzna, są tu piękne kobiety, jest kilku moich znajomych i sobotni wieczór, z którym trzeba coś zrobić. – Uśmiechnęła się ironicznie.

– Racja – krótko skwitowała dziewczyna.

Czego innego mogłam się spodziewać? – pomyślała i poprosiła o butelkę wody.

Bruno natychmiast pożałował swojej odpowiedzi, bo Anna – wyraźnie rozczarowana – lekko zmieniła ton. Zniknęła miękkość i słodycz, a pojawiła się chłodna poprawność. Nagle podszedł do nich Piotr.

– Widzę, że dobrze się bawicie? Ja chciałbym już wracać. Anno? Chcesz zostać trochę dłużej? Zamówię kierowcę lub może pan odwiezie cię do domu?

– Nie, nie, Piotrze, wracam z tobą.

– A może jednak zostaniesz? Chętnie cię odwiozę, nawet na koniec świata – próbował wykorzystać szansę Bruno.

– Nie, dziękuję, to był miły wieczór, ale jestem już zmęczona. Miło było cię poznać, życzę dobrej zabawy.

- Może wymienimy się numerami? Tak miło się rozmawiało... – nie odpuszczał Bruno.
- Nie. Pamiętaj. Zaufaj przeznaczeniu.

Anna wstała i odeszła z Piotrem, który rzucił na odchodnym:

- Musisz nadal jeździć szybko, to może wpadnie ci znowu pod koła i na tyle się wystraszy, że nie będzie aż tak przytomna jak dziś!

Później długo śmiał się ze swojego dowcipu i przez całą drogę był bardzo z siebie zadowolony. Musiał ewidentnie postawić na Annę spore pieniądze i wygrać.

Anna wbiegła po schodach, otworzyła drzwi, zrzuciła buty i sukienkę. Długo stała pod prysznicem, była bardzo zmęczona. Był środek nocy, a musiała jeszcze zameldować Adamowi, że pierwszy etap zadania został szczęśliwie zaliczony. Zасыpiając, nie myślała o Robercie, co czyniła ostatnimi czasy, za to obsesyjnie rozpamiętywała rozmowę z Brunonem. Szkoda, że to typowy bywalec i myśliwy, pomyślała i natychmiast zasnęła.



Bruno szukał w głowie pomysłu na odnalezienie dziewczyny od momentu, jak ta tylko zniknęła za szklanymi drzwiami. Po chwili podszedł do Bogdana, na którym wisiały dwie młode panny ze stajni miss, i pożegnał się dyskretnie. Podziękował za wieczór i obiecał się odezwać. Po drodze myślał tylko o Annie oraz o swojej kompletnie idiotycznej odpowiedzi na jej pytanie. Im bliżej jednak był domu, tym mocniej uświadamiał sobie, iż ta kobieta pojawiła się w miejscu, do którego nie przychodzą grzeczne dziewczynki. Dodatkowo kiedyś spotykała się z mecenasem, więc kto wie, co miała za uszami. Robert nie był najlepszym świadectwem czystości. Bruno nie szukał oczywiście nieskazitelnej kobiety, nie te czasy. A nawet nie był przekonany, czy w ogóle szuka... mimo to wciąż odzywała się nadzieja, ta nadzieja, co to umiera ostatnia. Pomyślał o Reginie, jej oszustwach, swoim bólu, i natychmiast zaczął zabijać myśli o Annie. W końcu w poniedziałek ma przywieźć do domu syna! Tylko to się teraz liczy! Całą niedzielę spędził w szpitalu. Oczywiście zabrał ze sobą zniecierpliwioną nianię – jak kazała się tytułować pani Wanda. Była tak podekscytowana perspektywą pojawienia się małego Jasia w domu, iż od kilku dni szykowała wszystko, co jej kazali lekarz, pielęgniarki, jej doświadczenie i internet. Wydzwaniała do córki z setkami pytań. Sama była już babcią, pewnych rzeczy mogła nie pamiętać. Jej wnuki mieszkaly w Stanach Zjednoczonych i Anglii. Teraz mogła wreszcie spożytkować nieprzebrane pokłady matczynej miłości i pełnić swoją wymarzoną funkcję – niańczyć maleństwo, które będzie mieć blisko siebie.

Anna w południe pojechała do mamy. Stęskniła się bardzo za Leonem, ale – co było dla niej nowością – za matką także. Z zakupów w Warszawie zostało jej kilkaset złotych. Chciała oddać je Piotrowi, lecz ten kazał je zatrzymać. Nie zamierza oczywiście tymi pieniędzmi reperować domowego budżetu, ale śmiało może dzisiaj je przepuścić na uciechy dla synka i matki.

Leon, jak tylko usłyszał odgłos otwieranych drzwi, zawisł Annie na szyi.

– Mami, mami, mami! Jesteś! Jak ja cię Kocham! Czy pójdziemy dziś do Bajkolandu?!

– Tak, Kochanie. Ja też bardzo cię Kocham. Stęskniłam się za wami okrutnie!

Matka stała w drzwiach, patrząc na córkę i wnuka. Z kuchni dobiegał zapach ukochanej babki ziemniaczanej. Ach, szykowała się uczta!

– Mamuś, witaj. Co to za zapachy?!

– Niedziela, kochanie! Rozbieraj się, zjemy i pójdziemy na spacer, bo Leon nie mógł się już ciebie doczekać. Tak bardzo chce iść do Bajkolandu, a obiecałam mu, że jak wrócisz, to pójdziemy. Jeżeli oczywiście nie jesteś zmęczona. Jeśli wolisz zostać i odpocząć, to sama z nim pójdę.

– Nie, nie, mamu, muszę trochę się dotlenić i wyrwać z tego horroru.

– No właśnie, jak było? – ściszyła głos matka.

– Wszystko w porządku, opowiem, jak Leon będzie rozrabiał z dziećmi w zamku.

Po długim spacerze i obowiązkowym karmieniu kaczek cała trójka z lodami w ręce dotarła do Bajkolandu. Sala wybudowana przy domu kultury była darem jakiegoś bogatego mieszkańca miasteczka, pięknym gestem dla mniej zamożnych obywateli. Dzieci miały raj, a rodzice – przytulną kawiarenkę, z której można było obserwować pociechy.

– Opowiadaj, córeczko. Martwiłam się bardzo, ale Adam pisał do mnie, że wszystko mają pod kontrolą.

– Wiesz, mamu, szczerze mówiąc, to nawet nie ma o czym opowiadać, wszystko przebiegło spokojnie i według przewidywań policjantów. Nikt na szczęście nie próbował zrobić mi krzywdy. Czas, jaki został po części oficjalnej, spędziłam z sympatycznym człowiekiem. Piotr obserwował nas z daleka. On sam nie robił mi żadnych uwag, nie sprawiał przykrości – wręcz odwrotnie, starał się być miły. Gdybym nie znała go od zupełnie innej strony, z pewnością byłabym przekonana, iż to dżentelmen w pełnym tego słowa znaczeniu. A swoją drogą... Czy wiesz może coś o Magdzie?

– Nie, podobno jest nadal w tym spa. Nikt nie robił ci żadnych niemoralnych propozycji?

– Matka była wyraźnie zdziwiona.

– Potwierdziła się wersja Adama. Mówił, że na tym poziomie takie zachowania są rzadkie. Oczywiście byłam świadkiem kilku sytuacji mało przyjemnych, ale te kobiety były w wyraźnym układzie i godziły się z tym. Nie wiem, jakie pieniądze czy inne korzyści za tym stoją. Nie mnie oceniać, czy można dawać się tak upokarzać. Ale one robiły to dobrowolnie...

– Tego akurat nie możesz wiedzieć. Weź pod uwagę, co mówiła Magda – mogą mieć na nie smycz i kaganiec w postaci choćby kompromitujących materiałów.

– No tak... masz rację. Tym bardziej się cieszę, że będę mogła pomóc tym przymuszonym. Wiem, jak bolą strach, niemoc i brak poczucia bezpieczeństwa. Wiem, co to psychiczne upodlenie. Wiem, jak to jest być w niewoli. – Anna powiedziała to bardziej do siebie, a jej szmaragdowe oczy zaszklily się łzami.

Matka chwyciła ją za rękę i mocno ścisnęła.

– Córeczko. Ten koszmar minie, kiedy wyrównasz rachunki. Widzę, że ta sprawa działa jak przedłużenie terapii – nadaje sens twojemu cierpieniu, budzi chęć do walki. Leon potrzebuje silnej, wierzącej w siebie matki. Jesteś jeszcze młoda i nie możesz się poddawać. Musisz chcieć żyć, cieszyć się na każdy kolejny dzień.

– A ty, mamu, jak się czujesz? – Anna spojrzała z troską.

– Nieźle. Leon daje mi mnóstwo pozytywnej energii i zaprzęta głowę na tyle, że w ogóle nie myślę o tym, co mnie czeka. Poza tym słyszałam, że w Kanadzie pojawiła się jakaś nowa kuracja spowalniająca chorobę. Pewnie za jakiś czas dotrze do Polski. Z każdym dniem medycyna i nauka idą do przodu.

– Może zorientujmy się, na czym polega dokładnie ta metoda? Może uda się zorganizować to leczenie w Kanadzie?

– Ha, ha, ha, Aniu!!! O czym ty, dziecko, mówisz? To są sumy nieosiągalne dla przeciętnego człowieka.

– Są przecież zbiórki, fundacje, trzeba działać! – Anna wyraźnie się ożywiła.

– Nie. Na razie nie przyjmują na testy nikogo spoza Kanady. Wszystkiego się dowiedziałam, pieniądze nie są jedyną barierą. A teraz chodź, weźmiemy Leona do kina, bo mu obiecałam. No i te atrakcje, a słowa dotrzymuję!

W kinie Anna rozsiadła się wygodnie i przymknęła oczy. Kreskówki nie były jej ulubionym repertuarem, ale lubiła atmosferę ciemnej sali, zapach popcornu, relaksowała się więc po prostu, towarzysząc synkowi.

Była w początkowych tygodniach ciąży. W końcu nadszedł ten dzień, w którym Robert przyleciał do niej na Sardinie – a ona miała mieszane uczucia. Nieobecność mężczyzny, coraz krótsze pobyty, telefony i zero miłych esemesów nie napawały optymizmem. Dodatkowo całodobowa opieka nad jego chorą matką, zmęczenie i szaleństwo hormonów spowodowały, że Anna, zamiast poczuć radość, rozpłakała się rzewnie.

– Co się stało? Ja tu na skrzydłach przylatuję, rzucam pracę, żeby cię zobaczyć, a ty beczysz? Księżniczko moja? – Robert natychmiast przytulił Annę.

– Jestem... w ciąży... – wyrzuciła z siebie nabrzmiałą jak balon informację.

– Słucham? – Robert nie sprawiał wrażenia uradowanego. Odsunął się od niej, a jego mina... jego mina wyrażała kompletne osłupienie przemieszane z wściekłością. – Słucham? W jakiej ciąży?! Który to miesiąc?!

– Nie jestem pewna... początek trzeciego chyba.

Anna zaczęła płakać jeszcze bardziej. Pomimo wszystko nie na taką reakcję liczyła.

– Jutro pojedziemy do lekarza. Teraz jestem zmęczony, więc daj mi spokój.

Anna podbiegła do niego i jak żebrzące o miłość zwierzątko próbowała się przytulić. Odepchnął ją tak, że potrąciła krzesło i mało nie upadła. Nie spojrzął na nią nawet, zniknął w bibliotece i nie wyszedł z niej do rana.

Nie znała go takim, nie wiedziała, jak można z czułego, troskliwego człowieka zamienić się w potwora. Jak można nie ucieszyć się z wiadomości o dziecku lub nie zachować choć pozorów radości? Do świtu nie zmrużyła oka. Była przerażona i wykończona – matka Roberta także spała niespokojnie i co chwilę wołała ją do siebie.

Rano Robert bez słowa wypił kawę, później przywitał się z matką i zadzwonił do lekarza. Wypowiedział tylko jedno zdanie:

– Za trzy godziny masz być gotowa – i zniknął, trzaskając drzwiami.

Lekarz, do którego jechali dwie godziny w całkowitym milczeniu, stwierdził zaawansowany czwarty miesiąc ciąży. Anna mogła według niego regularnie miesiączkować, a to, co uznawała za wzdęcia po makaronach (pochłanianych z nudów w dużych ilościach), było małym ciężowym brzuszkiem. Robert zapalczywie kłócił się z lekarzem po włosku. Nic nie rozumiała, widziała tylko, jak lekarz kręci głową, wyraźnie czemuś zaprzeczając. Robert był tak wściekły, że wychodząc z gabinetu, trzasnął drzwiami centralnie przed twarzą Anny, zostawiając ją w środku. Dziewczyna szybko pobiegła za nim i w ostatniej chwili wsiadła do samochodu.

– Ponieważ nie da się już usunąć tego dziecka, to zostaniesz tu i urodzisz, a później zobaczymy. Nie pisz do mnie, nie dzwoń. Nie próbuj histeryzować, a jak sobie coś zrobisz, to twoja sprawa i twoja odpowiedzialność. Mnie do tego nie mieszaj. Nie pomogą ci żadne groźby czy próby samobójcze. Najwyżej jak coś się stanie, problem będzie z głowy.

– Kochany! O czym ty mówisz? – Anna znów zaczęła rozpaczliwie płakać.

– Zamknij się. – Robert miał minę demona i tak też brzmiał, cały czas uderzał przy tym pięścią o podłokietnik.

Z samochodu wyszła jak nieprzytomna, poszła do siebie do pokoju i zaczęła wyć. Matka Roberta, która prawie nie chodziła, jakimś cudem przyszła do niej i zaczęła głaskać dziewczynę po głowie. Anna usnęła ze zmęczenia, a kobieta nie odstępowała jej na krok. Kiedy się przebudziła, starsza pani nadal siedziała obok. Widząc, że Anna otworzyła oczy, pokazała jej ręką drzwi. Dziewczyna wstała, pomogła jej wyjść i posadziła staruszkę na jej ulubionej kanapie. Sprawdziła, czy wszystko jest w porządku, po czym chciała odejść. Matka Roberta zabelkotała coś gwałtownie pod nosem, wskazując przy tym na telewizor. Nadspodziewanie silnie przytrzymała Annę za ramię, dając tym do zrozumienia, żeby usiadła obok niej. Kiedy włączyły ulubiony kanał przyrodniczy, zaczęła głaskać brzuch dziewczyny. Anna była w szoku. Wiedziała, że staruszka coś rozumie, coś czuje. Nie spodziewała się jednak, iż w tej zniszczonej życiu i chorobą kobiecie znajdzie oparcie. W takiej sytuacji zastał je Robert.

– Wyjeżdżam. Zamieszka z wami mój kuzyn, który będzie miał wszystko pod kontrolą. – Ton miał już zdecydowanie spokojniejszy i bardziej ludzki.

Anna zerwała się, żeby z nim porozmawiać, ale matka dostała dosłownie hysterii.

– Nie podchodź do mnie. Mówiłem, zero kontaktu. Zajmij się matką. Od poniedziałku będzie też mieszkać z wami pielęgniarka.

Wyszedł, nie żegnając się nawet z matką, która dziwnym trafem uspokoiła się, jak tylko dziewczyna usiadła z powrotem obok niej na kanapie.

Anna kompletnie nie wiedziała, co ma robić. Jej problemem były nie tylko uczucia, koszmar złamanego serca czy potworne, brutalne przebudzenie z bajkowej rzeczywistości. Najzwyczajniej w świecie nie miała środków na utrzymanie. Była całkowicie zależna od Roberta. Swojej matce nie mogła nic powiedzieć, bo dokładnie przed takim biegiem

wydarzeń ją przestrzegą. Poza tym... jak miała jej pomóc? Miała oczywiście dostęp do pieniędzy, miała kartę do konta Roberta, ale nie wiedziała, czy nadal może z niego korzystać. Czy w szale nie odciął jej od jakiejkolwiek możliwości powrotu do Polski. Nie znała też włoskiego, a nikt z tubylców mieszkających w okolicy nie mówił po angielsku. Był co prawda stryj Roberta, ale wpadał tylko sprawdzić, czy dziewczyna nie potrzebuje podjechać do miasteczka na zakupy i czy niczego im nie brakuje.

Nie mogła przestać myśleć o Robercie. Do tej pory traktował ją jak bezcenną zdobycz. Wiele razy zastanawiała się, czy ją kocha, ale to słowo nigdy nie padło z jego ust. Często się z nim przekomarzała w sposób, w jaki z reguły robią to małe dzieci. Ale odpowiadał tylko: tak, tak, oczywiście – i kończył zawsze śmiechem. Ilekroć prosiła, żeby jej powiedział te dwa magiczne słowa tak od siebie, mówił, że na wszystko przyjdzie pora. Podkreślał też wielokrotnie, że nie jest wylewny, ale za to opiekuńczy, i że może przy nim czuć się jak księżniczka. Tak, to fakt... czuła się jak Kopciuszek, który spotkał księcia, tyle że – jak się okazało – była to nie ta baśń. Gdyby miała wybrać teraz historię określającą jej rzeczywistość, byłaby to *Dziewczynka z zapalkami*. Czuła się równie opuszczona i samotna. Nie potrafiła opanować dreszczy, drżała dosłownie i w przenośni. Starsza pani jakimś magicznym sposobem poczuła dygotanie Anny i wstała. Dziewczyna nie była przyzwyczajona do jej aktywności. Z reguły jej pobudzenie ruchowe szło w parze z atakiem silnej hysterii. Tym razem nie widać było jednak żadnych symptomów wskazujących na zbliżający się paroksyzm paniki lub agresji. Kobieta podeszła do starego sekretarzyka, na którym stał samowar, wyjęła piękną filiżankę i jakieś pudełko z herbatą, równie fascynujące jak filiżanka. Anna przyglądała się temu z niedowierzaniem, ale i czujnością, aby tamta nie zrobiła sobie krzywdy. Ale nie. Była precyzyjna, ręce jej nie drżały. Włączyła elektryczny samowar, wrzuciła herbatę do filiżanki i odczekała, aż woda będzie wrząca. Po nalaniu wody przykryła filiżankę malutkim spodkiem, poszła do drugiej szafki, coś w niej uparcie szukała, po czym wyjęła kolejne niezwykle pudełko. Kiedy uznała, że herbata jest gotowa, odwróciła się do Anny i pokazała jej filiżankę oraz stół, co miało oznaczać, żeby dziewczyna postawiła tam herbatę. Kiedy wszystko stało już na ręcznie robionej szydełkowej serwecie, położyła przed nią pudełko i je otworzyła. Był w nim brązowy cukier. Pokazała na herbatę i cukier, dając sygnał do posłodzenia. Powoli oddaliła się znowu do kolejnej szafki i wyjęła następne pudełko. Anna patrzyła na to wszystko, nie wierząc własnym oczom. Odkąd tu była, matka Roberta nigdy nie zrobiła niczego logicznego i nie wykazywała żadnych oznak chęci, próby nawet najmniejszej aktywności poza atakami szału. Była albo martwa emocjonalnie, albo próbowała zrobić sobie i innym krzywdę. Staruszka postawiła pudełko na stole – były w nim czekoladki. Niektóre białe ze starości, inne pokruszone... był tam też korek od wina i mały widelczyk do ciasta. Anna uśmiechnęła się, doceniając gest i moc magii, która działa się na jej oczach.

– Pij. – Starsza pani odezwała się pierwszy raz tak wyraźnie, i do tego po polsku! Tak! Przecież była Polką! Lekarz, który regularnie ją odwiedzał, stwierdzał: „Może mówić. Może, ale widocznie nie chce”. Nie dawał nadziei na poprawę jej stanu zdrowia.

Anna zaczęła pić herbatę o specyficznym smaku i aromacie – patrzyła ze zdumieniem na kobietę, która dalej krzątała się po pokoju. Otworzyła sekretarzyk i wyjęła kolejne pudełko! Dziewczyna była przekonana, że tym razem jest to coś w rodzaju schowanego świątecznego ciasta. Nic z tych rzeczy. Staruszka usiadła naprzeciwko niej, otworzyła pojemnik i wyjęła z niego piękny złoty stary zegarek. Podała go Annie. Koperta mieniła się małutkimi diamentami. Był duży, męski i ewidentnie cenny.

– Piękny – powiedziała Anna.

– Schowaj, to dla mojego wnuka.

– Ale skąd pani wie, że jestem w ciąży? – Annie zrobiło się gorąco.

– Widzę chłopca, będzie silny i zdrowy. To jest zegarek po moim mężu, dostał go od człowieka, który kupował u nas wino. Ma być dla wnuka po mieczu. Ty go nosisz w sobie. Widziałam, jak biega. Mój syn to zły człowiek. Schowaj go i daj Leonowi.

– Leonowi? – Anna była bliska obłędu. Nie wiedziała, czy zwariowała, czy to dzieje się naprawdę.

– Tak, urodzisz małego Leona. Uciekaj przed moim synem.

Po tym zdaniu kobieta wstała i usiadła w swoim ulubionym fotelu. Po chwili patrzyła już na Annę nieprzytomnym wzrokiem. Dziewczyna nie miała pojęcia, co robić. Zegarka wziąć nie mogła, wyglądał na cenny, nikt nie uwierzy, że dostała go od tej kobiety. Nikt nie uwierzy nawet w sytuację z herbatą! Anna chciała włożyć zegarek na miejsce, ale nie potrafiła otworzyć sekretarzyka. Nagle usłyszała na podjeździe samochód. To był wujek Roberta. Tylko jak mu to wszystko powiedzieć? Szybko włączyła translator, napisała tekst po polsku i kiedy wujek wszedł do pokoju, najpierw wręczyła mu telefon z przetłumaczonym tekstem, a później pokazała zegarek. Oddała mu go, bo bała się, iż zostanie posądzona o kradzież. Mężczyzna zachował się równie dziwnie jak jego bratowa. Oddał zegarek, pokazał, że ma milczeć, a prezent dobrze schować.

Anna rozplakała się bezradnie, mężczyzna przytulił ją delikatnie. Oboje zobaczyli, iż starsza pani uśmiecha się do nich, patrząc całkiem przytomnie. Anna była wdzięczna losowi za to przebudzenie matki Roberta. Od tej pory takie chwile zdarzały się całkiem regularnie, a ona kolejne miesiące spędziła, dbając o tę kobietę, myśląc o swoim nienarodzonym dziecku i trzymając się nadziei, że Robert jednak zateknie, przeprosi, napisze, przyjedzie... przytuli. Nic takiego jednak się nie wydarzyło. Aż do dnia porodu...

Skurczy porodowych dostała tydzień przed terminem. Z początku myślała, że zjadła coś nieświeżego, ale kiedy ból zaczął przybierać na sile, zawołała pielęgniarkę. Do szpitala zawiózł ją kuzyn Roberta. Pielęgniarka była co prawda bardzo pomocna, ale starsza pani nie tolerowała jej w ogóle. Anna musiała uciekać się do różnych sposobów, by pojechać

choćby do lekarza. W szóstym miesiącu zaczęła bardzo przybierać na wadze, puchły jej nogi, w ósmym spała już praktycznie na siedząco.

Mimo iż poród był długi i wyczerpujący, dziecko od razu zostało przy niej. Leżała obolała i nie wiedziała, czy ma się cieszyć, że ma zdrowego syna, czy płakać z powodu przeraźliwej samotności i poczucia przegranej. Czuła się jak w więzieniu, w którym mury i kraty zbudowane były ze strachu przed nieprzewidywalnym zachowaniem Roberta. Tak, powinna kopnąć go w tyłek, zapomnieć – tak mówił jej rozum, a serce: czekaj, walcz i miej nadzieję.

I kiedy w końcu otworzyły się drzwi sali i stanął w nich Robert z naręczem białych orchidei, Anna rozplakała się z emocji. Był taki jak kiedyś. Przytulił ją, kwiaty położył obok na stoliku i podszedł do syna. Zapytał Annę, jak się czuje. Dodał, że zaraz przywiozą jej jedzenie i świeże ubrania. Anna patrzyła na niego i nie wiedziała, czy teraz śni tak pięknie, czy wtedy to był tylko zły sen.

– Robert... Co się stało?

– Z czym? Miałem dużo pracy, nie najlepszy czas i zaskoczyła mnie informacja, że mam zostać ojcem. Nie wracajmy do tego więcej. Będę z wami miesiąc, później zobaczymy, jak to wszystko rozwiązać.

– Czyli?

– Czyli dziecko powinno mieć nas oboje, więc prawdopodobnie zabiorę was do Warszawy, choć tu są idealne warunki dla małego. Jest świeże powietrze, dużo słońca i żadnej chemii. Wujek dostarczałby wam wszystko, co najświeższe i naturalne. Nie tak jak w tej Warszawie, eko tylko z ceny...

Anna nie rozumiała tej całej karuzeli emocjonalnej. Była zmęczona. Doszła do wniosku, że powinna cieszyć się z takiego obrotu sprawy i dla własnego dobra nie rozgryzać przeszłości. Może Robert miał jakiś problem, naprawdę zły czas? Krył przecież mnóstwo tajemnic. Nie chciał opowiadać o swojej przeszłości ani innych kobietach, a był w wieku, w którym można by mieć już dorosłe dzieci. Był, wrócił i chce, żeby byli rodziną! Czego chcieć więcej?

– Jakie imię nadamy temu młodemu człowiekowi? – zapytał, patrząc na dziecko.

– Leon...

– Leon? Dziwne. A skąd przyszło ci do głowy akurat to imię?

– Tak jakoś...

Anna nie zamierzała wyjawiać tajemnicy, bo wiedziała, że Robert i tak jej nie uwierzy. Nie chciała popsuć niczego, zmącić szczęścia, które wróciło tak nagle i kompletnie niespodziewanie.

– Niech będzie Leon.

Robert uśmiechnął się do syna i usiadł z powrotem obok Anny.

– Czy masz jakieś specjalne życzenie? Teraz muszę iść, ale wrócę wieczorem.

– Nie, dziękuję, mam wszystko.

Anna patrzyła na Roberta oczami pełnymi ufności. Ale kiedy dzisiaj przypomina sobie, jak bardzo głupia i mało spostrzegawcza była, jak bardzo wypierała wszystkie alarmujące sygnały, to wstyd jej przed samą sobą.

Film się skończył. Leon – znużony po całym dniu pełnym wrażeń – zaczął zasypiać na kinowym fotelu. Babcia delikatnie obudziła go, a Anna wzięła na ręce. Ważył już tak dużo, że dała radę nieść go tylko kawałek. Postawiła synka na nogi i pośpiącego zaprowadziła do windy. W domu nie męczyła go nawet myciem zębów. Po włożeniu piżamy natychmiast zasnął. Utulila swoje dziecko, przykryła, ucałowała i patrzyła dłuższą chwilę w zadumie. Jej mały synek. Jej szczęście. Dar od okrutnego losu, zadośćuczynienie za piekło stworzone przez Roberta.

Miesiąc, który mieli spędzić razem, okazał się tygodniem – ale był to niezwykle piękny tydzień. Pięć pierwszych dni Anna spędziła w szpitalu, lecz Robert bywał tam często. Wychodził tylko, ilekroć zaczynała karmić. Miała wrażenie, że napawa go to jakimś obrzydzeniem. Zaczęła więc uprzedzać, jak tylko nadchodził czas karmienia, żeby już szedł. Nie oponował. Raz przyszedł późno wieczorem i Anna zauważyła na kołnierzyku śnieżnobiałej koszuli ślady szminki. Z niepokojem zapytała, co to jest.

– To? Nie wiem, witałem się dzisiaj z kilkoma osobami, wiesz, jak to Włoszki: pełen makijaż od rana i wysokie obcasy. Może mnie ubrudziła któraś lub zwyczajnie się po chamsku wytarła...

Robert powiedział to tak spokojnie, że Annę prawie opuściły wszelkie wątpliwości. Prawie, bo kiedy nachylił się, żeby pocałować ją na pożegnanie, poczuła zapach damskich perfum. Odrzucała jednak wszelkie symptomy, które mogłyby zachwiać jej szczęściem. Wiedziała już, że nie ma wpływu na to, co zrobi lub jak zachowa się Robert, a tych kilka koszmarnych miesięcy nauczyło ją pokory. Wołała mieć Roberta w asyście damskich perfum, niż zdenerwować go i stracić ponownie. Tak. Żyła w oparach absurdu.

Kiedyś, gdy byli już z Leonem w sycylijskim domu, wyszła na ganek, żeby pomachać Robertowi na pożegnanie. Przyjechał po niego samochód, a za kierownicą siedziała piękna dojrzała kobieta. Pożegnała więc tylko czule Roberta, aby podkreślić, że należy wyłącznie do niej. Mężczyzna nie protestował. Kobieta w aucie zachowała spokój – w odróżnieniu od zdenerwowanej Anny. Przez kolejny rok Robert pojawiał się regularnie co miesiąc i zostawał na tydzień. Kochał małego, a przynajmniej takie sprawiało wrażenie. Nosił go na rękach, tulił, przewijał. Wieczorami po kąpieli zniknął na spotkania z kolegami i załatwiał jakieś biznesy. Wracał po północy lub później, ale na każdy sygnał Leona zrywał się z łóżka i sprawdzał, co się dzieje. Kiedy Anna karmiła małego, standardowo wychodził do łazienki. Rozmawiali tylko o dziecku. Podziwiał jej umiejętność pogodzenia opieki nad jego matką oraz synkiem. A Anna była coraz silniej związana ze starszą panią, która od czasu, kiedy zrobiła pamiętną herbatę, wydawała się jakaś inna. Regularnie odzyskiwała strzępki świadomości, wykonywała proste czynności i potrafiła godzinami patrzeć na śpiącego wnuka. Jak tylko mały zaczął raczkować, wodziła za nim wzrokiem i uśmiechała



się promiennie. Kiedy zaczął stawiać pierwsze kroczki przy kanapie, głaskała go po rączkach i powtarzała: „Leo, Leo, Leo”. Anna ze zmęczenia często przysypiała w fotelu – staruszka wtedy gładziła ją po włosach. Wciąż była nieprzewidywalna, ale przestała wpadać w histerię i agresywnie się zachowywać. Regularnie dyżurująca pielęgniarka nie mogła się nadziwić, jak bardzo matka Roberta zmieniała się, kiedy syn wracał do domu. Stawała się kompletnie bierna i nieobecna. Każdy jego przyjazd oznajmiała histerycznym krzykiem, a wyjazd – zrobieniem herbaty Annie. Anna także dostrzegła ten dziwny cykl. Czowała, że ma on jakieś znaczenie. Ale nie знаła historii tej rodziny, a bariera językowa uniemożliwiała jej sensowny kontakt z pielęgniarką czy stryjcem. Kuzyn w ogóle się nie odzywał – choć jako jedyny podobno znał angielski.

Po kilku miesiącach od porodu zapytała Roberta, dlaczego się nie kochają. Chciała znowu być z nim, odpłynąć w miłosnym uniesieniu, poczuć się pożądaną... Przytulała się do niego w nocy, a on ją odsuwał. Robił to delikatnie, niemniej czuła się odrzucana. Wyjaśnił, że ona jest krótko po porodzie, a on potężnie zmęczony... i że to jest jedyna przeszkoda. „Krótko po porodzie” trwało rok. Któregoś wieczoru, zaraz po przyjeździe z Polski, wyjątkowo nie miał zaplanowanego żadnego spotkania i został w domu. Anna, zaniepokojona już poważnie, chciała ponownie podjąć temat bliskości. Ale Robert uprzedził pytanie, jakby czując podskórnie zbliżającą się rozmowę:

– Anno, myślę, że powinienem wyjaśnić ci w końcu moją reakcję na wieść o dziecku – zaczął powoli.

– Ale... ja chciałam zapytać o coś innego...

– Poczekaj, to, co chcę powiedzieć, ma znaczenie. W tym mieści się poniekąd odpowiedź na twoje pytanie. Otóż mam problem z kobietami, które urodziły dziecko. Są matkami, karmią piersią i pachną mlekiem.

– Ale ja już nie karmię – prawie krzyknęła.

– Pozwól mi skończyć. Nie wiem, ile czasu upłynie, zanim będę mógł się z tobą kochać i czy w ogóle to nastąpi. Miałem kiedyś narzeczoną, było to dawno temu, tu, we Włoszech. I ona zaszła w ciążę. Cieszyliśmy się bardzo oboje, kochaliśmy się.

Anna drgnęła na słowo, które tak pragnęła usłyszeć... Kochali się... Zakłuło ją to.

– Postanowiliśmy być razem przy porodzie. Szykowaliśmy się do wspólnego życia. Byłem pewien, że to jest ta jedna jedyna, że razem się zestarzejemy i tak dalej. Ona mieszkała tu, a ja w Polsce kończyłem studia. Przyjeżdżałem, jak tylko mogłem, i planowaliśmy, że jak obronię pracę magisterską, pobierzemy się i zabiorę ją do Polski. Ona wolała jednak, żebyśmy zostali we Włoszech. Była wziętą modelką, mieszkała w Mediolanie. Po skończonych studiach zacząłem więc kolejne, tym razem w Mediolanie właśnie, i pracowałem w polsko-włoskiej kancelarii. Latałem często do kraju, bo robiłem jednocześnie doktorat. Szpital. Poród... Kiedy zaczęła krzyczeć, trzymałem ją za rękę. Kilka godzin stałem i patrzyłem, jak moja piękna eteryczna kobieta poci się cała, wykrzywiona bólem, jakaś taka... powykręcana. Zrobiło mi się niedobrze. Kiedy urodziła,

okazało się, że dziecko jest martwe. Udusiło się pępowiną. Długo nie mogłem dojść do siebie, a kiedy jakoś się pozbierałem, ona odeszła.

– Rozstaliście się?

– Nie, skoczyła z okna. Śmierć na miejscu.

Anna zrozumiała wszystko – a przynajmniej tak jej się wtedy wydawało. Ogarnęła ją fala współczucia, odpowiedzialności za tego człowieka oraz przemożna chęć uratowania go od wszystkich nieszczęść tego świata.

– Dobrze, poczekam. Nie chcę do niczego cię zmuszać.

Robert nagle przestał być tajemniczy – miał za sobą tragiczną historię, i to w jej odczuciu wiele tłumaczyło.

Bruno był najszcześliwszym mężczyzną pod słońcem, a przynajmniej tak się czuł. Zapomniał o wszystkich troskach i problemach tego świata. Miał w domu synka, chciał się nim sam opiekować, choć czasami odnosił wrażenie, że Wanda w nocy śpi pod drzwiami jego sypialni. Bo uznał, że dziecko powinno być blisko niego i nie zamierzał się z nim rozstawać, zwłaszcza w nocy. W dzień musiał czasem gdzieś wyjść, ale pierwszy tydzień pobytu Jasia w domu uczcił urlopem. I to była jedna z piękniejszych przygód, jakie mu przyniosło życie. Malec przesypiał spokojnie i noc, i dzień, budząc się tylko na karmienie i zmianę pieluchy. Gorzej było z kąpielą, ale to nie był problem Jasia, ale ekipy, która uparcie towarzyszyła jego ojcu ze strachu, że utopi dziecko. Pani Wanda i pielęgniarka stały nad nim jak dwa sępy, nie spuszczały z oka, kiedy Bruno niezwykle wprawnie, z ogromną delikatnością i czułością obmywał syna. Tydzień szybko minął i Bruno ku nieskrywanej radości niani musiał wrócić do swoich obowiązków. Oczywiście przyjeżdżał po pracy do domu tak szybko, jak tylko się dało, a kiedy tęsknił, dzwonił do Wandy i prosił, żeby mu natychmiast wysłała zdjęcie synka. W akcie desperacji założył w dziecięcym pokoiku kamerę, bo Wanda uznała, że noce może spędzać w sypialni ojca, ale w ciągu dnia powinien być w swoim królestwie.

Któregoś razu zadzwonił Bogdan z zaproszeniem na kolejną imprezę. Bruno prawie zapomniał o zemście. Uznał, że dziecko jest swoistym wyrównaniem rachunków.

– Nie, przyjacielu, szkoda mi czasu marnować. Nie mam go tyle, ile bym chciał, a mój syn przysłonił mi wszystkie cuda i imprezy świata.

– Fajnie to słyszeć, ale to następny stopień piramidy, którą tak uparcie chciałeś rozgryźć. Nie jesteś już ciekawy, co tam jest na szczycie?

– Nie, serio, nie mam ochoty się już w tym babrać. Odkąd jest Jaś, nie ma we mnie chęci jakiegokolwiek zemsty. Chcę zamknąć ten rozdział.

– Trudno. To znaczy rozumiem i cieszę się, choć nie ukrywam, że liczyłem na sponsoring i towarzystwo w drodze na szczyt! – Bogdan roześmiał się cynicznie. – Widocznie nie będzie mi dane sprawdzić, jak się bawią najwięksi rozpustnicy tego świata.

– Wiem, wiem, nabrałeś apetytu... Mówi się trudno.

– A szkoda, bo widziałem, że byłeś zauroczony tą rudą, z którą spędzałeś czas na ostatniej imprezie. Z tego, co wiem, bierze udział w grze.

– Bogdan, w jakiej grze? Jest przynętą i to nieświadomą.

– No chyba nie do końca. Ostatnio zakłady o to, czy ci ulegnie, poszły dość wysoko. Większość postawiła na ciebie i... przegrała.

– O czym ty mówisz?

– O grze. O grze, jaka się toczy i z poziomu na poziom przybiera na wartości. O grze, która prowadzi na szczyt. Zostałeś zupełnie przypadkiem myśliwym. Z reguły jest tak, że ktoś, kto ma w swojej stajni nowy świeży nabytek, przywozi go na imprezę. Uczestniczki są przeważnie nieświadome kontekstu. Nie zawsze są to dziewczyny rozwiązane i łatwe. Za to zawsze zjawiskowo piękne. Mężczyźni różnie. Podstawowy skład myśliwych, który od lat poluje i obstawia zakłady, umawia się, że ten, który wyrwie dziewczynę, zgarnia pulę. Zakłady idą tak na mężczyznę, jak i kobietę. Warunek podstawowy jest jeden: aby ona nie miała pojęcia o niczym. To jest sprawdzane, a w razie naruszeń surowo karane. Zresztą w tej zabawie najbardziej kręci wszystkich fakt autentycznego zwycięstwa lub porażki. Bywa, że dziewczyna jest adorowana przez kilku myśliwych, ale wybiera jednego, i wtedy reszta odstępkuje. Jej i jego pozycja podbija stawkę w miarę upływu czasu i rozwoju sytuacji. Tak było z tobą. Wygrała dziewczyna. Nieświadomie oczywiście i bez profitów, ale jej towarzysz zgarnął ogromną kasę. Też postawiłem na nią, bo zbyt dobrze znam ciebie. Byłem jednym z nielicznych. Panowie nauczeni doświadczeniem wierzyli w siłę twojego majątku. Nie wszyscy zdają sobie sprawę, iż kasa to nie wszystko, liczy się jeszcze podejście, ha, ha, ha.

– Dobra, dobra, nie cwaniacz, kolego. Jeżeli jednak tak to się rozgrywa, to ja chyba wezmę udział w dalszej części.

Bruno dostał wręcz szczękościsku na samą myśl, że ta rasowa piękność mogła mieć świadomość tego, w co gra. Coś mu w jej zachowaniu nie pasowało.

– Odezwę się do ciebie, prześlę adres. Pierwszy etap zakończyłeś, choć nie zdobyłeś kobiety. Panowie z klubu wyraźnie cię polubili, a może spodobał się im ten niepewny element hazardu z twoim udziałem? Tak czy inaczej, czuj się zaproszony.

– A może... od razu zagramy w najwyższym rzędzie?

– Na skróty się nie da. Każdy kolejny etap jest konsekwencją poprzedniego. Musi być ciągłość. Kończę. Trzymaj się ciepło i ukłony dla juniora.

Adres imprezy przyszedł w sobotę esemesem. Bruno nie bardzo rozumiał, z czego wynikało to całe zamieszanie i tajemnica, gdyż był to pokaz mody, ogólnie dostępny. Może nie dla przeciętnego śmiertelnika, ale z zaproszeniem w wyższych sferach finansowych nie było problemu. W końcu projektant miał za cel sprzedaż kolekcji i potrzebna była siła nabywcza. Ubrania okazały się jednak mało ciekawe, a spis sponsorów wskazywał na fakt, iż nie o modę tu chodzi, ale biznes i możliwość pokazania się w odpowiednim gronie.

W pierwszym rzędzie siedzieli mecenas i sponsorzy projektanta i modelki. Jeden na tyle się rozluźnił powitalną lampką szampana, że adorował swoją modelkę bez żadnych hamulców: gwizdał, bił brawo, głośno komentował... Nieznana szerszemu gremium młodzieńca dziewczyna była wyraźnie oszołomiona, ale i dumna z ekscytacji swojego patrona. Przy każdym wyjściu puszczała do niego oko, uśmiechała się szeroko i patrzyła tylko na niego. Jej adorator okazał się głównym sponsorem pokazu i dużym graczem na rynku mięsnym. Moda i wieprzowina. Artyzm i kotlety. Wizerunkowo słabo, ale pieniądz... nie świnia.

Pośród mecenasów miejsca zajmowali celebryci i dziennikarze. Ci pierwsi nie oglądali praktycznie pokazu: robili selfie, pozowali do zdjęć, na bieżąco relacjonowali wydarzenia w swoich mediach społecznościowych. Dziennikarze wydawali się faktycznie skupieni na kolekcji. Reszta widowni trzymała nosy w smartfonach, choć w większości nie w celu dokumentowania w ten sposób pokazu.

Bogdan siedział jak zwykle z przysypiającym reżyserem oraz dwiema sztucznie podekscytowanymi, piszczącymi młodzieńcami dziewczynami. Po pokazie wybrańcy udali się na afterparty do jednego ze stołecznych elitarnych klubów. Niestety – Anny tam nie było. Bruno przyglądał się stojącym w grupkach modelkom, które wcale nie wyglądały na najszcześliwsze – nie wiadomo było, czy z powodu uczestniczenia w ciągu dalszym imprezy, czy z jakiegoś innego... Co chwila podchodził do nich jakiś „mecenas pod wpływem”, a one czuły się niekomfortowo, choć rozsyłały służbowe uśmiechy. W połowie imprezy na sali pojawiło się kilka modelek celebrytek, które co prawda nie chodziły po wybiegu, za to zasiadały w pierwszych rzędach. Nikt ich nigdy w tej branży nie widział, miały za to miliony followersów na Instagramie i rzesze fanatycznych wielbicieli. Wybieg do niczego nie był im potrzebny, bo ich praca polegała na zdobnictwie. Płacono im za bywanie w miejscach, które wymagały urody oraz popularności. Ktoś mógłby uznać to za śmieszne, ale to była absolutnie poważna, doskonale płatna praca. Wbrew pozorom potrzeba niemałego wysiłku, aby wejść na szczyt w tej kategorii. Tak więc kiedy zjawily się w sali, większość mężczyzn wyraźnie się ożywiła.

– Jak się bawisz, bracie? – Bogdan wyrósł jak spod ziemi.

– Średnio...

– Właśnie widzę. Koledzy pytają, czy bierzesz udział w zawodach. Obstawiasz? Czy polujesz?

– A na kogo polujecie dzisiaj?

– Na tamtą blondynkę.

Bogdan wskazał dziewczynę i Bruno aż się wzdrygnął. Obok zjawiskowo pięknej eleganckiej blondynki około trzydziestki stała gwiazdka, która zainkasowała od niego dwadzieścia tysięcy złotych.

– Tak, tak, masz rację... – Bogdan dostrzegł wzrok kolegi. – Widzę, że to twoje przebudzenie... Popatrz na to w ten sposób: ten epizod był niezbędny, żebyś stał się

bardziej wiarygodny. A jesteś wiarygodny, bo zapłaciłeś. A gdyby przyszło ci do głowy demaskować ją w jakiś sposób, żadna się nie przyzna. Ta, która jej towarzyszy, jest jak na razie nie do wyjęcia. Kilku już próbowało. Bez skutku.

– Ściagać się nie będę, ale obstawię, niech uwiarygodnia się moja historia – parsknął sarkastycznie Bruno.

– Najmniejsza stawka to dziesięć tysięcy.

– Ile?

– Chyba taka suma cię nie przeraża? Podejdź do nas. Po zadeklarowaniu kwoty poznasz kilku klubowiczów. Nie wszyscy chcą się ujawniać, ale na tym szczeblu to jeszcze zwyczajna zabawa.

– Zabawa? Zwyczajna? To co jest wyżej?

– Wejdiesz, to sam się przekonasz. A na razie: grasz czy nie?

– Gram.

Bruno postawił na dziewczynę i wygrał, choć jej przeciwnikiem, a właściwie myśliwym, był jeden z bogatszych ludzi na imprezie, znany bankowiec szwajcarskiego pochodzenia. Był dodatkowo przystojny i bardzo hojny. W pewnym momencie posłańcy wnieśli kilkaset białych róż i ustawili obok dziewczyny. Nie wiadomo, czy to był wciąż proces zdobywania, czy raczej podziękowanie za dotychczasową grę.

Ten wieczór Bruno uznał za stracony... choć poniekąd wygrany. Do końca liczył na to, iż Anna się pojawi. Niestety – tym razem jej nie spotkał.

Anna przyszła do pracy sporo wcześniej. Była ciekawa, czy ktoś z personelu ma jakieś informacje o Magdzie. Niestety. Nikt niczego nie wiedział. Trochę ją to niepokoiło, bo od dawna nie miała żadnych wieści. Szef przyszedł około południa – wyraźnie miał szpiega w sklepie:

– Anno, interesowałaś się Magdą?

– Tak. Martwię się, bo w końcu przez moje zachowanie dziewczyna ma kłopoty zdrowotne. Dręczy mnie sumienie, tak po ludzku – powiedziała to wszystko miękkim, zatroskanym głosem.

– Nic jej nie będzie, jest pod dobrą opieką. Postanowiła pojechać na trochę do domu rodzinnego, odwiedzić ojca.

To zdanie zbiło Annę z nóg. Wiedziała, że dom rodzinny Magdy spłonął, zresztą razem z ojcem... W żaden sposób jednak nie mogła pokazać po sobie, że coś wie.

– Ach, tak... Czyli nie ma do mnie pretensji? – dzielnie odgrywała kolejną scenę.

– Nie, nie ma żadnych. Z innej beczki: wyjdź dzisiaj wcześniej i pojedź na zakupy. Będziesz potrzebowała znowu kilku ubrań. Tym razem zabieram cię na weekend.

– Ależ, szefie... – Anna spojrzała przerażona, bo tego nie przewidziała.

– To zwyczajna impreza, nagrody w branży budowlanej. Chcę po prostu, abys mi towarzyszyła. I uspokój się, zarezerwowane mamy dwa osobne pokoje. Nic ci z mojej

strony nie grozi.

– Miałam spędzić ten weekend z synem, obiecałam mu... Mamy pójść do zoo...

– Anno, nie marudź. Innym razem pójdziecie. Tu masz premię i kup mu, proszę, ode mnie coś na osłodę. Te pieniądze wydaj na siebie tak, abyś miała w czym się pokazać dwa razy wieczorem i jakieś stroje weekendowe. Nie wiem, jak wy, kobiety, to nazywacie, ale ma być pięknie. Jeżeli potrzebujesz kierowcy, pošlę z tobą chłopaka.

– Nie... dziękuję. Poradzę sobie.

Z jednej strony Anna wiedziała, czemu służy jej poświęcenie, ale ta koperta i tak ją parzyła, z drugiej – zdawała sobie sprawę z tego, że we własnych ubraniach nie będzie autentyczna w tamtym gronie. Zadzwoiła do Adama. Tym razem nie mógł jej towarzyszyć. Poprosił jednak, aby zaplanowała tak swój pobyt w Warszawie, żeby mogli wrócić razem.

Pociąg odjeżdżał za chwilę, nie miała czasu wpaść do domu, żeby osobiście uprzedzić matkę. Z peronu napisała tylko esemes, że będzie późno i żeby się nie martwiła. W przedziale sprawdziła zawartość koperty. Musiała wiedzieć, czym dysponuje i gdzie się udać na zakupy. Piętnaście tysięcy... Poczula, że robi jej się słabo. Nie mogła złapać tchu.

Po przyjeździe do Warszawy zamówiła taksówkę i pojechała do dużego centrum handlowego. Zrezygnowała z butików. Postanowiła poszukać czegoś pośrodku.

Weszła do kilku sklepów, gdzie dobrała praktycznie całą garderobę, ale też na wszelki wypadek strój kąpielowy, szlafrok i dwie jedwabne piżamki. Całość uzupełniła kosmetykami, a na końcu poszła poszukać czegoś Leonowi. Była objuczona torbami, więc w salonie, w którym wydała najwięcej, poprosiła o przechowanie rzeczy przez jakiś czas. Jadąc ruchomymi schodami, przypomniała sobie, że przecież nie ma butów. Ale syn najpierw: kupiła Leonowi wspianą zabawkę, o której marzył, i zjechała po nieszczęsne obuwie. W sklepie włoskiej marki ceny były nie do przyjęcia. Zrezygnowana poszła do równie dobrej polskiej firmy. W jednej czwartej tamtej ceny znalazła to, czego szukała: szpilki i sneakersy. Pomyślała, że przydadzą się jeszcze klapki, gdyby musiała skorzystać ze spa czy basenu.

Zostało jej trochę czasu, więc postanowiła coś zjeść. Od rana nie miała nic w ustach, a na dodatek dopadły ją potworny ból głowy i zmęczenie. Przechodząc korytarzem, kątem oka dostrzegła Brunona. Szybko odwróciła głowę, żeby jej nie poznał. Obecnie nie przypominała ekskluzywnej kobiety z tamtego wieczoru. Ubrana była w stare dzinsy, szary podkoszulek i stary sweter. W końcu nie planowała wyjazdu do stolicy, przyjechała tu prosto z pracy. Bruno nie wierzył własnym oczom:

– Anna? Co tu robisz? – Spojrzał na torby z zakupami. – No tak, głupie pytanie. Zakupy. Czy nie masz ochoty na kawę? W przerwie pomiędzy jednym sklepem a drugim? Może usiądziemy?

– Niestety, bardzo się spieszę, przepraszam, ale jestem umówiona.

– Może jednak mógłbym ci w czymś pomóc? – Mężczyzna nie dawał za wygraną.

– Mówiłam, że dziękuję. – Anna była wyraźnie poirytowana.

Bruno postanowił odpuścić.

– Przepraszam, że tak wyskoczyłem. Miło było cię spotkać.

Spojrzał na nią i się uśmiechnął. Patrzył tak dłuższą chwilę, aż Anna poczuła się nieswojo. Miała świadomość, że wygląda jak zaniedbana dziewczyna i raczej w niczym nie przypomina zjawiskowej kobiety z ostatniego spotkania, ale przecież nadal nie wiedziała, czy Bruno nie jest jednym z graczy – podejrzanym w śledztwie, którego stała się częścią. Zreflektowała się więc błyskawicznie i odparła:

– Przepraszam, byłam niemiła. Wyskoczyłam dosłownie na chwilę i muszę natychmiast wracać.

– To do zobaczenia w lepszym czasie! – Bruno udał, że nie dostrzegł wcześniejszej niechęci.

– Kto wie? Czas... czas ma swoje prawa. Miejmy nadzieję zatem, iż do zobaczenia – odpowiedziała już całkiem przyjaźnie.

Adam czekał punktualnie w umówionym miejscu. Dziewczyna, wykończona całym dniem, dosłownie wpadła mu do samochodu. W końcu mieli okazję na żywo spokojnie porozmawiać o tym, co wydarzyło się na poprzedniej imprezie i co jest planowane aktualnie. Okazało się, że przyszłość wcale nie była taka nieprzewidywalna.

– Zabierze cię do zamkniętego prywatnego ośrodka na Mazurach. To posiadłość wspólniczki Roberta.

Anna zadrżała.

– Przecież ona mnie pozna!

– Nie, ona tam nie bywa. Ma swoich ludzi. Organizuje wszystko, ale później znika. Zostaje bardzo wąskie grono zaufanych pracowników. W tym będzie jeden nasz człowiek, który kilka lat temu wkradł się w jej łaski. To właśnie on będzie cały weekend do dyspozycji gości. Dla twojego bezpieczeństwa nie możesz wiedzieć, kto to, ale on cię zna i będzie miał wszystko na oku. Nasi ludzie są zakwaterowani w pobliżu, gdyby działo się coś złego, ale nie zakładamy takiej opcji. Tam jest tylko bardziej zaawansowany poziom zabawy i – nie obraż się – kurewstwa wszelkiej maści, ale nadal wszystko odbywa się na zasadach dobrowolności.

– Słuchaj, Adam... Mam pewne obawy, jeśli chodzi o Magdę... no wiesz, tę koleżankę z pracy... Szef opowiadał bzdury, jak zapytałam o jej zdrowie. Mówił, że wybiera się do ojca, a wiem od niej, że jej ojciec nie żyje.

– Na razie jest bezpieczna. Przebywa na farmie Piotra z innymi, niepotrzebnymi chwilowo w biznesie dziewczynami. One pracują przy zwierzętach, a ona z powodu nogi odpoczywa. Nic nadzwyczajnego się tam nie dzieje. Są po prostu tanią siłą roboczą. Czasem pewnie służą też innym celom – nie są tam do końca z własnej woli, ale na razie nie możemy ruszyć tej układanki. Inaczej nie doszlibyśmy do góry. Wszystkie działania

muszą odbyć się równolegle w jednym czasie. Mamy wszystko przygotowane. Brakuje nam tylko korony.



Anna weszła po cichu do mieszkania. Leon już spał. Matka siedziała zamyślona w pokoju przed telewizorem, więc nawet nie zauważyła Anny. Dziewczyna przyglądała się jej chwilę z korytarza. Była szara, wyraźnie zmartwiona i raczej nie widziała obrazów migających jej przed oczami.

– Mamo...

– Aniu! Dziecko drogie, nie zauważyłam, jak weszłaś. Już wstaję zagrzać ci jedzenie...

– Mamo, nie wstawaj, usiądź spokojnie. Nie jestem głodna, jadłam już. Byłam w Warszawie.

– Gdzie?

– W Warszawie, pisałam ci przecież. Wszystko jest w porządku. Musiałam pojechać służbowo. – Anna nie chciała tłumaczyć matce szczegółów, nie chciała jej martwić, więc kłamała. – Byłam po towar z kierowcą. Wiesz, że robię teraz za kierowniczkę. W weekend niestety muszę wyjechać na szkolenie.

– Aniu, dziecko drogie, w co ty się pakujesz?

– Mamo, przecież mówię, że muszę wyjechać na szkolenie...

– A te torby w korytarzu? – nie dawała za wygraną matka.

– Były przeceny, dostałam podwyżkę. Wiesz... Mogę znowu dostać zaproszenie na jakieś przyjęcie, więc muszę mieć pasujące do sytuacji ubranie. Jestem w stałym kontakcie z Adamem i gwarantuję ci, że jestem bezpieczna. – Anna przytuliła matkę, po czym głęboko spojrzała jej w oczy: – Mamuś, proszę, powiedz mi, co się z tobą dzieje...

– Nic... Martwię się tym wszystkim. Leon ma tylko ciebie. Jak się coś stanie...

– A dlaczego ma się cokolwiek stać? Mamo, błagam cię... Wszystko złe, co mogło mnie spotkać, chyba się już wydarzyło. Teraz może być tylko lepiej. Nie po to uciekłam z piekła, żeby zginąć pod okiem policji. Mam cały czas nadzór. Jestem pilnowana każdego dnia.

Anna wytłumaczyła matce cały proceder: że to jej szef zarabia na tych imprezach tylko wtedy, gdy ona nie da się poderwać, więc w ich wspólnym interesie jest, żeby nie wpadła w kłopoty. Matka uspokoiła się nieco, ale Anna uznała, że oszczędzi jej dalszych szczegółów. Im mniej będzie wiedzieć, tym lepiej dla wszystkich, a zwłaszcza dla jej zdrowia.

– Mamo. A co z twoim zdrowiem? Dowiedziałaś się czegoś o tej kuracji w Kanadzie?

– Tak. Wyobraź sobie, że w zespole, który prowadzi badania nad tą nową metodą leczenia, jest Polka! Niestety koszt jest kosmiczny i nie ma na razie widoków na

wprowadzenie tej terapii u nas, zwłaszcza że to etap eksperymentalnych badań. Co prawda podobno terapia daje doskonałe efekty, ale trzeba czekać. Biorę więc leki i staram się żyć tak, aby nie prowokować rozwoju choroby.

Anna cicho położyła się obok Leona. Chciała tę noc spędzić blisko syna. Rano musiała przygotować się do wyjazdu.

Bruno żył pomiędzy dwoma światami. Tym na swojej ukochanej prowincji – w domu, który był jego twierdzą, i tym zawodowym, obejmującym praktycznie całą Polskę, a nawet Europę. Lubił swoją pracę, ale najbardziej lubił wracać do siebie. Odkąd w jego życiu pojawił się Jasio, wręcz kochał wracać. Załatwiając sprawy w stolicy, pomyślał, że wpadnie do Smykolandu i kupi synkowi trochę zabawek. Oczywiście w domu było ich wystarczająco dużo, ale zawsze marzył o synu, którego będzie mógł rozpieszczać. Co prawda Jasio jeszcze niewiele rozumiał, a wszystko, czym się bawił, to były grzechotki, ale jako młody późny ojciec Bruno nie mógł się opanować. Wchodząc do centrum handlowego, nie spodziewał się, co za chwilę los mu zgotuje. Otóż kiedy wjeżdżał ruchomymi schodami na piętro, z przeciwnej strony jechała Anna. Nie przypominała tej wyrafinowanej piękności z ostatniego spotkania. Była bardzo naturalna, a to dodawało jej jeszcze większego wdzięku. Bez zbędnego makijażu i opiętej sukienki z długim rozcięciem wyglądała jak dziewczyna z sąsiedztwa, jak ktoś ciepły i bliski, a nie posągowa piękność ze szklanego ekranu. Miała włosy w nieładzie, piękne, nieprzykryte makijażem piegi, tylko miedziane rzęsy osłaniające szafirowe oczy wyglądały tak samo jak ostatnio. Miał ochotę ją przytulić. Działał instynktownie: przeskoczył na jej stronę schodów i dogonił na korytarzu. Nie chciała z nim wypić kawy, spieszyła się. W ręce miała torbę ze Smykolandu. Zastanowił się, czy była przeznaczona dla jej dziecka.

Wracając do domu, nie mógł przestać o niej myśleć. Zadzwoił do Bogdana.

– Słuchaj, nie będę owijał w bawełnę. Czy jesteś mi w stanie sprawdzić, kim jest ta ruda dziewczyna z wyborów miss? I czy mogę jakoś zdobyć do niej kontakt?

– Uuuuuu, widzę, że nasz hazard cię wciągnął! – zachichotał Bogdan zwycięsko.

– Można tak powiedzieć.

– Dobra, daj mi chwilę, to ustalę, co i jak.

Telefon zabrzączał po piętnastu minutach.

– Ma na imię Anna, jest ze stajni Piotra. To taki biznesmen z prowincji, stoją za nim różne dziwne interesy: od kurnika do sklepu AGD.

– Ze stajni?

– Tak, tak to nazywamy. Facet dostarcza towar na różne imprezy. Jest w branży wiele lat i ma w pakiecie również Ukrainki, Białorusinki, Rumunki... Jego wspólnik to jakiś gruby Rosjanin. Ma zaufanie góry i czasem złapie nowicjuszkę, która jest na tyle czysta, nieświadoma i bystra, że wystawia ją do gry. Jakiś czas temu jedna z jego dziewczyn doszła podobno na szczyt. Ale to było kilka lat temu – skasował za to grubą kasę.

– I co się z nią stało?

– Tego nie wiem, mówiłem ci, że nie gram w pierwszej lidze. Stamtąd wieści nie wracają. Dziewczyny nikt więcej nie widział, więc albo została u zwycięzcy, albo – o wiele bogatsza – wróciła do siebie. Aaa, bo to była Ukrainka, studentka ASP. Ukończyła studia i wystawiała swoje prace w znanych galeriach. Nie wiem, czy była to kwestia talentu, bo nie znam się na sztuce, czy protekcja wysoko postawionych mecenasów. Fakt jest taki, że zaszła daleko. Była tak zjawiskowa, iż mogła zostać na stałe u kogoś bardzo zamożnego. Nie wiem, stary, dywaguję. Jak mówiłem, nie znam zasad ostatniego piętra.

– No dobra. A nie wiesz, jak mogę złapać tę Annę? Jakiś kontakt? Namiar? Cokolwiek?

– Będzie w weekend na imprezie dorocznej branży budowlanej. Masz pewnie zaproszenie, ale ty z reguły nie szwendasz się po takich miejscach.

– Coś tam mam. A możesz podesłać szczegóły i potwierdzić moją obecność?

– Jeśli będą jeszcze miejsca, bo to z noclegiem, na Mazurach, u słynnej Heleny.

– W agroturystyce? – Bruno dostał szczękościsku i zrobiło mu się niedobrze.

– Nie, no tam to Helena mieszka, a pod imprezy wynajmuje pozostałe przybytki rozpusty, he, he, he. Tam od razu masz w pakiecie śliczne hostessy i czego dusza zapagnie! A masaże jakie, bracie! Uspokoję cię, Helena nie pokazuje się podczas imprez, możesz czuć się bezpiecznie. Poza tym to twoja branża, więc i twoja impreza. Nikogo obecność tak zacnego dewelopera nie zdziwi.

– Dobra, sprawdź mi więc to miejsce.

Bogdan oddzwonił po jakimś czasie z informacją, że wszystko załatwione. Bruno czuł się jak w jakimś tandetnym filmie, w którym musi grać nie z własnej woli. Gdzieś w głębi duszy łudził się, iż Anna okaże się porządną, nieświadomą niczego dziewczyną. Ciekawiło go także, gdzie tu było miejsce na miłość, o której mówiła. Jaki mężczyzna pozwoli swojej kobiecie na takie eskapady? Wszystko to jeszcze bardziej go nakręcało do rozwikłania zagadki – bez względu na koszty chciał dotrzeć na sam szczyt.

Tego ranka Anna obudziła się pod ciężarem skaczącego po niej Leosia. Stęskniony synek nie mógł się doczekać, aż mama otworzy oczy, i postanowił ją obudzić tak, jak potrafił:

– Mamusiu, twój książę Leon postanowił obudzić cię pocałunkiem, no wiesz, tak jak Śpiącą Królową! Czy już czujesz się obudzona wystarczająco?

Anna ze śmiechem otworzyła oczy i uroczystym głosem księżniczki rzekła:

– Niech mój książę biegnie do przedpokoju i natychmiast sprawdzi, co jest schowane w wielkiej torbie ze Smykolandu!

Leon wybiegł z piskiem z łóżka, a po chwili był w nim z powrotem ze swoją wymarzoną zabawką.

– Mamo! Mamo! Mamo!!! Babciu!!! Mam, mam, mam!!! – wykrzykiwał radośnie, po czym natychmiast zajął się klockami, budując z nich duże zoo.

Anna zdała sobie sprawę, że musi wpaść jeszcze do fryzjera. Ucałowała matkę i pobiegła. Tym razem poprosiła o tak zwany nieład artystyczny, co w perspektywie całego weekendu i nieprzewidywalnej pogody było jedynym rozwiązaniem dla jej wijących się włosów. Fryzjer użył jakichś środków z jedwabiem i włosy nabrały pięknego blasku i sprężystości. Wiedziała, że są jej ogromnym atutem.

W domu wyjęła z torebki pieniądze – zostały jej po zakupach. Nie zamierzała oddawać ich Piotrowi, zwłaszcza że nazwał to jej premią. Odłożyła pięć tysięcy złotych. Miała dla nich przeznaczenie. Nie były to może specjalnie czyste pieniądze, ale choroba matki była dla niej ważniejsza niż źródło ich pochodzenia.

Zaczęła swoje przygotowania. Włożyła dres, który nie był typowym ciuchem treningowym, ale ciekawym połączeniem luźnego ubrania i sportowej formy. Doskonały gatunkowo czarny aksamit i subtelne czarne wstawki z matowych cekinów nadawały mu niepowtarzalny szyk. Skórzane wykończenia i gruby suwak podkreślały zaczepny charakter. Do luźnej bluzy w komplecie były dopasowane legginsy. Anna spojrzała w lustro zadowolona. Spakowała do podróżnej torby kupione ubrania i kosmetyki i usiadła, żeby wypić jeszcze przed podróżą kawę. Z szafki wyjęła ciastka i patrzyła na torbę, pozostałość z przeszłości. Większość jej rzeczy została we Włoszech, ale w tę torbę spakowała całe swoje ówczesne życie.

Którejś nocy, czekając na powrót Roberta z ponoć kumpelskiej imprezy, wyszła mu naprzeciw. Na niebie nie było gwiazd – zjawisko nietypowe dla tego miejsca i tej pory roku. Anna szła drogą, jedyną, która prowadziła do rodzinnego majątku Roberta. Za zakrętem, kilkaset metrów od bramy, stało auto. Silnik był wyłączony, światła również. Anna od kilku minut słyszała dochodzące z oddali rozbawione głosy: rozpoznała Roberta i jakąś kobietę. Szła cichutko jak myszka, żeby nikt jej nie zauważył, a serce waliło jej jak młot. W gardle miała sucho, czuła słodki smak zapowiadający wymioty. Kiedy podeszła wystarczająco blisko, żeby widzieć, co się dzieje w kabriolecie, ujrzała swojego męża. Był bez spodni, w rozpiętej koszuli całował po brzuchu nagą kobietę. Stała jak wryta. W szoku przyglądała się, jakby nie rozumiała, co widzi. Na wpół przytomna zaczęła wymiotować. Para zajęta sobą czuła się na tyle bezpiecznie, że nie zauważyła niczego. Anna nie pamiętała, jak dotarła do domu i jak dotrwała do rana. Robert wrócił niedługo po niej, ale nie przyszedł do sypialni. Poszedł spać do biblioteki na skórzaną sofę, na której czasem odpoczywał, tłumacząc się, iż nie chciał budzić Anny i dziecka.

Anna nakarmiła Leona i oddała go pielęgniarce. Błada, kompletnie załamana poszła do biblioteki. Zdążyła tylko otworzyć drzwi, gdy usłyszała:

- Moja droga, chciałbym się jeszcze przespać.
- Widziałam. Wczoraj widziałam cię z tamtą kobietą.
- Gdzie znowu?
- W samochodzie, koło winnicy.
- I co z tym zrobimy?

Robert był kompletnie spokojny, wręcz rozbawiony. Typowe zachowanie narcystycznego psychopaty nie pozostawiało złudzeń, ale wtedy jeszcze o tym nie wiedziała. Przyglądał jej się z mieszaniną pogardy i dziwnej satysfakcji, przez które przebijała złość, że został przyłapany.

– Jak możesz mi to robić? Jak możesz jeszcze z tego kpić?

Czekała na jakieś zaprzeczenie, racjonalizację, jakiegokolwiek, nawet najgłupsze tłumaczenie, którego mogłaby się uchwycić.

– Robert... Co masz mi do powiedzenia?

– Nic, moja droga, nic poza prawdą. Jesteś tłustą, zaniedbaną, nudną kobietą, która niestety urodziła moje dziecko. Nie mam ani siły, ani ochoty odgrywać dłużej żadnej roli. Brzydzę się tobą. Cuchniesz mlekiem, jesteś blada i masz wielki brzuch. Jestem tak zmęczony tą mistyfikacją, że cieszę się z odkrytych kart. Na twoje szczęście jest mój syn i ze względu na niego możesz tu mieszkać, jeść i opiekować się moją matką. Jak tylko trochę podrośnie i nie będzie potrzebował twoich wielkich piersi, to możesz zmienić swoje życie na lepsze, ale Leon zostaje ze mną. A teraz zamknij drzwi i daj mi spać.

Dziewczyna rzuciła się na Roberta z histerycznym płaczem i próbowała go okładać pięściami. Z grymasem obrzydzenia i pogardy wykręcił jej ręce, wyprowadził za drzwi, zamknął się od środka i na nic nie reagował.

Anna nie mogła pojąć, co się dzieje, skąd te zmiany, skąd taka podłość do granic. Żaden normalny człowiek nie byłby w stanie zrobić tego kobiecie, w szczególności matce swojego dziecka. Skąd w mężczyźnie, który tak mocno o nią zabiegał i jej pragnął, tyle okrucieństwa?

W tej chwili nieco oprzytomniała: zdała sobie sprawę z tego, że przecież oszukiwał od początku. Kłamstwa były tak ewidentne, że tylko zakochana kobieta mogła ich nie zauważyć. Powoli zaczynała dostrzegać potwora. Jeszcze mgliście, jeszcze wciąż łudziła się absurdalną nadzieją, że to można jakoś wytłumaczyć, że on to jakoś wytłumaczy – zwykle obwinał innych: jej koleżanki, znajomych... nawet w ciąży, kiedy powinna była mieć poczucie bezpieczeństwa i morze miłości, bez skrupułów prowadził swoje gierki. Miał w tym jakiś cel, co później okazało się na terapii. Od takich osób się ucieka. Matka Roberta wiedziała. Mimo całej swojej bezradności spowodowanej chorobą czuła, że jej syn jest potworem. Tak, matka potwora czuła się przy Annie bezpiecznie. Czego doświadczyła ta kobieta, że uciekła z tego świata w chorobę? Co takiego musiało się wydarzyć?

Niespodziewanie w Annę wstąpiła siła, siła matki. Bo ona, Anna, była w tej chwili przede wszystkim matką! Musiała chronić swoje dziecko.

Robert wyszedł ze swojej jaskini po kilku godzinach, po czym wyjechał na dobre. Anna podeszła do drzwi biblioteki. Do tej pory był to teren dla niej zakazany. Tym razem było podobnie. Zaczęła nerwowo szarpać klamkę, licząc na cud, bo miała przeczucie, że tam musi kryć się jakaś tajemnica. Niestety, drzwi pozostały zamknięte, za to za plecami dziewczyny stanęła matka Roberta. W ręce trzymała klucz i przenikliwie się Annie

przyglądała. Przez chwilę stały w bezruchu naprzeciwko siebie. Wreszcie staruszka ruszyła przed siebie, włożyła klucz w zamek, przekręciła, otworzyła drzwi i poszła do swojego pokoju.

Anna weszła do środka i usiadła za biurkiem. Było potężne, ewidentnie bardzo stare. Miało blat z kawałków marmuru ułożonych w mozaikę z aniołem pośrodku.

– Anioł... – Dziewczyna zachnęła się i pogładziła brzeg blatu.

Tak, ten anioł był tu przez lata i niekoniecznie symbolizował człowieka, który zrobił sobie twierdzę z tego pomieszczenia. Na biurku stały zdjęcia: młodej pięknej kobiety na tle Pałacu Kultury i Nauki albo w stroju ludowym wśród innych pięknych kobiet. Czyżby matka Roberta śpiewała w Mazowszu? To musiało być biurko jej męża. Odniosła wrażenie, że kryło się w nim mnóstwo pozytywnej energii. Niepewna, czy dobrze robi, walczyła przez chwilę z pokusą otwarcia szuflady. W oczy rzuciły się jej gruby plik banknotów oraz kilka woreczków białego proszku. Wiedziała, co to jest. Pod spodem leżało mnóstwo zdjęć młodych kobiet. Zdjęć bardzo różnych, ale wszystkie łączyła jedna cecha: na ich odwrocie widniały kwoty w euro. Niektóre opiewały na kilka, inne na kilkaset... tysięcy. Na jednym zdjęciu bardzo znanej międzynarodowej modelki był milion euro.

Anna nie wiedziała, że jej Robert, adwokat, wykładowca, para się także modelingiem. Przeglądając zdjęcia, nagle poczuła, że robi jej się niedobrze, jakaś niewidzialna siła zaciska jej gardło, a przed oczami miga szara mgła. Ostatkiem sił pobiegła zwymiotować. Wróciła i usiadła w fotelu, przyglądając się swojej fotografii: tak, trzymała w ręce swoje zdjęcie. Zdjęcie z jakiegoś przyjęcia, na którym kiedyś była z Robertem. Przyglądała się dziewczynie, która już nie istniała. Z tyłu była kwota...

Anna poszła z tymi zdjęciami do matki Roberta i usiadła przy niej. Wszystko, co na ten moment do niej docierało, czym tłumaczyła zachowanie Roberta, to kokaina. Biały proszek był bowiem rozsypany po całej szufladzie, resztki dostrzegła na blacie biurka i podłodze. Taki proszek widywała bez woreczków w różnych miejscach jego apartamentu. Kiedy wstawali rano i pierwsza szła do łazienki, widziała ślady na blacie umywalki. Uznała to za talk czy inny kosmetyk. Teraz wiedziała, że ten człowiek musiał być uzależniony. Brał coś, co natychmiast stawiało go na nogi. To był jego sposób na życie. Ta wieczna gotowość często ją dziwiła, bo była jak moc nadprzyrodzona. Bawili się na jakiejś imprezie do rana, a on po dwóch godzinach wstawał, wkładał garnitur i wychodził do pracy. Podobnie było wieczorem, kiedy wracał nieprzytomny ze zmęczenia, brał prysznic i w okamgnieniu odzyskiwał wigor czy chęć do wyjścia z domu. Kiedyś ktoś przy Annie zapytał go, na czym obecnie jedzie. Robert wyraźnie się wtedy zdenerwował, choć szybko obrócił w żart całą sytuację, mówiąc, że jedzie na młodości, i wskazał przy tym na Annę. Kolega się zreflektował, że dziewczyna jest zielona, bo więcej tematu nie drażył. Pozostała jeszcze druga część tej układanki: kilkadziesiąt zdjęć kobiet w jakimś celu wycenionych. W tym także jej zdjęcie.

Chcąc nie chcąc, musiała zrozumieć wszystko. Była inteligentna. Miała posłużyć Robertowi jako towar. Co dalej, tego nie wiedziała, ale ewidentnie dziecko pokrzyżowało mu plany.

Nie zamierzała czekać.

Zdeterminowana pokazała zdjęcia staruszce, ona jednak w ogóle nie chciała na nie spojrzeć. Anna była przekonana, że matka Roberta nie kojarzy. Zrozpaczona, zaczęła płakać. Nad sobą, nad życiem, nad tą starą kobietą. Specyficzna więź między nimi wypełniała przestrzeń córka–matka. Jej własna matka była emocjonalną kaleką, nie potrafiła kochać ani przyjmować miłości, a ta miłością się karmiła. Staruszka nagle wstała i podeszła do swojego sekretarzyka. Wyjęła z niego fotografię kobiety i podała Annie. Zdjęcie także było wycenione.

– Zabił ją. Wpierw zabił ich dziecko, a później ją. Uciekaj.

Wyjęła jeszcze spory plik banknotów i podała Annie.

– Zabierz mojego wnuka i uciekaj.

Zdumiona Anna nie mogła wydusić z siebie słowa. Przestała płakać i w milczeniu patrzyła na kobietę.

– A ty? Jak mogę zostawić ciebie? – Tylko tyle zdołała z siebie wykrztusić.

– Uciekaj. Ja niedługo już pójdę do męża, to był dobry człowiek, uciekaj.

Z zamyślenia wyrwał ją esemes od Piotra. Wybiegła przed dom, wsiadła do auta i zupełnie rozluźniona zapytała, jak się czuje. Piotr, nieco zaskoczony jej dobrym nastawieniem, odpowiedział komplementem, że w towarzystwie tak zjawiskowej kobiety nastrój nie może być żaden inny jak doskonały. Droga upłynęła im spokojnie na słuchaniu muzyki.

Bruno podjechał pod hotel ukryty między dwoma jeziorami na potężnym zalesionym terenie, stanowiącym przepiękne tło stylowej budowli o wyjątkowej architekturze, idealnie dopasowanej do klimatu miejsca. Pomyślał o Helenie. Należało jej oddać sprawiedliwość: tworzyła niezwykle klimatyczne, wyjątkowe miejsca. Zapytana za dawnych przyjacielskich czasów o swoje inwestycje z reguły odpowiadała zagadkami: „Tam są biznesy, różne biznesy... Zawsze jednak pieniądze, mniej lub bardziej czyste, ale pieniądze. Tu natomiast jest dom. Mój, twój i moich gości. Rodzaj enklawy, nieskażonej złymi emocjami. W tej branży, mój synu (lubiła czasem się tak do niego zwracać), nie ma prostych transakcji”. Dziwiło go to, bo branża hotelowa nie wydawała mu się czymś specjalnie skomplikowanym. Oczywiście biorąc pod uwagę lokalizację i krótkie sezony urlopowe w naszym kraju, rozumiał potrzebę dobrego marketingu, ale reszta działań Heleny była dla niego kompletnie niezrozumiała.

W apartamencie czekał na niego szczegółowy plan pobytu. Przykładowo: w dniu przyjazdu należało niezwłocznie zarezerwować pobyt w spa. Menu tam serwowane

zadowoliliby z pewnością arabskich szejków. Płatki złota, diamentowane masaże i kąpiele w kawiorze. Po co takie marnotrawstwo? – pomyślał mężczyzna, niemający problemów z wydawaniem pieniędzy. Kąpiel w kawiorze... Oczami wyobraźni widział dogorywające w konwulsjach, porzucone na brzegu ciała białug i jesiotrów z rozprutymi po wypatroszeniu brzuchami – po wyjęciu kawioru stają się bezużyteczne. Czuł jednak zmęczenie i postanowił przed wieczorem wpaść na jakiś masaż. Okazało się, iż jedyny wolny termin jest o godzinie dwudziestej drugiej, co wykluczało udział w wieczornej imprezie, na której miał odebrać nagrodę. Nagroda ta, co prawda, nie miała dla niego żadnego znaczenia, ale możliwość spotkania Anny – i owszem. Na pytanie o inne zabiegi relaksacyjne usłyszał, że wszystko, włącznie z kąpielą w złocie i jajkach jesiotra, jest wykupione do końca weekendu. Ciekawe – pomyślał. A jednak są ludzie, dla których ta abstrakcyjna zabawa jest chlebem powszednim. Faktem było, że parking pod hotelem wyglądał jak wystawa najlepszych modeli na samochodowych targach w Genewie, więc zapotrzebowanie na dobra luksusowe nie powinno szczególnie dziwić.

Anna weszła do przestronnego, jasnego pokoju. Na stoliku czekały na nią: pudełko czekoladek, butelka szampana i taca z owocami. Łóżko było przygotowane dla jednej osoby, a na nim jeden szlafrok i jeden zestaw do spa plus informacja, że jej zabiegi zaczynają się o godzinie siedemnastej. Miała jeszcze godzinę.

Rozpakowując swoje rzeczy, zastanawiała się, co zrobić z włosami. Mogły nie przetrzymać wizyty u kosmetyczki w stanie nienaruszonym. Postanowiła zadzwonić do recepcji i dowiedzieć się szczegółów. Szczęśliwie okazało się, iż czekające ją zabiegi są przeznaczone na ciało, a nie na twarz, więc nie ma czego się obawiać. Podziękowała też za makijaż – postanowiła sama zadbać o swój wizerunek. Najlepiej wiedziała, czym i w jaki sposób poprawić swoją urodę, a poza tym nie chciała wyglądać jak w masce. Usiadła przed lustrem w czepku chroniącym włosy i delikatnie nałożyła podkład. Jej oczy nie wymagały żadnej nadmiernej oprawy poza delikatnym brązowym cieniem z drobinkami złotego pyłu podbijającego ich szmaragdowy odcień. Do wykończenia tylko tusz. Żadnych grubych kresek, żadnych kolorów tęczy. Anna w skupieniu przyjrzała się swojej twarzy: z lustra spoglądała na nią piękna, mądra, silna kobieta. Uśmiechnęła się do siebie – po latach akceptowała swoje ciało w stu procentach. Na koniec wycieniowała kości policzkowe ciepłym brązem, usta podkreśliła delikatnym beżem i uwolniła włosy, które natychmiast rozsypały się niesfornie na kark i ramiona. Były zdrowe, błyszczące, mieniły się w świetle pod wpływem jakiegoś preparatu nałożonego wcześniej przez fryzjera. Czy tak żyją bogate kobiety? Fakt, przez moment była w luksusowym świecie Roberta, ale późniejsze traumy skutecznie zamazały wszystkie dobre wspomnienia.

Opatulona w szlafrok usiadła w fotelu i otworzyła butelkę szampana. Nalała różowego napoju do kryształowego kieliszka i znów zapadła we wspomnienia.



Dziecinny pokój. Pakuje rzeczy małego Leonka, stara się zrobić to jak najszybciej, bo za godzinę przychodzi pielęgniarka. Ze swoich rzeczy zabrała niewiele. Wiedziała, że duży bagaż może utrudnić podróż. Nie miała jeszcze pojęcia, jak i czym wydostanie się z domu, bo kuzyn Roberta spał czujnie na tarasie. Nie wiedziała nawet, jak wezwać taksówkę – z reguły woził ją stryj lub kuzyn właśnie. Była spanikowana, ale wiedziała, iż musi uciekać.

Kiedy już kończyła pakowanie, do pokoju weszła matka Roberta.

– Zostaw, jutro. – Zabrała jej rękę z torby, którą właśnie chciała podnieść. – Schowaj. Jutro pojedziesz. Weź Leona na spacer.

Anna posłusznie schowała torbę do ogromnej szafy i wzięła dziecko do wózka. Pojechała z nim nad morze. Dawno nie widziała plaży. Od początku pobytu była tu zaledwie kilka razy. Woda zawsze napawała ją strachem. Usiadła na kamieniu, mały spokojnie spał w wózku. Układała sobie w głowie plan krok po kroku. Myślała, co należało teraz zrobić. Matka, jej matka powinna się dowiedzieć, że wraca. Ich relacja pozostawiała wiele do życzenia, ale była jej matką. Chciała zobaczyć wnuka. Na początku Robert obiecywał przywieźć ją do Włoch, ale obiecywał też, że wkrótce oni do niej pojedą...

Wybrała numer matki, która – nieprzywykła do częstych kontaktów – natychmiast odebrała.

– Mamo, muszę wrócić do domu. – Mówiąc to, Anna rozplakała się żałośnie.

W słuchawce zapadła cisza, po czym kobieta spokojnie powiedziała:

– Dobrze, czekam na ciebie.

Wyartykułowała to jedno suche zdanie bez zbędnych komentarzy.

– Mamo...

– Anno, czekam na ciebie. Kiedy wracasz?

– Mamo... – Anna płakała dalej.

– Dziecko, czy dzieje ci się jakaś krzywda? – Matka wreszcie okazała niepokój i zareagowała po ludzku.

– Chcę do domu...

– Dobrze, tak jak powiedziałam, czekam na ciebie. Daj znać, kiedy będziecie.

– Będę tylko ja i Leon. Wracamy na stałe.

– Dobrze. Mówiłam już, czekam.

Ta kobieta była jak skała. Zimna, świadoma, że przecież prosiła córkę, by ta nie wyjeżdżała. Skoro jednak podjęła taką decyzję, przerwała studia i opiekowała się na drugim końcu Europy obcą kobietą, a nie miała czasu ani chęci pokazać jej wnuka, to czegoż może teraz oczekiwać? Takie były fakty, które w ocenie matki nie przemawiały na korzyść Anny.

Dziewczyna spojrzała w dół. Skała, na której stała, była stroma, zakończona urwiskiem. Nic, tylko rzucić się w dół i przestać istnieć. Nie będzie bolało... nie będzie już ani

strachu, ani bólu, nie będzie tysiãca wãtpliwoœci i poczucia dramatycznego nieszczęœcia. Zrobiła krok do przodu.

W tej chwili z wózka zapłakał mały Leon. Cofnęła siê szybko. Poczwała, jakby jakaœ siła wyrwała jã z szarej lepkiej mgły. Sama przera¿ona tym, co mogło siê staç, wyjęła małego z wózka, mocno przytuliła i poczuła, że jest o co walczyć. Jest młoda. Co prawda ma dziecko i dramatyczne doœwiadczenia, ale to wlaœnie powinno jã uodpornić, zadziałaç jak szczepionka. Czy mo¿na doœwiadczyć jeszcze czegoœ gorszego?

Mo¿na – pomyœlała, gdy wróciła do rzeczywistoœci. Wstała, żeby wlo¿yç sukienkê w kolorze butelkowej zieleni z cieniutkiego jedwabnego aksamitu. Kreacja była skromna – prawdziwy jedwab był klasã samã w sobie. Dosłownie opływał ciało, mo¿e niezbyt szczupłe, ale proporcjonalnie piêkne. Anna zauwa¿yła, że znowu widzi siebie inaczej. Wlaœny obraz, który wyhodował w jej głowie Robert, pod wpływem terapii oraz obecnych okolicznoœci zaczynał siê zamazywaç. Stawała siê pewnã siebie kobietã o niebanalnej urodzie, przyciãgajãcã męskie spojrzenia.

Na stopy wlo¿yła złote sandałówki. Jak Kopciuszek – pomyœlała. Były to te same buty, które kupiła w Mediolanie z Robertem. Nigdy ich nie miała na sobie. To jedna z niewielu rzeczy, które zabrała z domu jego matki.

Na rękê zało¿yła bransoletkê, a na szyjê cieniutki łañcuszek z brylantem w ksztãcie ły. łañcuszek był prezentem po¿egnalnym. Starsza pani dała jej na drogê niewielkie pudełko, w którym znalazła obrazek Matki Boskiej z małego sanktuarium w Rokitnie, krzy¿yk na łañcuszku ze srebra i ten złoty wisiorek. I jeszcze zawinięty w chusteczkê złoty medalik oraz dwie rosyjskie pórublówki. Był te¿ mały kluczyk, którego Anna nie mogła z niczym skojarzyç. Wszystko to wyglãdało jak sekretnik małej dziewczynki. Odebrała to jako prezent dla Leona, bo kobieta wlo¿yła pudełko do jego wózka.

Stanęła przed lustrem. Spojrzała na buty i pomyœlała, że sã jak orę¿. Będã jej przypominały, z jakiego powodu tu jest. Boso, ale w ostrogach.

Bruno, kompletnie znudzony, usiadł obok Bogdana. Ten niby miał byç nieobecny, jednak w ostatniej chwili zmienił zdanie i pojawił siê wsparty na wy¿szej o pól głowy brunetce z burzã ewidentnie sztucznych wlosów. Dziewczyna była zupełnie nie w typie Bogdana, na co dzieñ gustujãcego raczej w œwie¿ych studentkach – miała za to dekolt do pępka i monstualny biust. Długoœç sukienki uniemo¿liwiła jej siadanie bez pokazywania bielizny. Kompletnie siê tym nie przejmowała, zachowywała luz i swobodê godnã doœwiadczonej kurtyzany. Jak siê pó¿niej okazało, dokłãdnie taki zawód wykonywała. Była z tego tañszego sortu, czego wcale nie ukrywała.

– Kolega te¿ szuka towarzystwa? – zwróciła siê do Brunona z lekkim wschodnim akcentem.

– Nie, dziêkujê, doskonale bawiê siê we wlaœnym.

– Ale ja mam niedrogã piêknã kole¿ankê! – ciãgnęła niezra¿ona.

– Ale ja dziękuję za koleżankę i najniższe nawet ceny.

– Drogie koleżanki też mam! Lena!!! Lena, chodź tu! To jest Lena, proszę pana. Lena jest w cenie mercedesa, bo jest młoda, wykształcona i piękna. Lena tańczy w balecie, a to oznacza szpagat w cenie i inne sztuki towarzyskie.

Podeszła do nich piękna delikatna dziewczyna o smutnej twarzy, naturalnie jasnych włosach, długich i ogromnych przestraszonych oczach. Miała może siedemnaście lat.

– Bogdan, mógłbyś podziękować swojej pani i poprosić, żeby mi dała święty spokój? – Bruno oderwał Bogdana od intensywnej rozmowy z sąsiadem.

– Duszko moja, zostaw mojego przyjaciela, on nie szuka wrażeń. A ty, piękna młoda istotko, usiądź koło mnie. Tania, ta dziewczyna zostaje ze mną, a ty idź pracuj, kobieto. Nie przyprowadzaj mi tu więcej dziewczyc, ta mi wystarczy.

– Uuuuuu, ta jest droga... – Kobieta nachyliła się nad głową Bogdana i podała dyskretnie cenę.

– Tania?! Oszalałaś? Ja jestem stały klient i mam rabaty!

– A to po rabacie właśnie...

– Nie ma mowy!

– Lena, wstawaj, pana nie stać na twoje towarzystwo.

– Tania, ucisz się! Co ty dzisiaj taka pyskata i głośna? – Bogdan był wyraźnie zły.

– Bogdan, my długo się znamy, ty się zawsze targujesz, ale w tym lokalu nie ma kogo dzisiaj łowić. Tu są albo pary, albo moje dziewczyny. Rób, jak chcesz, ale jak płacić nie chcesz, to trzeba było żonę brać!

– Tania! Co ty taka wredna i jadowita dzisiaj?!

– Bierzesz czy tańszy towar podesłać?

– Zostaw. – Bogdan wściekły machnął ręką.

– No widzisz, kochanieńki? Interes z tobą to czysta przyjemność!

Bruno rozejrzał się po sali. Dopiero teraz zaczął dostrzegać niuanse. Panie były w różnym wieku, niektóre naprawdę bardzo, bardzo młode. Nigdy nie rozumiał mężczyzn gustujących w takiej dysproporcji, bo poza ciałem ważne są uczta duchowa, intelekt, jakieś wspólne cele, marzenia. Oczywiście nie był idiotą i miał świadomość, że tu się nie zawiązują pary na życie, tylko ewentualnie na weekend z możliwością przedłużenia. Było jednak i kilka kobiet, które nie sprawiały wrażenia towaru. Jedna z nich przebywała w towarzystwie mężczyzny, którego znał. Małżeństwo ze sporym biznesem budowlanym. Przykład dla tych, którzy uważają, że życie prywatne i praca zawodowa nie powinny iść w parze. Tych dwoje tworzyło tandem idealny. Postanowił podejść do nich i się przywitać.

– Witaj, Małgosiu. Co zrobiłaś swojemu mężowi, że tak kwitnie? – zagaił po przyjacielsku. – Marku, gdzie się tak opaliłeś? Czyżby wakacje?

– Bruno! Co ty tu robisz, kolego? Ty? Na imprezie?

– Zaskoczony? No tak, nie jestem wielbicielem tego typu balów, ale ponieważ nagrodzono moją inwestycję aż w dwóch kategoriach, postanowiłem zrobić wyjątek.

– Fantastycznie! My także dostaliśmy nagrodę. Wróciliśmy właśnie z rejsu po Karaibach. Wiesz, kiedyś trzeba zacząć żyć i wydawać te ciężko zarobione pieniądze!

Marek szeroko się uśmiechnął, prezentując chyba najjaśniejszy kolor szkliwa, jaki protetyk mógł znaleźć. Ale Bruno nie potrafił się skupić na rozmowie. Rozejrzał się ponownie po sali... Anny nie było. Usiadł na swoim miejscu, do którego zaprowadziła go prawie naga hostessa, co niezwykle raziło panie towarzyszące swoim mężom. Przy stoliku był już komplet. Bruno nalał sobie wody i czekał w napięciu.

W zasadzie wszyscy goście już przybyli, kiedy dojrzał Annę. Weszła w obłędnej szmaragdowej sukni, z nieskazitelnym delikatnym makijażem i w zjawiskowych szpilkach, które jakby unosiły ją nad ziemią. Bujne loki spływały po jej plecach, a kilka niesfornych kosmyków kręciło się po twarzy. Była jak ktoś z innego świata. Nierealna, dostojna, posągowa, a jednak gorąca. Nie marmur, lecz lawa. Dużo musiała przejść w życiu, bo takiej godności nie nabywa się przez przypadek. Jakaś mieszanka dumy i... cierpienia? On przecież miał podobnie. Pomimo ogólnego zwycięstwa nosił piętno wielu przegranych. Nikt jednak nigdy nie zobaczył jego cierpienia.

Anna usiadła przy sąsiednim stoliku. Kątem oka zauważyła Brunona. Był wyniosły, chłodny, niedostępny, ale kiedy spojrzała otwarcie na niego, natychmiast się do niej uśmiechnął. Odwzajemniła uśmiech i skinęła przyjaźnie głową. Mężczyzna pociągał ją, ale równocześnie przerażał. Był inny, tak jak inni bywają psychopatyczni mordercy. Jednocześnie potrafił swoim czarem zmiękczyć kamień. Anna była kamieniem...

Oficjalna część imprezy przeszła bez większego opóźnienia. Statuetki powędrowały w różne ręce, niektóre wybory wydawały się całkiem absurdalne, ale ci wyróżnieni charakteryzowali się dużą zdolnością sponsoringu – byli również sponsorami wydarzenia.

Po tym etapie nastąpiło ogólne rozluźnienie i Bruno podszedł do Anny.

– Witam. Chyba przeznaczenie mnie lubi...

– Ha, ha, ha! Tak to wygląda! Pytanie tylko, czy i mnie lubi. Czy nasza znajomość będzie dla mnie karą?

Bruno drgnął. Czyżby dziewczyna świadomie uczestniczyła w tej grze? A wszystko to było tylko mistyfikacją?

– Trudno powiedzieć. Wszystko pewnie będzie zależeć od tego, jak które z nas zagra – odpowiedział Bruno.

Anna poczuła się niezręcznie. Czyżby Bruno wiedział, że ona tylko gra? Ogarnęło ją rozczarowanie. Przez chwilę myślała, że będzie Kopciuszkim na tym balu i ucieknie z niego, zostawiając po sobie niedosyt i tęsknotę, a nie poczucie przegranej.

W tej chwili obok Anny pojawił się szpakowaty mężczyzna.

– Czy mogę zaprosić panią do baru na kieliszek wina? – zapytał z wyraźnym rosyjskim akcentem. – Bar w oranżerii robi wrażenie.

Anna się uśmiechnęła i skinęła z aprobatą głową. Kiedy odeszli, Bruno poczuł wściekłość i rozczarowanie. W tej chwili jak spod ziemi wyrósł Bogdan.

– Oj, porwano ci konia!  
– Jakiego konia?  
– Rudego! Ha, ha, ha! Bruno, ja znowu postawiłem na nią. Ty spierdolisz każdy numer, nie masz podejścia do kobiet!

– To kurwa, nie kobieta! – Mężczyzna prawie wrzasnął.  
– Jaka kurwa??? Daję ci gwarancję, że jest kompletnie nieświadoma...

Bruno patrzył, jak w oddali Anna sączy... wodę. Jej towarzysz dwoił się i troił, ale nie udawało mu się jej rozruszać. Siedziała sztywna i jakby nieobecna. Bruno postanowił zaryzykować. Podeszedł do Anny i powiedział:

– Odbijany.  
– Ale my tu nie tańczymy, brachu! – odezwał się jej towarzysz.  
– Ja też nie tańczę. Ta pani jest moją dobrą znajomą i chciałbym z nią porozmawiać o naszym biznesie, który planujemy.

Anna spojrzała wrogo na Brunona, ale była w sumie wdzięczna za uwolnienie jej od mężczyzny, który w krótkim czasie zdążył wymienić nazwy wszystkich swoich samochodów i zegarków.

– Dziękuję za ratunek. Rozmowa z tym panem nie była łatwa.  
– Nie ma za co. Widziałem z daleka, że cierpisz. – Bruno się uśmiechnął.  
– Chyba to nie jest mój najlepszy dzień – uznała Anna. – Powinnam wrócić do pokoju.  
– A może zamiast do pokoju pójdziesz ze mną na spacer?

Anna się zastanowiła. Bruno przyciągał ją, ale i przerażał. Tylko... cóż... Spacer to nic wielkiego.

– Chętnie. To chyba dobry pomysł. Noc wydaje się ciepła.

Kiedy tak szli przez ogród w milczeniu, Bruno zatrzymał się, stanął naprzeciwko niej i poprawił jej kosmyk włosów na policzku. Chciał ją pocałować, ale bał się, że ją wystraszy. Kimkolwiek była, działała na niego jak narkotyk.

Anna się odsunęła.

– Przepraszam, ale nie jest to najlepszy pomysł.

Bruno spojrzał w niebo i powiedział:

– A gwiazdy mówią inaczej. Spójrz tam. Widzisz? Kasjopeja.

I tu nastąpiła długa opowieść o gwiazdach, księżycach, słońcach i potędze wszechświata.

– Podobnie jest z miłością – zakończył Bruno. – Też jest wielką niewiadomą i ta prawdziwa potrafi być nieskończona. Boimy się kosmitów, choć nigdy ich nie widzieliśmy. My, poranieni przez życie, boimy się nowej miłości, choć nigdy jej jeszcze nie doświadczyliśmy. Trudno bazować na doświadczeniu z przeszłości w wypadku uczuć...

Anna spuściła głowę. Bruno miał rację. Patrząc na swoje buty, wyszeptwała:

– To prawda. Boję się miłości, bo... boję się cierpienia.

Zrobiło się chłodno. Bruno zdjął marynarkę i okrył nią Annę.

– Nie będziemy się spieszyć.

Poszli bez słowa na salę. Kilka osób stojących w wejściu na ich widok drgnęło. Dwóch mężczyzn było wyraźnie podekscytowanych. Anna natychmiast oprzytomniała i wróciła na pozycje. Anka, to jest gra! Ten mężczyzna traktuje cię jak zwierzynę.

Spacer dodał jej wigoru. Usiadła na chwilę przy stoliku, a potem pożegnała towarzystwo oraz Brunona. W pokoju czekał na nią potężny bukiet kwiatów od prezesa jednej z największych instytucji finansowych z bilecikiem, w którym prezes ów zapraszał ją do swojego apartamentu. Anna się roześmiała. Nie poczuła się nawet urażona. Poczuła, że gra się dopiero rozkręca, a ona odkryła w sobie żyłkę hazardzisty. Nie tutaj jednak rozegra się kolejny odcinek. Zrobiła swoje i może położyć się spać.

Bruno wstał wcześniej i wsiadł do auta. Nie wiedział nadal, z kim ma do czynienia, i ta niewiedza strasznie go męczyła. Miał przeczucie, że Anna to dobra kobieta, i właśnie dlatego wyjechał. Nie chciał, żeby czuła się osaczona. Może to ona ma rację i powinni dać szansę przeznaczeniu.

Anna obudziła się i zaczęła zastanawiać, gdzie cały wieczór był Piotr. Uświadomiła sobie bowiem, że wcale go nie widziała. W tej chwili zadzwonił telefon. Piotr oznajmił jej, że za godzinę wyjeżdżają.

U matki czekał na nią nie tylko Leon, lecz także Adam. Nie miała w zasadzie nic do powiedzenia, a poza tym okazało się, że Adam już znał szczegóły.

– Aniu, jesteśmy przed finałem. Naciesz się synem i odpocznij. A jutro chciałbym porozmawiać z tobą o kolejnym kroku.

Anna wiedziała, że czekający ją etap jest najważniejszy. Zadzwoiła do Adama, proponując mu, by towarzyszył jej w drodze do Warszawy – omówiliby raz jeszcze strategię działania. Czowała się coraz mniej bezpiecznie, bo wiedziała, że wchodzi na coraz mniej zbadany grunt. Musiała liczyć głównie na siebie, swoją intuicję i doświadczenie. Nie mogła mieć na sobie żadnych podsłuchów – to mogłoby zagrażać jej życiu. Z jakiegoś powodu nawet policja, która przecież tak długo rozpracowywała tę grupę, nie wiedziała nic o kolejnym etapie, nie znała żadnych szczegółów. Cała ich strategia opierała się tylko na przypuszczeniach.

Adam zjawił się punktualnie, ale tym razem nie był ani spokojny, ani wyluzowany. Niechcący potracił dziewczynę, otwierając drzwi do auta:

– Przepraszam.

– Nic się nie stało. Dlaczego jesteś taki nerwowy? Nie znam cię od tej strony... Coś się stało?

– Nerwowy? Nie, wydaje ci się.

– Przecież widzę. Szykuję się do trudnej akcji, Adam, ja muszę wiedzieć! Żebym mogła wykonać swoje zadanie, potrzebuję poczucia bezpieczeństwa. I pewności, że mnie w niczym nie okłamujesz. – Jej głos drżał niebezpiecznie.

– Aniu, nie dzieje się nic, co mogłoby dotyczyć projektu, choć...

– Choć?

Popatrzył na nią wzrokiem, w którym rezygnacja mieszała się z desperacją.

– Stałaś mi się bardzo bliska, dlatego nie potrafię zachować zimnej krwi. Akcja, która szykuje się w ten weekend, jest dla mnie zawodowo bardzo ważna. Pracuję nad tą sprawą od dłuższego czasu – ten etap ma szansę przynieść rozwiązanie. Gdyby obok mnie siedziała koleżanka z pracy, z pewnością byłoby łatwiej...

Anna czuła, że Adam patrzy na nią inaczej: opiekuńcze gesty, ton, gotowość pomocy i ten rodzaj czułości, jaką mężczyzna darzy kobietę w takiej sytuacji. Wiedziała, a jednak nie była pewna. Sama także nie potrafiła jasno określić tego, co czuje. Raz Adam wydawał jej się idealnym partnerem na życie, innym razem... bratem. Podobał się jej. Dawał to, czego kobieta potrzebuje najbardziej – poczucie spokoju i bezpieczeństwa. Ale nie było w tym ekscytacji, jaką czuła przy Brunonie, choć ten rodzaj emocji starała się zamknąć w rozdziale pod tytułem *Robert*. Te uczucia, tak bardzo wyostrome, zapierające dech w piersiach i wywołujące zawroty głowy, sprowadziły do jej życia tylko cierpienie.

– Adam, wyjaśnij mi to, proszę, dokładniej...

– Co mam ci wyjaśniać? Zakochałem się w tobie. Rozumiesz?

– Rozumiem – odpowiedziała cicho, a w oczach zakręciły się jej łzy.

– Anno? Płaczesz? Nie chcę teraz rozmawiać o nas, nie pora na to. Nie chcę też, abyś się czuła zobowiązana do czegokolwiek. Chcę tylko, abyś była bezpieczna. Dlatego zawiozę cię na zakupy, a później pojedziemy na komendę i ustalimy wszystkie szczegóły.

– Dobrze.

Przez resztę drogi oboje milczeli. Uczucie i szczerść Adama dodały Annie siły, ale niepokój wcale nie zniknął. Jeżeli Adam boi się o nią, to tam musi być niebezpiecznie.

– Wiesz co, zostaw mnie w centrum. Dla naszego bezpieczeństwa będę poruszała się taksówkami.

– To dobry pomysł – zgodził się Adam nadspodziewanie szybko, co ją nieco zbiło z tropu. Nie skomentowała jednak tego.

Wysiadła z samochodu i pomachała na pożegnanie.

Tym razem pozwoliła rządzić ekspedientkom. Nie miała nastroju na dobieranie łaszków. Zadbala tylko o to, aby nie były to najnowsze kolekcje i najwyższe ceny. Miała cel: zaoszczędzić jak najwięcej pieniędzy.

Po zakupach zjadła szybki obiad w centrum handlowym i pojechała na policję. Adam czekał na nią z trzema osobami, wśród których była kobieta. Przeprowadzili symulację czegoś, co w każdym calu było hipotetyczne, poza jednym wyjątkiem.

– Jeżeli potwierdzi się nasza wersja, jeżeli miejsce, które odkryliśmy jako możliwy cel twojej podróży, okaże się właściwe, to ta kobieta będzie cię chronić. – Adam wskazał na piękną postawną brunetkę.

– Nie rozumiem...

– Mamy cynk, że tym razem finał gry odbędzie się na Sardynii. Ta kobieta jest włoskim agentem. Włosi współpracują z nami od początku. Wątek mecenasa Roberta jest ich tropem, więc Alba będzie stanowić twój cień. Oficjalnie pracuje tam w obsłudze najwyższego piętra. Hotel został wynajęty i zamknięty dla zewnętrznego świata na cały tydzień. Od kilku dni trwają przygotowania wskazujące na rodzaj zabawy, która się tam rozegra. Teren jest duży, niedostępny i strzeżony przez dziesiątki specjalnie



przeszkolonych, władających językiem rosyjskim ochroniarzy. Lotnisko ma zarezerwowane miejsca oraz sekretne odprawy dla najbardziej luksusowych samolotów na świecie. Utajnione dane jak przy nieoficjalnych wizytach koronowanych głów. Proceder, który rozpracowujemy, obejmuje obywateli kilku krajów. Polska jest jednym z nich. Jednak tu nie odbywają się najważniejsze igrzyska. Główny spektakl dzieje się przeważnie we Włoszech. Od dłuższego czasu próbowaliśmy ulokować naszego człowieka w epicentrum i równie długo szukaliśmy potencjalnej ofiary. Przepraszam cię, Anno, za to określenie, ale musisz wiedzieć, na co się piszesz. Musisz być świadoma, że wiele dziewczyn zaginęło bez wieści. Musisz być w stu procentach pewna, że chcesz podjąć ryzyko, bo to jest ryzyko.

Adam był blady, choć starał się zachowywać spokój. Kiedy mówił, na jego twarzy widać było udrękę, a w ręce nerwowo ścisnął ołówek, który w końcu złamał.

– Jeżeli odbędzie się to tam, gdzie przypuszczamy, ryzyko jest znikome. Znasz włoski? – Alba wyciągnęła dłoń na przywitanie.

– Tak, znam trochę – odpowiedziała jej Anna po włosku, odwzajemniając uścisk. Miała sucho w gardle i totalny chaos w głowie. Mama, Leon.. Co z nimi będzie, kiedy jej zabraknie? Czy musi ryzykować życie w imię jakiejś sprawy, która już jej nie dotyczy? – Mam świadomość, co mi grozi. Zdecydowałam na samym początku i podtrzymuję swoją decyzję. Wchodzę w to – odpowiedziała cicho na pytanie, które niewypowiedziane, zawisło w gabinecie. Gdzieś w głębi serca wiedziała, że musi to zrobić. To jednak była również i jej sprawa. Zamieszany we wszystko był ojciec jej dziecka, potwór, którego matkę obiecała uwolnić. Tak jak obiecała Magdzie i innym głupiutkim, naiwnym dziewczynom, że pomoże im odzyskać wolność i godność.

– Jest pani tego pewna, tak? – Przełożony Adama, łysy starszy mężczyzna, spojrzał Annie prosto w oczy.

– Tak, jestem pewna.

Tym razem odpowiedziała na tyle zdecydowanie, iż reszta odetchnęła z ulgą. Reszta poza Adamem. Stał z boku i patrzył w okno. Nie chciał, żeby ktokolwiek widział jego twarz.

Anna i Adam wracali z Warszawy bez słowa, żaden temat się nie kleił, więc milczenie było jedynym sensownym rozwiązaniem. Adam walczył z myślą, że naraża na niebezpieczeństwo kobietę, którą kocha. Anna zmagiała się z poczuciem winy, iż podejmuje idiotyczne ryzyko jako matka i córka. Oboje poczuli, że są na granicy i zaraz wybuchną, gdy dokładnie w tym momencie zadzwonił telefon.

– Witam, reprezentuję ojca pani dziecka. Mój klient upoważnił mnie do rozmowy na temat opieki nad państwa synem. Czy możemy umówić się na spotkanie w mojej kancelarii? W przyszłym tygodniu? Adres wyślę mailem. Proponuję ustalić warunki ustnie, później spiszemy wszystko w wersji formalnej. – Głos kobiety brzmiał grzecznie, ale stanowczo.

– Dobrze, proszę odezwać się do mnie w połowie tygodnia, ustalimy dokładny termin – odpowiedziała Anna cicho, po czym zalała się łzami.

– Ania! – Adam zatrzymał samochód. – Anka, co się stało?!

– Ten skurwysyn chce zabrać mi dziecko! Zresztą tak zapowiadał... Jak podrośnie, zabiorę ci małego... tak mówił... – Po kolejnym ataku płaczu dziewczyna bezradnie wtuliła się w Adama.

– Nikogo i niczego ci nie zabierze.

Adam mocno ją przytulił. Razem z płaczem wypłynęły z niej wszystkie nagromadzone emocje: strach, lęk, złość i cała paleta innych, głęboko ukrywanych przez lata. Wszystkie zalały ramię Adama, który wiedział, że Anna jest jego szansą na dobre życie, na miłość i stabilizację. Chciał ją chronić, a paradoksalnie wpychał w epicentrum zła.

Anna pojechała do matki. Oprócz ciasteczek dla Leona wiozła też ulubioną kawę mamy i... paczkę na przechowanie.

Matka, ucieszona widokiem córki, zaparzyła kawę, wyjęła z zamrażalnika lody, po czym razem usiadły na balkonie. Leon już spał. Spojrzała pytająco na Annę, nie chcąc wprost zadawać niewygodnych pytań – wolała, żeby Anna powiedziała tyle, ile uzna za stosowne.

– Muszę wyjechać. Zakładam, że za kilka dni wrócę, ale może być różnie. Nie chcę cię oszukiwać ani denerwować. Jestem pod nadzorem Adama i policji, więc raczej bezpieczna. Jednak gdyby cokolwiek poszło nie tak albo pojawiły się komplikacje i musiałabym dłużej być nieobecna, to jako pewne zabezpieczenie masz ten pakunek. W środku jest spora suma. Starczy na twoje leczenie.

– Aniu?!

– Proszę, o nic nie pytaj. Nie zrobiłam niczego złego, nie zabiłam, nie ukradłam, nie uprawiałam nierzędu. Zaoszczędziłam. Naprawdę zaoszczędziłam, zaufaj mi. Dostawałam ekstrapieniądze na ekstrawydatki, cele reprezentacyjne i takie tam. Wiem, to brzmi irracjonalnie, ale musisz mi ufać!

Matka zrobiła się szara na twarzy, ręce zaczęły drżeć jej niebezpiecznie.

– Mamo... – Anna złapała ją za dłonie. – Kocham cię i nigdy bym ani ciebie, ani Leona nie naraziła na żadne niebezpieczeństwo czy wstyd. Wszystko jest jak najbardziej uczciwe. To ostatni etap akcji. Całkowicie nadzorowany i we współpracy z Interpolem. – Kłamstwa nigdy wcześniej nie przychodziły jej tak łatwo.

Matka przytuliła córkę. Mocno i długo trzymała ją w ramionach, jakby chciała nadrobić te wszystkie lata. Dziewczyna zapadła się w ten uścisk jak spragniona ciepła dziewczynka – z całkowitą ufnością chłoneła matczyne ciepło. Ta chwila miała dać jej siłę na kolejne dni.

– Muszę iść, rano wyjeżdżam. Pamiętaj, jak nie będę dzwonić, to nie będzie to miało żadnego drugiego dna. W sytuacji podbramkowej skontaktuj się z Adamem.

Piotr zjawił się po nią punktualnie o szóstej rano, tak jak się umawiali. Do auta wsiadła mocno zaspana, bo poprzedniego dnia nie mogła długo usnąć. Piotr za to był w dobrym humorze i w ogóle nie zwracał uwagi na milczenie Anny. Nie wyglądał jednak na przygotowanego do podróży. Miał na sobie raczej robocze ubranie.

– Długa podróż przed nami? – Anna chciała dowiedzieć się czegokolwiek.

– Przed nami nie. Wiozę cię tylko na lotnisko, tam czeka Siergiej.

– Kto?

– Siergiej, mój serdeczny przyjaciel. Polecisz jego prywatnym samolotem z kilkoma innymi osobami. Niczym się nie stresuj. To bardzo miły człowiek.

– Siergiej...

Anna przypomniała sobie legendy krążące o związkach Piotra z rosyjską mafią.

– A ty? dlaczego nie lecisz?

– Za wysokie progi, niestety.

– Nie rozumiem...

– Nie musisz. Nie nabijaj sobie tej pięknej główki zbędnymi pytaniami. Fakty są takie: po powrocie czekać na ciebie będzie premia. I to niezła! Na razie tu masz wszystko, czego potrzebujesz.

Podał Annie dużą kopertę. W środku były dokumenty po włosku.

– Włoski znasz?

– Kilka słów – skłamała szybko.

– A to nic nie szkodzi. Podpisz się na dole, bo będę musiał dać je Siergiejowi na lotnisku. To są formularze pobytu w kurorcie, dowody, że wszystko opłaciłem, i takie tam. Będziesz się dobrze bawiła, to urodziny wpływowego człowieka.

Anna przebiegła wzrokiem dokumenty. Była to zgoda na używanie jej wizerunku przez jakąś włoską firmę, dokumenty typowe w związku z wyjazdem wakacyjnym i pozwolenie na pracę we Włoszech. Nic, o czym mówił Piotr.

– A muszę to podpisywać? Nic z tego nie rozumiem.

– Przecież ci wyjaśniłem. Podpisuj: jeden egzemplarz zostaje u mnie, a reszta leci z tobą.

Ten jeden dokument to był dowód wykupienia wakacji w jakimś kurorcie. Do czego był potrzebny Piotrowi? Czy wersja, jaką głosił oficjalnie – tak też kazał powiedzieć matce – że wyjeżdża na krótkie wczasy w nagrodę, miała stanowić przykrywkę dla niewygodnych faktów? Przed czym ten człowiek się zabezpiecza? Po co to pozwolenie na pracę?

Podpisała dokumenty, wiedząc, iż w innym razie nie będzie mogła dłużej ciągnąć tej gry. Szczęśliwie, zanim oddała dokumenty, Piotr zatrzymał się na stacji benzynowej i poszedł do toalety. Zrobiła szybko ich zdjęcia i wysłała Adamowi, po czym natychmiast skasowała ślady. Była pewna, że jest pilnowana. Gorzej będzie już w samolocie. Miała nadzieję, że wylądaje w miejscu, w którym jest Alba – czułaby się zdecydowanie bezpieczniej.

Na lotnisku Piotr pożegnał ją, klepiąc w ramię jak kumpla, i życzył dobrej zabawy. Siergiej wysłał po nią swojego goryla – wyglądał jak szafa pancerna ubrana w doskonale

dobrany garnitur. Odprawa odbywała się specjalnym kanałem VIP – nikt niczego im nie sprawdzał, za to wszyscy salutowali. Na płycie lotniska stał sporych rozmiarów błyszczący odrzutowiec. W środku dwie stewardesy i dwóch stewardów witało gości. Razem z Anną na pokład weszły jeszcze dwie dziewczyny. Jak się okazało, w samolocie siedziały same kobiety. Każda inna, każda zjawiskowo piękna, a po typach urody można było wnioskować, że przybyły chyba ze wszystkich stron świata. Było ich razem dwadzieścia. Oprócz nich w samolocie znajdowała się tylko obsługa i sześciu ochroniarzy. Na końcu do maszyny wszedł niski zasuszony mężczyzna około siedemdziesiątki. Miał w sobie pewien rodzaj siły i poczucia władzy, jaka towarzyszy możnym tego świata. Anna usłyszała, jak stewardesa wita go po angielsku:

– *Mister Sergiej, welcome on the board!*

Mężczyzna rozsiadł się wygodnie, rozejrzał naokoło i uśmiechnął pod nosem. Na pokładzie panowała grobowa cisza. Kobiety nie rozmawiały ze sobą, choć siedziały parami. Napięcie podnosił ochroniarz, bawiąc się niefrasobliwie okazałych rozmiarów pistoletem. Siergiej udawał, że tego nie widzi, ale raz jeszcze znacząco się uśmiechnął.

Siedząca obok Anny Azjatka nerwowo ścisnęła okazałych rozmiarów diament. Była wyraźnie spięta. Kiedy Anna uśmiechnęła się do niej przyjaźnie, zobaczyła w jej oczach łzy przerażenia.

– W czymś mogę ci pomóc? – zapytała po angielsku.

– Nie rozmawiać! – zagrzmiął głos ochroniarza. – Także po angielsku.

Lot trwał dwie godziny. Okazało się, że są na Sardynii.

Podjechali pod hotel – Annie zrobiło się słabo. Znała to miejsce! Była tu z Robertem w najlepszych czasach ich związku! To jedna z inwestycji, które nadzorował. Znała tu wszystko: ogromny jak na sardyński kurort teren, małą architekturę i nietuzinkowe rozwiązania służące ekscentrycznym gościom ze świata wielkich pieniędzy oraz jeszcze większych wymagań. Obiekt stał na szczycie skały, niebezpiecznie zawieszony, trudno dostępny dla zwykłych turystów. Kiedyś zapytała Roberta, czy znajdą wystarczającą liczbę bogatych ludzi, żeby zapłacić ten obiekt. Takich, którzy zechcą zapłacić dziesięć tysięcy euro za noc. Usłyszała, że hotel nie będzie przeznaczony dla turystów. Ma to być rezydencja bardzo bogatych ludzi goszczących równie bogatych przyjaciół. Rodzaj enklawy dla wybranych. Wtedy nie interesowały jej takie historie. Jej własna wydawała się wystarczająco ekscytująca i bajkowa.

Rozglądając się dookoła, powoli wchodziła do hotelu. W recepcji gości witała Alba. Anna odetchnęła z ulgą.

Dziewczyny dostały klucze do swoich apartamentów i czas wolny do wieczora. Wolny, bo sugestia ochroniarzy była jasna: mają spędzić go na basenie.

Anna wzięła prysznic, zawinęła włosy w kok na czubku głowy, włożyła czarny seksowny kostium kąpielowy, a na to lekką złotą tunikę w duże czarne grochy. Wzięła ręcznik i poszła do miejsca, które doskonale знаła. Przy basenie była już obecna większość kobiet.

Po chwili zaczęli schodzić się mężczyźni, jednak nie milionerzy czy też osobowości świata polityki lub sztuki. Byli to raczej chłopcy, bardzo młodzi i niezwykle piękni... Tak, słowo „przystojni” nie byłoby tu właściwe. Wyglądali jak z katalogu dla... panów. Zdała sobie sprawę, że gra będzie odbywać się na kilku płaszczyznach. Czyżby wśród polujących na tym szczeblu były także kobiety? Nie, to nie ten rodzaj przynęty. Mężczyźni na basenie byli homoseksualni. Mieli za zadanie wodzić innych mężczyzn na pokuszenie. Bardziej aktywni i otwarci od kobiet, świetnie się bawili. Kobiety przyglądały się sobie wzajemnie, badając konkurencję. Mało która była przerażona tak jak Azjatka z samolotu, ale tej Anna nie zauważyła na basenie.

Po chwili delikatnie sącząca się muzyka przybrała na sile. Kelnerzy roznosili drinki i drobne przekąski. Na zacienionym tarasie nad basenem zaczęli pojawiać się mężczyźni. Większość była ubrana na czarno, co w tym upale zastanawiało. Przyglądali się rozkręcającej się na dole zabawie. Dziewczyny – wyraźnie rozluźnione lekkimi drinkami oraz innymi specyfikami – przechadzały się jak najbliżej balkonowej widowni. Męska część przeważnie skakała do wody, smarowała wyrzeźbione ciała olejkami w sposób, którego nie powstydziliby się twórcy żadnej reklamy akcesoriów erotycznych. To był spektakl. Show. Targowisko ciał. Targ niewolników... Co takiego oni wiedzieli, czego nie wiedziała ona? A może to złe pytanie? Oni nie wiedzieli tego, co ona wiedziała. Oni nie byli tu z misją kryminalną, byli raczej na życiowych łowach lub może i z misją, ale erotyczną. Zapewne stąd to wyluzowanie i ekscytacja.

– A ty? Dlaczego jesteś taka sztywna? – Jakiś mężczyzna podszedł do trzymającej się na uboczu Anny. Rosyjski akcent wskazywał na ochroniarza tajemniczego Siergieja.

– Głowa mnie boli po locie. Zaraz mi przejdzie. – Anna uśmiechnęła się słodko.

– Rusz się, dziewczyno, trochę. Nie siedź w kącie!

Posłusznie wstała z leżaka i poszła w kierunku basenu. Spojrzała w górę. Wydawało jej się, że widzi Brunona. Nie, to chyba nie on, słońce ją oślepiało, więc trudno było przyjrzeć się dokładnie. Weszła pod prysznic i zaczęła swoje przedstawienie. Długo stała pod silnym strumieniem wody, wyginając zmysłowo ciało. Masowała biodra, brzuch, ramiona... Przemylała twarz, po czym wskoczyła do basenu. Popływała chwilę, następnie usiadła na brzegu, opierając nogi o głowę wystającego z wody kamiennego lwa. Po chwili wstała leniwie, podeszła do leżaka i zaczęła nacierać ciało złotym olejkiem do opalania. Błyszczała w słońcu jak drogocenny posąg. Popatrzyła do góry i jednym ruchem wyjęła spinkę z włosów. Ciężkie miedziane loki opadły na piersi, ramiona i plecy. Miała pełną świadomość swojej wyjątkowości. Była ponad wszystkie blondynki i brunetki. Oczy większości mężczyzn spoczywały na jej pełnych piersiach i obfitych udach. Nienaturalnie wąska talia była punktem odniesienia męskiej wyobraźni. Gdy na chwilę przestała odgrywać swoją rolę, zauważyła nerwowe spojrzenia rywali. Ewidentnie stała się dla nich konkurencją, zaczęła zagrażać liderom stojącym na piedestale. Czym lub kim był piedestał? Kto służy elicie?

Bruno dotarł do hotelu. W kieszeni miał złotą kartę magnetyczną. Otrzymał ją po przelaniu miliona dolarów za weekendowy pobyt. Musiał zapłacić w ciemno, za pobyt nie wiadomo gdzie. Podobno takie są reguły: nikt do końca nie wie, w jakim miejscu odbędzie się impreza. Na lotnisku czekała na niego limuzyna z kierowcą i ochroniarzem, a przy pierwszym wjeździe na teren hotelu – czterech mężczyzn z bronią, którzy czytaniem kart sprawdzali wiarygodność gości. Przybywali sami mężczyźni. Kolacja też była w czysto męskim gronie, nie licząc martwej emocjonalnie obsługi. Większość wcześniej poszła spać, gdyż wszelkie atrakcje zaczynały się kolejnego dnia od samego rana. Po śniadaniu wszyscy zostali zaproszeni na taras widokowy, skąd można było podziwiać towar. Nikt oczywiście nie używał takich określeń, ale sytuacja była jasna. Najpierw luksusowym autokarem przywieziono z lotniska kobiety o wszystkich odcieniach skóry, a później mężczyzn podobnych do tych rzeźbionych przez Michała Anioła. Bruno był znudzony i poirytowany: zaczynał odczuwać coś na kształt wyrzutów sumienia, że tu w ogóle jest. I nie chodziło nawet o pieniądze. Co prawda zapłacił chorą sumę za ten weekend, ale poczucie winy w stosunku do tych kobiet nie dawało mu spokoju. Stale musiał sobie przypominać, po co tu właściwie jest. Bardziej z poczucia obowiązku niż z ciekawości poszedł na taras. Kobiety przy basenie były zjawiskowe, jedna piękniejsza od drugiej. Nie był do końca przekonany, czy są świadome obowiązujących tu zasad, ale zachowywały się tak, jakby całe ich wcześniejsze życie było przygotowaniem do tego weekendu. To studziło w nim emocje. Zbyt dużo w życiu widział, zbyt wiele doświadczył. Patrzył, bo liczył na to, że wśród tych kobiet pojawi się Anna. Wyczuwał to jakimś szóstym zmysłem, przeczuwał, że akurat ona nie będzie odgrywała roli towaru, tak jak on nie był tu kupcem. Co więc wiązało ją z tym światem?

Nagle serce mocno mu zabiło. Płomienna kobieca postać rozpałała wyobraźnię mężczyzn obok. Atmosfera na tarasie wyraźnie się ożywiła. Panowie z napięciem obserwowali, jak pod prysznicem dotykała swego pięknego, jędrnego ciała o karnacji bladego złota, tak rzadkiej przy rudych włosach. Kiedy jednym zręcznym gestem uwolniła włosy z koka, słychać było tylko przyspieszone oddechy. Grała nieźle, ewidentnie świadoma swojej urody. Bruno domyślał się, że ten pokaz ma jakiś cel. I się nie mylił – rudowłosa właśnie zdobywała najwyższe notowania u obecnych na trasie graczy.

On też był tu dla niej... mimo wszelkich tłumaczeń i racjonalizacji, jakie tworzył w swojej głowie.

Anna po obiedzie postanowiła odpocząć. Zachęcona przez delikatną Francuzkę – jedyną kobietę, która nie patrzyła na nią wilkiem – poszła na masaż i do spa. Później wzięła jeszcze perełkową kąpiel i zdecydowała się na drzemkę. Obudził ją telefon hotelowy:

– Za dwie godziny zapraszamy do Sali Karminowej.

Wzięła do ręki komórkę, nie zaglądała do niej od wyjścia z lotniska. No tak. Tak jak przewidywała – nie było sygnału. Zero sieci i zero możliwości dzwonienia. Nagle dostrzegła na stole kartkę: „INSTRUKCJA”.

Organizatorzy wieczoru proszą o pozostawienie telefonów, aparatów, kamer i innych nośników cyfrowych w pokoju. Było tam także o ostrych narzędziach i broni, ale to już chyba tylko pro forma, bo przecież nikt nie był w stanie przemycić tego do hotelu. I jeszcze drobnym drukiem na samym dole informacja, że przed wejściem na salę ochrona będzie sprawdzać zawartość torebek, kieszeni i tym podobne. Za pomocą bramki i czytnika magnetycznego.

Anna patrzyła na kartkę i zastanawiała się, czy coś jej grozi. Miała mały wisiołek z nadajnikiem, podobno nie do wykrycia, i ten wisiołek miał ją zabezpieczać. Była też na miejscu Alba. Nie mogła się zdecydować, czy założyć naszyjnik, czy nie. A jeżeli go wykryją? Adam twierdził, iż nikomu nie przyjdzie do głowy, że mają na sali agentkę. Zbyt długo i ostrożnie układali ten scenariusz. Postanowiła więc zaryzykować. Wisiołek był idealną podróbką kultowej marki biżuteryjnej i z tego, co zauważyła na basenie, kilka kobiet miało identyczny. W końcu był modelem z najnowszej kolekcji, synonimem pozycji społecznej także wśród luksusowych kurtyzan... bardzo luksusowych. Kobiety zajmujące się nierządem na najwyższym szczeblu hierarchii nosiły swoją cenę na sobie. W przeciwieństwie do prawdziwie bogatych, zawdzięczających majątek antenatom, musiały mieć wszystko najdroższe i z najnowszych kolekcji. Epatowały błyskotkami i torebkami w cenie zbliżonej do wartości mieszkania. Anna pomyślała o tym, jak duża przepaść dzieliła te dwa obce jej światy: w tym, który znała z opowieści lub przelotnych spotkań na rautach za czasów Roberta, obowiązywała niepisana zasada pewnej skromności i umiaru. Ogromne metki, złote dodatki, diamentowe wykończenia i krzyczące wzory prosto ze światowych wybiegów nie były domeną klas zamożnych. O wielkości i sile rodu świadczyły przekazywane z pokolenia na pokolenie elementy biżuterii, dzieła sztuki, zasobne biblioteki. Luksusowe gadzety nie miały nic wspólnego z wysoką pozycją społeczną. W tej materii Robert był dobrym nauczycielem.

Wyjęła z szafy czarną sukienkę, wyszywaną drobnymi koralikami tak przemyślnie, że przykrywały dokładnie biust i biodra, za to na reszcie materii spływającej do ziemi były na tyle rzadkie, że pokazywały praktycznie całe ciało. Czuła się naga, ale instrukcja Piotra była jasna: ma być ultraseksi. No więc było. Zdecydowanie. Suknia miała cienkie ramiączka z czarnych kryształków, które mieniły się w świetle niczym diamenty opadające kaskadą drobnych sznureczków aż na biust. Ogromne rozcięcie ukazywało pięknie opalone wyrzeźbione udo i łydkę. Na stopy włożyła niebotyczne szpilki z cieniutkich czarnych

paseczków, także zdobionych czarnymi kamieniami. Włosy pozostawiła w tak zwanym artystycznym nieładzie. Wyglądała bosko i miała tego świadomość. Ciężki biust pięknie układał się w konstrukcji sukienki, podkreślającej jego naturalność, co w czasach silikonowych implantów było niemałym atutem. Na szyi zawiesiła tajny wisiołek, a w uszy wpięła stare diamentowe kolczyki. Dostała je niegdyś od matki Roberta. Mała torebka nie zmieściła niczego więcej poza chusteczkami i błyszcznikiem do ust. Rzęsy pociągnęła brązowym tuszem, do tego dodała kilka muśnięć różem po policzkach. Wiedziała, że mocniejszy makijaż w jej wypadku jest zbędny.

Na sali przebywali już prawie wszyscy goście, Anna weszła jako jedna z ostatnich. Szef sali zaprowadził ją do stolika, przy którym siedziało pięciu mężczyzn. Idąc, przyglądała się innym. Składy były różne – ale tylko jej stolik oraz sąsiedni miały konfigurację jedna kobieta i pięciu graczy. Wśród nich był Bruno.

Annie serce zaczęło walić jak oszalałe, jednak błyskawicznie się opanowała. Znała zasady z poprzednich etapów: przy stole siedzą mężczyźni, którzy postawili największe pieniądze na daną kobietę. Ten, który wygra, zgarnie pulę. Jeżeli jednak nikomu się nie uda, pieniądze bierze opiekun kobiety i organizator zabawy. Ona to wiedziała. Czy wiedziały to też inne kobiety? Żaden mężczyzna spoza stolika nie mógł brać udziału w grze. Niektóre dziewczyny były przynętami, inne nie. Charakterystyczne było usadzenie gości. Tam, gdzie toczyła się gra, była tylko jedna kobieta. Czyli zostały dwie: ona i przepiękna Azjatka, która siedziała obok niej w samolocie. Nie wydawała się już taka wystraszona, wodziła lekko nieprzytomnym wzrokiem po swoich towarzyszach. Czyżby była pod wpływem jakiegoś środka? Anna bardzo pilnowała, co piła i jadła. Trzymała się zasady zamkniętych butelek, a w pokoju nie ruszała nawet tych zamkniętych. Woda z kranu była bezpieczna.

Przywitała się z mężczyznami delikatnym uśmiechem i skinieniem głowy. Nie patrzyła w ogóle na Brunona. Postawny mężczyzna naprzeciwko wydawał się dziwnie znajomy. Tak, to przecież znany rosyjski milioner! Obok niego miejsce zajmował inny bogacz, stały bohater plotkarskich portali, zmieniający kochanki jak rękawiczki, zaliczający modelki, aktorki, początkujące piosenkarki... Annie zrobiło się słabo. Przy stoliku obok siedział ekscentryczny premier pewnego europejskiego kraju i znany komik, gwiazda telewizji brytyjskiej. Stopniowo zaczęła zauważać coraz więcej znanych twarzy. Gdzie jest? W co tu się będą bawić?

Bruno przyglądał się Annie bacznie, więc od razu dostrzegł jej zdenerwowanie. Nie była chyba stałą bywalczynią takich imprez, bo rozglądała się z dosyć wyraźnym zdziwieniem. Była mniej pewna siebie niż ostatnio i lekko zdezorientowana. Starł się złapać jej wzrok, ale skutecznie go unikała.

Podano kolację i zaczęły się występy: pantomima czy też jakiś teatr tańca – w choreografii dominowały elementy gry miłosnej. Nagie ciała tancerzy, całkowicie pokryte złotą farbą, wiły się w rytm wolnej muzyki i tworzyły rodzaj obrazu, wyraźnie



podniecającego towarzystwo. Nie była to wielka impreza, uczestniczyło w niej około stu gości. Kiedy kolacja dobiegała końca, światła przygasły. Scena, na której odbywał się spektakl, podjechała na wysokość stolików i rozegrał się akt końcowy widowiska. Aktorzy przestali grać akty miłosne, zaloty, kuszenie, uwodzenie. Nastąpiło spełnienie. Pary były różne: dwie kobiety kopulowały z dwoma mężczyznami, dwóch mężczyzn z innymi mężczyznami, a między nimi wiły się cztery pozostałe kobiety, uprawiając miłość czy też raczej akt cielesny.

Kelnerzy wciąż roznosili trunki, cygara, torebeczki z białym proszkiem, kolorowe pigułki szczęścia oraz inne specyfiki, mające wyluzować towarzystwo. Anna poczuła rękę mężczyzny na swoim udzie. Odrzuciła ją natychmiast i spojrzała wrogo na niskiego krępego blondyna. Drugi mężczyzna zaczął ją gładzić po plecach, ale i on dostał reprimendę. Na scenie pojawił się zespół muzyczny – z zawiązanymi oczami grał znane standardy światowe. Rosjanin poprosił Annę do tańca. Wiedziała, że nie może uciec i nie może być aż tak niedostępna. Stanie się to podejrzane.

Mężczyzna doskonale tańczył, przy tym silnie ją prowadził, uwodząc w niezwykle majestatyczny sposób. Dziewczyna kątem oka dostrzegła Brunona. Wstał od stolika i przyglądał się im. Rosjanin złapał jej wzrok, po czym szepnął Annie do ucha czystym angielskim:

– Nie wygra ze mną.

Anna posłała mu uśmiech i poczuła, że gra zaczyna ją wciągać. Jej ciało nabrało giętkości, a taniec stał się zdecydowanie bardziej erotyczny. Mężczyzna raptownie przywarł do jej uda kroczem. Poczuła jego przyrodzenie naprężone jak skała. Lekko się odsunęła i poprosiła o przerwę:

– Poproszę o wodę.

– Wodę? Ha, ha, ha, szampana się napijemy, najlepszego!

Gdy usiedli przy stole, milioner skinął ręką na obsługę i szepnął coś na ucho kelnerowi. Po chwili przyniesiono płonące butelki. Jedna z nich miała przypiętą diamentową bransoletkę, którą Rosjanin włożył Annie na rękę. Była bardzo ciężka, więc jeżeli prawdziwa, warta krocie.

– To na dobry początek! – krzyknął uradowany i zaczął nalewać szampana do kryształowych kieliszków.

Bruno wiedział, że przegrywa. Reszta rywali odpuściła. Rosjanin nie znosił żadnej konkurencji, był znany z niewybrednych metod eliminacji przeciwników. Kiedy gracze zapisywali się na listę polowania na konkretną kobietę, nikt nie wiedział, jaki skład będzie w grupie. Dopiero przy stolikach odkrywali, z kim tak naprawdę rywalizują. Bruno zauważył, że Anna niechętnie pije szampana, a ukradkiem rozlewa go na podłogę. Niby w zabawie wyginając się w kierunku Rosjanina, który usiadł obok niej, przechylała potajemnie kieliszek. Nikt poza Brunonem tego nie zauważył, bo reszta panów rozeszła się

po sali. Nie zostali z niczym – organizatorzy zadbali o dobre samopoczucie wszystkich swoich gości: zapewnić je miała grupa kobiet niebiorących udziału w grze.

W pewnym momencie zespół przestał grać. Wszyscy zostali poproszeni o przejście do ogrodu. Anna udała się tam w towarzystwie swojego adoratora, a ten uznał już sprawę za wygraną. Reszta poszła w różnym składzie. Wielu męsko-męskim, wyraźnie zadowolonych i zainteresowanych ciągiem dalszym. W ogrodzie wybudowany był potężny wybieg ze sporą fontanną. Anna pamiętała z otwarcia hotelu, iż kilku gości właśnie w niej skończyło zabawę.

Kiedy wszyscy usiedli, zapaliły się światła, a na scenie w rytm muzyki zaczęły tańczyć hologramowe ptaki i motyle. Wtedy pojawiła się pierwsza modelka. Rozległy się głośne brawa, rozmowy przycichły. Pokaz bielizny erotycznej marki Sensual w wykonaniu top modelek robił wrażenie, ale najbardziej spektakularny był finał, kiedy to wszystkie dziewczyny weszły do fontanny i odegrały scenę zabawy na plaży.

Po pokazie dołączyły do gości w ogrodzie. Te, które były mokre, nie przebrały się nawet, co w wieczornym oświetleniu było bardzo podniecającym widokiem. Dziewczyny sprawiały wrażenie niedostępnych i widać było, iż stanowią tylko element ubarwiający imprezę i dodający prestiżu – nie są paniami do towarzystwa.

Bruno nie spuszczał Anny z oczu. Miał dziwne przeczucie, że tego wieczoru będzie jej potrzebny.

W trakcie zabawy do kilku osób – w tym do Brunona – podchodzili ochroniarze. Dyskretnie zapraszali na najwyższe piętro. Specjalna winda w końcu hotelowego korytarza, normalnie nie do użytku gości, tym razem woziła tych, którzy mieli złotą kartę. Bruno ociągał się z wyjściem do momentu, aż dostrzegł, iż Rosjanin także dostał zaproszenie.

Kiedy Anna z Rosjaninem znaleźli się w windzie, ten natychmiast zaczął ją całować. Próbowwała się bronić, co tylko rozbawiło mężczyznę, ale odpuścił na chwilę. Poczekał, aż wyszli na korytarz, wziął ją za rękę jak małe dziecko i prowadził w wyraźnie znanym sobie kierunku.

Dziewczyna zaczęła się domyślać, że to on był organizatorem całej imprezy.

Weszli do dużej zaciemnionej sali. Na podłodze zauważyła wijące się ciała. Kilkanaście młodziutkich odurzonych kobiet, a nawet dzieci, w mrocznym oświetleniu skręcało się jak robaki. Między nimi młodzi chłopcy. Tych młodych ludzi nie widziała tu przedtem. Nie było ich ani na basenie, ani podczas kolacji. Wszyscy byli nadzy i ewidentnie pod wpływem narkotyków. Anna poczuła zimne strumienie potu na plecach. Zaczęła drżeć, bliska płaczu. Rosjanin – którego jej lęk najwyraźniej podniecał – postawił ją przed sobą i powiedział:

– Nie masz powodu do strachu, jesteś tu ze mną. Będziemy tylko patrzeć, a później pójdziemy do sypialni. Jeżeli chcesz oglądać – zostań tu ze mną. Jeżeli nie, to pomogę ci zapomnieć.

Anna nie rozumiała, o co mu chodzi. Przecież gra miała sens tylko wtedy, kiedy nie ulegnie? Sprawy zaczęły przybierać niebezpieczny obrót, mogła nie mieć wyjścia. Zaczynała się poddawać:

– Nie pójdę nigdzie i niczego nie chcę oglądać!

– Pójdiesz. Wygrałem cię i jesteś moją nagrodą. Jak los na loterii!

– Nie grałeś o mnie z nikim!

– Dziecko... od samego początku stawiałem na ciebie, bo choć fizycznie mnie tam nie było, to obraz miałem znakomity. Zapłaciłem za to ogromne pieniądze. Poszłaś tańczyć ze mną, nie odmówiłaś, a mogłaś odmówić i zatańczyć z każdym innym. Siłą bym cię tu nie zaciągnął. Tych dwóch strzepnęłaś z siebie jak popiół z papierosa. Ten zakochany w tobie Polak nie miał nawet odwagi podejść. Patrz, jaki niespodziewany i prosty koniec gry. Jeden taniec i już! Zero oporu! Swoją drogą, skąd wiedziałaś, że to gra?

– Nie wiedziałam, ty mi to przed chwilą powiedziałaś.

Anna udawała spokój, za to w środku była rozdygotaną galaretą. Rosjanin spojrzał na nią podejrzliwie, ale odpuścił. Wydała mu się zbyt naiwna, zbyt nieporadna, żeby coś ukrywać, a przy tym nie miał najlepszego zdania o kobietach w ogóle.

– Masz dwa wyjścia – wycedził przez zęby. – Zostać tu ze mną: a – żywa lub b – martwa. Wybór należy do ciebie.

Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Czyżby to był okrutny żart?

– Zaraz zacznie się widowisko.

Do sali z nagimi odurzonymi ludźmi weszli zaproszeni goście. W większości absolutnie świadomi rodzaju zabawy. Między nimi był Bruno i starszy Chińczyk, którzy jako jedyni wydawali się mocno zszokowani. Reszta rozebrała się bez skrupowania i zaczęła orgię. W powietrzu unosiło się coś dziwnego, jakiś otumaniający zapach, od którego Annie robiło się słabo. Jeden z kopulujących mężczyzn wyraźnie dusił młodego chłopca, aż ten upadł w bezruchu. Obok inny mężczyzna bił młodą kobietę do krwi, wsadzając jej swoje przyrodzenie w usta. Anna nie mogła się powstrzymać, zwymiotowała. Rosjanin stał niewzruszony i mocno trzymał ją za rękę, oglądając widowisko. Bruno i Chińczyk nie brali w tym udziału. Przyglądali się chwilę i zniknęli. Anna nie mogła pojąć okrucieństwa rozgrywającego się na jej oczach. Młody chłopak nie wstawał. Kobieta krwawiła, zalana łzami. Gruby Arab miał na sobie trzy młodziutkie dziewczynki, które nie miały nawet rozwiniętego ciała. Mężczyzna penetrował je na zmianę. Anna znowu zwymiotowała. Rosjanin puścił jej rękę, zawołał ochroniarza i kazał zaprowadzić ją do łazienki. Ledwie przytomna z przerażenia weszła do potężnego apartamentu ze szklanym rozsuwanym sufitem i przypomniała sobie, gdzie jest. Znała to miejsce. Ochroniarz został pod drzwiami. Miał pilnować jej, dopóki Rosjanin nie nasyci się widokiem. Zaczęła nerwowo myśleć, co ma zrobić. Zobaczyła telefon i wykręciła numer recepcji, modląc się, żeby odebrała Alba. Była przecież odpowiedzialna za górne piętro. Szczęśliwie głos w telefonie należał właśnie do niej.

– Co mam robić? – wyszeptała Anna.

– Na razie musisz wytrwać, wśród ochrony jest dwóch naszych ludzi, aresztować możemy tylko podczas morderstwa, a ten człowiek będzie chciał cię zabić.

– Alba, oni zabijają podczas orgii młodych odurzonych ludzi.

– Wiem, wszystko jest nagrywane, ale nie możemy tam wejść teraz, jest nas zbyt mało. Za godzinę dotrą brygady antyterrorystyczne. Nie byliśmy pewni, czy tu będzie finał. Dla zmylenia zwykle przygotowują kilka miejsc naraz. Wiedzą, że od jakiegoś czasu ich śledzimy. Kiedy wyczujesz moment, że jest już bardzo niebezpiecznie, zamów jedzenie do pokoju. W łazience pod toaletą masz schowany pistolet.

– Ja nie umiem strzelać!

– Strach ci pomoże. – Nagle usłyszała w telefonie całkiem inny ton: – Tak, proszę pana, natychmiast to naprawimy. Już wysyłam obsługę, przepraszam!

Alba się rozłączyła. Anna poszła do łazienki, umyła się i położyła na kanapie. Machinalnie włączyła telewizor. Zastanawiała się, co teraz ma robić. Była uwikłana w sytuację jak z najgorszego horroru. Dochodząca z ogrodu przez okno muzyka ucichła. Dziewczyna zrezygnowana czekała na przeznaczenie. Pomyślała, że jeśli może jeszcze coś zyskać, to sprzymierzeńcem będzie czas, a ten zyska tylko w jeden sposób.

Wyszła z pokoju. Poprosiła ochroniarza, żeby zaprowadził ją do Rosjanina. Trafiła na widownię sali, w której działo się więcej przemocy niż seksu. Milioner siedział nieruchomo i oglądał widowisko. Anna zauważyła oprócz niego jeszcze kilku widzów. Wszyscy zamknięci w czymś w rodzaju łoża teatralnej. W jednej z nich był Bruno, w drugiej Chińczyk, a w trzeciej kobieta w średnim wieku.

– Przeszły ci nudności?

– Tak, możemy już pójść do sypialni?

Uwodzicielsko otarła się o mężczyznę.

– A widzisz? Odkryłaś w sobie ekscytację przemocą i zniewoleniem. Podnieciłaś się?

– Tak... Jest coś w tej twojej władzy, co mnie pociąga.

– Chcesz żyć?

– Chcę cię dręczyć – zaryzykowała.

– Za pół godziny będzie dostawa świeżego towaru. Po niej możesz mnie dręczyć. Muszę zadbać o gości. A teraz idź i poczekaj na mnie na tarasie. Masz tam równie dobry widok.

Anna, eskortowana przez ochroniarza, wróciła do apartamentu, wyszła na taras i spojrzała w dół: zobaczyła basen, przy którym rozgrywała się mniej drastyczna orgia. Tu wszyscy byli chętni do zabawy, nie widać było przemocy, niemniej kilku wyraźnie zniecierpliwionych i niezadowolonych panów czekało na coś jeszcze. Tym czymś był świeży towar przywieziony przez... Roberta.

A więc tu jest jego królestwo. Po to otwierał te wszystkie hotele. Razem z nim z samochodu wysiadła znana Annie kobieta. Starsza, elegancka i dziwnie patrząca na jej dziecko. Anna wiedziała od początku, że jest jej wrogiem. Za samochodem zatrzymał się

mały autokar, wysiadło z niego kilkanaście dziewcząt. Wszystkie od razu poprowadzono na basen. Żadna z nich nie była zaskoczona rolą, którą ma odegrać, a jednak wydawały się wystraszone. Anna usłyszała stuknięcie drzwi i kątem oka zobaczyła wchodzącego do łazienki Rosjanina. Wyszła z tarasu, zasunęła szklaną taflę i spokojnie usiadła na fotelu. Widok Roberta obudził w niej ponownie chęć walki. Strach ustąpił miejsca potrzebie zemsty za wszelką cenę. Według tego, co mówiła Alba, na miejscu powinni już być antyterrorysty. Na ich pomoc liczyła najbardziej.

Czuła przypływ determinacji i odwagi, jakie miewała jako dziecko, walcząc o siebie w chorym domu. Teraz miała jeszcze synka, a on potrzebował matki. Robert i cała ta zgraja dewiantów muszą zapłacić wysoką cenę.

Rosjanin wyszedł z łazienki, bacznie jej się przyglądając. Poprosiła, aby usiadł obok. Zaczęła własną grę: stała się wyuzdaną, zepsutą luksusową dziwką, która lubi dominować nad samcem. Czuła, że ten macho właśnie tego potrzebuje: upokorzenia. Nie pomyliła się. Wchodziła w rolę coraz głębiej. Kiedy zaczął pełzać po podłodze, zapytała go o karę, jaką jej wymierzy.

– Zabiję cię – odpowiedział bez zastanowienia – i spuszczę się na twoje zwłoki.

– Dobrze. A czy mogę przedtem zjeść kolację skazańca?

Mężczyzna wstał z podłogi i stanął przed Anną – cały czas zbliżał się niebezpiecznie. Spojrzała na jego nabrzmiące jak drąg purpurowosine przyrodzenie.

– Mam ci pomóc się rozluźnić?

– Zamów jedzenie i poproś o nóż do steku. Duży nóż – wychrypiął.

– Nie chcę steku.

– Ale ja chcę. – To był głos chorego człowieka. Oczy nabiegły mu krwią, a źrenice prawie zakrywały tęczęwki. Widać było, że jest też poważnie odurzony.

Annę przeszły dreszcze. Zaczynało robić się niebezpiecznie.

– Zamów jedzenie. – Podał jej telefon.

Zamówiła sałatkę i stek.

– Wysmażony czy krwisty? – zapytała mężczyznę.

– Obojętnie.

Serce waliło jej jak młotem, kiedy obsługa wносиła jedzenie. Kątem oka zobaczyła Albę, otwierała kelnerowi drzwi i korzystając z chwili nieuwagi Rosjanina, pokazała jej głowę wewnętrzną windę.

– Czy mam jeszcze podesłać jakieś wino? Szampana?

– A tak, poproszę.

– Nie będę już państwu przeszkadzać, wszystko wjedzie windą z kuchni. Proszę otworzyć tylko lewe drzwiczki, te wąskie.

– Dobrze.

Kiedy Anna jadła, Rosjanin włączył telewizor i wydawał się kompletnie nieobecny.

– Nie jesz? Stek ci wystygnie...

– Stek? A nie, mój stek jest w stałej temperaturze – zarechotał i z powrotem zaczął skakać po kanałach.

Dzwonek windy zasygnalizował wino. Anna podeszła i otworzyła drzwiczki. Poczła dziwny zapach i skonsternowana zaczęła szukać jego przyczyny. Wtedy ją olśniło, więc natychmiast zamknęła windę.

Po zjedzeniu sałatki poprosiła mężczyznę, aby otworzył butelkę.

– Stek w czerwonym winie? Hm, no dobrze, moja droga. To jak teraz powinienem cię ukarać?

– Może najpierw ja ukarzę ciebie?

Anna znowu zaczęła grę, wyraźnie podniecając mężczyznę. Upokarzała go, wyzywała, biła, obrzucała wyzwiskami. Kiedy zrzuciła mu mięso z talerza pod nogi i kazała jeść, ten raptem zerwał się, chwycił nóż i przybliżył jej go do gardła. Poczła zapach potu i usłyszała chory, nierówny oddech.

– Tak szybko to nam nie pójdzie, moja droga... Teraz obedrę cię ze skóry.

Otworzył drzwi do pokoju i oczom Anny ukazał się ogromny stół do tortur. Złapał ją za włosy i powłókł brutalnie, po czym rzucił na blat.

– Kładź się, mammo!

– Nie rób mi krzywdy, nie jestem twoją mamą!

Dziewczyna zaczęła krzyczeć, ale był tak silny, że bez problemu po kolei przypinał jej pasami nogi i ręce.

– A teraz... zacniemy bawić się naprawdę. Ten nóż użyję na końcu... – Mówiąc to, wyjął komplet skalpeli, dłut i innych narzędzi.

Annie krzyk przerażenia uwiązł w gardle. W tej chwili z kuchennej windy wyskoczył antyterrorysta, obezwładnił Rosjanina i przystawił mu pistolet do skroni. Przez rozsunięty szklany dach wpadło jeszcze dwóch. W całym hotelu słychać było strzały, a za oknem lądowały helikoptery wojskowe i policyjne. Uwolniona Anna wymiotowała ze stresu i płakała jak dziecko. W pokoju, do którego ją zaprowadzili, siedział Bruno. Miał w ręce pistolet i rozmawiał przez krótkofalówkę po chińsku. Razem z nim siedział Chińczyk. Do pokoju weszło kilku mężczyzn w czarnych uniformach – wprowadzili Roberta oraz jego kobietę.

– Mam cię! – powiedział Bruno do kobiety, wyraźnie zadowolony. – Mówiłem, że zapłacisz mi za wszystko. A ty, mój drogi – zwrócił się do Roberta – zapłacisz głównie jej. – Pokazał głową w stronę Anny i wrócił do rozmowy przez krótkofalówkę. – Zabierzcie ich. Koniec przywitania. Reszta jest do zapakowania. Głównie w workach, ale który jeszcze żywy, wrzucać do helikopterów. Będą mieli prywatne loty na Księżyc.

Kim jest Bruno? Gdzie jest Adam? Anna poczuła, jak Alba owija ją kocem, po czym straciła przytomność.

# Spis treści

-1-  
-2-  
-3-  
-4-  
-5-  
-6-  
-7-  
-8-  
-9-  
-10-  
-11-